

Tursten Helene

Zabójcze domino

Z języka szwedzkiego przełożył Alfred Ostrowski

Tytuł oryginału Guldkahen

Wydanie I, czerwiec 2010

Wydawca: Videograf II Sp. z o.o.

Mojej siostrze Pii

Prolog

Luty 2000 roku

Na ekranie telewizora widać było - niewyraźnie - to, co uchwyciła kamera bankowego monitoringu. Wewnątrz banku trzech zamaskowani mężczyźni wycelowali broń w klientów i personel. Sprawcy napadu byli ubrani jednakowo: w ciemne kombinezony, czarne kominiarki i czarne skórzane rękawice. Spod zasuniętych kominiarek wyzierały tylko ich oczy. Jeden z mężczyzn znalazł się za kontuarem, gdzie przed oczami kasjerki wymachiwał wielką nylonową torbą. Pośrodku sali leżał na brzuchu ktoś, komu drugi napastnik groził bronią, przy czym lufę jego pistoletu dzielił niespełna metr od głowy tamtego człowieka. Trzeci uzbrojony mężczyzna stał na straży tuż przy wejściu i rozglądał się nerwowo na wszystkie strony. Stał plecami do kamery, z bronią wycelowaną w drzwi. I nagle na skraju obrazu można było zobaczyć, że ktoś te szklane drzwi otworzył i wszedł do banku. W drzwiach mignęły dwie chude łydki w niezbyt wysokich skórzanych butach. Napastnik, który pilnował wejścia, zrobił krok do przodu i wprowadził jakąś starszą kobietę na środek ekranu. Chwycił ją za ramię, po czym wykonała ćwierćobrót, zachwiała się i głową naprzód upadła na podłogę.

Wszyscy trzech napastnicy poruszali się niemiarkowo, ponieważ filmowano, dla oszczędzenia taśmy, sekwencjami. Mimo to wyraźnie widać było większą nerwowość napastników po upadku starszej pani oraz jakieś groźne ruchy tego, który pozostawał za kontuarem, w kierunku kasjerki. Drżącymi rękami starała się ona wypełnić banknotami torbę sprawców napadu. Z boku kontuaru ten i ów kręcił się niespokojnie, co najwidoczniej zirytowało zamaskowanego bandytę, który bez zastanowienia uderzył kasjerkę lufą w twarz. Kobieta straciła równowagę i zniknęła pod kontuarem.

„...te brutalne sceny z banku. Czwarty mężczyzna pełnił straż w samochodzie, który stał na zewnątrz. Jak twierdzą świadkowie, był to czerwony saab 1900. Kilka godzin wcześniej zgłoszono kradzież takiego samochodu w Arvice i policja podejrzewa, że posłużył on napastnikom. Starsza kobieta, która weszła do banku w trakcie napadu, doznała złamania szyjki kości udowej, kiedy upadła na podłogę, i przeżyła straszliwy szok. Kasjerka, również mocno wstrząśnięta, straciła kilka przednich zębów. Obie kobiety przebywają w szpitalu. Zakładnikom i pozostałemu personelowi banku udzieliła pomocy ekipa ratowników. Szacuje się, że łupem bandytów padł tym razem milion koron. Jest to czwarty w tym roku poważny napad na bank w prowincji Norra Varmland. Jak dotąd nie udało się zatrzymać nikogo, komu można by któryś z tych napadów przypisać. Północną część prowincji wybrano na miejsce takich przestępstw prawdopodobnie dlatego, że brakuje tam policjantów. Kiedy policja

zostaje zaalarmowana, okazuje się najczęściej, że jedyny radiowóz, jaki jest do dyspozycji, dzieli wielką odległość od miejsca zdarzenia" - mówiła na ekranie swoim przyjemnie brzmiącym głosem reporterka.

- A niech to diabli! - odezwał się mężczyzna, który siedział na sofie, i zaraz nacisnął wyłącznik pilota. Gdy ekran zgasł, w pokoju było przez chwilę cicho.

- Coś okropnego! Pomyśleć tylko: ktoś stoi obok i celuje w twoją głowę! Koszmar! - powiedziała z nerwowym śmiechem jego młoda przyjaciółka.

Kobieta zamilkła i przypatrywała się, jak dolewał wina do jej kieliszka.

- Ale szczerze mówiąc, Philipie, milion to niezła sumka. Taki napad jest najlepszy, kiedy się ktoś chce urządzać - powiedziała i zachichotała, po czym upiła spory łyk wina.

- To zbyt niebezpieczne. Można zginąć od kuli. Mężczyzna uniósł kieliszek i długo, z rozkoszą wdychał zapach wina.

- Dobrze. Bardzo dojrzałe jeżyny z domieszką wanilii. Mam nadzieję, że złapią tych bandytów i zamkną ich w Kumlą. Niechby tam zgnili - powiedział mężczyzna, który wcześniej zdefraudował sto milionów. Dolarów.

Rozdział 1

Inspektorzy wydziału kryminalnego policji, Irenę Huss i Tommy Persson, zaparkowali na ulicy za dwoma niebiesko-białymi radiowozami. Całkiem z przodu stał nieoznakowany wóz ekipy technicznej. Wjazd do garażu został zablokowany przez niedbale ustawiony mercedes typu kabriolet w kolorze metallic, z zasuniętym dachem.

Oboje pokonywali opór wiatru od morza, patrząc zarazem uważnie pod nogi, a kierowali się w stronę drzwi wejściowych. Dom powstał niedawno i sprawiał wrażenie wykończonego, ale sama parcela była całkowicie pokryta gliną. Nogi grzęzły w niej przy każdym zbieżeniu z kamiennych płyt chodnika. Mimo że parceli nie doprowadzono do porządku, Irenę Huss uznała położenie domu za doskonałe. Stał na wysokim wzgórzu z widokiem na sporą część zatoki Askinvik. Jak zdobyć taką parcelę? Willę zbudowano z cegły w kolorze terakoty, z użyciem dużej ilości szkła. Jej wygląd świadczył o indywidualnym projekcie architektonicznym i kosztowała pewno majątek.

Tommy Persson zatrzymał się i przyjrzał kabrioletowi. Pełen podziwu, złożył usta do gwizdnięcia i porozumiał

się wzrokiem z Irenę. Potem doszedł do drzwi i zadzwonił. Otworzyła je natychmiast policjantka w mundurze. Wyglądała młodo, ale i poważnie.

- Cześć. Tommy Persson i Irenę Huss z wydziału kryminalnego.

- Cześć. Stina Lindberg. Dopiero co przyjechała ekipa techniczna - odpowiedziała ich umundurowana koleżanka.

Z głębi domu dotarł do nich płacz dziecka. Stina Lindberg zerknęła nerwowo w tym kierunku, z którego słychać było dziecko, i zaraz objaśniła:

- Dzisiaj płacze. Ich maleństwo... Żona natknęła się na niego... na męża... kiedy wróciła do domu.

Bładość policzków Stiny i jej uporczywe próby zapanowania nad sobą świadczyły o tym, że cała ta sytuacja robiła na niej przykre wrażenie. Morderstwo nie pozostawia nikogo obojętnym, ale zawsze trudniej się z nim oswoić, gdy w tle występuje dziecko.

W rozległym holu pojawił się wysoki policjant w pełnym rynsztunku. Irenę i Tommy dobrze go znali i przywitani się serdecznie. Inspektor Magnus Larsson przedstawił im pokrótce tok wydarzeń, a oni tymczasem włożyli na siebie kombinezony ochronne, kaptury, plastikowe rękawice i ochraniacze na stopy.

- Jakaś kobieta zadzwoniła na dyżurujący komisariat i poinformowała o znalezieniu zwłok męża, który został zastrzelony. Byliśmy tu w ciągu kilkunastu minut. Gdy przyjechaliśmy, kobieta sprawiała wrażenie opanowanej, ale już po paru minutach załamała się. W pamięci telefonu komórkowego miała numer swojej mamy i do niej właśnie zadzwoniłem. Ktoś przecież musi się zająć dzieckiem. Mama jest w drodze, a kiedy z nią rozmawiałem, była w Boras.

- Jak się nazywają mieszkańcy tego domu? - zapytała Irenę.

- Sanna Kaegler-Ceder i Kjell Bengtsson Ceder.

Irenę miała wrażenie, że nazwiska obojga nie są jej całkiem obce, ale nie potrafiła ich z niczym skojarzyć. Zauważyła zresztą, że Tommy też na te nazwiska zareagował, ale nie zdążyła go spytać o Sannę Kaegler-Ceder i jej małżonka. Z wnętrza domu dotarł do nich głośny płacz przerażonego dziecka. Troje policjantów pospieszyło w kierunku, z którego dochodził ów dźwięk.

Salon okazał się rozległy i całkowicie oszklony od strony morza. Irenę pomyślała, że miała rację, przypuszczając, iż jest stamtąd fantastyczny widok. Na okrągłym obrotowym fotelu z obiciem w kolorze skorupki jajka siedziała jakaś młoda kobieta. Dookoła stołu w kształcie elipsy, ze szklanym blatem, stało osiem podobnych foteli. Pod stołem leżał spory okrągły dywan o długim włosiu, również w kolorze skorupki jajka. Ta jasna barwa kontrastowała efektownie z klinkierową podłogą w kolorze terakoty. Ściany w salonie były nieco jaśniejsze niż skórzane fotele. Na takim tle dobrze prezentowały się nowoczesne obrazy olejne.

Irenę i Tommy przywitani się z dwoma kolegami w mundurach, którzy stali przy kobiecie, po czym przyjrzeni się z bliska nieruchomej postaci na fotelu. Jej twarz wydała się policjantce znajoma, ale Irenę nie pamiętała, w jakiej sytuacji zetknęła się z kobietą.

Sanna Kaegler-Ceder patrzyła w przestrzeń wzrokiem bez wyrazu. Jej bladość i sztywność przemieniały twarz w gipsową maskę. U jej stóp stał kojec z jasnoniebieskiego sztruksu. Jak oceniła Irenę, dziecko miało nie więcej niż pół roku. Rozkrzyczało się straszliwie i z wysiłku mocno poczerwieniało.

Tam, gdzie kończyła się szklana ściana, było kilkumetrowej szerokości wejście do oszklonego ośmiokąta. W tym pomieszczeniu znajdowały się spiralne stalowe schody na piętro. U ich podnóża leżał na wznak mąż Sanny Kaegler-Ceder. Dwaj ludzie z ekipy technicznej, którzy stali przy zwłokach, skinęli głowami na widok Irenę i Tommy'ego, nie przerywając jednak ustawiania sprzętu fotograficznego.

- Dajcie nam kwadrans - odezwał się starszy mężczyzna.

- Zgodą - odpowiedział Tommy.

Irenę podeszła do Sanny Kaegler-Ceder i lekko dotknęła jej ramienia. Kobieta nie poczuła chyba muśnięcia.

- Dzień dobry. Nazywam się Irenę Huss. Czy starczy ci sił na to, żeby nakarmić dziecko? Jediną reakcją kobiety było nieznaczne zmrużenie oczu.

Irenę westchnęła i wzięła rozkrzyczane maleństwo na ręce. Silny zapach pozwolił się domyślić, że nadeszła pora na zmianę pieluszki.

- Idziemy, Tommy. Musisz mi pomóc, potrzebujemy stołu do przewijania i trochę kleiku dla dziecka - oznajmiła stanowczym tonem Irenę.

- Co takiego? Czy ja... czy my...?

- Tak. Przecież jeszcze niedawno przewijałeś swoje dzieci.

- To prawda. Oczywiście zadbamy o to, żeby dzidzius miał suchą pieluszkę i dostał Big Maca z bardzo dużą porcją frytek i keczupem.

Tommy prychnął i połaskotał dzidziusia po brzuszku. Dziecko przestało płakać.

Po dłuższym otwieraniu różnych drzwi policjanci natknęli się na obszerną łazienkę, wyłożoną różowym marmurem. Był tam prawdziwy stół do przewijania, w pełni wyposażony w to

wszystko, co przydaje się do codziennej pielęgnacji malucha. Zmieniając dziecku pieluszkę, Irenę przekonała się, że przewija chłopca. Podejrzewała to już wtedy, gdy zobaczyła kojec i ubranie. Długie śpioszki były z bardzo miękkiej bawełny, a jasnoniebieska koszulka miała na sobie migotliwy srebrny nadruk „Madę in New York”. Gdy Irenę zdjęła chłopca ze stołu, zaczął znowu popłakiwać. Pod pupą było sucho, ale głód dawał o sobie znać.

Tommy ruszył wcześniej na poszukiwania i odnalazł kuchnię. Gdy trafiła tam również Irenę z dzieckiem na rękę, Tommy pokazał jej z triumfalnym wyrazem twarzy pełną butelkę, którą wypatrzył w lodówce.

- Jest wyzerka dla ciebie, bracie! - powiedział wesoło i wstawił butelkę do mikrofalówki. Na pulpicie kuchennym, pod mikrofalówką, leżał smoczek, który Tommy szybkim ruchem założył na butelkę. Mając w tym wprawę, policjant sprawdził na rękę temperaturę, po czym podał podgrzaną butelkę swojej koleżance. Chociaż od czasu, kiedy jego najmłodsza pociecha wyrosła z kleiku, minęło parę lat, trójka dzieci wyrobiła w Tommym pewne nawyki, których się nie wyzbył.

Irenę zerkąła na dziecko, zajęte łapczywym pochłanianiem zawartości butelki. I ona, i Tommy stali wciąż na kamiennej podłodze tej supernowoczesnej kuchni, pełnej szkła i lśniącej stali. Irenę rozejrzała się za czymś do siedzenia, ale były tam tylko wysokie stołki, ustawione wzdłuż barowego kontuaru. Policjantka pochyliła się w stronę jednego z nich i wtedy chłopczyk, głośno siorbiąc, połknął ostatnie krople. Irenę przytuliła dziecko i lekko klepnęła w pupę. W nagrodę usłyszała porządne beknięcie.

- Ulało mu się na twój żakiet - zameldował Tommy. W jakimś szklanym walcu wypatrzył rolkę kuchennych ręczników i pomógł koleżance usunąć płamę.

Maluch zasnął w drodze do salonu. Spał już mocno, gdy Irenę umieściła go znowu w kojcu. Na jednym z foteli leżał miękki złocisty koc, którym przykryła chłopca.

Sanna Kaegler-Ceder nie ruszyła się z miejsca. Trwała w pozycji, w jakiej ją policjanci pozostawili. Miała na sobie jasnobrązowe zamszowe spodnie i kobaltowobłękitną bluzkę z głębokim wycięciem. Między piersiami połyskiwał duży krzyż, obficie wysadzany mieniącymi się, białymi i niebie

skimi kamieniami. Ich blask był tak intensywny, że mogły to być tylko prawdziwe diamenty i szafiry. Oznaczałoby to, że Sanna Kaegler-Ceder chodziła po świecie z wielkim majątkiem na szyi. „A kapitał rezerwowo lśni na lewej ręce” - pomyślała Irenę, kiedy popatrzyła na dłonie Sanny.

Funkcjonariusz Ahlen z ekipy technicznej wsunął swą łysinę do szklanego salonu. Gestem zachęcił obecnych tam policjantów, żeby podeszli do niego. Irenę i Tommy zareagowali na to i przywitali się z nim. Technik jak zwykle poprawił okulary o grubych szklach, które tkwiły na nosie jak kartofel, wskazującym palcem swej lewej ręki i dopiero wtedy powiedział:

- Już pobrałem odciski palców tej kobiety i zabezpieczyłem jej żakiet. Nie widać żadnych plam, ale poczekajmy na wyniki analizy. Jesteśmy przecież na miejscu przestępstwa. Żadnej broni nie znaleziono.

- Czy to całkiem pewne, że zbrodnię popełniono właśnie tutaj? - zapytała Irenę.

- Nie ma wątpliwości. Sami się przekonajcie - odparł Ahlen i gestem ręki wskazał im miejsce mordu.

Jego ofiarą padł szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze. Strzały pozostawiły ślady w skroni i jego głowa leżała w kałuży krwi. Niedaleko od zwłok leżała stłuczona szklaneczka i w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach whisky.

- Nie żyje od wielu godzin. Zwłoki zdążyły całkiem zeszytywnieć - mówił dalej Ahlen.

- Wykonano na nim wyrok. Co najmniej dwoma strzałami prosto w głowę - stwierdził Tommy.

Irenę była zdziwiona sporą różnicą wieku między Kjellem B. Cederem a jego małżonką. Pan Ceder musiał być przystojnym mężczyzną, jednak nagła śmierć nie dodała mu urody, bo przecież takie upiększenie zdarza się nieczęsto. Miał bujne siwe włosy, teraz ze śladami krwi. Wtem Irenę uświadomiła sobie, kim był ten człowiek: w ostatnich latach uchodził w Göteborgu za króla restauratorów. Ponieważ mąż Irenę, Krister, był szefem kuchni u konkurencji, zdarzało się jej słyszeć nazwisko Cedera. Krister pracował w „Glady's Corner”, jednej z najlepszych restauracji w mieście, w międzynarodowym przewodniku gastronomicznym oznaczonej gwiazdką. Właścicielem dwóch pozostałych lokali z gwiazdkami w przewodniku był Kjell B. Ceder. Jeden z nich znajdował się na dwudziestym ósmym piętrze hotelu Gothenburg. Ten największy hotel w mieście również należał do Cedera. Kiedy Irenę bywała w gabinecie szefa, komisarza Svena Anderssona, i zerknęła za okno, widziała przed sobą ów hotel, wznoszący się bardzo wysoko ponad miastem. A gdy obracała głowę o kilka stopni na południowy zachód, ukazywały się jej bliźniacze wieże, Gothia Towers, na terenie Targów Szwedzkich. One też mieściły hotel i kilka restauracji, stanowiąc największą konkurencję dla hotelu Gothenburg.

- Pani Stridner obiecała, że zjawi się tu osobiście. I chyba właśnie nadchodzi - oznajmił Ahlen.

Irenę i Tommy też usłyszeli energiczne stukanie obcasami o kamienną podłogę. Takim krokiem mogła przybyć na miejsce zbrodni tylko pani profesor Yvonne Stridner, specjalistka w dziedzinie medycyny sądowej.

Wkroczyła do oszklonej przybudówki, postawiła na podłodze swoją torebkę i obejrzała miejsce zbrodni. Nie przywitawszy się z nikim spośród policjantów, rzuciła w przestrzeń pytanie:

- Czy naprawdę został zamordowany?

Zdumiała i technika, i oboje inspektorów. Pani profesor nie zwykła stawiać pytań, wypowiadała tylko kategoryczne stwierdzenia i wydawała rozkazy.

- Strzelano do niego. Dwa razy - padła lakoniczna odpowiedź Ahlena.

Bez dalszych komentarzy pani profesor włożyła na siebie kombinezon ochronny, rękawice i plastikowe ochraniacze na stopy. „To dla niej typowe, że nie włożyła odzieży ochronnej od razu, kiedy weszła” - pomyślała Irenę.

Pani Stridner nonszalanckim gestem rzuciła swój płaszcz na jedno z krzeseł z oksydowanej stali. Jego oparcie i siedzenie było obite białą skórą. Pewnie siedziało się na nim wygodniej niż można było sądzić po jego wyglądzie. Prócz tego znajdowało się tam pięć takich samych krzeseł oraz stalowy stół. Nad nim wisiał żyrandol, dopasowany do mebli.

Pani profesor podeszła do ofiary i rozpoczęła badanie. Tommy lekko trącił swą koleżankę łokciem w bok i zaproponował:

- Chodźmy. Spróbujemy jeszcze raz porozmawiać z Sanną Kaegler-Ceder.

Irenę skinęła głową. Tutaj nie mogli się chwilowo na nic więcej przydać. Dopiero po zabraniu zwłok wejść krętymi schodami na piętro i rozejrzeć się tam.

Sanna Kaegler-Ceder siedziała na swoim miejscu, ale już w innej pozycji. Przystawiła fotel do przeszklonej ściany i przez szybę, którą zmoczył deszcz, patrzyła na szybko zapadający zmierzch. Jej synek spał dalej spokojnie w kojcu, na swoje szczęście nieświadomy tego, że stracił ojca.

- Przepraszam, że muszę niepokoić mimo szoku i żałoby. Nazywam się Tommy Persson. Jestem inspektorem wydziału kryminalnego policji. Czy zdobędziesz się na to, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

Pani Kaegler-Ceder nie poruszyła się - wciąż interesował ją jesienny zmierzch. Kiedy policjanci zaczęli już tracić nadzieję na nawiązanie kontaktu z nią, pochyliła powoli głowę.

Tommy objaśnił sobie ten gest jako skinienie i pospieszył zadać pierwsze pytanie, aby się nie rozmyśliła.

- O której godzinie wróciłaś tutaj i znalazłaś zwłoki męża?

Kobieta przełknęła kilka razy ślinę, zanim wydusiła z siebie odpowiedź.

- Zadzwoiłam... natychmiast.

- Otrzymaliśmy zgłoszenie o szesnastej dwadzieścia trzy - wtrącił Magnus Larsson.

- I pierwszy wóz dotarł tutaj w niecały kwadrans? - spytał Tommy.

- Dokładnie - potwierdził tamten inspektor. Tommy zwrócił się znów do Sanny Kaegler-Ceder, aby

łagodnym tonem kontynuować przesłuchanie.

- Czy przed przybyciem policji zbliżałaś się do zwłok męża?

Kobieta pokręciła powoli głową.

- Widziałam, że nie żyje. Tyle krwi...

- Gdzie stałaś, kiedy go zobaczyłaś?

- Przy wejściu...

Głos odmówił jej posłuszeństwa i głośno przełknęła ślinę.

- Czy zatrzymałaś się przy wejściu do oszklonej przybudówki?

- Tak - wyszeptła.

I jeszcze bardziej zbladła, choć mogło się to wydawać niemożliwe. Usta Sanny posiniały, Irene zaś domyśliła się, że kobieta za chwilę zemdleje.

- Chodź, połóż się na dywanie - poradziła.

Stanowczym gestem pomogła Sannie ułożyć się na dywanie o długim włosiu. Irene uniosła ostrożnie łydki Sanny i zatrzymała je w powietrzu, kilkanaście centymetrów nad podłogą.

Twarz Sanny zaróżowiła się z wolna. Po chwili kobieta oznajmiła:

- Chcę usiąść.

Irene pomogła jej znów usadowić się w fotelu. Kobieta była tak blada, że jej twarz stopiła się z obiciem fotela. Ponad wszelką wątpliwość przeżyła szok. Ale oczywiście nie można było wykluczyć reakcji na popełnione przez siebie morderstwo.

- O której godzinie wyjechałaś dzisiaj z domu? - zapytał Tommy.

- Nie dzisiaj. Wczoraj po południu.

- O której godzinie?

- Około czwartej. Byliśmy u mojej siostry. I tam nocowaliśmy.

- Czy chłopczyk był z tobą?

- Tak.

- A więc przenocowaliście u twojej siostry?

- Tak.

- Dlaczego?

Sanna pokręciła głową i po raz pierwszy spojrzała na niego. W jej oczach pojawił się błysk zdziwienia.

- Dlaczego? - powtórzyła.

- Tak. Dlaczego spałaś u siostry?

- Jej mąż miał dyżur. Obie byłyśmy w nocy samotne.

- Czy wiesz, z kim twój mąż miał się wieczorem spotkać?

- Nie mam pojęcia.

Jej ton świadczył o obojętności i znużeniu.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z mężem? - wtrąciła się Irene.

- Wczoraj przed południem, około dziewiątej.

- Czy mówił, że chce się z kimś wieczorem spotkać?

- Nie przypominam sobie.

- Czy zadzwoniłaś do siostry i zaproponowałaś, że u niej przenocujesz, albo może wcześniej to uzgodniłyście?
 - Dzwoniłam do niej w porze lunchu. Rozmawialiśmy... o tym, że spędzimy przyjemnie wieczór, zjemy coś dobrego i wypijemy trochę wina. Ona jest na urlopie wychowawczym.
 - Czy zadzwoniłaś do męża, żeby mu powiedzieć, że będziesz nocować u siostry?
 - Nie.
 - Dlaczego nie?
 - Mówiłam mu o tym rano przez telefon.
 - Co wtedy powiedziałaś?
 - Że zadzwonię do niej i umówię się na spotkanie.
 - A dzisiaj nie próbowałaś telefonować do męża?
 - Nie. On wiedział, że będę z Ludwigiem u Tove, a więc poza domem.
 - Tove to twoja siostra?
 - Tak. Tove Fenton. Jej mąż jest lekarzem. Miał dyżur. ..
- Sanna powiedziała to już szeptem i nie dokończyła zdania. Zanim padło kolejne pytanie ze strony policjantów, do pokoju weszła młoda funkcjonariuszka. Do tej pory pełniła straż przy drzwiach wejściowych. Irenę zapamiętała tylko jej imię: Stina, ale nazwisko wyleciało jej z pamięci.
- Przyjechała mama. To znaczy jej mama.
- Stina zerknęła ukradkiem na Sannę Kaegler-Ceder. Od zewnętrznych drzwi docierał głos wzburzonej kobiety:
- ...muszę wiedzieć, co się... to naprawdę moja córka! A Ludwig...
- Przy szerokim wejściu do salonu powstało pewne zamieszanie. Matka Sanny Kaegler-Ceder próbowała wejść, ale powstrzymała ją dwójka policjantów, których nazwisk Irenę nie znała. Mama, też blondynka, okazała się nie tak wysoka jak córka. Sanna wstała sztywnym ruchem z fotela i niepewnym krokiem podeszła do matki.
- Sanna! Kochanie, co tu się stało? Zadzwoniła policja...
- Matka umilkła, gdy zobaczyła wyraz twarzy córki. I przestała stawiać opór policjantom.
- Czy chodzi... o Ludwiga? - wyszeptwała w rozpacz.
 - Dlaczego masz na sobie tę okropną starą kurtkę? - spytała Sanna Kaegler-Ceder, po czym upadła na podłogę.

Rozdział 2

- Zabito go dwoma strzałami z małej odległości. Strzały przebiły płat skroniowy. Żadnego otworu wylotowego nie dostrzegam. Kule pozostały pewno w czaszce. Wskazuje to na broń małego kalibru - oznajmiła pani profesor Stridner.
 - Kiedy zmarł? - zapytał Tommy.
 - Rigor mortis zaczął już ustępować. Podłoga, na której leży, jest ciepła, ponieważ pod nią znajdują się przewody ogrzewania. Minęło, powiedzmy, od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin. Większa dokładność nie jest w tej chwili możliwa.
- Pani profesor odzyskała swoje profesjonalne „ja”. Jednym tchem mówiła dalej.
- Ja i Kjell znaliśmy się już w dziecięcych latach. On był o rok młodszy, ale mieszkaliśmy niedaleko od siebie, gdy dorastaliśmy. Często bawiliśmy się razem.
- Irenę była zdumiona tym wyznaniem pani Stridner. Dawny towarzysz zabaw pani profesor! Czyżby naprawdę bawiła się tak samo, jak inne dzieci, i nie tylko kroić zęby albo jakieś ptaszki?
- Wszyscy zebrani stali pośrodku przestronnego salonu. Zwłoki Kjella Bengtssona Cedera zostały zabrane do zakładu medycyny sądowej. Sanna, Ludwig i jego babcia odjechali do

Vasastan, do tamtejszego mieszkania Cederów. Widocznie je zachowali, choć w nowym domu przebywali, jak można było sądzić, od dłuższego czasu.

- Czy ostatnio kontaktowali się państwo? - spytał Tommy, który najszybciej otrząsnął się ze zdziwienia.

- Ależ tak. Zostaliśmy, ja i mój mąż, zaproszeni na uroczystość otwarcia hotelu. Wręcz luksusowego, muszę powiedzieć. Byliśmy też na jego ślubie z Sanną. Mój mąż i Kjell znają... znali się zresztą także jako członkowie Rotary Club. Ten świat okazuje się czasem całkiem mały.

- Czy wiadomo ci o jakimś wcześniejszym małżeństwie Cedera? - wtrąciła się do tej rozmowy Irene.

- Tak, był wcześniej żonaty.

- Czy miał dzieci z tamtego małżeństwa?

Pani Stridner pokręciła głową z mocno rudymi włosami.

- Nie. Jego żona zginęła w bardzo dramatycznych okolicznościach na morzu. Ich małżeństwo trwało zaledwie dwa albo trzy lata.

- Czy dawno temu? - zapytała Irene.

Pani profesor spojrzała na nią wzrokiem pełnym irytacji:

- Minęło co najmniej piętnaście lat. Dlaczego to jest takie ważne?

- To oznacza, że Sanna Kaegler-Ceder i jej syn są jedynymi spadkobiercami.

Pani Stridner przyjrzała jej się uważniej, zamyślona.

- Kjell jest... zawsze był kobieciarzem. Miał wiele romansów przez te wszystkie lata. Ale nigdy nie przypuszczaliśmy, że zechce się jeszcze raz ożenić. Wszystkich, którzy go znali, zdziwił jego nagły ślub z Sanną Kaegler. Jego pierwsza żona była bardzo dobrze sytuowana i Kjell żył w ostatnich latach jak playboy. Oczywiście nie tylko dzięki pieniądзом, które po niej odziedziczył. Sam przecież ogromnie się bogacił jako hotelarz i restaurator.

- Kiedy odbył się jego ślub z Sanną?

- Dokładnie rok temu. Pod koniec września. Wydali wielkie przyjęcie w restauracji „Le Ciel” w hotelu Gothenburg.

- Rok temu. Ludwig ma mniej więcej pół roku. Sanna musiała być w ciąży, kiedy się pobierali.

- Tak. Ale nie było tego widać. Sanna olśniewała urodą. Przyjaciele Kjella mieli jednak niejaki wątpliwości. Sanna dała się poznać jako osoba uwikłana w mętne interesy!

- Z mediów wiadomo, że obracała ogromnymi sumami. Czy według twojej wiedzy zostały jej jakieś pieniądze? - wtrącił się Tommy.

- Nie mam pojęcia. Jeśli nie zostały, to opłaciło się jej wyjść za Kjella - stwierdziła zgryźliwie pani Stridner.

I rzuciła okiem na swój elegancki zegarek.

- Dziś wieczorem postaram się przyjrzeć jego zwłokom, a jutro dokonam obdukcji.

Skontaktuję się z wami - zapowiedziała i szybko przeszła obok policjantów.

Jej ostatnie słowa dobiegły inspektorów już z holu, razem z odgłosem stukania obcasów o klinkierową podłogę.

Irene i Tommy weszli spiralnymi schodami na piętro oszklonej przybudówki. Została ona oszklona ze wszystkich stron i wystawała poza dach. Architektowi udało się stworzyć wrażenie przebywania we wnętrzu latarni morskiej.

- Taki widok! Dobrze byłoby posiedzieć tutaj w pogodny wieczór i poobserwować zachód słońca nad morzem - powiedziała Irene i wpatrzyła się w tę coraz ciemniejszą przestrzeń.

- Lepiej nie mieć takiego widoku.

- A to dlaczego?

- Jest zbyt kosztowny. Zbyt wiele kosztuje alkohol - odpowiedział, krzywiąc się, Tommy.

I chyba miał rację. Gdy weszli schodami na górę, od razu rzucił im się w oczy obficie zaopatrzone barek na kółkach. Ale najwięcej miejsca w tym pokoju zajmowała obszerna wiklinowa sofa, na której leżały czerwone puchowe kołdry. Z sufitu zwisały na łańcuchach dwa półkoliste wiklinowe fotele. Kiedy powoli kołysały się na wietrze, który przedostawał się przez otwarte drzwi od strony morza, Irenę skojarzyła je z ptasimi gniazdami. Tommy wyszedł na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Był tam wąski balkon z wysoką balustradą. Tommy wrócił dosyć szybko i zamknął za sobą drzwi. Pokój wychłodził się już przez wcześniejszy przewiew.

- Czy sądzisz, że Sanna to zrobiła? - zapytała Irenę.

- Tak, jeśli ująć rzecz statystycznie.

- Ahlen nie zauważył jednak żadnych plam na rękawach jej żakietu.

- Zgadza się. Ale przecież nie wiemy, co miała na sobie wczoraj po południu, kiedy go zabiła. Jeśli to ona.

Irenę zamyśliła się, po czym powróciła do rozmowy:

- Sądzisz, że ona zabiła Cedera, a potem pojechała do siostry i tam przenocowała, żeby dwadzieścia cztery godziny później wrócić i zastać go martwego?

- Coś w tym rodzaju.

- Musimy porozmawiać z siostrą i ustalić, jak Sanna była ubrana, kiedy do niej przyjechała. I musimy się dowiedzieć, czy ktoś miał kontakt z Kjellem Bengtssonem Cedere wczoraj po godzinie jedenastej.

Tommy skinął głową.

- Zaczniemy od razu - zaproponował.

- Zadzwoń do Svena. Niech poprosi Birgittę albo kogoś innego o nawiązanie kontaktu z biurem Cedera i przesłuchanie tamtejszego personelu. Ty i ja dotrzemy pewno do siostry. Nie ma chyba zbyt wielu lekarzy o nazwisku Fenton.

Siostra Sanny Kaegler-Ceder mieszkała w odległości kilku kilometrów na południe od miasta. Siostry znalazły się

więc blisko siebie, tyle że Tove zdołała się osiedlić we właściwym Hovas. Irenę i Tommy wjechali w zaułek zabudowany dość dawno, bo w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego wieku, willami, które zajmowały spore parcele. Państwo Fenton mieszkali na końcu uliczki, w domu, który - jak stwierdziła para policjantów - też miał widok na morze. Deszcz i ciemności nie pozwalały co prawda zobaczyć morza, ale słysząc było wiatr, który pchał spienione fale w stronę brzegu. Powonienie obojga drażnił mocny zapach soli i wodorostów, i dlatego Irenę wykonała parę głębokich wdechów. Jej własną połowę bliźniaka dzieliły od morza zaledwie dwa kilometry, ale nigdy żaden wyraźny morski zapach nie zdołał się przedostać za wille i bliźniaki, które odgradzały jej dom od morza.

Dom, do którego przyjechali, przypominał bungalow. Wzniesiono go z ciemnobrązowego drewna i białych cegieł. Kiedy Irenę nacisnęła dzwonek u drzwi, wewnątrz rozległy się dziecięce okrzyki, raczej na znak radości; żadne dziecko nie płakało. Kolejne muśnięcie dzwonka sprawiło, że w drzwiach ukazała się jakaś kobieta. Irenę poczuła się przez chwilę zdezorientowana, bo odniosła wrażenie, że ma przed sobą Sannę Kaegler-Ceder. Siostry były bardzo podobne, ale wokół oczu Tove widać było zmarszczki świadczące o pewnym zmęczeniu życiem i pozwalające właśnie w niej domyślać się osoby o kilka lat starszej od Sanny.

- Dzień dobry. Inspektor Irenę Huss z wydziału kryminalnego policji. Czy ja i mój kolega, Tommy Persson, możemy wejść na chwilę? - zapytała Irenę, wyciągając rękę na powitanie.

- Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, co się stało. Mama dzwoniła...

Głos Tove Fenton drżał, o dziwo, i była zapłakana, ale nie usunęła się, żeby wpuścić policjantów.

- Wyjaśnimy to. Ale nie chcielibyśmy tego robić tutaj, na zewnątrz - zapewniła spokojnym tonem Ireneę.

Kobieta usunęła się niechętnie, aby mogli wejść. Do holu wbiegła jasnowłosa naga dziewczynka w wieku trzech, czterech lat. Śmiała się wesoło i wymachiwała balonikiem z różowej folii w kształcie serca, na którym widać było Kubusia Puchatka. Gdy dziewczynka zobaczyła Ireneę i Tommy'ego, zatrzymała się i uciekła.

- Dzień dobry - powiedzieli jednocześnie Ireneę i Tommy.

Uśmiechnęli się i pomachali do niej.

- Felicia! Miałaś się kąpać! Wracaj do łazienki! - krzyknęła Tove Fenton.

Dziewczynka patrzyła na matkę ze strachem.

- Czy nie słyszałaś...?!

Rozzłoszczona matka zamilkła na widok kałuży u stóp dziewczynki. „Tutaj też jest klinierowa podłoga, to bardzo praktyczne” - pomyślała Ireneę. Cisza, która zapadła w holu, pozwoliła wszystkim obecnym usłyszeć dwa dźwięki: sączenie się moczu i równocześnie odgłos przekręcania klucza w drzwiach wejściowych. Drzwi otworzyły się i w progu stanął - jak się domyślała Ireneę - doktor Fenton.

Był to mężczyzna potężnej postury, około pięćdziesiątki, z przerzedzonymi włosami na ciemieniu i dość korpulentny. Ledwo dostrzegł policjantów, wyciągnął rękę na powitanie, czego jego żona nie uczyniła. Na jego opalonej twarzy pojawił się serdeczny uśmiech.

- Morgan Fenton - przedstawił się z angielskim akcentem.

Ireneę i Tommy też dokonali prezentacji. Ireneę zauważyła kątem oka, że pani Fenton zabrała ze sobą zapłakaną córeczkę.

- Zadzwoniła do mnie. Przyjechałem tak szybko, jak to było możliwe. Co się stało z Kjellem? To imię lekarz wymówił z trudem, ale w sumie jego szwedzki brzmiał całkiem dobrze.

- Wiemy mało, ale podzielimy się tym, kiedy wróci twoja żona - odpowiedziała Ireneę.

- Oczywiście. Proszę, rozbierzcie się - zachęcił Morgan Fenton, wskazując wieszak.

Wprowadził ich potem do przestronnego salonu. Architekt zadbał o to, by morze było naprawdę dobrze widać, bo przewidział w domu sporo szkła, a poza tym z ciemności wyłaniała się wdzięczna weranda. Umeblowano tam pokój sofami typu chesterfield oraz ciemnymi stołami i szafami bez ozdób. Pośrodku umieszczono szeroki kominek. Atmosferę domu tworzyły też obrazy i dywany. Policjantów zadziwił kontrast między salonami w domach sióstr. Można było się domyślić czynnego udziału Morgana Fentona w urządzaniu tej siedziby. Wyczuwało się tu staroświecki wystrój na klasyczną angielską modłę.

Ireneę i Tommy zdążyli zająć skórzane fotele, gdy do salonu weszła Tove. Jej szyję i policzki pokrywał mocny rumieniec.

- Proszę opowiadać! Muszę się dowiedzieć prawdy! - powiedziała ostrym tonem.

- Najpierw my musimy zadać kilka pytań - odparła spokojnie Ireneę.

Tove Fenton spojrzała na nią wzrokiem pełnym wyczekiwania, ale spróbowała zapanować nad swą niecierpliwością.

- O której godzinie dotarła tutaj wczoraj twoja siostra?

- Krótco po czwartej - odpowiedziała natychmiast Tove.

- Jak była ubrana?

- Jak...? Miała na sobie brązowe spodnium.

- Proszę je opisać.

- To są spodnie z krótkim jasnobrązowym żakietem, właściwie w kawowym odcieniu.

Dlaczego o to pytasz?

- Zadaję rutynowe pytania. Jakie sprawiała wrażenie?

- Jakie wrażenie?

Wyraz twarzy tej niespokojnej kobiety świadczył o irytacji. Coraz głośniejsze krzyki dzieci w głębi domu czyniły ją jeszcze bardziej nerwową.

- Kochanie, ja się nimi zajmę - oznajmił jej mąż i podniósł się z miejsca.

Tove opadła na sofę w miejscu, gdzie on przedtem siedział. I przycisnęła skrzyżowane ręce do piersi, jakby chciała uchronić resztę ciepła, którą zachowała w głębi serca.

- Czy Sanna sprawiała wrażenie wzburzonej czymś, zaniepokojonej albo...?

- Nie. Była taka sama jak zawsze.

- Czy zaskoczyła cię albo może ustaliłyście wcześniej, że przyjedzie z synkiem?

- Kilka razy obiecywałyśmy sobie przyjemny wspólny wieczór. Morgan ma przecież dyżury. Wczoraj Sanna zadzwoniła do mnie i doszłyśmy do wniosku, że nadszedł odpowiedni dzień.

- Jak twierdzi twoja siostra, zjadłyście wieczorem coś dobrego i napiłyście się wina.

- Zgadza się.

- Czy byłyście tylko we dwie?

- Tak... z dziećmi.

- Ale one są przecież bardzo małe.

- Tak, Ludwig, Felicia i Robin są mali, był tu jednak także Stoffe... Christopher.

- Kto to jest?

- Syn Morgana. Ma piętnaście lat.

- Czy on też tu mieszka?

- Co drugi tydzień. W tym tygodniu mieszka tutaj. Irene doszła do wniosku, że będą musieli porozmawiać

z Christopherem, aby potwierdzić godziny, które im podano.

- Czy on jest teraz w domu?

- Nie, ale lada chwila wróci. Trenuje hokej na lodzie.

- Czy Sanna dzwoniła stąd do męża?

Tove zastanowiła się chyba, jak odpowiedzieć. I po dłuższej chwili pokręciła tylko głową.

Morgan Fenton powrócił z rozspanym dzidziusiem na ręku. Jak domyśliła się Irene, był to mały Robin, o parę miesięcy starszy od Ludwiga. Dziecko przyciskało swą pokrytą meszkiem główkę do ojcowskiego torsu. Chłopczyk ssał smoczek z takim zapałem, że cmokanie rozlegało się w całym salonie.

Irene wyjaśniła państwu Fenton, co spotkało Kjella Bengtssona Cedera. Tove schowała twarz w dłoniach i rozplakała się. Jej mąż poblądł i chyba był w szoku.

- O Boże! Zamordowany! - powiedział, bardzo tym przejęty.

- Czy któreś z was słyszało coś, co mogłoby wskazywać na to, że Cederowi grożono? - zapytał Tommy.

- Nie. Nigdy. Ale w świecie restauratorów pewnie nie brak brutalności - stwierdził Morgan Fenton.

Tove oderwała dłonie od swej zapłakanej, już czerwonej twarzy i spojrzała oskarżycielskim wzrokiem na Tommy'ego.

- A więc dlatego wypytywaliście mnie o Sannę? Sądzicie, że ona to zrobiła? Nie zrobiła tego! Nie mogła...! Była u mnie! - wykrzyczała histerycznie.

Jej mąż otoczył opiekuńczym gestem ramiona kobiety, próbując zarazem uspokoić synka, który też się rozplakał, gdy zobaczył łzy matki.

Irene dojrzała kątem oka jakiś ruch w drzwiach salonu. Zdażyła dostrzec czyjaś pociągłą twarz, która szybko zniknęła. Spiesznie wstała z fotela i ruszyła w pogoń za cieniem. Kiedy wyrzała w stronę kuchni, zauważyła, że ktoś ostrożnie zamknął drzwi w jej głębi. Ten ktoś wolał nie zwracać na siebie uwagi. Kilkoma długimi krokami Irene przeszła przez kuchnię, dotarła do tych drzwi i zapukała. Nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę i wkroczyła tam.

Christopher Fenton okazał się prawie tak wysoki jak ona i zadziwiająco muskularny jak na swój wiek. Po zniknięciu trądziku z twarzy mógł się stać przystojnym młodym mężczyzną. I

oby zmienił się jego gust: zamiast szerokich spodni i t-shirta Fuber powinien nosić coś lepiej dopasowanego.

- Dzień dobry. Nazywam się Irenę Huss i jestem inspektorem wydziału kryminalnego policji. Mój kolega i ja wyjaśniamy okoliczności pewnej okropnej zbrodni.

Chłopiec stał bez ruchu i patrzył na nią wzrokiem pełnym wyczekiwania. Irenę, przyzwyczajona do kontaktów z nastolatkami, własnymi i cudzymi dziećmi, nie dała się zbić z tropu, lecz mówiła dalej:

- Śledztwo właśnie się zaczęło i potrzebujemy zeznań świadków wydarzeń. Musimy sprawdzić alibi różnych osób i tak dalej. Bardzo byś nam pomógł, gdybyś zechciał odpowiedzieć na kilka pytań.

Irenę przekonała się, że chłopiec - z czystej ciekawości - rezygnował już z niechętniej postawy. Żargon policyjny na ogół spełnia swoje zadanie, działa przeciw nieodparcie na ludzi, niezależnie od wieku.

Rozejrzała się szybko po tym zabałaganionym pokoju. Łóżko nie zostało zasłane, na przeładowanym biurku stał komputer, leżało też mnóstwo pustych kopert na dyskietki. Na podłodze trudno było znaleźć miejsce, w którym można by stanąć, nie przydeptując jakiegś sztuki odzieży, czasopisma, płyty kompaktowej albo po prostu śmieci. Na ścianach wisiały plakaty z wizerunkami gwiazd hokeja i członków grup hip-hopowych oraz fotosy z Britney Spears w różnym stopniu obnażenia. W całym pokoju pachniało piętnastolatkiem, który przechodził swój najgorszy czas w okresie dojrzewania.

Przede wszystkim dla efektu Irenę wyciągnęła swój mały notes i ułamany ołówek. To, że się ułamał, nie miało znaczenia, bo przecież nie zamierzała niczego notować. Zapytała jednak rutynowym oficjalnym tonem:

- O której godzinie wróciłeś wczoraj do domu? Chłopiec wzruszył lekko ramionami.

- Nie wiem.

- Ale jak ci się wydaje?

- Może o wpół do piątej, tak jakoś.

- Czy Sanna Kaegler-Ceder była tu już, kiedy wróciłeś do domu?

- Tak. Ona ma wypasiony samochód. Christopher zapomniał na krótko o tym, że narzucił sobie chłód.

- Tak. Nie byle jaki wóz...

- W Szwecji samochodów klasy CLK nie można kupić. Trzeba je sprowadzać ze Stanów - objaśnił Christopher.

- Naprawdę? Ona musi mieć dużo kasy...

- Jej stary ma dość forsy.

Irenę udała, że coś notuje, po czym powróciła do pytań.

- Czy przez resztę wieczoru byłeś w domu? To znaczy tutaj?

- Tak.

- Czy razem z Tove i Sanną?

Irenę zrozumiała od razu, że źle sformułowała pytanie, bo chłopiec wzdrygnął się i przyjrzał się jej niezyczliwie.

- Co masz na myśli? Przecież z żadną z nich nie kręcę! Christopher sprawiał wrażenie głęboko urażonego.

- Nie. Oczywiście, że nie. Chodzi mi o to, czy przez cały wieczór widziałeś, co robią. Może w którymś momencie, po południu albo wieczorem, wyszły z domu?

- Nie sędzę. Słyszałem ich okrzyki i śmiech.

- Chyba nie jadłeś z nimi w kuchni?

- Nie. Najadłem się tutaj. Siedziałem przy komputerze. Irenę zerknęła na komputer, ustawiony na biurku tuż

przy jedynym oknie w tym pokoju.

- Czy zauważyłbyś odjazd mercedesa, gdyby w którymś momencie tego wieczoru zniknął?

- Jasne. Był dokładnie tam, gdzie teraz stoi twój samochód.

Skinieniem głowy Christopher wskazał okno ponad biurkiem. W kręgu światła ulicznej latarni Irenę zobaczyła samochód, którym przyjechała z Tommym.

- Co się stało? Dlaczego Tove płacze? - zapytał nagle chłopiec.

- Mąż Sanny, Kjell, nie żyje. Został zastrzelony. Zamordowany.

Chłopiec wpatrywał się w Irenę przez dłuższą chwilę.

Wysoki i chudy piętnastolatek, którego miała przed sobą, nie wystraszył się ani nie zasmucił, widać po nim było co najwyżej zaciekawienie. Jakby zamordowany mężczyzna był postacią z serialu, a nie kimś, kogo znał.

- Jakie miałeś zdanie o Kjellu Bengtssonie Cederze? Christopher znowu wzruszył ramionami.

- Mało go znałem. Spotkałem go ze dwa, trzy razy. Stąd mogła się wziąć obojętność chłopca.

- Czy pamiętasz, co Sanna miała wczoraj wieczorem na sobie?

Widać było, że chłopiec musiał się zastanowić.

- Spodnie w kawowym kolorze i niebieski t-shirt.

- Bez zakietu?

- Bez.

- Czy miała na sobie niebieski t-shirt z głębokim dekoltem?

- Tak.

Na policzkach chłopca pojawiły się rumieńce, które pozwoliły Irenę zrozumieć, że Sanna najpewniej nie zniknęłaby z domu niezauważona przez niego.

Żadne inne pytania nie przyszły Irenę na myśl, podziękowała więc Christopherowi za pomoc.

Tymczasem w salonie Tommy wstał ze swego miejsca i przy drzwiach prowadzących na werandę wdał się w rozmowę z Morganem Fentonem. Tove siedziała na sofie, trzymając synka na kolanach. Oboje zdążyli się uspokoić i mały Robin był chyba gotów znowu zasnąć. Tove spojrzała na Irenę.

- Rozmawiałeś ze Stoffem - stwierdziła.

- Tak. Również jego zdaniem Sanna była tutaj od wpół do piątej i spędziła tu cały wieczór.

- Tak właśnie było - powiedziała ucieszona tym Tove. Wstając, usadowiła synka na swoim biodrze.

- Nakarmię go tylko i położę. A potem pojedę do mamy i do Sanny - oznajmiła.

W samochodzie Tommy relacjonował swą rozmowę z Morganem Fentonem.

- Usłyszałem od niego, że znali się z Kjellem Bengtssonem Cederem od kilku lat. Wyjaśnił ponadto, że Sanna poznała Cedera na długo przed tym, nim stali się parą i wzięli ślub.

Spotykali się w okresie, kiedy Sanna potrzebowała pieniędzy. Jeśli dobrze zrozumiałem, Morgan Fenton ma brata w jednym z banków w Londynie. Jego bank wspierał firmy informatyczne Sanny. Ceder znał to samo źródło i oboje mieli ze sobą do czynienia w interesach, kiedy powstawał hotel Gothenburg. Trochę to zagmatwane, ale tak właśnie zrozumiałem wyjaśnienia Fentona.

- Hm. A więc łączyło ich to i owo już na kilka lat przed nieoczekiwanym ślubem. Bank w Londynie, gdzie pracuje brat Morgana Fentona, prócz tego przyjaźń między szwagrem Sanny, Morganem, a jej przyszłym mężem, Kjellem.

- Tak to wygląda.

- Można też podejrzewać, że Morgan Fenton pomógł szwagierce nawiązać kontakt z bankiem w Londynie. Poprzez brata - podzieliła się swymi myślami Irenę.

- Takie podejrzenie samo się nasuwa. Ale usłyszałem też od Fentona, że zdziwiło go

popętnienie morderstwa w willi w Askim. Jego zdaniem, bardziej naturalne byłoby zastrzelenie Cedera w mieszkaniu, które ten posiadał w centrum miasta. W willi Ceder bywał chyba rzadko.

- A to dlaczego?

- Jak twierdzi Fenton, Ceder nie czuł się tam zbyt dobrze. Jest to przede wszystkim dzieło Sanny. Zależy jej na tym, by mieszkać z synem w otoczeniu bardziej odpowiednim dla dziecka.
 - Czy Ceder zbudował ten dom z myślą o niej i o synu?
 - Właśnie tak rozumiem słowa Morgana Fentona.
 - Dziwne. Musiał dużo zainwestować. Ta willa kosztuje pewno...
- Irenę powściągnęła język, bo przyszło jej coś na myśl.
- Czy, twoim zdaniem, zamierzali się rozwieść?
 - Być może.
 - Ale materialnie Sanna Kaegler zyskałaby dużo więcej jako bogata wdowa niż jako rozwódka z małym dzieckiem.
 - To też możliwe.
 - Sam stwierdziłeś, że na nią wskazuje statystyka. A jeśli to ona, mord musiał zostać popełniony, zanim pojechała do siostry. Christopher miał wciąż oko na samochód. Był zaparkowany pod jego oknem. I przez cały wieczór słyszał rozmowę i śmiechy sióstr.
 - Gdzie jest broń?
 - Nie mam pojęcia. Będziemy musieli szukać w okolicy domów sióstr i wzdłuż drogi między nimi.
 - Tyle że nie wiemy, o której dokładnie godzinie Ceder został zastrzelony.

Rozdział 3

- Pani Stridner zadzwoniła wczoraj, kiedy zbierałam się do domu. Powiedziała, że Ceder został zastrzelony między godziną dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą. Po obdukcji odezwie się jeszcze, jeśli będzie potrafiła uściślić czas. W innym przypadku wypadnie nam poczekać na wyniki badań. A to, jak wiemy, trwa zwykle strasznie długo.
- Komisarz Sven Andersson zamilkł i zmrużył oczy ponad swymi tanimi okularami do czytania. Na tej wczesnej, porannej odprawie zebrała się czwórka inspektorów. Resztę zaabsorbowało podwójne morderstwo w Langedrag, o którym wiadano tylko, że w jednym z domów znaleziono ciała dwóch mężczyzn, a szczegółów brakowało. Przy stole siedzieli: Irenę Huss, Tommy Persson i Birgitta Moberg-Rauhala. Męża Birgitty, Hannu, który odgrywał rolę samotnego ojca, zastąpiła Kajsa Birgersdotter. Jako następna w kolejności przeszła z wydziału ogólnego, podobnie jak swego czasu Hannu. Wkrótce miały minąć dwa miesiące jej pracy w wydziale kryminalnym. Ale jeśli komisarz miałby wyrazić swoje zdanie, to musiałby powiedzieć, że żadnego pożytecznego wkładu do działalności tego wydziału Kajsa nie wносиła. Dwie kobiety, które dołączyły wcześniej, wystarczyły. Te były dla komisarza prawdziwie kobiece. Kajsa natomiast przypominała mu nauczycielkę ze szkoły niedzielnej, do której kiedyś uczęszczał - była tak samo nijaka i płaska z przodu. Ale tak wygląda dziś większość młodych kobiet. Brak im niewieścich kształtów, przez co mężczyzna nie ma na czym zawiesić oczu.
- Tommy i Irenę porozumieli się wzrokiem. Podany właśnie przedział czasowy obalał ich teorie. Alibi Sanny Kaegler-Ceder okazywało się trudne do podważenia. I nic nie zmieniło się na lepsze, gdy Birgitta poprosiła o głos.
- Wczoraj rozmawiałam telefonicznie z sekretarką Kjella Bengtssona Cedera. Ceder wyszedł z biura na kilka minut przed wpół do siódmej. Strażnik z dołu, z garażu, potwierdził, że była właśnie ta godzina. Rozmawiałam też telefonicznie z Michaeliem Fullerem, szefem ochrony. Garaż jest monitorowany przez wideo. O godzinie osiemnastej dwadzieścia dziewięć sfilmowano odjazd Cedera jaguarem.
 - Czy powiedział sekretarce, dokąd jedzie? - zapytał Tommy.

- Nie. Pytałam ją o to. Ceder nic nie powiedział.

- Od Sanny wiemy, że jej Ceder też nic nie mówił. Musimy ją jeszcze raz przyprzeć do muru i sprawdzić, czy dzisiaj będzie trochę lepiej pamiętać - stwierdziła Irene.

- Ty i Tommy możecie ponownie przesłuchać świeżo upieczoną wdowę. A Birgitta i Kajsa pogawędzą z pracownikami hotelu i restauracji. Postarajcie się skontaktować z szefem ochrony i poproście o film wideo. Wysłałem już do Askim dwóch ludzi, którzy mają pukać do każdych drzwi. Być może dzięki nim dowiemy się, kiedy Ceder wrócił do domu - podsumował Andersson.

- Niewykluczone. Wprowadził jaguara do garażu. Ja tego wozu nie widziałam, ale wspominał o nim Ahlen, na którego niedawno się natknęłam. Zajrzał do garażu, zanim stamtąd odjechał - powiedziała Irene.

- Ahlen przepada przecież za samochodami. Czy wiecie, że on ma stare MG, zaliczone do klasy weteranów? - wtrącił Tommy.

- MG! Jak on mieści się w takim wozie z żoną i siódmką dzieci?! - zdziwiła się Birgitta i skierowała w górę swe piękne piwne oczy, które niegdyś sprawiły, że Hannu, jej fiński człowiek z lodu, roztopił się.

- Nie musi się mieścić. Pewnie na tym polega dowcip - zakpił Tommy.

- Oni na pewno prócz tego mają jakiś większy wóz - domyśliła się Birgitta.

Odkąd została matką, stała się praktyczną osobą. Irene nie słyszała od dwóch miesięcy żadnych wzmianek o jeździe na nartach, nurkowaniu i niesamowitych imprezach. Birgitta wolą rozmawiać o przewadze przyrządzanych w domu posiłków dla dziecka nad kupnymi, o nowym domu w okolicy Alingsas i wygórowanych cenach pieluszek. Dla Irene były to problemy z zamierzchłej przeszłości. Latem następnego roku jej własne córki miały wyfrunąć z gniazda, już z maturą. Katarina wspomniała o wyjeździe do Australii, gdzie chciała przez rok popracować, zanim podjęłaby jakieś studia. Nie miała pojęcia, czemu mogłaby się w przyszłości poświęcić. Jenny postanowiła związać się na dobre ze swym zespołem Polo, który

- nie bez powodzenia - w Göteborgu i okolicach grał muzykę pop.

- Ahlen zwrócił uwagę na coś jeszcze. W willi nie zadziałał alarm. Jego zdaniem, nie został chyba zainstalowany - mówiła dalej Irene.

- Przecież nie wszystko daje się wyjaśnić od razu - stwierdził Tommy.

- W porze lunchu wróć tutaj Jonny i Fredrik, żeby złożyć raport w sprawie podwójnego morderstwa w Langedrag. Jak dotąd, wiemy tylko, że zastrzelono dwóch mężczyzn - oznajmił komisarz.

- Czy nie zostali zidentyfikowani? - spytała Birgitta.

- Nie. Jeszcze nie.

Irene wyszczyła resztkę zimnej już kawy i zaraz zdecydowała się na dolewkę. Bynajmniej nie zaspokoila swego porannego głodu kofeiny, a musiała to zrobić, aby móc się skupić na tej ofierze mordu, która obchodziła ich oboje.

- W tym mieście jest za dużo broni palnej - powiedziała półgłosem w przestrzeń, kiedy wracała od automatu z kawą.

Gdy Irene zadzwoniła do mieszkania w Vasastan, telefon odebrała matka Sanny Kaegler-Ceder. Wyjaśniła, że wieczorem i w nocy Sanna nałykała się, jak zalecił lekarz, tabletek uspokajających i nasennych. Porozmawiać z nią będzie można dopiero po południu. Irene i matka Sanny uzgodniły, że przyjadą tam oboje z Tommym około godziny 14.00.

- Hm. I co teraz? - to pytanie skierowała Irene do Tommy'ego.

Siedząc, odwrócił się w stronę koleżanki, z bawelnianą zatyczką w jednym uchu. Ten nawyk irytował Irene, która tysiące razy przestrzegała, że Tommy naraża siebie na niebezpieczeństwo. „Mój stary lekarz domowy mawiał, że nie należy zatykać uszu niczym ostrzejszym niż łokieć” - powtarzała. „To oczywiste” - odpowiadał niezmiennie Tommy, po czym poprawiał zatyczkę i zaczynał gmerać w drugim uchu. „Zachowujemy się jak stare

małżeństwo!" - taka myśl nasuwała się Irene przy niejednej okazji, ale jej nie wypowiadała. Byli kolegami w szkole policyjnej w Sztokholmie i zaprzyjaźnili się, bo tylko oni pochodzili naprawdę z Göteborga. Prawie takie samo pochodzenie można by przypisać dwóm chłopcom z Kungsbacki i pewnej dziewczynie, która przyjechała ze Stenungsundu, ale tylko „prawie”. Tommy wstał, nadal z zatyczką w uchu, i podzielił się swymi myślami:

- Zastanawia mnie pierwsza pani Ceder. Ta, która zginęła na morzu. Być może powinniśmy zebrać informacje o tamtej katastrofie.

- Czyżbyś podejrzewał jakiś związek z zabójstwem Kjella Bengtssona Cedera? - Nie, szczerze mówiąc, wątpię, aby jej tragiczna śmierć miała jakiś związek z tym morderstwem. Zwróciło moją uwagę to tylko, że żadne z nich nie zmarło naturalną śmiercią. Znowu kłania się statystyka. Jakie są szanse na to, by oboje małżonkowie zginęli śmiercią tragiczną w odstępie piętnastu lat?

Irenę zastanawiała się przez chwilę nad słowami Tommy'ego.

- Masz rację. A jak mówi pani Stridner, on odziedziczył dużo kasy. Budzi się we mnie instynktowna chęć powęszczenia.

- Należy się kierować swoim instynktem.

- To jest zadanie dla ciebie. Ja wyruszę do Askim i rozejrzę się tam - zapowiedziała Irenę.

Dom państwa Kaegler-Ceder znajdował się na wzgórzu. U jego stóp biegła wąska wyasfaltowana droga. Asfaltem pokryto także podjazd aż do bramy garażu. Między garażem a szerokimi schodami zewnętrznymi leżały kamienne płyty. A dookoła rozciągał się rozległy gliniasty teren. Ani jednego krzewu, nie mówiąc o drzewach - obszar otwarty z każdej strony. Idealne warunki na to, żeby zapukać do sąsiadów i zapytać, bo przecież ktoś musiałby coś zauważyć.

Nikt niczego nie zauważył. Dom stał oddzielnie i od najbliższych sąsiadów dzieliło go prawie sto metrów. Cztery sąsiednie wille leżały na początku wąskiej drogi. Wszystkie zostały zbudowane w latach osiemdziesiątych, i to jako luksusowe domy według odrębnych projektów architektonicznych. Mieszkańcy pierwszego z nich wyjechali kilka tygodni wcześniej nad Morze Śródziemne, żeby pogrzać się na słońcu. Byli to chyba emeryci, których przed końcem miesiąca nie należało się spodziewać w domu, o czym chętnie poinformowała sąsiadka. Ona sama była wieczorem na spotkaniu klubu akcjonariuszy - „przede wszystkim po to, żeby pogawędzić z przyjaciółkami, bo rynek akcji jest dziś taki, że mimo hossy nie można liczyć na krociowe zyski” - i wróciła do domu dopiero po dwunastej. Jej mąż przebywał w Brukseli, dokąd wyjechał już w niedzielę wieczorem. Sąsiadka stwierdziła ze szczerym żalem, że w niczym więcej nie będzie mogła pomóc.

Sąsiad tej pani okazał się, niestety, mniej zyczliwy i nie tak skory do rozmowy. Średni wiek miał już prawie za sobą, poza tym cierpiał na nadwagę i zdążył wyłysieć. Gdy po kilku dzwonekach otworzył drzwi, ukazał się w jasnoniebieskim szlafroku frotte. Kiedyś był to pewnie elegancki ubiór, a teraz zasługiwał na nazwę łachmana. Albo sam szlafrok, albo jego właściciel cuchnął moczem i potem (trudno było zgadnąć), bo zapach wypitego wcześniej alkoholu na pewno pochodził od mężczyzny. Jego nagie stopy tkwiły w zniszczonych skórzanych kapciach. Nie, wczoraj wieczorem nic nie słyszał i nie widział. Oglądał telewizję. Nie, mieszka samotnie. Czy pod dom na wzgórzu zajeżdżały jakieś samochody? Nic mu o tym nie wiadomo. Czy coś się stało? Ach tak, w tamtym nowym domu zamordowano mężczyznę. „Mam nadzieję, że ta koszmarna chałupa, która popsowała mi widok, zniknie!” - powiedział na koniec i zatrzasnął policjantce drzwi przed nosem.

W ostatniej willi mieszkała rodzina z trojgiem dzieci. Były to dziewczynki w wieku od ośmiu do piętnastu lat. Wyjechały z domu za kwadrans szósta. Mama zawiozła najpierw ośmiolatkę na ćwiczenia baletowe w centrum miasta, a potem pojechała od razu z jedenastoletnią córką na trening łyżwiarstwa figurowego. Piętnastolatka wybrała się samodzielnie na jazdę konną,

ale stamtąd nie było autobusu po godzinie 20.00, więc mama musiała ją odebrać. Do domu dotarły tuż po dziewiątej, nie wcześniej. Tato przyjechał około jedenastej, bo zaprosił ważnego klienta na wieczór do restauracji.

O dziwo, wszyscy ci ludzie zajmowali wille należące do najdroższych w Göteborgu, ale wyglądało na to, że nigdy nie starczało im czasu, by pomieszkać w swoich wytwornych domach. Przeważnie było w nich pusto. Irenę wypatrzyła u wszystkich rzucające się w oczy tabliczki na drzwiach, które dawały ewentualnym złodziejom do zrozumienia, że domy wyposażono w alarmy przeciwwłamaniowe. Oczywiście warto było w nie zainwestować. Do domu państwa Cederów Irenę została wprowadzona przez funkcjonariusza, który stał na straży. Uderzyła ją pewna myśl, chciała więc uzyskać jej potwierdzenie albo móc ją odrzucić. Kiedy szła do sypialni, odgłos jej kroków po klinkierowej podłodze sprawiał niesamowite wrażenie.

Pokój Ludwiga okazał się nieoczekiwanie bardzo przyjemny, pełen kolorów. Ściany miały ciepły żółty odcień, wykończono je niebieskim paskiem z rysunkami różnych łódek. Całą podłogę przykrywał błękitny jedwabisty dywan. Na regale i na półkach leżały pluszowe zwierzątka rozmaitej wielkości, a nad łóżeczkiem kołysała się kolorowa grzechotka. Obok łóżeczka na ścianie wisiała barwna fotografia uśmiechniętej Sanny z nowo narodzonym Ludwigiem na ręku. Pośrodku pokoju stał jaskrawoczerwony sportowy minisamochód, którym chłopiec nie miał pewnie szans pojechać przez najbliższe trzy lata. Nie sięgałby pedałów. Ale nie ten dziecinny pokój sprawił, że Irenę postanowiła jeszcze raz rozejrzeć się w domu.

Sąsiednia sypialnia Sanny była przestronna i jasna, oszklona, z rozsuwanymi drzwiami oraz widokiem na morze. Pośrodku pokoju stało olbrzymie zaokrąglone łóżko. Z jego boku znajdował się niewielki panel z przyciskami. Kiedy Irenę zaczęła je naciskać, szklane drzwi zniknęły za ciężkimi czarnymi zasłonami i pokój pograżył się w zupełnej ciemności. Naciśnięcie odpowiedniego guzika sprawiło, że zasłony się rozsunęły. Ponieważ wciąż padał deszcz, światło z zewnątrz nie oślepiało. Gdy Irenę nacisnęła kolejny guzik, na ścianie ożył wielki ekran. Ale nie wróciła tu przecież, żeby oglądać telewizję na szerokim ekranie ani dla podziwiania wystroju wnętrza. Wiedziała już, że w tym domu wszystko było doskonałe. Jej zdaniem chłodne i nijakie, choć modne. W końcu nacisnęła właściwy guzik na panelu sterowniczym i drzwi z lustrzanego szkła rozsunęły się bezszelestnie, odsłaniając zawartość szaf na ubrania.

Irenę nie widziała nigdy przedtem aż tylu strojów. Na pewno nie dla jednej osoby. Szybkie przejrzanie tej odzieży potwierdziło podejrzenia Irenę: wisiały tam tylko damskie stroje. Jedynym męskim ubiorem był nowy biały szlafrok z aksamitu. Nieużywane pantofle firmy Scholl, rozmiar 44, też pewnie nie należały do Sanny, ale cała reszta rzeczy należała do niej. Irenę wczytała się w etykiety: Versace, Kenzo, Prada. Były tam również wyroby innych firm, nierozpoznanych przez Irenę, ale w jej przekonaniu najlepszej jakości, wykonane według świetnych projektów.

Irenę powoli i systematycznie przeszukała wszystkie pokoje. W sypialni Sanny i w holu wisiały zdjęcia matki i syna. Nigdzie nie natknęła się na żadną fotografię Kjella Bengtssona Cedera. Ani śladu jego obecności. Prócz szlafroka i pantofli nic też nie wskazywało na obecność innego mężczyzny. W łazience, po sąsiedzku z sypialnią, Irenę wypatrzyła otwartą butelkę pianki do golenia w spreju, z odrobiną piany na wierzchu, i paczkę jednorazowych maszynek.

Można było odnieść wrażenie, że Ludwig nie miał ojca, ale przecież jakiś mężczyzna musiał być.

Jedyną wartościową informacją udzielił człowiek, który mieszkał w odległości kilkuset metrów od miejsca zbrodni. Mimo deszczowej pogody wyszedł z psem na spacer. Zanim

znalazł się w pobliżu domu Cederów, dojrzał biegacza, który zmierzał w stronę ścieżki prowadzącej w dół, ku drodze dla rowerzystów. Ta ścieżka rowerowa ciągnie się wzdłuż brzegu aż po Billdal i cieszy się ogromną popularnością. Między świadkiem a biegaczem była odległość około stu metrów i mężczyzna z psem widział go tylko od tyłu, nie mógł więc nic powiedzieć o wyglądzie człowieka, który uprawiał jogging. Wzrost nieco powyżej średniego i wytrenowany, bo biegł szybko, ubrany w ciemny dres, na głowie miał również ciemną czapkę z daszkiem - tyle elementów rysopisu udało się ustalić.

Człowiek z psem czekał na drodze przed domem Cederów. Choć była wąska i nieuczęszczana, gmina wykosztowała się na oświetlenie jej aż do bocznej drogi, prowadzącej w dół, ku ścieżce rowerowej. Mężczyzna ruszył do swojego domu, jak sam stwierdził, chyba kwadrans po szóstej. I nie był całkiem pewien, czy na podjeździe do garażu stał jakiś samochód. Prócz tego miał prawie całkowitą pewność, że nigdzie w domu nie paliło się światło, widział tylko zewnętrzne oświetlenie nad drzwiami garażu i domu.

- Nic z tego właściwie nie wynika. Jaguar stał przecież w garażu. Chyba że Ceder jeszcze wtedy nie dotarł do domu. Zewnętrzne oświetlenie może być automatyczne, to znaczy włączać się o zmroku. Albo też pozostawiają je na całą dobę. A trasa joggingu jest popularna. Kto biegnie, obok domu Cederów, ten może skrócić na chodnik i ścieżkę rowerową, które ciągną się wzdłuż brzegu. Zresztą była kiepska pogoda na bieganie - stwierdziła Irene.
- Musimy spróbować ustalić, czy ktoś był o tej porze w plenerze i biegał przy takiej pieskiej pogodzie. Nie możemy biegacza wykluczyć, póki się nie dowiemy, kto to był - podsumował Tommy.

Rozmawiali cicho, bo w restauracji w porze lunchu pozostało jeszcze sporo gości. Umówili się na sushi w Vasastan. Ku zdziwieniu Irene, tę właśnie restaurację zaproponował Tommy, który oznajmił, że musi zjeść coś lekkostrawnego. Owszem, przybyło mu w ostatnich latach parę kilogramów, ale, jej zdaniem, nic mu nie groziło. A że sushi jej też odpowiadało, nie mogli nie trafić do restauracji „Nippon”.

Kelnerka przyniosła dodatki i pałeczki. Była niewysoką pulchną Azjatką w prostej białej bluzce i czarnej spódnicy. Zbliżała się pewnie do pięćdziesiątki, choć trudno to było stwierdzić z całą pewnością. Starszy mężczyzna, który wyglądał na jej męża, pospiesznie przygotowywał sushi w różnych postaciach, stojąc za szklaną przegrodą w głębi lokalu, w jego rogu. Za plecami mężczyzny krzątał się kucharz, który przyrządzał ciepłe dania. Lokal urządzono w stylu japońskim, bez zbędnych szczegółów.

Młodsza kelnerka podała sushi w lakierowanych miseczkach z czarnego i czerwonego drewna. Tommy wlał sporo oleju sojowego do małego porcelanowego pojemnika i zaczął maczać w nim kawałki sushi. Cienkie paski surowych fileatów rybnych leżały na grudkach ryżu, a na dwóch filetach ułożono duże rozplatané krewetki. W zwojach wodorostów tkwił ryż z warzywami i krewetkami. Smakowało to wszystko i syciło. Jedynym kłopotem było jedzenie pałeczkami, zwłaszcza kiedy grudy ryżu się rozpadały.

- Rozmawiałam z technikami. Dalej przeczesują dziś dom i parcelę. Z początku sprawa wyglądała na oczywistą, ale coraz wyraźniej widać, że nie mamy żadnego sensownego tropu. Nikt nic nie widział i nikt nic nie wie - westchnęła Irene.

- Musimy, jak zwykle, ogłosić w gazetach, żeby się zgłosił każdy, kto cokolwiek widział o określonej porze, i tak dalej, blablalba - powiedział beztroskim tonem Tommy.

- Chyba tak. Ale najpierw musimy ustalić właściwą porę. I koniecznie trzeba odnaleźć biegacza. Niech to diabli! - Te ostatnie słowa wypowiedziała Irene, kiedy rozpadła się gruda ryżu. Skupiła się wtedy na wyławianiu pałeczkami dużej krewetki, która opadła na dno miseczki z olejem sojowym.

- Udało mi się nieco dowiedzieć o tamtej katastrofie na morzu. Postarałem się o raport i wycinki z gazet. Kjell

Bengtsson Ceder ożenił się w osiemdziesiątym piątym roku z Marie Lagerfelt, jedyną córką króla armatorów, Carla Lagerfelta i jego małżonki, Alice. Doczekali się córki w późniejszym wieku. Kiedy przyszła na świat, oboje rodzice przekroczyli czterdziestkę. Mama zmarła, gdy Marie była nastolatką, a ojciec zakończył życie na dwa lata przed jej ślubem z Cederem.

Marie i Ceder byli rówieśnikami, liczyli więc sobie oboje po trzydzieści pięć lat.

Wcześniejszych małżeństw ani dzieci nie było w ich życiu. Góteborskie towarzystwo oczekiwało w napięciu narodzin dziedzica. Latem 1988 roku mieli za sobą dokładnie trzy lata małżeństwa. Razem z dwiema innymi parami małżeńskimi wypłynęli wielką żaglówką w kierunku Anglii. Cała szóstka znajdująca się na pokładzie miała pojęcie o żeglarstwie i była obyta z morzem. Wyruszyli z Góteborga w połowie sierpnia przy dobrej pogodzie. Pośrodku Morza Północnego naprawdę mocno powiało. Nie był to jeszcze sztorm, ale morze wzburzyło się i padał deszcz. Zrobiło się bardzo ciemno. Trzy osoby pilnowały kursu, a reszta próbowała odpocząć. Jeden z mężczyzn, który stał przy sterze, dostrzegł nagle, że szot się obluzował. Marie i Kjell spróbowali go przymocować. Z jakiegoś powodu nie mieli na sobie kamizelek ratunkowych, co przy takiej pogodzie zakrawało na szaleństwo. Ale z raportu wynika, że w czasie rejsu nikt nie wylewał za kołnierz i pewnie dlatego zapomnieli włożyć kamizelki. I nagle Kjell pojawił się w sterówce, krzycząc, że trzeba zawrócić, bo Marie wypadła za burtę. Krążyli tam przez wiele godzin i próbowali ją wypatrzeć, ale daremnie. Na jej ciało natknęła się po trzech miesiącach załoga pewnego kutra, i to w swoim włoku. Zwłoki mocno ucierpiały.

- To straszne! - powiedziała Irene i wzdrygnęła się. Tommy pochylił się nad stołem i jeszcze ciszej wyznał:

- Jestem zdziwiony tym, że na pokładzie nie było nikogo oprócz Kjella i Marie, kiedy ona wypadła. Nikt inny niczego nie widział. Jak stwierdził Kjell, wszystko to stało się bardzo szybko. Udało mu się przymocować szot do wyciągu i zaczął go wybierać, kiedy nagle zauważył, że nie ma już przy nim Marie. Pokład był pusty, gdy się po nim rozejrzał. Kjell krzyczał, wpatrywał się też w wodę, ale niczego nie widział. Dla pewności krzyknął także pod pokład, zakładając, że Marie mogła zejść tam niepostrzeżenie. Ale nie było jej na jachcie. Zniknęła w morzu.

- Sądziś więc, że Kjell mógł jej pomóc trafić za burtę?

Tommy skinął głową.

- Już wtedy były takie podejrzenia. Do niej należało wiele milionów koron, które dziedziczył tylko mąż. Ale nigdy nie znaleziono niczego, co by pomogło podważyć prawdziwość relacji Cedera. Tyle że, moim zdaniem, wyjaśnienia Kjella brzmiały niezbyt wiarygodnie. Musiałby zauważyć jej zniknięcie za burtą.

Tommy zamilkł i na chwilę się zamyślił.

- Ceder ożenił się po raz drugi dopiero szesnaście lat później. Z Sanną Kaegler, której zresztą zrobił dziecko przed ślubem - stwierdził refleksyjnym tonem.

- Być może chciał się upewnić, że Sanna jest płodna. Mężczyźni też pewnie mają jakiś zegar biologiczny. Był już najwyższy czas na dziedzica, jeśli na tym mu zależało. Lepiej późno niż wcale. Przecież jego pierwsza żona nie urodziła dziecka w ciągu trzech lat małżeństwa - przypomniała Tommy'emu Irene.

- To prawda, ale nie cała. Otóż w chwili śmierci Marie była w ciąży. W trzecim miesiącu.

- A więc doszło do tragicznej śmierci dwóch osób.

- Z rozpędu zebrałem wszystko, co było do znalezienia na temat Cedera. Kiedy poznał Marie Lagerfelt, miał już przecież elegancki „gwiazdkowy” lokal. Po jej śmierci dokupił pewną dobrą restaurację, a w połowie lat dziewięćdziesiątych zaczął budować hotel Gothenburg.

Gdy hotel

był gotowy, przeniósł nowo otwarty lokal „Le Ciel” na najwyższe piętro.

- Czy postawił hotel za odziedziczone pieniądze?

- Być może częściowo. Budowa hotelu była przecież ogromnym przedsięwzięciem. Nie wiem, ile dokładnie kosztowała, ale raczej nie zapłacił za nią gotówką. Musiały go wesprzeć jakieś banki czy coś podobnego.

- Pewnie tak. I jeszcze zostało dość pieniędzy na budowę domu w Askim.

- Otóż to. Wizja lokalna w mieszkaniu Kjella zapowiada się interesująco. Z tego, co mówisz, wynika, że właśnie tam naprawdę mieszkał.

- Powinniśmy już się tam wybrać.

Irenę odwróciła się i dyskretnym gestem sprowadziła kelnerkę.

- Chcielibyśmy zapłacić.

Nowoczesna cichobieżna winda zawiozła Irenę i Tommy'ego do mieszkania Kjella

Bengtssona Cedera na najwyższym piętrze, w całości zajęтым przez ten apartament. Jedyne winda przeczyła wrażeniu, że czas cofnął się o sto lat. Wszystko inne na tej okazałej klatce schodowej tchnęło atmosferą z przelomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Matka Sanny Kaegler-Ceder uchyliła ostrożnie drzwi. Gdy rozpoznała Irenę i Tommy'ego, otworzyła je na oścież i wpuściła ich.

- Tylu dziennikarzy dzwoniło dziś do tych drzwi. To ludzie natarczywi i bez respektu...

Urwała, kiedy w holu ukazała się Sanna. Matka i córka były podobne do siebie, choć ta pierwsza wydawała się pulchniejsza i niższa. Obie córki odziedziczyły po niej bladą karnację. I Tove, i Sannę cechowała chłodna skandynawska uroda, która u matki przemieniła się w bezbarwność. Irenę uświadomiła sobie zresztą, że nie wie, jak się ta kobieta nazywa.

W dłoni Irenę znalazła się bezwładna dłoń oblana zimnym potem i wypadało tę rękę uściskać, aby nie opadła. Jakby dotykało się wilgotnej szmaty.

- Elsy... Elsy Kaegler.

Mama Sanny przywitała się też z Tommym, który zdobył się na swój najbardziej czarujący uśmiech. Potrafił urzekać panie w średnim i starszym wieku. Gdy trzeba było kogoś takiego przesłuchać, zawsze on tym się zajmował. Działał tu automat, bo Irenę i on już tak długo pracowali razem, że nie musieli nawet rozmawiać na ten temat.

Sanna była już w przedpokoju. Widać było po niej zmęczenie, podkreślone jeszcze przez brak szminki na ustach i podkrążone oczy. Jasne włosy ściągnęła w koński ogon i przytrzymała go czarną aksamitną gumką. Miała na sobie czarny skórzany żakiet, białą jedwabną bluzkę i czarne płócienne spodnie. W głębokim wycięciu bluzki błyszczał krzyżyk wysadzany brylantami. Mimo żałoby była ubrana gustownie i elegancko. Z wyniosłością królowej skinęła tylko na powitanie, potwierdzając, że jednak zauważyła oboje policjantów, i stukając wysokimi szpilkami, przeszła dalej.

Irenę zawstydziła się nagle swych znoszonych sportowych butów. Ale nie zamierzała ich zdejmować, bo wiedziała, że ma dziurę w rajstopach na prawej stopie. Wystawał z niej duży palec. Wyczuła to, wiercąc palcem w bucie.

Irenę i Tommy zostawili w holu wierzchnie okrycia, po czym nerwowo rozgadana Elsy Kaegler wprowadziła ich do wielkiego pokoju z sufitem na imponującej wysokości. Gipsowa sztukateria na suficie i ciężki kryształowy żyrandol kojarzyły się z wytwornym, rokokowym stylem. Wzdłuż trzech ścian stały regały na książki, które sięgały od podłogi po sufit.

Najwidoczniej para policjantów znalazła się w bibliotece. Ścianę wolną od regałów zdominował wysoki otwarty kominek. Na jego gzymsie ustawiono czarną kamienną urnę, a po jej obu stronach dwa pozłacane świeczniki. To, co Irene zdążyła zobaczyć w mieszkaniu, upewniło ją co do jednego: Sanna nigdy tam nie mieszkała. Nie było tu ani śladu szkła, nowoczesnej sztuki czy połyskliwej stali. Było tu miejsce na kosztowne antyki i prawdziwe dywany.

- ...i tyle kłopotu z przewiezieniem wszystkich rzeczy Ludwiga i Sanny do tego mieszkania - mówiła dalej Elsy.

Irenę uchwyciła się tej skargi i nie omieszkała łagodnym tonem zagadnąć Sanny:

- Dlaczego twój mąż pozostał tutaj? Ty i Ludwig mieszkacie przecież od kilku miesięcy w Askim.

Sanna była chyba przygotowana na to pytanie. Zmierzyła Irenę chłodnym wzrokiem i spokojnie odpowiedziała:

- Nigdy nie mieszkaliśmy razem.

- Zaraz po ślubie też nie?

- Nie.

- Ach tak! A to dlaczego?

- Zdecydowaliśmy się na takie właśnie życie. Żadne z nas nie chciało wspólnego zamieszkania na stałe. Dziś zajmowanie osobnych mieszkań nie jest niczym niezwykłym - odpowiedziała sztywno.

„Być może, ale wtedy partnerów dzielią zwykle spore odległości - pomyślała Irenę. - Albo też ktoś uważa, że jest za stary na to, żeby się oswajać z sympatycznymi i przykrymi nawykami innej osoby”.

Sanna zachnęła się, jakby odczytała myśli Irenę, i powiedziała:

- Oboje mieliśmy liczne towarzystwo i bogate życie, z którego nie chcieliśmy rezygnować, kiedy postanowiliśmy się pobrać. Ja zachowałam swoje mieszkanie i zajmowałam je, póki nie pojawiła się dla Ludwiga i dla mnie możliwość przeprowadzki do nowego domu.

- Kiedy został on wykończony?

- Na początku lipca.

- A więc nie masz już swojego mieszkania?

- Nie. Sprzedałam je. Przecież teraz nie byłoby nas tutaj. Gestem osoby znużonej i zrezygnowanej Sanna wskazała, jak można było się domyślić, cały ten wielki apartament.

- Czy rozumieście się z mężem? Czy zdarzało się wam spotykać, bywać razem i tak dalej?

- Oczywiście. I łączył nas przecież Ludwig. Chłopiec rozplakał się nagle, jakby dotarło doń jego imię.

- Och... właśnie się obudził... Ja pójdę... - oznajmiła Elsy Kaegler i wyszła do przedpokoju.

- Wczoraj mówiłaś, że poprzedniego dnia rozmawiałaś telefonicznie z Kjellem. Około dziewiątej rano. Czy to prawda?

- Tak.

- Czy on sypiał u ciebie, w willi, czy tutaj?

- Tutaj.

- A więc we wtorek nie widziałaś go?

- Nie.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

- W minioną sobotę. Zjedliśmy lunch w „Le Ciel”. Z Ludwigiem. Tyle że on przespał ten czas.

Irenę zastanawiała się, o co jeszcze zapytać. Kątem oka zauważyła, że Tommy poszedł za panią Elsy Kaegler. „Doskonale, niech rozmawia z nią pod nieobecność córki. Ale osobne życie dwojga ludzi mimo ślubu i wspólnego dziecka to dziwaczny pomysł”. Irenę postanowiła dokładnie zbadać ten ich układ.

- Czy Kjell nie chciał mieszkać razem z tobą i Ludwigiem? - zapytała ostrożnie.

- Nie. Nie przepadał za dziećmi.

- Ale skoro...

- Tak się ułożyło! - zakończyła temat Sanna. Dlaczego młoda kobieta wybiera na ojca swego dziecka

starszego mężczyznę, który nie lubi dzieci? Być może taki wybór wyjaśniała jego zamożność. Ireneę uznała, że tego właśnie pytania nie należy stawiać, choć odpowiedź byłaby ogromnie interesująca. Wolą pójść innym tropem.

- Czy nie wiadomo ci jeszcze, z kim Kjell miał się spotkać wczoraj wieczorem?

- Nie mam pojęcia.

- I nawet nie próbujesz się domyślić? - zapytała ostrożnie Ireneę.

Sanna jakby się wahała przez chwilę, ale zaraz odpowiedziała stanowczo:

- Nie.

- Czy wiesz może, dlaczego Kjell wyznaczył tamtej osobie spotkanie w willi, a nie w tym mieszkaniu?

Od dekoltu wzwyż, aż na policzki, rozlał się rumieniec. Sanna dała po raz pierwszy poznać po sobie, że zadawane przez Ireneę pytania nie pozostawiały jej obojętną.

- W ogóle tego nie rozumiem! Nie potrafię mu tego wybaczyć! Dom... mój dom... został... skalany! Muszę posprzątać...

Urwała, bo z holu dotarły do niej śmiechy. Tommy wpadł do biblioteki z rozbawionym Ludwigiem na ręku. Za nimi weszła z przerażoną miną Elsy Kaegler. Wydając niespokojnie jakieś niezrozumiałe dźwięki, wymachiwała swymi pulchnymi rękami. Myślała pewno, że Tommy zacznie żonglować chłopcem i upuści go.

- Proszę bardzo. Porcja przewiniętego chłopca. Wyspany i wesoły, ale głodny - powiedział Tommy i z uśmiechem przekazał Ludwiga matce.

Sanna skinęła głową, lecz na jej twarzy nie było nawet cienia uśmiechu. Nie dziękując, przyjęła synka i umieściła go sobie na biodrze.

- Proszę mi wybaczyć, że nie odpowiem teraz na więcej pytań. Muszę się zająć Luddem - oznajmiła i wyszła z pokoju, nie obdarzywszy policjantów nawet pożegnalnym spojrzeniem. Jej odejście nastąpiło tak szybko, że ani Ireneę, ani Tommy nie zdążyli jej zatrzymać. Zostali oboje sprawnie i skutecznie odprawieni. Elsy to zacierała nerwowo ręce, to wymachiwała nimi, kiedy Ireneę i Tommy opuszczali pokój. Tym razem nie mieli tu więcej do roboty, ale Ireneę była pewna, że rychło powrócą. I Sanna też chyba zdawała sobie z tego sprawę.

- Rodzice Sanny rozwiedli się prawie dwadzieścia lat temu. Elsy uczy w pierwszych klasach szkoły podstawowej, a jej były mąż jest tu, w Góteborgu, dyrektorem liceum ogólnokształcącego. Chyba dosyć szybko ożenił się po raz drugi i ma dwóch synów z tego małżeństwa. Jak twierdzi Elsy, po rozwodzie przestał się przejmować córkami - powiedział Tommy, kiedy wsiadali do samochodu.

- Czy, twoim zdaniem, Sanna wyszła za Kjella Bengtssona Cedera, ponieważ widziała w nim zastępczego ojca? - zapytała Ireneę.

- Nie wiem. Niektórym młodym kobietom faktycznie wydaje się, że lepiej jest mieć do czynienia ze starszym mężczyzną, że pod każdym względem góruje on nad młodszymi. Jako kochanek, jako partner życiowy. I w ogóle!

„Nic gorszego nie mógł powiedzieć!” - pomyślała ze zdziwieniem Ireneę i zerknęła na Tommy'ego. Ten kręcił głową i ze swego miejsca dla pasażera wpatrywał się w drogę. Sztywność karku i zaciętość na twarzy odwróconej tak, iż widać było półprofil, świadczyły o jego wielkiej irytacji. Co go napadło? Czyżby spóźniony kryzys czterdziestolatka? Ireneę była zdezorientowana i nie wiedziała, jak sobie poradzić z tą sytuacją. Resztę drogi do komendy przejechali w milczeniu.

Komisarz Andersson czekał na inspektorów w swoim gabinecie. Ireneę zrozumiała, że na rzeczy jest coś wielkiej wagi, ponieważ komisarz włączył stary ekspres do parzenia kawy. Rzadko się to zdarzało, bo wygodniej było podejść do automatu ustawionego na korytarzu. Ireneę zdumiała się na widok farbowanych kasztanowych włosów nijakiej przedtem Kajsy Birgersdotter. Było jej naprawdę do twarzy w tym kolorze. A szary t-shirt korzystnie

uwydlatniał barwę jej oczu. „Czyżby posłuchała fachowej rady co do kolorów? ” - Ireneę wyrwały z zamyślenia pierwsze słowa Anderssona.

- Dopiero co dzwoniła pani Stridner. Wykonano już obdukcję ciała Cedera. Przyczyną zgonu były dwa strzały skierowane w głowę. Oddano je z przodu i z bardzo małej odległości. Strzelano z broni małokalibrowej. A więc była to jakaś cholerna babska spluwa. Ale pani Stridner odkryła jeszcze coś... - Komisarz zrobił sztuczną pauzę. Na jego krągłej twarzy pojawił się nieprzyjemny uśmiech, a miał przy tym minę spiskowca. - Ceder poddał się operacji, która wykluczyła posiadanie dzieci. Nie pamiętam, jakiego terminu użyła pani Stridner, ale chodzi o to, że był bezpłodny!

- Bepłodny! Czyżby został wykastrowany? - wystraszyła się Birgitta.

Andersson kiwał głową, zadowolony z efektu swej rewelacji.

- Czy to znaczy, że Ceder poddał się wazektomii? - zapytał spokojnie Tommy.

- Co takiego? Ważek... tak, chyba o to chodziło - przyznał komisarz, nieco zmieszany.

- Wobec tego nie został wykastrowany. A tylko poddany sterylizacji. Następuje przecięcie nasieniowodu, co wyklucza wydostawanie się spermy. Niczego więcej się przy tym nie narusza i człowiek zachowuje normalną sprawność seksualną - tonem wykładowcy wyjaśnił Tommy.

- Że też ty musisz się znać na czymś takim... - skomentował zgryźliwie Andersson.

Wobec podwładnych nie chciał bynajmniej uchodzić za niewiele wiedzącego.

- Sam poddałem się temu zabiegowi. Wystarczy mi trójka dzieci - odpowiedział spokojnie Tommy.

Kajsa Birgersdotter zerwała się nagle z krzesła, wymamrotała coś i wybiegła. Tommy był tym nie mniej zdziwiony niż pozostałe trzy osoby. Ireneę dostrzegła, że jego zdziwienie ustąpiło miejsca wyrazowi niechęci, który widziała na jego twarzy nieco wcześniej, kiedy jechali samochodem.

- Co jej się stało? - zdumiał się poirytowany Andersson.

Nie cierpiał irracjonalnych zachowań i nie było mu w smak to, że zaczął tracić panowanie nad sytuacją.

Zdjął okulary i przesadnym gestem położył je na stole, po czym znów się odezwał.

- Mniejsza o to. Musimy teraz ustalić, jak poprowadzimy śledztwo. Czy nie należałoby się dowiedzieć, kto jest ojcem chłopca?

- Czy Ceder nie mógł się poddać tamtej operacji, kiedy Sanna była już w ciąży? - zapytała Ireneę.

- Pani Stridner twierdzi, że od zabiegu minęło co najmniej pięć lat - odparł z wyczuwalnym w głosie triumfem.

Była to doprawdy sensacyjna wiadomość. Choć wcale nie ułatwiała śledztwa, jak wywnioskowała Ireneę, kiedy się nad tym zastanowiła. Raczej je skomplikowała.

- I któż jest ojcem chłopca? - jeszcze raz spytał komisarz.

Po minach wszystkich trojga inspektorów widać było, że usilnie myślą. W końcu o głos poprosiła Ireneę:

- Na początek możemy wykluczyć Cedera jako ojca. Aby się upewnić, można zbadać DNA. Ceder leży przecież w prosektorium, a ja chętnie zajmę się pozyskaniem materiału od Ludwiga.

- Sanna Kaegler nigdy się na to nie zgodzi! - wtrąciła z dużą pewnością siebie Birgitta.

- Kto powiedział, że poprosimy Sannę o pozwolenie? - zapytała z uśmiechem Ireneę.

Rozdział 4

Wczesne poranne godziny były dla Ireneę nie do zniesienia. Im wcześniejsze, tym wydawały się gorsze. Jak wyraziłyby to jej córki bliźniaczki, po prostu nie czuła się wtedy czadowo. W

następnym życiu zamierzała zostać królową nocnych klubów - godziny pracy odpowiadałyby jej idealnie.

Tego dnia musiała wcześniej wstać. Nie mogła ryzykować, że uprzedzi ją Sanna i zacznie sprzątać willę w Askim. Ryzyko było zresztą niewielkie. Sanna najpewniej wynajęłaby jakąś firmę do sprzątania, ale nie należało wykluczyć osobistego zajęcia się tym.

Ani Krister, ani żadna z córek nie wstali jeszcze. Po trzech filiżankach kawy i dwóch kanapkach z serem Irenę poczuła się zdolna do jazdy samochodem. Czy nie powinna wyprowadzić Sammiego na krótki poranny spacer? Zerknęła na zegarek i uznała, że jest na to dużo za wcześnie. Pies był tym stworzeniem w rodzinie, które rano odczuwało największe zmęczenie. Wolał leżeć w ciepłej, na jej łóżku, i rywalizować ze swoim panem w chrapaniu. Nad drzwiami garażu i drzwiami domu nadal paliło się światło. Mimo pogodnego dnia i przejaśnienia od wschodu, dom prezentował się ponuro w porannej szarości. Pewno ponosiła ją wyobraźnia, bo przecież wiedziała, co się wydarzyło wewnątrz.

Irenę otworzyła dom i weszła do holu. Wyjęła z kieszeni plastikowe rękawiczki i torebki. Założyła rękawiczki i ruszyła w stronę kuchni. Tam podeszła bez wahania do pojemnika na śmieci, który stał pod pulpitem, i wyłowiła stamtąd spory zwitek ręczników kuchennych. Tym papierem Tommy starł z ramienia ślad po wymiotach Ludwiga. Ów zwitek umieściła najpierw w mniejszym woreczku, a potem w większym.

W drodze do sypialni, gdzie Irenę poprzednio przewinęła Ludwiga, jej kroki pobrzmiwały dziwnym echem wśród ścian. Irenę zauważyła pewien nieład w rzeczach rozmieszczonych na półkach ponad stołem do przewijania. Bałagan powstał tam prawdopodobnie wtedy, gdy Elsy pakowała w wielkim pośpiechu rzeczy, których chłopiec mógł potrzebować w najbliższych dniach.

Gdy Irenę nacisnęła pedał okrągłego pojemnika na śmieci, jego pokrywa uniosła się. Wyciągnęła zużytą pieluszkę i - tak jak zwitek papierowych ręczników - umieściła ją najpierw w plastikowej torebce, a potem w większej torbie, też plastikowej. „Otóż to, teraz laboratorium ma z czego uzyskać materiał do zbadania DNA”. Prawdę mówiąc, Irenę nie była całkiem pewna, czy zawartość pieluszki nada się do tego, ale taką miała nadzieję.

Wiedziona impulsem, skierowała się w stronę oszklonej przybudówki. Nie chciała bynajmniej zobaczyć znów miejsca zbrodni, ale kusił ją widok wschodu słońca. Pokonała kręte schody, stanęła na piętrze i wpatrzyła się we wschodnią stronę. Niebo było bezchmurne i pozwalało dostrzec ślad po spalinach z samolotu, który w blasku pierwszych słonecznych promieni mienił się złociście ponad koronami drzew. Irenę miała przez chwilę wrażenie leśnego pożaru, błyskawicznie ogarniającego drzewa. Kolor nieba zmieniał się stopniowo: przejrzysta cytrynowożłocista barwa ustępowała miejsca blademu turkusowi. Po pięciu minutach owa feeria kolorów ustała i nastąpił zwyczajny wschód słońca, który tego dnia zapowiadał niezłą pogodę. Wykonawszy półobrót, Irenę zobaczyła niebieskoszare morze, na którym unosiły się ciężkie martwe fale. Zbudowanie latarni morskiej w domu było doprawdy genialnym pomysłem. Czy powstał on w głowie Sanny, czy raczej wpadł na to architekt? Kiedy Irenę schodziła krętymi metalowymi schodami, znów przyszły jej na myśl pieniądze. Kto zapłacił za ten dom - Sanna czy Kjell Bengtsson Ceder? Chociaż Ceder nie był biologicznym ojcem Ludwiga, przecież uznał to dziecko, skoro nigdy nie zaprzeczył oficjalnie swemu ojcostwu. Czy Sanna dziedziczyła wszystko? A może istnieje intercyza? Jakie sumy mogą wchodzić w grę? Irenę doszła do wniosku, że niełatwo będzie uzyskać odpowiedzi na wszystkie te pytania. I, być może, nie okażą się one ważne dla prowadzących śledztwo w sprawie morderstwa. Sanna miała alibi i nie było niczego, co pozwalałoby łączyć jej osobę z tragiczną śmiercią męża.

Ahlen zjawił się na porannej odprawie w tym samym czasie, co Irenę, która dotarła tutaj z pewnym opóźnieniem. Pamiętała, że powinna zwrócić klucz do Willi Sanny Kaegler-Ceder, pożyczony poprzedniego wieczoru. Technik przepuścił ją przed sobą. Komisarz Andersson

stał przed swoimi podwładnymi i demonstrował im slajdy. Ekran można było podnosić do sufitu jak zwyczajną roletę. Na ogół okazywało się to bardzo praktycznym rozwiązaniem, ale dziś komisarz był niezadowolony. Mechanizm szwankował i w równych odstępach czasu odmawiał posłuszeństwa. A wtedy ekran unosił się z cichym szelestem pod sufit.

Dawne przyzwyczajenie sprawiło, że Irenę skierowała się ku krzesłom, na których zwykle siadała razem z Tommym, ale zmieniła zamiar, gdy dostrzegła go między Kajszą, teraz rudą, a Birgittą Moberg-Rauhałą. Zajęła miejsce obok Fredrika Stridha. Ten ostatni był tak wpatrzony w ekran, że chyba nawet jej nie zauważył.

- ...oba ciała leżały w kuchni. Ofiary były ubrane. Nic nie wskazuje na tortury czy inną formę złego traktowania, zanim zginęły. Jak tutaj widać...

Komisarz urwał, gdy wskazówka uderzyła o betonową ścianę, a nie o miękki ekran.

- I znowu podjechał do góry! Czy można tu sprowadzić kogoś, kto potrafi naprawić tę cholerną roletę? - zezłościł się.

- Poprawię mechanizm, kiedy skończysz demonstrację - - - obiecał Tommy.

- Czy mógłbyś to teraz zrobić? - poprosił komisarz i spróbował głębiej odetchnąć, żeby uspokoić puls.

W lecie następnego roku czekała go emerytura. Ukończył już sześćdziesiąt lat i uzyskał roczne przedłużenie. Irenę niepokoiła się wciąż o jego zdrowie, bo wiedziała, że cierpiał na astmę i nadciśnienie. Znaczna nadwaga nie musiała sama w sobie świadczyć o żadnym schorzeniu, ale zapewne pogłębiała te, które już dawały mu się we znaki.

- Potrzebuję drabiny. A znalezienie jej musi potrwać - wyjaśnił cierpliwie Tommy.

- Machnij ręką na ekran i rzucaj slajdy na ścianę - wmieszał się Jonny Blom.

Tym razem Irenę przyznała mu rację. A nieczęsto tak było. Ich kontakty bardzo się ochłodziły od czasu śledztwa w sprawie morderstw w Göteborgu i Kopenhadze. W ostatnich miesiącach odnosili się już do siebie ciepłej. Jonny chyba rzeczywiście próbował zerwać z picciem.

Chodziły słuchy, że udręczona przez niego żona postawiła w końcu ultimatum: albo rodzina, albo butelka. Ta pogłoska nie była pewnie całkiem bezpodstawna. Nie rozmawiano o tym otwarcie w miejscu pracy, ale ostatnimi czasy Jonny nie znikał tak często pod koniec tygodnia i rzadziej zjawiał się w pracy, ziejąc alkoholem. Jako ojciec czworga dzieci - w tym wydziale nikt nie dochował się aż tylu - miał wiele do stracenia. Jeden tylko Ahlen górował nad nim pod względem liczby dzieci, ale był to pracownik techniczny, a nie oficer śledczy.

Mamrocząc coś, Andersson rzucił obraz na ścianę. Tamci dwaj leżeli na drewnianej podłodze.

W jednym rogu obrazu można było dostrzec fragment kuchenki, a także dolne części kilku szafek. Jeden z mężczyzn leżał na wznak; miał dwa ślady po strzałach ponad nasadą nosa i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w kamerę. Drugi leżał na brzuchu. Wyglądało na to, że upadł twarzą w dół. Strzelano do niego od tyłu, mierząc powyżej karku. Krew pociekła na kołnierzyk koszuli i dalej na podłogę, pod jego głowę. Obaj wydawali się bardzo młodymi ludźmi. Andersson zwrócił się do Jonny'ego Bloma.

- Czy nie zechciałbyś mnie zastąpić? Byłeś przecież na miejscu zbrodni?

- Oczywiście.

Jonny wstał i przejął wskazówkę od komisarza.

- Ciała leżą w odległości dwóch metrów od siebie. Człowiek leżący na wznak to właściciel domu, Joachim Rothstaahl. Drugiego nie udało nam się jeszcze zidentyfikować.

- Kiedy zginęli? - zapytał Tommy.

- W poniedziałek wieczorem. Zdaniem lekarzy z zakładu medycyny sądowej, między godziną osiemną a dwudziestą drugą. Tak więc leżeli tam co najmniej półtorej doby, zanim ich znaleźiono.

- Kto ich znalazł? - zainteresował się Tommy.

- Ojciec Rothstaahla.

- Czy coś wiadomo o właścicielu domu? - wtrącił się Andersson.

- Joachim Rothstaahl miał trzydzieści dwa lata i był jakimś tam specem od finansów. Sam siebie nazywał konsultantem. Jak mówi ojciec, Joachim zajął letni domek po dziadku. Zamierzał tam w święta zamieszkać ze swoją partnerką. Ona mieszka w Vanersborgu. Za dnia pracowała, ale w poniedziałek i wtorek wieczorem była u siebie, zajęta pakowaniem. W tamten poniedziałek Rothstaahl zapowiedział, że nie będzie go w domu i że czeka go ważne spotkanie, i dlatego nie dzwoniła. Ale we wtorek wieczorem zaniepokoiła się, bo nie miała z nim kontaktu. Obdzwoniła różnych ludzi i w końcu udało się jej wzbudzić niepokój również u ojca, który pojechał tam wcześniej rano w środę i znalazł obu. Na miejscu zbrodni nie ma śladów włamania. Jak mówiłem, ciała leżą w odległości około dwóch metrów od siebie. Naszym zdaniem, Rothstaahl zginął jako pierwszy. Drugi chciał uciec z kuchni do sypialni, ale został trafiony w tył głowy.

- Czy odnaleźliście kule? - zapytała Irene.

- Nie. Nie ma otworów wylotowych. Kule utkwiły pewno w ciałach ofiar. To babski kaliber broni - wyjaśnił z szyderczym uśmiechem Jonny.

Irene zerknęła na zamordowanych mężczyzn. Zastanowił ją ostatni komentarz Jonny'ego. Coś ją nagle tknęło. Czy to możliwe...?

- Iloma strzałami trafiono każdego? - zapytała szybko.

Jonny westchnął ostentacyjnie i odpowiedział zgryźliwie:

- Przecież macie swoje śledztwo. Ciągle mi...

- Niewykluczone, że ta sprawa wiąże się z naszą - przerwała mu Irene.

- Jak to? Z waszą sprawą?

- Tak. Ile było strzałów?

- Dwa. To znaczy dwa do każdego z nich - odpowiedział niechętnie Jonny.

- Irene ma rację. Faktycznie coś tu przypomina morderstwo w Askim. Dwa strzały w czaszkę z małej odległości. Oddane pewną ręką. I celne - powiedział z naciskiem Tommy.

- Przestańcie! Dlaczego sądzą, że mord w Langedrag można łączyć ze zbrodnią w Askim? - zainteresował się komisarz.

Irene zawahała się. Takie rzeczy się wyczuwa. Zanim obmyśliła odpowiedź, uprzedził ją Tommy.

- Miejsca zbrodni są podobne. Brak śladów włamania. Wszystkie trzy ofiary zginęły od dwóch strzałów w głowę, oddanych z broni małego kalibru. Dokonano tych zbrodni w odstępie około dwudziestu godzin. Dwie zidentyfikowane przez nas ofiary nie były na bakier z prawem. Morderstwa popełniono w takich dzielnicach Góteborga, w których należą one do rzadkości, podobnie jak inne poważniejsze przestępstwa.

- Kim mógł być ten trzeci młody człowiek? Czy nie ma żadnych zgłoszeń osób zaginionych, które zgadzałyby się z naszym rysopisem? - zaciekawiała się Birgitta.

Jonny pokręcił głową.

- Nie zgłoszono zaginięcia nikogo podobnego. Sfotografowaliśmy go w pozycji na wznak, zanim przyjechała karetka.

Rzucił na ścianę następny slajd. Widać na nim było nieco młodszego mężczyznę, wysokiego blondyna. Choć nie żył od dłuższego czasu, sprawiał wrażenie przystojnego.

Kajsa Birgersdotter powtórzyła swoją reakcję - zerwała się z miejsca. Tym razem nie wybiegła, lecz wskazała obraz i zaczęła gorączkowo wymachiwać rękami.

- Wiem! Wiem, kto to jest! - wykrzyczała.

- Kto? - spytał zdumiony Andersson.

- Ależ to Philip Bergman!

- A któż to taki? - pytał dalej komisarz.

Zirytowały go teatralne wybuchy Birgitty. Zwykle siedziała spokojnie, bez słowa, i zapominało się o jej obecności. Aż tu nagle coś ją napadło. Dziwaczna kobieta, zdaniem komisarza. Nieobliczalna. A nieobliczalności nie cierpiał. Naprawdę brakowało mu

spokojnego, inteligentnego Hannu. Samotne ojcostwo to bzdurny wymysł! Mężczyzna powinien być w pracy, a nie siedzieć w domu i zajmować się dziećmi.

- Kajsa ma rację, To jest faktycznie Philip Bergman. Bergman-Kaegler. Znowu trafiliśmy do Sanny - stwierdził Tommy.

Komisarz wyszedł z siebie. Uderzył ręką o stół tak mocno, że rozległo się echo, i krzyknął:

- O co tu chodzi, u diabła?!

Irenę całkowicie zgadzała się z szefem, choć to połączenie nazwisk, Bergman-Kaegler, nie brzmiało obco. Inaczej niż Andersson, który chciał chyba odreagować swój gniew, atakując kogoś z obecnych, postanowiła poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Kajsa Birgersdotter podjęła odważną próbę wyjaśnienia:

- Sanna Kaegler i ja jesteśmy w jednym wieku. Być może właśnie dlatego przez pewien czas szukałam w prasie wiadomości o niej. Philip Bergman i Sanna Kaegler byli od dawna współnikami. Razem założyli firmę informatyczną. Jedną z największych. Zbili fortunę! Prasa rozpisywała się o ich luksusowych apartamentach w Londynie i Nowym Jorku i o świetlanej przyszłości firmy. Ale informatyczna bańka mydlana pękła i firma zniknęła. I zniknął też ten Bonetti.

Andersson jęknął głośno, a Irenę nastawiła uszu. Razem z Tommym brała kiedyś udział w śledztwie, w trakcie którego Thomas Bonetti okazał się osobą poszukiwaną.

W pewien słotny wrześniowy wieczór, około godziny 20.00, mało kto widział, że Thomas Bonetti zepchnął swoją łódź, Storebro Royal Cruiser 420, z bocznego nabrzeża w Langedrag. Choć o tej porze nie było w porcie zbyt wielu ludzi, ci, którzy tam się znaleźli, zareagowali, gdy z przystani wypłynęła wielka motorówka. Ta luksusowa łódź nie mogła się przemknąć niezauważona. Od tego dnia minęły dokładnie trzy lata i właśnie wtedy ponad wszelką wątpliwość widziano jeszcze Bonettiego przy życiu.

Rodzicom powiedział, że wybiera się do domku letniskowego na wyspie Styrso. Musiał w spokoju przemyśleć to i owo. Nie odnaleziono ani łodzi, ani Bonettiego. Jego paszport pozostał w domu rodziców, podobnie jak odzież i rzeczy osobiste. Ponieważ posiadał mieszkanie w Londynie, rodzice sądzili, że postanowił tam przeczekać skandal wywołany przez jego bankructwo. Wprawdzie nie umieli sobie wyjaśnić, jakim sposobem mógł znaleźć się w Anglii bez paszportu. Dopiero gdy nadeszło pisemne wypowiedzenie umowy najmu z powodu nieuiszczenia czynszu, rodzice zrozumieli, że stało się coś złego. Mieszkanie znajdowało się w centrum Londynu, było superatrakcyjne i niezwykle kosztowne. Wynajęcie tego mieszkania napawało Thomasa dumą i dlatego nie naraziłby się dobrowolnie na jego utratę. Jego ojciec, wzięty adwokat, chyba dopiero wtedy pojął, że nie chodzi tu o jeden z wielu figli syna. Rodzice zgłosili jego zaginięcie. Był on już wówczas poszukiwany listem gończym za pośrednictwem Interpolu jako osoba podejrzana o poważne przestępstwa finansowe.

W pewien zimny i wietrzny dzień na początku grudnia Irenę i Tommy popłynęli promem na Styrso Skaret. Mimo zaledwie kilkustopniowego mrozu poczuli ziąb, jak tylko pozostawili za sobą ciepłe wnętrza promu. Przejmujący chłód przenikał przez odzież, a ich twarze smagały twarde drobinki śniegu. Oboje czuli się tak, jakby musieli wędrować szlakami polarników, brakowało tylko wilków depczących im po piętach. Irenę miała przy sobie pomięty świstek ze wskazaniem drogi, który wręczyła jej matka Thomasa. „Kierować się na południe, obok mostu prowadzącego na wyspę Donsó. Minać Solvik. Iść dalej w stronę wielkiego złocistego domu z kolorowymi szybami na werandzie. Na rozdrożu kierować się w lewo. Przejść około 100 metrów ścieżką wzdłuż brzegu. Z długiego pomostu z budką na sprzęt zejść kamiennymi schodami, które są po prawej stronie. Niski czerwony dom z nazwą «Vasterro» na froncie. O ten dom chodzi” -

te wskazówki zostały zapisane równymi literami, schludnie. Do kartki pani Bonetti dołączyła klucz do domku. Wręczając go, matka Thomasa wyznała, że ani ona, ani jej mąż nie byli tam,

odkąd zniknął ich syn. Thomas miał starszą siostrę, która nie wybrała się tamtej jesieni na Styrsó, podobnie jak nikt z jej rodziny.

Irenę i Tommy przemarzli tak bardzo, że nic już nie czuli, gdy w końcu dotarli do owego domku. Wewnątrz było ledwie trochę cieplej niż na zewnątrz, tyle że nie wiało. Dom miał co prawda niskie sufity, ale miała powierzchnię. Położony był wysoko, wśród klifów, i nawet w taki dzień roztaczał się stamtąd wspaniały widok na morze. Wiatr smagał czarną wodę, spieniając ją wokół skalistych wysepek i raf. Spoza śniegu ukazywały się obojgu policjantom szkiery na południowy wschód i na południe od Styrsó.

Przeszukali starannie cały dom. Nie znaleźli ani śladu pobytu Thomasa Bonettiego czy to w pojedynkę, czy to z kimś. Nic też nie świadczyło o jakiegokolwiek przemocy. Wszystko wydawało się pozostawione w najlepszym porządku.

Zadbali o dokładne zamknięcie domku i niechętnie podążyli w chłodzie z powrotem. Prom odpływał ze Styrsó Bratten, co oznaczało dla nich jeszcze dłuższą walkę z przeciwnym wiatrem. Ciepła kawa nigdy nie smakowała im tak dobrze, jak ta z jednorazowych kubków w kafejce na promie! Irenę zastanawiała się całkiem serio, czy nie zafundować sobie całej balii tego gorącego napoju. Nie po to, żeby go pić, a raczej dla ogrzania przemarzniętych stóp.

- Bonetti! Tą sprawą zajmowaliśmy się wiele lat temu! I dalej nie ma tego człowieka. Cóż on może mieć wspólnego z ostatnimi morderstwami? - z irytacją w głosie zapytał Andersson.

- Sanna Kaegler, Philip Bergman i Thomas Bonetti założyli firmę informatyczną ph.com. Przez jej bankructwo przepadły ogromne sumy. Chyba pamiętacie nagłówki w gazetach? - powiedział Tommy.

Było co kojarzyć. Elementy układanki znalazły swoje miejsca - Irenę przypomniała sobie to połączenie nazwisk: Bergman-Kaegler. W swoim czasie coś ono znaczyło, gwarantowało dobrą jakość. Kiedy razem z Tommym zajmowała się przez kilka dni zniknięciem Thomasa Bonettiego, gdzieś w tle ledwie migotał znak firmowy ph.com. Informatyczna bańka mydlana pękła wcześniej, bo wiosną 2000 roku. We wrześniu, gdy ulotnił się Thomas Bonetti, była to już historia. Miał on na sumieniu niejedną mętną sprawę i żadnej z nich nie należało wykluczać jako powodu zniknięcia. Jeśli w ogóle nastąpiło ono dobrowolnie. Dłuższy brak znaku życia ze strony Bonettiego sprawił, że pojawiały się różne pogłoski. A to poddał się ponoć operacji plastycznej w Stanach i widzieli go jacyś turyści w Miami, a to podobno zabawiał się nurkowaniem w Egipcie czy też pływał luksusowym jachtem po Morzu Śródziemnym, bywał jakoby także w jednym z paryskich seksklubów. Żaden z tych sygnałów nie okazał się trafny. Wygląd Thomasa Bonettiego był tego rodzaju, że niełatwo udałoby się go całkiem zmienić, choćby rzeczywiście przeszedł operację plastyczną. Kiedy zniknął, miał 31 lat, 1,66 m wzrostu, a ważył około stu kilogramów. Linia włosów zaczęła się już przesuwać w górę i parę kosmyków przerzedzonej czupryny zaczesywał na czoło, pozorując grzywkę. Na różnych fotografiach, które się ukazały, widać było czerwonawą karnację skóry i podobny odcień włosów oraz wodnisty jasny błękit oczu patrzących zza silnych okularów w zaokrąglonej oprawce. Ewentualną zmianę koloru oczu przez dobór barwnych szkieł kontaktowych udało się wykluczyć we wczesnej fazie śledztwa. Z opowieści rodziców wynikało, że nie mógł nigdy nosić żadnych szkieł kontaktowych. Jego oczy były na to zbyt wrażliwe. Rodzice nie dawali zresztą wiary pogłoskom o jego pobycie w miejscach ciepłych i nasłonecznionych. Thomas w ogóle źle znosił słońce i upały.

Z wykrytych przez policję kont w szwedzkich i brytyjskich bankach Bonetti pobrał wszystko, co na nich było, następnego dnia po swoim zniknięciu. W sumie pięć milionów koron szwedzkich przelał na rachunek w pewnym banku w Luksemburgu, a stamtąd pieniądze trafiły bezpośrednio na jego konto na Kajmanach. Tam wszelkie ślady się urywały.

Pięć milionów starcza na długo, ale pozostawanie w ukryciu też kosztuje. Jeśliby Bonetti wydawał pieniądze w takim tempie, jak to robił w dniach swej chwały, to musiałby od dawna być bankrutem.

- Plajta firmy puściła z dymem ogromne sumy. Mniej więcej miliard koron - mówił dalej Tommy.

- Oni znaleźli się w dobrym towarzystwie. Jednocześnie upadło sporo innych wielkich firm informatycznych. Na przełomie tysiącleci krach informatyczny stał się faktem na całym świecie - dodała Birgitta.

- Otóż to. I trudno było sprawdzić, co się dzieje z pieniędzmi. One po prostu znikają. Bonetti pozwolił sobie tylko na przywłaszczenie części kapitału spółki, zanim ta ogłosiła bankructwo. I tę kasę odnaleziono na jego kontach. Pięć milionów. Ale podejrzewa się go o posiadanie znacznie większych sum na rachunkach zagranicznych. Poza tym znamy stan jego konta spadkowego. Jest na nim prawie dziewięćset tysięcy. Będziemy mogli go namierzyć tego dnia, kiedy ruszy te pieniądze - powiedział Tommy.

- Konto spadkowe? Cóż to takiego? - zdziwiła się Birgitta.

- Tak ojciec Thomasa nazywa rachunek, na który wpłacono pieniądze odziedziczone przez jego syna po dziadku i babci ze strony ojca. Do pobierania pieniędzy z tego konta nie używa się żadnej karty, bo chodzi tu, jak twierdzi ojciec, o lokatę długoterminową. Jeśliby Thomas chciał pobrać tę sumę, musiałby osobiście nawiązać kontakt z bankiem. A wtedy pozostawiłby po sobie ślad i odnaleźlibyśmy go.

- A przynajmniej uzyskalibyśmy potwierdzenie, że żyje - dodała Irene.
Tommy skinął głową.

Birgitta wskazała obraz rzucony na ścianę i zapytała:

- Co łączyło Philipa Bergmana z Joachimem Rothstaahlem?

- To starzy kumple, jak mówi ojciec Rothstaahla. Więcej na razie nie wiemy - odpowiedział Jonny.

- Wśród najbliższych przyjaciół i krewnych Sanny Kaegler panuje nadzwyczajna śmiertelność - stwierdziła Irene.

- Tak. Musimy ustalić, co naprawdę stało się z tą spółką informatyczną. I kto jeszcze był w to uwikłany. Trzeba też sprawdzić, czy możemy powiązać osoby Thomasa Bonettiego i Joachima Rothstaahla z...

- Jedną chwilę! Proszę choć na krótko zwolnić tempo! Andersson postanowił przerwać Tommy'emu. Komisarz

powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich obecnych, po czym zaczerpnął powietrza i zaczął znów mówić.

- Powróćmy do tych zbrodni. Otóż mamy dwa różne miejsca i trzy morderstwa. Nic nie pozwala skojarzyć miejsc zbrodni ze sobą. Nie wiemy jeszcze, czy wszystkich trzech zastrzelono z tej samej broni. I co ma Kjell Bengtsson Ceder wspólnego z tamtą cholerną firmą informatyczną?

- Wedle naszej wiedzy, nic. Ale był żonaty ze współzałożycielką firmy. Z pozostałej dwójki jeden padł ofiarą mordu, a drugi zniknął trzy lata temu bez śladu. Wspólnym mianownikiem jest tu Sanna Kaegler - spokojnym tonem odparł Tommy.

Andersson oddychał ciężko, stojąc i rozmyślając o tych wszystkich nieoczekiwanych wyjaśnieniach, które nagle na nich spadły. Kiedy wydychał powietrze, słychać było świst, który, jak podejrzewała Irene, mógł zapowiadać atak astmy. W końcu jednak mina komisarza pokazała, że się na coś zdecydował.

- Musimy poczekać na potwierdzenie tożsamości Philipa Bergmana. Kiedy to nastąpi, niech Irene i Tommy przeprowadzą jeszcze jedną rozmowę z tą babką, to znaczy z panią Kaegler. Nie ujawniajcie tego, że wiadomo nam o niemożliwym ojcostwie Cedera. Czy są jakieś wieści z laboratorium? - spytał Ahlena.

Technik drzemał chyba, ale wstał po lekkim szturchańcu w bok, jakim poczęstowała go Irene. Bez pośpiechu ruszył w stronę Anderssona. Poprawił okulary na nosie i swymi krótkowzrocznymi oczami przyjrzał się obecnym. Jak zwykle przypominał kreta, który zerka w górę ze swej nory.

- Na rękach i odzieży Sanny Kaegler nie było w ogóle żadnych śladów prochu ani sadzy. Jest ich natomiast niemało na ciele ofiary, dookoła otworu wlotowego i na twarzy, co wskazuje, że strzelano do niego z małej odległości. Wyliczyliśmy, że było to około pół metra. Wewnątrz domu nic nie świadczyło o włamaniu, ale natrafiliśmy na gliniaste odciski stóp przy kuchennych drzwiach. Wychodzi się nimi na tył domu. Na zewnątrz jest gliniasty teren i dlatego udało się na chodniku wewnętrznego korytarza znaleźć kilka odcisków butów do joggingu, rozmiar czterdzieści cztery. Prócz tego wykryto wyschnięte ślady wilgoci pod wieszakiem. Teoretycznie morderca mógł wejść tylnymi drzwiami, powiesić mokrą wierzchnią odzież i założyć suche buty. Ani na drzwiach zewnętrznych od przodu, ani na tych od tyłu nie ma żadnych uszkodzeń. Morderca posiadał pewnie klucz albo też drzwi były otwarte.

- Czy nie ma śladów stóp na podłodze w kuchni? - zapytał Tommy.

- Nie. Tylko na chodniku. Zresztą morderca mógł założyć na stopy plastikowe torby.

- W nich nie podszedłby znienacka do Cedera. Takie torebki szeleszczą przy chodzeniu. A poza tym ślizgają się na klinkierowej podłodze - powiedziała Irene.

Tommy pokiwał głową.

- To prawda. Morderca był prawdopodobnie wewnątrz domu i tam czekał na Cedera. Irene przypomniała sobie zapach whisky w tamtym pokoju. I zaraz przedstawiła możliwy scenariusz.

- Ceder był na górze, wewnątrz latarni morskiej, i nalał tam sobie whisky. Ze szklaneczką w rękę zszedł po schodach. A na dole czekał morderca - powiedziała.

- Najprawdopodobniej ukrył się pod krętymi schodami. Właśnie tam znaleźliśmy ten przedmiot - z niezmiennym spokojem oznajmił Ahlen.

Z kieszeni laboratoryjnego fartucha wyjął plastikową torebkę. Była w niej szara taśma.

- Takiej taśmy odblaskowej używają zwykle ci, którzy biegają dla zdrowia. Noszą ją na prawym ramieniu, kiedy chcą biegać po ciemku ruchliwymi drogami. Zabezpieczyliśmy odcisk połowy kciuka.

- Dobrze sobie! Wobec tego wystarczy poszukać faceta, który ma tylko pół kciuka - zakpił Jonny.

Nikt inny się nie roześmiał. Koledzy przywykli do jego kiepskich żartów i już nie reagowali. Ostatnia wiadomość od Ahlena okazała się naprawdę dobra. Gdyby trafił się jakiś podejrzanym, to mieli spore szansę na skojarzenie go z miejscem zbrodni za pomocą odcisku kciuka. A wtedy byłoby o wiele łatwiej oskarżyć go o morderstwo.

- Jeśli chodzi o Langedrag, to wiem od Malma, że wstępny raport z laboratorium nadejdzie po południu, około godziny piętnastej - odpowiedział technik i podniósł się z miejsca.

- Nie mówiłeś jeszcze o kulach! - zaprotestował Andersson.

- Zgadza się. Nie mam wiele do powiedzenia. Kaliber dwadzieścia pięć. Bez osłonek. Mocno zniekształcone przez to, że krążyły w czaszce. Badanie balistyczne zostało tym samym utrudnione.

Nie przejmując się krytyczną nutą w słowach Anderssona, Ahlen włożył torebkę z taśmą odblaskową z powrotem do kieszeni i zniknął.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, w pokoju przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Wreszcie Andersson wykonał głęboki wdech i, wypuszczając ze świstem powietrze, polecił:

- Niech Jonny i Fredrik dalej szukają świadków w sprawie mordu w Langedrag. I trzeba spytać starego Rothstaahla i partnerkę Joachima, czy nie przypominają sobie jakiegokolwiek jego wzmianki o tym, że zamierzał się z kimś spotkać. Niech Birgitta skontaktuje się z krewnym

Bergmana w celu identyfikacji. Kiedy jego tożsamość się potwierdzi, niechaj Irenę i Tommy przycisną do muru Sannę Kaegler. Nie cackajcie się z tą paniusią! Śmierdzi od niej na odległość!

„Lepiej, że Sanna Kaegler tego nie usłyszała” - przyszło Irenę na myśl. Te słowa o smrodzie uraziłyby ją bardziej niż powiązanie jej osoby z morderstwem.

- A jakie jest moje zadanie? - zapytała Kajsa. Rezulutnie wytrzymała zdziwiony wzrok Anderssona.

Na cóż mu taka facetka? Prawie wypowiedziałby tę myśl, ale przyszło mu coś do głowy.

- Otrzymasz zadanie specjalne. Skoro wcześniej interesowałaś się chłopcami, którzy stworzyli firmę o miliardowych obrotach, dziś już nieistniejącą, możesz, jak sądzę, dalej gromadzić związane z nimi fakty. Nie pomiń żadnego drobiazgu, do którego uda ci się dotrzeć!

Kajsa wyraźnie pobladła, ale po chwili wzięła się w garść.

- Dobrze. Będę szukać.

Rozdział 5

Tommy postanowił pogłębić swą wiedzę o Kjellu Bengtssonie Cederze. To, czego dowiedział się dotychczas, nie zadowalało go - chciał dalszych informacji. Interesowały go zwłaszcza okoliczności śmierci pierwszej żony Kjella.

- Jak to mówi Andersson, śmierdzi na odległość - stwierdził i uśmiechnął się do Irenę.

- Tak sądzisz?

- Owszem. Kieruję się swoim węchem.

- A ja pokieruję się swoim i poszperam w pobliżu Thomasa Bonettiego. Zresztą weszliśmy już w tę sprawę. Lunch o dwunastej?

- Zgoda. Później powinniśmy chyba wysłuchać, co Svante ma do powiedzenia o wynikach w sprawie Langedrag, to o trzeciej. Tak jak ty uważam, że te morderstwa są powiązane ze sobą.

- Czy podpowiada ci to instynkt tropiciela? - zaciekała się Irenę.

- Po prostu zdrowy rozsądek i logika.

Kiedy przed trzema laty, w tamten zimny grudniowy dzień, Irenę i Tommy jechali na Styrsó, nie mieli pojęcia,

czym wcześniej zajmował się Thomas Bonetti. W ich oczach był tylko rekinem finansjery, który zniknął z ogromną sumą. Na promie Tommy podzielił się domysłami, że Thomas wyleguje się na Bahamach na leżaku pod parasolem i popija coś odpowiedniego w towarzystwie piersiastej blondyny, gdy tymczasem biedne psy tropią go, odmrażając sobie tyłki.

Na krótko przed lunchem Irenę miała już właściwie pełny obraz przeszłości Bonettiego. Nie przypadł jej ten człowiek do gustu, podobnie jak większość ludzi, których szukała i znajdowała jako przestępców.

Kiedy Thomas Bonetti zniknął, miał 31 lat, choć fotografie pozwalały się domyślać mężczyzny niemal czterdziestoletniego. Był jedynym synem znanego adwokata, Antonia Bonettiego. Thomas miał jeszcze siostrę, o dwa lata starszą. Błada karnacja Thomasa Bonettiego nie wskazywała bynajmniej na włoskie korzenie. Ale że z Włoch przywędrował jego ojciec, było to do wytłumaczenia: ojciec też był rudy i miał jasną karnację.

Wykształcenie podstawowe i średnie Thomas uzyskał w prywatnych szkołach, potem zaś podjął od razu studia w Wyższej Szkole Handlowej w Göteborgu. Służba wojskowa nie wchodziła w jego przypadku w grę. W czasie studiów został dwa razy przyłapany na posiadaniu narkotyków. Chodziło o kokainę, ale w tak małych ilościach, że uniknął poważniejszych konsekwencji.

Po niespełna roku pracy w którymś ze szwedzkich banków przeniósł się do Londynu.

Postanowił, że z kolegą ze studiów, również Szwedem, założy spółkę inwestycyjną.

Nawiązali kontakt ze swoim norweskim rówieśnikiem, który już działał w tej dziedzinie, ale nie był zadowolony z dochodów. Gotów był przejść na własny rozrachunek i liczył odtąd, że dzięki nowym szwedzkim przyjaciółom szybko się dorobi. Szwedzki wspólnik Thomasa nazywał się Joachim Rothstaahl.

Irenę poczuła, że mocniej zabiło jej serce. Kontakt Bonettiego z Rothstaahlem! Jeden zniknął bez śladu przed trzema

laty, a drugi został dopiero co zamordowany, jednocześnie z późniejszym wspólnikiem Bonettiego. Irenę miała przez chwilę zamęt w głowie, kiedy spróbowała odtworzyć powiązania wszystkich tych osób. Co najważniejsze, pojęła, że już przed siedmiu laty coś łączyło tych ludzi. Nie było pewności, czy tamte koneksje należało kojarzyć z trzema świeżymi morderstwami, ale owe dawne związki niewątpliwie zasługiwały na uwagę. Norweg nazywał się Erik Dahl. Nic jej to nazwisko nie mówiło, ale zanotowała je z myślą o dalszych poszukiwaniach. Dzięki właściwym kontaktom i wystawnym obiadom w jednym z najbardziej ekskluzywnych londyńskich klubów trzem wspólnikom udało się zachęcić różne skandynawskie firmy i osoby prywatne do powierzenia pieniędzy ich spółce Pundfix, która zamierzała je zainwestować. Wśród ich gości niejednokrotnie widziano znanych brytyjskich polityków i czasem jakiegoś lorda. Wszystko to sprawiało bardzo pozytywne wrażenie, pozwalało się domyślać uczciwych interesów.

W istocie powstawała piramida. Pieniądze, które trafiały do firmy Pundfix, służyły do pokrycia wysokich dywidend i spłacania tych, którzy chcieli się wycofać. Trwało to przez pewien czas, ale w końcu bańka mydlana pękła, gdyż najpoważniejszy klient - jakaś norweska firma - zażądał rozliczenia. Nie było co rozliczać, jako że trzej wspólnicy zdążyli zdefraudować jej pieniądze. Thomas Bonetti zrozumiał już wcześniej, że grunt zaczyna mu się palić pod nogami, i opuścił spółkę z paroma milionami w kieszeni.

Joachim Rothstaahl najadł się tylko strachu. Jako osiadły w Anglii obywatel szwedzki nie mógł odpowiadać przed norweskim sądem. Kozłem ofiarnym stał się Norweg, Erik Dahl. Sąd w Oslo skazał go na siedem lat więzienia za defraudację na wielką skalę.

Irenę zamyśliła się. Czyżby Erik Dahl wyszedł na wolność i postanowił zemścić się na dawnych wspólnikach? Wątpliwe, czy zdążył zakończyć odbywanie kary, zanim zniknął Thomas Bonetti, ale teraz mógł chyba być już wolnym człowiekiem? Irenę zapisała w notesie, że trzeba to sprawdzić. I zaraz dostrzegła coś niepokojącego: jak skojarzyć Erika Dahla z Kjellem Bengtssonem Cederem?

Obowiązkowa w czwartek grochówka i naleśniki dawały się zjeść. Nie zaszkodziłoby trochę więcej tymianku, ale nie należało przecież zbytnio grymasić. Tommy pewno nawet nie zauważył, jakiej przyprawy zabrakło w zupie. Z zapałem wymachiwał łyżką, aby podkreślić wagę swoich słów. Irenę zobaczyła, że na niebieską papierową serwetkę spadła grudka gorczycy. Tommy nie zareagował na to albo nie zwracał sobie tym głowy. Był bardzo przejęty wynikami swych przedpołudniowych dociekań.

- Nie ma takiej możliwości, żeby poznać więcej szczegółów tego, co w tamtą noc działo się na pokładzie. Byli tam przecież tylko Kjell Bengtsson Ceder i jego żona Marie.

Niewykluczone, że osoba, która wtedy sterowała, niczego nie zauważyła. Czy domyślasz się, kto to był?

Tommy umilkł i na jego twarzy pojawił się irytujący uśmiech. Zniecierpliwiał nim koleżankę. Irenę odpowiedziała z przymusem:

- Nie. Nie mam pojęcia.

- Edward Fenton!

Irenę patrzyła na Tommy'ego wzrokiem, który wyrażał niezrozumienie.

- Fenton... czy chodzi ci o tego lekarza... Morgana Fentona?

- Nie, o Edwarda! To młodszy brat Morgana! Czy nie pamiętasz, że ci mówiłem o bracie, który jest bankowcem w Londynie, że jego istnienie ujawnił Morgan Fenton? Edward był na

tamtej łodzi ze swą partnerką. Prócz nich Morgan ze swoją ówczesną żoną! Ta ostatnia była w ciąży. Wczoraj wieczorem rozmawiałaś pewno z chłopakiem, którego urodziła. Ireńę skinęła głową. Christopher Fenton miał piętnaście lat. A więc on też brał udział w tamtym fatalnym rejsie, choć tylko jako płód w łonie matki. Ireńę spróbowała na głos podsumować rewelacje Tommy'ego:

- Oznacza to, że obaj Fentonowie i Ceder znali się już szesnaście lat temu. Dwaj pierwsi znali też jego żonę, Marie. Morgan Fenton rozwiódł się i ożenił po raz drugi z Tove Kaegler, a kilka lat później pobrali się Kjell Bengtsson Ceder i siostra Tove, Sanna Kaegler. I wczoraj wspomniałaś o jakichś biznesowych kontaktach Sanny z Edwardem Fentonem, kiedy ona była uwikłana w sprawę tamtej firmy informatycznej. A z tego wynika, że Edward znał też Thomasa Bonettiego i Philipa Bergmana! To interesujące, ale skomplikowane.

- Właśnie! Próbowałem się czegoś więcej dowiedzieć o braciach Fenton, ale mało wywęszyłem. Morgan jest tutaj, w Göteborgu, ortopedą, a Edward pracuje w wielkim banku amerykańskim. Jest jednym z szefów europejskiej filii banku inwestycyjnego H.P. Johnsona, która działa w Londynie. Ich matka była Szwedką, natomiast ojciec jest Anglikiem. Matka zmarła kilka lat temu. Ojciec mieszka od lat w Hiszpanii.

- Jest pewnie starym człowiekiem.

- Po osiemdziesiątce.

- W jakim wieku są bracia Fenton?

- Morgan ma pięćdziesiąt jeden, a Edward czterdzieści dwa lata.

- Edward jest więc naszym rówieśnikiem - stwierdziła Ireńę.

- Tak. Ich rodzice rozwiedli się przed 1980 rokiem i matka przyjechała tutaj razem z Edwardem. Niespełna rok później pojawił się w Göteborgu także Morgan i zaczął studiować medycynę. Został tu i ożenił się.

- Dlatego Morgan Fenton mówi tak dobrze po szwedzku. Przecież spędził tu co najmniej dwadzieścia pięć lat.

- Tak. On został, a Edward wrócił po maturze do Anglii. Studiował ekonomię na Cambridge i szybko zrobił karierę jako finansista. I chyba dobrze też się ożenił. Poślubił kobietę, z którą wypłynął w rejs, tak tragicznie zakończony dla pierwszej żony Cedera. Edward jest od dziesięciu lat żonaty z Amerykanką. Mają dwoje dzieci.

- Sporo się dowiedziałeś o Edwardzie Fentonie. Skąd?

- Właściwie z Internetu. Znalazłem tam niemało informacji o nim. Jak rozumiem, liczy się on w światku bankowców. I dlatego interesuje amerykańską prasę bulwarową. Jego żona pochodzi, zdaje się, z bardzo wpływowej rodziny. Jej ojcem jest Sergio Santini, a ona nazywa się Janice. Jej brat, Sergio-junior, prowadzi rodzinne firmy razem z ojcem. Amerykanie kochają takich ludzi jak Santini-senior. Self-made man. Pochodząc z biedoty, musiał harować, żeby opłacić studia na uniwersytecie. Potem zrobił olśniewającą karierę. Stworzył całe imperium i jest nieprawdopodobnie bogaty.

- A więc Edward wżenił się w wielką finansjerę?

- Tak.

- Dziwne, że nie pracuje dla teścia.

- Przecież kiedy poznał swą przyszłą żonę, miał już dobrą pracę jako bankowiec. Albo może nie chce mieć nad sobą teścia i szwagra.

Ireńę podzieliła się tym, czego się doszukała na temat Thomasa Bonettiego i jego dawniejszych wyczynów na londyńskim rynku finansowym. Nie zdziwiło jej to, że Tommy był bardzo przejęty jej rewelacjami o związkach Bonettiego z Joachimem Rothstaahlem.

- Dobrze przeczuwaliśmy. Te morderstwa trzeba kojarzyć ze sobą! - zapalił się.

Ireńę musiała go uciszyć, bo zauważyła, że zerkają na nich ludzie przy sąsiednich stolikach. Choć przyzwyczajono się do rozmów policjantów w stołówce ubezpieczalni, to przecież wyraz „morderstwo” we wszelkich jego formach deklinacyjnych zawsze zwraca uwagę.

- Nie ma wątpliwości co do tego, że wszystkie osoby, o które tu chodzi, znały się wcześniej. Musimy ustalić, jak właściwie przedstawiały się ich wzajemne relacje - stwierdził Tommy, tym razem ciszej.

- Trzeba grzebać się w przeszłości. Jak zawsze - westchnęła Irene.

- Najczęściej tam ukryta jest prawda. Musimy... - Tommy'emu przerwała komórka, która odezwała się w kieszeni jego dżinsowej koszuli.

- Cześć, Birgitta - powiedział.

Potem słuchał czegoś przez dłuższą chwilę, aż wreszcie zwrócił się do Irene. Uniesiony kciuk Tommy'ego upewnił ją, że identyfikacja spełniła ich oczekiwania. Trzecią ofiarą morderstwa okazał się Philip Bergman.

Trafili tylko na matkę Sanny, panią Elsy Kaegler. Opiekowała się Ludwigiem, a tymczasem córka załatwiała różne sprawy w mieście. Było ich sporo, bo Sanna musiała między innymi wybrać się do zakładu pogrzebowego, aby uzgodnić pochówek męża. Jak stwierdziła Elsy, w domu należało się Sanny spodziewać dopiero późnym popołudniem. Irene poprosiła o przekazanie, że policja odwiedzi ją około wpół do piątej.

Urlop w Grecji był dla technika Svantego Malma okazją do przysporzenia sobie co najmniej dziesięciu tysięcy nowych piegów. Na jego widok przypomniawszy Irene złotowłosego Krister. Mógłby on konkurować ze Svantem, odkąd przed miesiącem byli razem z Irene na Krecie. Rudzi nie powinni się opalać, a jednak to robią z takim skutkiem, że wyglądają jak obrane ze skóry pomidory. Później tracą opaleniznę i bledną, i wreszcie są podobni do siebie sprzed kąpielii słonecznych. Irene rozmawiała już prawie dwadzieścia lat na ten temat ze swoim małżonkiem przed każdym letnim urlopem, ale daremnie. Krister opalał skórę rok w rok. Tymczasem Svante sprawiał wrażenie pogodnego, wypoczętego człowieka i radośnie pomachał w stronę Irene i Tommy'ego,

kiedy weszli do pokoju. Usiedli całkiem z tyłu. Jak zauważyła Irene, Kajsa Birgersdotter zajęła miejsce na samym przedzie. Odwróciła się do nich z nikłym uśmiechem na twarzy. Irene nie odwzajemniła uśmiechu, bo zrozumiała, że nie do niej był skierowany.

Komisarz Andersson odchrząknął, zanim zabrał głos:

- Powiem tylko parę słów, a potem posłuchamy Svantego. Zidentyfikowano obie ofiary i są to: Joachim Rothstaahl, lat 32, i Philip Bergman, lat 30. Dzisiaj doszło do identyfikacji Bergmana przez jego rodziców. Ojciec Bergmana widział w poniedziałek wieczorem około godziny siódmej, że syn wyjeżdża na spotkanie z Rothstaahlem. Według ojca, brakuje nowej kurtki syna, a poza tym nie zabrał on ze sobą żadnej torby. Kurtka jest z jasnej skóry. Zniknął jego samochód. Pożyczył sobie wóz od ojca, czarnego Saaba 93 Aero, to najnowszy model. Bergman nie mieszka już w Szwecji. Jak twierdzą rodzice, osiadł w Paryżu. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego oni wszyscy muszą mieszkać za granicą. Czy tu u nas nie mogą wyciągać pieniędzy od ludzi?

Tu i ówdzie rozległ się chichot. Pociągła, wręcz końską twarz Svantego Malma rozjaśnił uśmiech.

- Chyba bardzo dużo straciłeś, kiedy tak zwani maklerzy spekulowali twoimi akcjami? - zapytał przekornie.

- Nigdy nie miałem żadnych akcji, nie zamierzam też ich kupować! - odparł komisarz.

- Bardzo to rozsądne, wiadomo przecież, jak jest. A nas, nieszczęśników, których objął nowy system emerytalny, czeka trochę gorszy los. Wtedy nie mieliśmy wyboru. Właśnie pieniądze, które wpłacaliśmy na poczet emerytury, zniknęły. Te fundusze, którymi powinno się było tak zarządzać, żeby zapewnić nam spokojną starość, inwestowano w akcje firm informatycznych i telekomunikacyjnych. Nasze pieniądze zniknęły po prostu w próżni. Sprzeniewierzono też niemało składek na dawniejsze fundusze emerytalne. Siostry i bracia, jesień życia zapowiada się mizernie.

- Czyżbyś chciał zostać politykiem? - zapytał złośliwie Jonny.

- Nie. Ale możecie mi wierzyć: zostaniemy oszukani na emeryturach.

- Przestań o tym gadać i postaraj się raczej zasłużyć na pobory - poradził Jonny.

Po minie Anderssona, który pokiwał teraz głową, widać było irytację.

- Niech będzie. Jeśli chodzi o podwójną zbrodnię w Langedrag, mam trochę zdjęć domu i okolicy - oznajmił Svante.

Włączył odtwarzacz i obrócił się, żeby skomentować zdjęcia. Ponieważ ruchomy ekran nie został jeszcze naprawiony, rzucił je od razu na ścianę.

- Ta parcela znajduje się na uboczu, dość blisko góry Kariny. Jest tam domek letniskowy, który nadaje się do całorocznego zamieszkania. Trzy pokoje z kuchnią na osiemdziesięciu pięciu metrach kwadratowych, prócz tego piwnica pod całym domem. W ostatnich latach dobudowano wiatę garażową.

Dom był z drewna i wyglądał na świeżo malowany na jasnoszary kolor, miał też ciemnoniebieskie zdobienia. Nie imponował ani wielkością, ani niczym innym, ale Irenę odniosła lepsze wrażenie, gdy Svante zaczął pokazywać zdjęcia samej parceli. Była to rozległa naturalna przestrzeń na skalnej płycie, z całą milą widoku na morze. W żadnym z poprzednich śledztw Irenę nie natknęła się na tyle domów położonych w nadmorskich okolicach. Łatwo to było objaśnić: widok na morze jest niezwykle kosztowny.

- Przez półtorej doby, począwszy od poniedziałkowego wieczoru, mocno padało. Zwłoki znaleziono dopiero w środę, a do tego czasu większość śladów na zewnątrz domu zmył deszcz. Mimo starań nie natrafiono na żadne ślady trzeciego samochodu. Na pokrytym żwirem parkingu przed domem widać tylko ślady kół dwóch aut.

Tommy podniósł rękę.

- Czy po samochodzie, którym przyjechał starszy Rothstaahl, nie pozostał żaden ślad? - zdziwił się.

- Nie. Przyjechał na rowerze. Rodzice Joachima mieszkają niecały kilometr od tamtego domu. Mniej więcej rok temu Joachim zajął go po śmierci dziadka. Doprowadził dom do ładu i, jak mówi ojciec, zamierzał go rozbudować po swoim powrocie do Szwecji - odpowiedział Jonny.

- Gdzie ostatnio mieszkał? - zainteresował się Tommy.

- W Paryżu.

Zareagowali i Tommy, i Irenę, ale ona była szybsza.

- Tak więc obaj, Joachim Rothstaahl i Philip Bergman mieszkają... mieszkali w Paryżu - stwierdziła.

- Tak.

- Zatem dlaczego musieli się spotkać w Göteborgu? Na to pytanie Jonny nie miał odpowiedzi, wzruszył tylko ramionami.

Technik pokazał teraz w zbliżeniu klamkę u drzwi.

- To drzwi domu. Nie były zamknięte, kiedy w środę dotarł tam ojciec Rothstaahla. Nic nie wskazuje na to, by ktoś wyłamał zamek. Drzwi werandy były jednak zamknięte. Można je otwierać tylko od wewnątrz.

Później zobaczyli całą sekwencję zdjęć wnętrza domu. Svante Malm zatrzymał się z konieczności przy zdjęciach kuchni.

- Stała tam torba z trzema butelkami czerwonego wina, prócz tego na stole były bułki w torebce i dwie bagietki. W lodówce leżała paczka rostbefu i duża miska sałatki z ziemniaków. Ponadto świeżo kupiony cheddar i paczkowany ser „Bregott”. Trzeba do tego dodać cztery półlitrowe puszkę mocnego piwa, nieotwarty litr mleka i mały karton jaj.

- Wygląda to na żarcie dla dwóch osób. Czy byli pedałami? - zapytał Jonny.

Malm wzruszył ramionami.

- Ten Rothstaahl chciał przecież zamieszkać ze swoją partnerką. Wobec tego nie mógł być... kimś takim! - zirytował się Andersson.

- Nie trzeba tego mówić - powiedziała Irenę tak cicho, że usłyszał ją tylko Tommy.

- Oczywiście zebraliśmy tyle włosów i włókienek, ile można było. Ale jestem pesymistą, bo dom okazał się strasznie zasyfiony. Dotychczas nie znaleźliśmy niczego, co moglibyśmy nazwać poszlaką. Nic, co miałoby takie znaczenie, jak taśma odbłaskowa w Askim. Dalej rozpracowujemy odciski palców. Kul nie musieliśmy przecież szukać, bo utkwiły w ciałach ofiar. Mam jednak pewną teorię co do sposobu, w jaki działał morderca. Zakładam, że zrobiła to tylko jedna osoba.

Svante Malm włączył rzutnik zamiast odtwarzacza. Pokazał szkic domu, wykonany przez siebie czarnym i czerwonym tuszem.

- Kiedy wchodzimy do holu, mamy kuchnię tuż obok, po lewej stronie. Kierując się na prawo, trafiamy do salonu. Trzeba przejść przez kuchnię, żeby się dostać do sypialni. A na wprost mamy dwoje drzwi. Jedne prowadzą do toalety, a te przy kuchni - do garderoby. Moim zdaniem, morderca mógł się ukryć w garderobie. Albo też wszedł do domu po Rothstaahlu i Bergmanie, którzy nie zamknęli drzwi. Tyle że w takim przypadku obaj musieliby, moim zdaniem, wypatrzeć go przez okno w kuchni. I wtedy któryś wyszedłby pewnie do holu, żeby przywitać gościa.

Malm włączył znów odtwarzacz i przesunął kolejne zdjęcie. Tę fotografię wykonano z góry, a ukazywała zabałaganioną podłogę w garderobie. Wśród butów, poduszek na krzesła ogrodowe i dresów widać było ciemnoniebieski pasek frotte. Wyglądało na to, że ktoś go wrzucił do środka, właśnie na podłogę, przy czym jego końcówka wylądowała na progu.

- Zauważyłem, że drzwi są uchylone. Z powodu paska, który leżał w poprzek, nie dawały się zamknąć. I wtedy przyszło mi na myśl, że właściwie ktoś mógł nie chcieć, żeby się zamknęły. Gdyby na przykład ktoś chciał stać za nimi i wyglądać na zewnątrz. Od stojących w kuchni ofiar dzieliłyby go nie więcej niż trzy kroki. Prawdopodobnie morderca ich zaskoczył.

Rothstaahl pewnie nie zorientował się, co jest na rzeczy. Myślę, że Bergman miotał się i spróbował uciec do sypialni. On zrozumiał sytuację.

Svante przedstawił wiarygodny scenariusz. Ale i koszmarny, bo obaj mężczyźni byli w ogóle bez szans. Komisarz i Jonny mogli sobie do woli dworować z „babskiej spluwy”, ale ten morderca dokładnie wiedział, czego chce.

Nasuwało się tylko pytanie: dlaczego?

Svante podziękował za uwagę i wyszedł z pokoju, zapowiadawszy, że się odezwie, gdy wyniknie coś nowego.

- Dziś rano rozmawiałem ze stryjem Rothstaahla. On mieszka na samym początku odnogi, która prowadzi do tamtego domu. Widocznie dziadek Rothstaahl kupił sporo ziemi na tym pustkowiu krótko po 1950 roku. Szkoda, że mój tego nie zrobił - powiedział, z odpowiednim grymasem na twarzy, Jonny.

- Czym się wtedy zajmował? Dziadek Rothstaahl, a nie twój - wtrącił się Tommy.

- Odzież. Ojciec i stryj Joachima przejęli firmę i dalej sprzedają ubrania. Joachim nie był tym chyba zainteresowany. Jakkolwiek było, stryj twierdzi, że około wpół do ósmej widział nadjeżdżający samochód Philipa Bergmana. Ale, według stryja, samochód odjechał tuż przed ósmą. Z Bergmanem za kierownicą. Stryj rozpoznał jego jasną skórzaną kurtkę.

Komisarz wyglądał na zamyślonego. Po chwili jego twarz się rozpromieniła.

- - Mogło przecież być tak, iż Bergman wyjechał, żeby kupić coś, o czym obaj zapomnieli, a potem wrócił. A zginęli dopiero wtedy, gdy...

Jedno tylko spojrzenie na twarz Jonnyego kazało Anderssonowi zamilknąć. Jonny pokręcił powoli głową i powiedział:

- Nie. Stryj i jego żona siedzieli od wpół do ósmej do dziesiątej przy wielkim oknie ze skrzydłami. Grzali się ciepłem z kominka i słuchali muzyki. Nie mogli stamtąd przeoczyć nikogo, kto jechałby tą drogą. Bergman nie wrócił. Między wpół do ósmej a dziesiątą nie pojawił się również żaden inny samochód.

- Czy przy tej drodze są jakieś inne domy? - zapytała Irene.

- Nie. Tylko dom stryja na początku, a na końcu drogi ten, który zajął Joachim.

- Czy to ślepa uliczka?

- Tak.

- Jaka jest odległość między domami?

- Niespełna sto metrów.

- Czy oni nie słyszeli niczego, co by mogło brzmieć jak strzały?

- Nie.

Irenę zastanowiła się nad tym, co powiedział Jonny.

- Pozwólcie, że podzielę się krótką refleksją. Jeśli siedzieli przy kominku, to chyba nie całkiem dobrze widzieli drogę? A skoro zwykle siedzą tam i podziwiają morze, to wątpię, czy było tak w poniedziałek wieczorem. Przecież padał deszcz - przypomniała.

- Byłem dzisiaj u nich. Fotele i kominek stoją w niewielkiej oszklonej dobudówce do pokoju. Mają więc okna na trzy strony. Kominek stoi w kącie. Każde z nich zajmuje wielki fotel ustawiony w stronę okna. Ma więc widok na morze. Droga ciągnie się nie więcej niż piętnaście metrów od domu. Jeśli już nic innego, to przynajmniej słyszą nadjeżdżający samochód. Zresztą i stryj, i jego żona są ludźmi sześćdziesięcioletnimi, i oboje sprawiają wrażenie zdrowych. Nie są głusi ani zdziecinniali - powiedział Jonny. - Ale Philip Bergman nie mógł odjechać samochodem, skoro najwidoczniej nie wrócił. Bez wątpienia Philip leżał, zamordowany, w domku. A samochodu jak nie było, tak nie ma - stwierdził Tommy.

- To nie Philip prowadził samochód około ósmej. Był to morderca, który wszedł do wozu Philipa i spokojnie odjechał z miejsca zbrodni. Zabrał nie tylko wóz, ale i kurtkę. W deszczu i ciemności stryj Rothstaahla dopatrzył się tylko tamtej jasnej kurtki za kierownicą. I dlatego pomyślał, że prowadził Philip - wyjaśniła Irenę.

- To faktycznie brzmi prawdopodobnie - zgodził się Tommy.

- Tak więc możemy ściślej określić czas dokonania mordu. Między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą zero zero.

Irenę zobaczyła, że większość obecnych kiwa głowami. Jonny marszczył czoło w zamyśleniu.

- To może się zgadzać. Pozostaje więc odpowiedzieć na pytanie, dlaczego stryj i stryjenka nie słyszeli strzałów. I to czterech. Czyżby tak głośno nastawili muzykę?

- Użyto tłumika - powiedział Tommy.

- Dlaczego tak myślisz? - zainteresował się Andersson.

- Nikt inny w Askim też nie słyszał strzałów. I po cóż się narażać, że ktoś je usłyszy? Przyda się tłumik. Do pistoletu małego kalibru, strzelającego kulami bez osłonek, które zostają mocno zdeformowane. I niechybnie zadają śmierć. Mamy tu do czynienia z zawodowcem - zakończył Tommy.

Irenę była skłonna przyznać mu rację. Broń większego kalibru jest ciężka i wymaga kabury, żeby jej nie było widać. Na ogół zresztą ją widać, bo w podejrzanym sposobie wybrzusza kurtkę. Broń małokalibrową łatwiej ukryć pod wierzchnim okryciem.

- Co morderca mógł zabrać z torby Philipa Bergmana? - zapytała Kajsa Birgersdotter.

Było to bardzo słuszne pytanie, którego przez pośpiech zapomniano zadać. Jonny rzucił Kajsie spojrzenie świadczące o irytacji - powód był prosty: nie potrafił udzielić przekonującej odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia - przyznał wreszcie niechętnie.

- I, moim zdaniem, Irenę poruszyła ważną kwestię. Dlaczego musieli się spotkać w Göteborgu, skoro obaj mieszkali w Paryżu? - pytała dalej Kajsa.

- To powinniśmy ustalić - potwierdził Tommy.

- Jak posuwa się twoja praca nad rozszyfrowaniem tamtej firmy gromadzącej dane? - zapytał Andersson, patrząc wymownie na Kajcę.

- Firmy informatycznej. Dobrze, dziękuję. Jutro spotkam się z dziennikarzem, który pisze książkę o krachu informatycznym. Już zamieścił w niej rozdział o ph.com i liczę na dalsze informacje z jego strony.

Irenę i Tommy przedstawili pokrótce wyniki swoich przedpołudniowych poszukiwań. Jak przewidywali, wcześniejsze powiązania wszystkich tych osób wyraźnie zaintrygowały innych oficerów śledczych.

- Bonetti i Rothstaahl prowadzili razem podejrzane interesy w Londynie. Był tam jeszcze jeden czarny koń, którego musimy sprawdzić, mianowicie Norweg nazwiskiem Erik Dahl. Sanna Kaegler i Thomas Bonetti stworzyli ph.com i później pograżyli tę firmę. Jak się okazuje, bracia Fenton i Kjell Bengtsson Ceder znali się od dawna, zresztą obaj bracia wzięli udział w tragicznym dla pierwszej żony Cedera rejsie sprzed szesnastu lat. Rok temu Ceder niespodziewanie ożenił się z Sanną Kaegler. Teraz wygląda też na to, że Philip Bergman i Joachim Rothstaahl mieli jakieś wspólne plany. Gdzie w tym splocie powiązań kryje się wyjaśnienie owych trzech morderstw? - zapytała Irenę swoich kolegów.

- Czterech morderstw - poprawił ją Tommy. - - Jak to? Czterech?! - spienił się komisarz.

- Proszę nie zapominać o Bonettim. On od trzech lat nie daje znaku życia. Może dlatego, że nie żyje.

Birgitta siedziała, jak na nią, spokojnie w czasie tej wymiany zdań, ale teraz poprosiła o głos.

- Powinniśmy chyba dokonać rewizji u Bergmana i Rothstaahla. W Paryżu.

- W Paryżu?! To niemożliwe! - stwierdził stanowczym tonem Andersson.

- Czy w inny sposób dowiemy się, co knuli ostatnio? - spytała Birgitta.

- Wysondujemy władze - zapowiedział bez przekonania Andersson.

- Owszem, możemy to zrobić. Ale nieprędko otrzymamy odpowiedź. A to, co usłyszeliśmy o owych dżentelmenach, każe mi podejrzewać, że władze nie mają pojęcia, o co tu może chodzić. I skoro ewentualny projekt obu współników był w stadium planowania, to powinno się coś znaleźć w ich komputerach. Czy sprawdziliście komputery Bergmana i Rothstaahla? Birgitta skierowała swoje pytanie do Jonny'ego, ale odpowiedział Fredrik Stridh.

- Nie. Z tego prostego powodu, że w domu nie było żadnych komputerów. Na biurku w sypialni stała drukarka z jakimiś luźnymi przewodami elektrycznymi obok niej, ale komputera nie było.

- Tacy faceci nie posługują się komputerami nieprzenośnymi. Używają laptopów, żeby móc pracować w pociągach, samolotach i pokojach hotelowych - powiedziała Birgitta.

- Mamy więc chyba odpowiedź na pytanie o to, co znajdowało się w torbie, którą zabrał morderca: laptopy Bergmana i Rothstaahla - stwierdziła Irenę.

- Tam mogą być dyskiety. To znaczy w Paryżu - upierała się Birgitta.

- Dobrze, dobrze. Przestańmy gadać o Paryżu! - uciął komisarz.

Na jego czole pojawiły się wyraźne bruzdy, a wzrok skierował jakby w głąb siebie.

- Musisz jeszcze porozmawiać z rodzicami Bergmana. Być może wiedzą, na co się zanosilo. Sprawdź, ile pieniędzy

miał na różnych kontach. To zresztą dotyczy wszystkich uwikłanych w sprawę osób. Trzeba zbadać ich finanse. Irenę i Tommy przekąszą coś w towarzystwie Sanny Kaegler-Ceder. Poobserwujcie jej reakcję na wiadomość o śmierci Bergmana i Rothstaahla. Niech Jonny i Fredrik dalej zajmują się rodzicami, innymi krewnymi i sąsiadami Rothstaahla - dodał po chwili.

Komisarz odchrząknął i umilkł. A potem nagle wybuchnął:

- - Wiedziałem, że coś mi wyleciało z pamięci! Niech Kajsa dalej zbiera informacje o tej firmie gromadzącej dane, z której zniknęła cała masa pieniędzy.

- Chodzi o firmę informatyczną. Jej nazwa to ph.com - westchnęła Kajsa Birgersdotter. Andersson udał, że nie słyszy tego sprostowania.

Sanna Kaegler-Ceder miała dyskretny makijaż i sprawiała wrażenie o wiele pogodniejszej niż poprzedniego dnia. Jej jasne włosy opadały na ramiona i, świeżo umyte, lśniły w świetle, które padało spod sufitu, z secesyjnej lampy. Wpuściła policjantów do wielkiego holu i przed nimi weszła do biblioteki. Roztaczała zapach ni to cytrusowy, ni to jaśminowy. Ireń zwróciła uwagę na skórzany spodniom z zakietem do pasa, kojarzącym się z kurtkami dżinsowymi. Biała jedwabna bluzka z dekoltem pokazywała, że wysadzany brylantami krzyż jest na swoim miejscu między piersiami.

Popołudniowe słońce, które przedostawało się przez brudne okna, oświetlało - krążące w powietrzu - błyszczące cząsteczki pyłu. Ireń wyobraziła sobie szczodłą wróżkę, która otrząsa ze swej czarodziejskiej różdżki pył o magicznym działaniu i sprawia, że osiada on na powierzchni wypolerowanego stołu, tuż obok sofy. W podświadomości Ireń pozostał chyba stary animowany film o Śpiącej Królewnie. Być może mocny zapach starych ksiąg skierował jej myśli ku baśniom.

Sanna mogłaby niewątpliwie odgrywać rolę księżniczki w jakiejś współczesnej baśni o życiowym sukcesie - była młoda, piękna i bogata. Ale jej księżę nie mieścił się właściwie w tej historii. Kjell Bengtsson Ceder był oczywiście bogatym człowiekiem, ale nie młodym. I nie on okazał się ojcem małego księcia Ludwiga.

Policjanci usiedli na sofie, zachęceni do tego przez Sannę, która zajęła jeden z foteli. Światło padające z okna tworzyło jakby aureolę z włosów, twarz natomiast znalazła się w cieniu. To, że policjanci nie widzieli wyrazu twarzy Sanny, dawało jej pewną przewagę. Ireń podejrzewała, że Sanna celowo tak usiadła, im wskazując sofę. Pani Kaegler-Ceder siedziała teraz spokojnie, oczekując ich pytań.

- Kiedy przenosisz się z powrotem do Askim? - zaczął Tommy.

- W sobotę. Jutro dom będzie sprzątny. I do tego czasu uruchomiona zostanie tam także instalacja alarmowa.

- Nasi technicy zwrócili uwagę na to, że w tamten wieczór, kiedy zamordowano twojego męża, alarm nie był włączony.

- Zgadza się. Mikę... Michael Fuller, który jest szefem ochrony w hotelu Gothenburg, pomaga mi w zainstalowaniu alarmu. Zna się na tym.

Tommy skinął głową i z niezmienną swobodą powrócił do indagacji:

- Chciałbym cię zapytać, czy od czasu zniknięcia twego dawnego współdnika, Thomasa Bonettiego, nie miałaś jakichś wiadomości od niego.

Można było wyczuć, że Sanna zamarła. Nie była przygotowana na to pytanie. Odpowiedziała po chwili głosem pełnym napięcia:

- Nie. On po prostu... zniknął. Skąd to pytanie?

- Czy domyślasz się, dlaczego zniknął?

Kolejna odpowiedź padła znacznie szybciej, bo Sanna wiedziała już, czego się spodziewać.

- Nie mam pojęcia. Od kwietnia 2000 roku, kiedy przestała istnieć firma ph.com, nie mieliśmy kontaktu.

- A to dlaczego?

- Nie... rozstaliśmy się w przyjaźni. Philip i ja próbowaliśmy z nim rozmawiać. Nie podzielał on naszych celów, a chcieliśmy stworzyć strony internetowe i zapewnić funkcjonowanie wszystkich lokalnych biur przed wejściem na giełdę. Harowaliśmy jak woły, na okrągło! Za finanse odpowiadał Thomas, ale on nigdy nie mógł pojąć, że trzeba inwestować, by coś zyskać. Nasze inwestycje miały charakter globalny! Jemu zależało tylko na tym, żeby firma ph.com weszła na giełdę i żeby wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy, zanim trzeba będzie wziąć nogi za pas!

Pod koniec Sanna mówiła już z zajadłością i wyczuwało się jej wielką niechęć do dawnego współdnika.

- Zdążył więc przywłaszczyć sobie sporo pieniędzy, zanim bankructwo stało się faktem?

- Tak.
- Ile?

Odpowiedź Sanny poprzedziło wzruszenie ramion:

- Nie wiem dokładnie. Pozbyliśmy się go ze spółki za cenę pięciu milionów, ale wiemy, że przelał jakieś sumy z rachunku ph.com na konto, które gdzieś założył. Zresztą to policja później dowiedziała się o tym. Nie wiem dokładnie, o jakie sumy chodziło.

- Czy nie przypominasz sobie, ile to mogło być w przybliżeniu?
- Sądzę, że pięć albo sześć milionów.

Oznaczało to, że Bonetti miał dostęp do co najmniej dziesięciu milionów koron, kiedy zniknął, a nie do pięciu, jak wcześniej ustaliła policja. Czy Sanna mówiła prawdę? Mimo wszystko w grę wchodziła różnica rzędu pięciu milionów koron.

- Czy jest możliwe, aby zdążył wyciągnąć z firmy jeszcze więcej pieniędzy? - zapytała Irene.

- Owszem. Były takie podejrzenia... niewykluczone, że aż dwa miliony dolarów.

- Czy po bankructwie spotykałaś się z Philipem Bergmanem?

- Tak. Ale niezbyt często. Mieszkał dalej w Londynie, a potem przeprowadził się do Paryża.

- Kiedy widzieliście się po raz ostatni? Sanna zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- Dwa lata temu w Londynie.

- Czy utrzymywaliście jakiś inny kontakt?

- Czasem wymienialiśmy maile. I dostałam kartkę z życzeniami z okazji ślubu i przyjścia Ludwiga na świat.

- Czy wiesz, czym Philip zajmuje się w Paryżu?

- Czym się zajmuje?

- W jakiej branży pracuje?

- Działa w biznesie. Jest świetnym biznesmenem.

- Czy wiesz, jakiego rodzaju interesy wchodzi w grę?

- Nie.

- Co robił w Londynie?

- Zarządzał finansami.

- W jakiej firmie pracował?

- Razem z kimś prowadził własną firmę.

- Czy znasz jej nazwę?

- Chyba ją kiedyś słyszałam... Eurofinance albo jakoś tak...

Irene zaczęła coś kojarzyć.

- Jak się nazywał wspólnik?

- Joachim Rothstaahl.

- Czy znasz Joachima Rothstaahla?

- Niezbyt dobrze. Spotkaliśmy się kilka razy w Londynie.

Tego można się było spodziewać, ale Irene poczuła, że z trudem skrywa swoje wrażenie. O jej odczuciach świadczył zapewne wyraz twarzy, toteż niełatwo przyszło je zataić.

Joachim Rothstaahl prowadził swego czasu firmę inwestycyjną razem z Thomasem Bonettim.

A teraz wyglądało na to, że dawny i nowy partner Bonettiego połączyli siły i założyli taką samą spółkę. Czy i w niej zarządzanie cudzymi pieniędzmi tworzyło piramidę? Czy

Bergmanowi i Rothstaahlowi zaczął się w Londynie palić grunt pod nogami? Czy dlatego przenieśli się do Paryża?

Sanna, która być może odgadła myśli Irene, zapytała ostrym tonem:

- Dlaczego pytacie o Thomasa i Philipa? Tommy nie odpowiedział, lecz zadał pytanie:

- A więc w ciągu ostatniego roku nie miałaś wieści od Philipa Bergmana, jeśli pominiemy parę maili i pocztówek?

- Nie, innych kontaktów nie było.

- Czy wiedziałaś, że na ostatnie święta zamierzał przyjechać do Góteborga?

- Nie... i przyjechał?

Jej głos świadczył o szczerym zdziwieniu.

- Przygotuj się na przykrą wiadomość - powiedział spokojnie Tommy.

Majestatyczna postać, na którą padało światło, zamarła, ale nie padło ani jedno słowo.

- Znalezione zwłoki obu, i Philipa Bergmana, i Joachima Rothstaahla. Zostali zastrzeleni.

Zamordowani. Szczerze ci współczuję z powodu śmierci twoich przyjaciół - rzekł przyjaznym tonem Tommy.

Sanna siedziała w zupełnym milczeniu. Ireń ledwo usłyszała przełknięcie śliny. Zrozumiała, że Sanna chce coś powiedzieć, ale nie potrafi wydać z siebie żadnego artykułowanego dźwięku. Sanna uniosła się powoli, uchwyciwszy się kurczowo obu oparców fotela. Z jej gardła wydobył się jęk rozpacz, który przerodził się nagle w przejmujący krzyk.

- Nieee! Nie Philip! Nie Phil...

Ireń nie zdążyła jej tym razem uchronić przed upadkiem na podłogę.

- A więc znów zemdląca? - upewnił się komisarz Andersson.

Tommy skinął głową.

- Tak. Chyba zdarza jej się to, kiedy jest nazbyt czymś przejęta. Tak przynajmniej twierdzi jej matka. Niskie ciśnienie. Ale ja podejrzewam coś wręcz przeciwnego.

Ireń znów poczuła ciarki na plecach, gdy przypomniała sobie zamieszanie, jakie powstało, kiedy Kaegler wpadła do biblioteki, sprowadzona tam przez rozpaczliwy krzyk córki. Sytuacji nie poprawiało bynajmniej miotanie się Elsy i załamywanie przez nią rąk ani też jej płacz. W końcu wzięła się jednak w garść i wezwała telefonicznie lekarza, który przepisał Sannie środki uspokajające. Miał on prywatną praktykę kilka domów dalej, zjawił się więc już po dziesięciu minutach. Scedowanie odpowiedzialności na niego sprawiło, że świadkowie zdarzenia poczuli ulgę. Kilka razy zdawało się, że Sanna dochodzi do siebie, ale gdy tylko próbowała wstać, znów popadała w omdlenie.

- W Askim zachowywała się podobnie, ale jestem coraz bardziej przekonana, że powodem było przede wszystkim przebywanie Kjella Bengtssona Cedera w jej domu - powiedziała refleksyjnie Ireń.

- Przypominam sobie jej słowa o skalaniu domu - dodał Tommy, kiwając głową.

- | A jednak przeżyła prawdziwy szok, gdy usłyszała o śmierci Rothstaahla i Bergmana - stwierdziła Ireń.

- Moim zdaniem, bardziej przejęła się wiadomością o śmierci Bergmana. Raczej niezbyt dobrze znała Rothstaahla.

- Słów tej paniusi trzeba chyba słuchać z przymrużeniem oka. Sądzę też, że powinniśmy pobrać w kostnicy od obu dżentelmenów próbki DNA. A nuż mały Ludwig jest faktycznie dzieckiem bez ojca - powiedziała Ireń tonem dającym do myślenia.

- Czyżbyś uważała, że ojcem chłopca może być Bergman albo Rothstaahl? - zapytał Andersson.

- Kto wie? Jedną tylko Sanna zna odpowiedź na pytanie o ojcostwo. Być może zna ją także ojciec, ale co do tego nie ma pewności. Wszyscy przecież uznali Kjella Cedera za ojca małego Ludwiga.

- Ale Sanna i Ceder wiedzieli, że to nie mógł być on. Dlaczego Ceder ogrywał tę rolę wobec cudzego dziecka? - indagował dalej komisarz.

- To pytanie zadamy Sannie we właściwym czasie - zapewnił Tommy.

- - Tej pani wypadnie jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań - powiedział do siebie Andersson. Komisarz wstał i gestem zmęczonego człowieka przetarł oczy. Widać było po nim starość i znużenie. „Dlaczego upierał się przy pozostawaniu na czele wydziału? Bo ta praca jest całym jego życiem” - sama sobie odpowiedziała Ireń.

- - Teraz do domu. Widzimy się na porannej odprawie - oznajmił Andersson.

Podszedł do wieszaka przy drzwiach i zdjął z niego swój stary, znoszony płaszcz.

Rozdział 6

- Samochód Bergmana został odnaleziony na Saltholmie - oznajmił komisarz na piątkowej porannej odprawie. - Stał zaparkowany na łące, która jest używana w letnich miesiącach, kiedy brakuje miejsc do długiego parkowania. Obszukują go technicy. Żadnej kurtki ani torby w nim nie było - dopowiedział.

- Saltholm. Stamtąd odpływają na szkiery małe statki. I te na Styrsó - zwróciła uwagę Irene.

- Czy przyszedł ci na myśl ten cały Bonetti? - zainteresował się Andersson.

- Tak.

Komisarz przyglądał się jej przez dłuższą chwilę w zadumie.

- Według ciebie, coś śmierdzi w sprawie Bonettiego - stwierdził.

- Bez wątplenia. Morderstwa i zniknięcie Bonettiego są związane ze sobą. Za pierwszym razem nie wykryliśmy niczego. Chcę spojrzeć świeżym okiem na materiały z tamtego pierwszego śledztwa. Teraz wiemy więcej i, być może, zwrócę uwagę na coś, co wtedy wydawało się nieistotne. Poza tym,

zważywszy na los Bergmana i Rothstaahla, możemy, moim zdaniem, zacząć traktować przypadek Bonettiego jako historię morderstwa, a nie zniknięcia. Przynajmniej nieoficjalnie - zaproponowała Irene.

- Niech nikt tutaj nie wyciąga pochopnych wniosków! Trzy pewne morderstwa to aż nadto! Bonetti był poszukiwany z powodu przestępstw finansowych. Zresztą sama mówiłaś, że z dawnych czasów zostało mu dość brudu na palcach. Ten facet miał swoje powody, żeby się ulotnić!

Twarz Anderssona pociemniała i z irytacją bębnił palcami po stole. Zerknął na Irene wzrokiem pełnym niezadowolenia. Ugrzęźli po kostki w gównie, prowadząc trzy śledztwa w sprawach morderstw, a ona postanowiła odgrzać jakąś starą historię! Tok myśli komisarza został zakłócony, gdy natknął się na wzrok Irene. Niechętnie powrócił pamięcią do wcześniejszych śledztw, kiedy to nie zawiodła jej intuicja. Owszem, niejedną raz się pomyliła, ale na ogół trzeba było w końcu właśnie jej przyznać rację. Oficer śledczy, który prowadzi dochodzenia w sprawach morderstw, musi się odznaczać doświadczeniem, intuicją i uporem. Irene posiadała te wszystkie zalety.

- Zgoda. Dzisiaj możesz się zająć Bonettim - zezwolił surowym tonem komisarz.

Irene skinęła głową, ale nie dała po sobie poznać, że triumfuje. Bardzo dobrze wiedziała, że może się znaleźć na fałszywym tropie, a wtedy cały dzień pracy pójdzie na marne. Ale, z drugiej strony, tak bywa przy prowadzeniu śledztwa. Chodzi o ujawnienie faktów, które pozostawały w ukryciu, o naświetlenie ich oraz o staranne zbadanie. A potem podejmuje się decyzję o pominięciu bądź odłożeniu na później. Nierzadko jest tak, iż coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się mało ważne, uzyskuje rozstrzygające znaczenie po zebraniu dodatkowych informacji. Irene miała przecucie, że w materiałach z wcześniejszego śledztwa w sprawie zniknięcia Thomasa Bonettiego znajdzie jakiś trop, który pozwoli posunąć się naprzód.

- Tommy, przecież to ty przesłuchiwałeś Sanne Kaegler-Ceder. Chcę, żebyś zaczął ją mocniej przyciskać do muru. Musi wiedzieć niejedno, ale tego nie ujawnia! Ze wszystkimi ofiarami coś ją łączyło. I, jak mówiłem już wczoraj, przyjrzyj się finansom państwa Kaegler-Ceder. Pieniądze zawsze silnie motywowały do morderstwa - powiedział Andersson.

Komisarz obrzucił wzrokiem swój personel. Brakowało Kajsy. Umówiła się na spotkanie z dziennikarzem, który pisał książkę o tamtej firmie informatycznej, ale zapowiedziała swoją obecność na popołudniowej odprawie. Miejsce Birgitty też nie było zajęte, ponieważ rodzice Philipa Bergmana poprosili, żeby przyszła już na ósmą rano. Zamierzali wyjechać do swojego domku letniskowego, aby się uchronić przed natarczywością mediów. Poprzedniego dnia

nagłówki wieczornych gazet krzyczały: „Dwaj znani finansisci zamordowani!” i „Złoty Cielec zamordowany!”.

Irenę dowiedziała się od Kajsy Birgersdotter, że „Złoty Cielec” to prasowy przydomek Philipa Bergmana. Zyskał go swym nieprawdopodobnym talentem do przyciągania inwestorów, przy czym nie musiał nawet kiwnąć palcem w bucie.

- Okej. Ruszamy - oznajmił komisarz, wstając. W drzwiach odwrócił się i dodał:

- Przed południem będę na jakimś zebraniu, ale po lunchu jestem do waszej dyspozycji.

Andersson nie wyglądał na zbytnio uradowanego tym, co ogłosił. Za zebraniem bynajmniej nie przepadał. Jego zdaniem, było ich za dużo i zabierały czas, który powinien być przeznaczony na właściwe działania. Mówiono tylko o oszczędzaniu pieniędzy, czyli o niszczeniu funkcjonującej jednak instytucji. Komisarz już prawie czterdzieści lat służył w policji. Gdyby go ktoś o to zapytał, stwierdziłby, że dawniej działa się pod każdym względem lepiej.

Na początek Irenę wczytała się jeszcze raz w zeznania świadków z przystani w Langedrag. Chodziło o trzech mężczyzn i dwóch nastolatków, którzy zeznali prawie to samo. Około ósmej zobaczyli nadjeżdżające BMW, które prowadził Thomas Bonetti. Zaparkował je i wyjął z bagażnika dwie torby na ramię. Jeden z mężczyzn przypomniał sobie, że Thomas rozmawiał przez komórkę, kiedy wysiadł z samochodu. Policji nie udało się natrafić na żaden ślad tej rozmowy.

Później Bonetti przeniósł swe torby, z głośnym stękaniem, na pomost i ruszył w stronę własnej łodzi. Wszyscy świadkowie mieli wrażenie, że większa torba była bardzo ciężka. Umieścił obie na pokładzie, uruchomił silnik i odcumował. Piątka świadków patrzyła z łądu na łódź, póki ta nie oddaliła się w kierunku pełnego morza.

W zeznaniach świadkach nie było niczego, co by zwróciło uwagę Irenę. Chyba że rozmowa z telefonu komórkowego. Szkoda, że nie udało się jej wytropić.

Nic też nie wniosło przesłuchanie rodziców Bonettiego. Usłyszeli od ojca tylko tyle, że potrzebuje ciszy i spokoju, żeby to i owo przemyśleć. A o co chodziło, nie domyślali się, jak sami stwierdzili. W pewnym momencie Irenę wyczuła dumę w słowach Antonia Bonettiego: „Thomas zajmuje się biznesem globalnym. Trudno precyzyjnie objaśnić osobom spoza branży, na czym taki biznes polega. Wszyscy właściciele wielkich koncernów uczą się tej sztuki bardzo szybko. Kto chce wspomnieć o zamiarze wycofania się, ten robi wrażenie, że ujawnia swą intencję w wielkim zaufaniu. Thomas nie wyjawiał nam swoich planów i ponieważ tego nie uczynił, chodziło niewątpliwie o jakąś sprawę wielkiej wagi”.

„Przygotowywanie własnego zniknięcia bez śladu można, i owszem, uznać za sprawę wielkiej wagi” - pomyślała nie bez sarkazmu Irenę. A przy tym: wielki biznesmen? W jej oczach był oszustem. Coś jednak zatrzymało tok jej myśli. Czyż Sanna nie wspominała, że Philip Bergman to świetny biznesmen? Czyżby oni faktycznie mieli siebie za poważnych finansistów?

Pozostawało już tylko jedno zeznanie, złożone telefonicznie tego dnia, kiedy gazety napisały o zniknięciu Bonettiego. Jakaś kobieta zadzwoniła na numer 112 i poprosiła o rozmowę z kimś, kto zajmuje się śledztwem w sprawie Bonettiego. Połączono ją z wydziałem ogólnym, z inspektorem, którego Irenę знаła jedynie z nazwiska. Spisał on zeznanie kobiety i na końcu umieścił własny komentarz: „Świadek mocno bełkocze i jest zapewne pod wpływem alkoholu. Obiecałem, że skontaktujemy się z nią, jeśli uznamy, że to posunie śledztwo naprzód”.

W tych materiałach Irenę nie znalazła niczego, co by wskazywało na nawiązanie kontaktu z tamtą kobietą.

Nazywała się Annika Hermansson. Mieszkając w najbliższym sąsiedztwie letniskowego domu Bonettiego, potrafiła rozpoznać i luksusowy jacht Thomasa, i odgłos silnika. Jej zdaniem, ta wielka łódź minęła zajmowany przez nią dom tuż przed wpół do dziewiątej i

zaczumowała przy pomoście Bonettiego. Około dziesięciu minut później odpłynęła, co zdziwiło sąsiadkę i wzbudziło jej ciekawość. I dlatego obserwowała jacht przez lornetkę. Opłynął on Branteskar i pewnie zacumował z drugiej strony, bo nie widziała, aby z tego okółozalewowego akwenu ruszył dokądkolwiek. Jak przyznała owa kobieta, „godzinami” wypatrywała, w jakim kierunku jacht popłynie. A skoro nic się nie działo, dała sobie spokój i położyła się. Kobieta zwróciła na coś szczególną uwagę, mianowicie na to, że przesunął się „kamień graniczny Nissego”. I zasugerowała, by policja koniecznie zbadała przyczynę. Chodzi tu o zagrożenie dla żeglugi!

Inspektor podziękował za informacje i odłożył słuchawkę. Swój raport uzupełnił taką uwagą: „Branteskar widnieje na morskiej mapie i znajduje się w odległości 2,5 kilometra od domu świadka na Styrsó. Zważywszy na późną porę, odległość i ciemności, należy wątpić, czy widziała cokolwiek przez lornetkę”.

Irenę przyznała koledze rację. Ale była też świadoma faktu, że chodzi tutaj o jedyne zeznanie w sprawie Bonettiego, które nie zostało przyzwoicie sprawdzone. Po kilkuminutowym namyśle uległa pokusie i zadzwoniła pod numer podany trzy lata wcześniej przez Annikę Hermansson.

Na promie, który w porze lunchu ruszył w kierunku wysepek południowego archipelagu, było około trzydziestu pasażerów. Przeważały mamy z małymi dziećmi i osoby na emeryturze, z zakupami. Spomiędzy nielicznych chmur wyzierało słońce, którego promienie odbijały się od grzbietów fal. Dookoła promu latały hałaśliwie mewy, przekonane pewnie, że to płynie kuter. Po przyjemnym półgodzinnym rejsie Irenę wysiadła na przystani Styrsó Brathen.

Uderzył ją kontrast w porównaniu z poprzednią wizytą. Ponieważ nie czuło się prawie w ogóle wiatru, mogła rozpiąć żakiet. Tu, bliżej morza, utrzymywał się letni nastrój. Na brzożach widać było złociste liście, ale bryza, która owiewała korony tych drzew, jeszcze niosła ze sobą zapach lata. Termometr na promie pokazywał +15°C, czyli więcej niż zwykle w połowie września. Irenę ruszyła tą samą drogą, którą pokonali z Tommym w tamten wietrzny i zimny grudniowy dzień sprzed niespełna trzech lat., kiedy szukali śladów Thomasa Bonettiego w domku letniskowym.

Adres, który Irenę otrzymała od Anniki Hermansson, zaprowadził ją do domu z piękną werandą, zapamiętanego z poprzednich odwiedzin. Weranda miała okna ze szprosami w czerwonym i zielonym kolorze. Był to dość duży dom z drewna. Jak niemal wszystkie większe domy na wyspie, zbudowano go z pewnością na początku minionego stulecia z myślą o letnim wypoczynku jakiejś bogatej rodziny z Göteborga. Gdy Irenę podeszła bliżej, zobaczyła, że ten stary dom jest w bardzo kiepskim stanie. Farba wokół okien zniknęła prawie bez śladu, a piękne rynny, zakończone smoczymi łbami, zdążyły przerdzewieć. Złocista farba ścian złuszczyła się w wielu miejscach. Trawa na niewielkiej przestrzeni przed wejściem do domu sięgała kolan. Jedyne wspomnienie po ogrodzie był wiciokrzew, który oplatał jedną z rynien.

Irenę zapukała do nieszczelnych już drzwi. Po dłuższej chwili usłyszała czyjś ochryply krzyk: - Proszę wejść! Drzwi są otwarte!

Inspektor nacisnęła klamkę i weszła. Uderzył ją odór niesprzątanego wnętrza i dymu z papierosów, i to z wyraźnie wyczuwalną domieszką zapachu wytrawnego wina. Równie obrzydliwie cuchnęła zepsuta karma dla kotów.

- Witam - powiedziała głośno Irenę.

- I ja witam. Jestem w kuchni - usłyszała chropowaty głos kobiety.

Irenę przestąpiła przez rupiecie porozrzucane w ciasnym przedpokoju i skierowała swe kroki tam, skąd doszedł do niej głos kobiety.

Kuchnia okazała się duża i jasna. Od południowej strony wpadało tam słońce, które w późniejszych godzinach docierało przez okno od zachodu. Słoneczny blask nie dawał się chyba we znaki, jako że musiał się przedostać przez grubą warstwę soli i brudu. „Zewnętrzne

żaluzje są praktyczne" - pomyślała Irene. Sosnowe meble kuchenne pochodziły z lat siedemdziesiątych, a wystrój uzupełniały lodówka w kolorze owoców awokado oraz kuchenka. Unosił się tam ohydny zaduch, który sprawił, że Irene była zadowolona, iż nie zdążyła zjeść lunchu.

Kobieta z czarnym kotem na kolanach siedziała przy kuchennym stole. Drapała kota za uchem, a ten miauczał na całą kuchnię. Kiedy Irene przekroczyła próg, oboje unieśli wzrok.
- Dzień dobry. Nazywam się Irene Huss. Jestem inspektorem wydziału kryminalnego policji, dzwoniłam zresztą wcześniej. Czy pani jest Anniką Hermansson?

Kobieta skinęła głową.

- Chodzi o zniknięcie Thomasa Bonettiego... Zatelefonowałaś...

- Czas najwyższy! Dzwoniłam niejedną raz, ale wyście się nie przejęli. Trzeba telefonować całymi latami, żeby psy zareagowały! A kiedy ludzie dzwonią i kłamią na temat kogo innego, jesteście naprawdę szybcy. Zwłaszcza kiedy dzielą się kłamstwami o...

Kobieta powściągnęła język i wymamrotała coś, co nie dotarło do Irene. Na stole stała szklanka wypełniona do połowy czerwonym winem, którą kobieta podniosła i sporo upiła.

- Napijesz się? - spytała, wspaniałomyślnym gestem wskazując karton na kuchennym blacie.

- Nie, dziękuję. Jestem na służbie - odparła Irene i zmusiła się do przyjaznego uśmiechu.

Nie było w Annice Hermansson niczego, co by zachęcało do wyrażenia serdeczności. Jej ufarbowane na czarno włosy miały kilkucentymetrowe siwe odrosty. Na obwisłej, ciastowatej twarzy widać było wyraźne ślady zadawnionego alkoholizmu. Górna część jej ciała, którą okrywał brudny t-shirt, miała kształt wrzecionowaty, ale ręce i nogi okazały się chude jak u anorektyczki. Irene pomyślała, że ta kobieta przypomina wyglądem rzeźniczkę. Wiek Anniki Hermansson trudno było określić, ale Irene oceniła ją jako kobietę po pięćdziesiątce.

- Tak, tak. Nic nie szkodzi. Niedużo tego wina zostało w kartonie. Wkrótce Billy uzupełni zapas - wybąkała Annika.

- Kim jest Billy? - zapytała Irene, przede wszystkim po to, żeby nawiązać jakąś rozmowę z pijaną kobietą.

- To mój syn.

Irene zdjęła stare gazety i inne śmieci z najbliższego stołka i usiadła. Kot parsknął i zeskoczył na podłogę. Pewnie uznał, że Irene zakłóciła swoim pojawieniem się jego najprzyjemniejszy czas.

Kobieta o wrzecionowatej sylwetce podniosła się z trudem z kuchennej sofy i chwiejnym krokiem podeszła do kartonu, żeby dolać sobie wina. Wracając na swoje miejsce, rozlała sporo trunku na podłogę, ale nie starła plamy. Zasapała się i stęknęła, zanim usadowiła się znów na sofie. Na prośbę Irene opowiedziała, co się działo w tamten wrześnieowy wieczór przed trzema laty.

- Usłyszałam, że przyływa ta strasznie szybka łódź. Zdziwiło mnie to. Tak późno wieczorem i o tej porze roku. Rodzina Bonettich nigdy tu nie przyjeżdża po pierwszym września. Jacht należał do tego chłopaka. Nie przepadałam za nim. Lubił się przechwalać i wymyślać różne kłamstwa. Jest pięć lat starszy od Billy'ego, ale ciągle tu przychodził i pytał o mojego syna. Annika zamilkła i wlała w siebie niesamowitą ilość wina. Aby nie straciła wątku, Irene naprowadziła ją ostrożnie.

- Nie był więc lubiany przez kolegów.

- Przez kolegów? Dobre sobie! Ależ on nie miał żadnych!

Śmiech Anniki brzmiał nieprzyjemnie. Odsłaniane przy tym zęby upominały się o jak najszybsze uzupełnienie, jeśli w ogóle były jeszcze do uratowania.

- - Jak długo tamten domek jest w posiadaniu Bonettich? - zapytała.

- Długo. Mieli go, zanim urodził się Thomas. Jego siostra była niemowlakiem, kiedy się tutaj przenieśli. Chciałam jej pilnować. Nie zgodzili się. Choć miałam dopiero osiem lat, byłam oswojona z maluchami, bo opiekowałam się dwoma młodszymi braćmi.

Irenę poczuła się tak, jakby stanęła pod zimnym prysznicem. Siostra Thomasa Bonettiego liczyła sobie trzydzieści pięć lat. Skoro Annika Hermansson okazała się osiem lat starsza, to była też zaledwie o kilka lat starsza od samej Irenę. A Billy był pewno mężczyzną dwudziestoosmioletnim. To zaś oznaczało, że Annika urodziła syna, mając około szesnastu lat.

- Czy masz jakieś dzieci prócz Billy'ego?

- Nie. Tylko Billy'ego. I wystarczy!

Znowu rozległ się jej chrapliwy śmiech. Annika zaczęła grzebać w rzeczach, które zaśmiecały cały stół. Okrzyk triumfu oznaczał, że natknęła się na pomietą paczkę papierosów. Drżącymi palcami wyłowiła zmaltretowany, ale dość długi niedopałek. Kiedy wsunęła go między drętwe wargi, westchnęła z ulgą. Jej przekrwione oczy zmierzyły się z oczyma Irenę, gdy spytała:

- Masz ogień?

Irenę pokręciła głową. Kolejne przeszukiwania śmieci na stole zakończyły się znalezieniem pudełka zapalek. Po paru próbach uporała się z zapaleniem peta, zaciągnęła się mocno i zaczęła z rozkoszą wypuszczać nosem dym.

- Nigdy nie powiedziałam, kto jest ojcem Billy'ego. Nikt się tego nie dowie. Ale ten człowiek zawsze płacił. Teraz też. Żeby nie ujawniła...

Annika urwała, powściągnawszy język, i przez dym zerknęła przymrużonymi oczami na Irenę. Ciastowate fałdy skóry zebrały się dokoła oczu, w których pojawił się nieprzyjemny błysk.

Irenę uznała, że czas powrócić do tematu tamtego wieczoru sprzed trzech lat.

- A więc w ten wieczór, kiedy zniknął Thomas, słyszałaś, że tędy, obok domu, przepłynął jego jacht? - zapytała.

- Tak. Jak mówiłam, było to dziwne, bo...

- O której godzinie?

- Między ósmą a wpół do dziewiątej. Nie pamiętam dokładnie.

- To jakim cudem jesteś pewna godziny?

Annika wskazała przeciwległą ścianę. Irenę obróciła głowę i zobaczyła spory zegar kuchenny z sosnowego drewna.

- To chałupnicza robota Billy'ego. Chodzi na baterie - oznajmiła z dumą w głosie Annika.

- Opowiedz, co się działo. A więc usłyszałaś, że przepływa obok łódź i...

Skinieniem głowy Irenę zachęciła kobietę po przeciwnej stronie stołu, aby mówiła dalej.

- On wygasił silnik i podpłynął do ich pomostu. Nic ciekawego. Ale potem zrobiło się ciekawie, bo znowu uruchomił silnik i z niesamowitą prędkością zniknął na morzu!

- Ile czasu minęło od wyłączenia do powtórnego uruchomienia silnika?

- Nie więcej niż kwadrans. Albo może tylko dziesięć minut.

- Tak więc usłyszałaś, że znów uruchomił łódź, ale tego nie widziałaś?

- Nie. Ich pomost jest po drugiej stronie cypla. Ale później zobaczyłam tę wielką łódź, kiedy była już na morzu.

- Co wtedy zrobiłaś?

- Poszłam na górę, gdzie jest lornetka.

- To znaczy, że poszłaś na górę po lornetkę.

- Nie. Słuchaj, co ci mówię! Poszłam na górę, gdzie jest lornetka. Koniec kropka.

Irenę poczuła się bezradna - nie wiedziała, jak pokierować dalszym przesłuchaniem. Annika stawała się agresywna i mogła się nie na żarty rozszłościć. A wtedy nie można by z niej wydobyć żadnego rozsądnego słowa.

- Czy masz jakąś specjalną lornetkę? - zapytała na chybił trafił.

- Czy specjalną? Możesz się nią klepać po tyłku! Znowu przetoczył się po stole śmiech, który brzmiał jak

krakanie, a z nim kwaśny odór czerwonego wina.

- Jakim cudem widziałas coś przez lornetkę? Przecież było całkiem ciemno - pytała dalej Ireń.

Annika podniosła się na swych cienkich nogach.

- Chodź - powiedziała.

Niepewnym krokiem przeszła przez kuchnię. Niezdarnie przemierzyła hol i wzięła kurs na schody, które wiodły na piętro. Mocno się trzymając rozchwierutanej poręczy, zdołała trzeszczącymi schodami wejść na górę.

Schody kończyły się rozległym holem. Na wprost znajdował się balkon z widokiem na morze. Tuż przy oknie wychodzącym na balkon stał wielki teleskop.

- To teleskop Swarovskiego ze szkłem fluorytowym - powiedziała z dumą Annika.

Ireń nie знаła się na przyrządach optycznych, ale doceniła nowoczesność tego modelu.

Okular umieszczono nad tubą. Został on osadzony pod kątem 45 stopni w stosunku do korpusu teleskopu. Ireń zdjęła osłonę z soczewki i skierowała teleskop na niewielką motorówkę, która sunęła po wodzie. Pasażerów można było tylko się domyślić po niebieskiej i czerwonej kropce. Ale Ireń przeżyła nieomal szok, gdy spojrzała przez teleskop.

Mężczyzna ubrany na niebiesko okazał się wąsaczem w okularach. Kobieta w czerwonym zakiecie miała na głowie czerwony beret, spod którego wiatr porywał siwe loki. Wyglądali na ludzi po siedemdziesiątce. Ireń zobaczyła, że ci dwoje rozmawiają ze sobą i że kobieta wręcza mężczyźnie termos.

Kiedy Ireń oderwała wzrok od teleskopu, znów ukazała się jej niewielka łódź z dwiema ledwo widocznymi barwnymi plamami na pokładzie.

- Coś podobnego! Taki mocny teleskop! - zdumiała się.

- Owszem, owszem. Jasność światła wynosi szesnaście przecinek zero, przy dwudziestokrotnym powiększeniu - z zadowoleniem zagadała Annika.

Umożliwiało to oglądanie przez teleskop różnych rzeczy także o zmroku, póki utrzymywało się bodaj trochę światła. Tu, bliżej morza, uchowywało się ono o wiele dłużej niż w głębi lądu.

Ireń odsunęła się.

- Czy nie zechciałabyś nakierować go na Branteskar? - poprosiła.

Annika pochyliła się i zaczęła manipulować. Po dłuższej chwili teleskop znieruchomiał.

- Proszę. Nakierowałam go na kamień graniczny Nissego.

- Dziękuję.

Ireń zobaczyła wysepkę z bardzo stromymi skarpami, które sięgały brzegu morza. W skrajnym punkcie jednej z krawędzi wyspy ukazała się górna powierzchnia kamienia granicznego.

- Czy ten kamień znajduje się, z naszego punktu widzenia, w tylnej części wysepki? - zapytała.

- Tak.

- Dlaczego nazywa się kamieniem granicznym Nissego?

- Bo ustawił go Nisse. Dosyć często wpływał między Branteskar i Arskar. I dla łatwiejszej orientacji postawił ten kamień. Teraz kamień jest w innym miejscu. Wciąż to powtarzam! Ale nikt się nie przejmuje.

- Kiedy zauważyłaś, że kamień graniczny jest gdzie indziej?

- Kiedy zniknął Thomas. Zauważyłam przesunięcie już po paru dniach. Wtedy nie przejmowałam się tym, ale... przypomniałam sobie, że kamień jest... w innym miejscu, kiedy policja zaczęła szukać Thomasa.

Annika zachwiała się i opadła na wgniecioną sofę. Głośno beknęła i ziewnęła od ucha do ucha. Powoli wciągnęła nogę na sofę i ułożyła się wygodnie. Nie minęła nawet minuta, a już słyszeć było donośne chrapanie.

- To nie byle co! - stwierdził komisarz Andersson. Patrzył na Irenę z pewnym szacunkiem. Niezła robotka:

po trzech latach daremnych wysiłków wytropić nowy ślad.

- Jak chciałabyś wykorzystać zeznanie tej pijaczki? - zaciekał się.

- Zastanawiałam się, czy nie należałoby dokładnie obejrzeć kamienia Nissego. Jak mówiła Annika Hermansson, znalazł się on w innym miejscu w związku ze zniknięciem Thomasa Bonettiego. I, jej zdaniem, jacht dopłynął od tyłu do Branteskar, ale nie widziała, żeby oddalił się od tamtej wyspy - opowiedziała Irenę.

- Według ciebie, ta łódź została pogrzebana pod granicznym kamieniem - zadrwił Jonny Blom.

- Nie łódź, ale Thomas - odparła oschłym tonem Irenę. Wszyscy obecni zamilkli na chwilę.

- I jesteś o tym przekonana? - przerwał owo milczenie Andersson.

- Nie należy tego wykluczać. Uwierzyłam Annice, kiedy powiedziała, że kamień znalazł się gdzie indziej. Cały dom wygląda jak wysypisko śmieci, a jednak ma ona teleskop, którego cena idzie ponad wszelką wątpliwość w tysiące. Zdaniem Ahlena, coś takiego musi kosztować z piętnaście tysięcy. Odniosłam wrażenie, że ta kobieta rzadko wychodzi z domu albo w ogóle go nie opuszcza. Teleskop jest jej jedynym kontaktem ze światem zewnętrznym. Annika rozpoznaje pewnie każdy kamień i szczegół każdej wyspy, którą widzi przez teleskop - powiedziała Irenę.

- Chcesz, żebyśmy sprawdzili, co jest pod kamieniem - stwierdził z westchnieniem komisarz.

- Tak.

Andersson zafrasował się i zmarszczył czoło, zastanawiał się przez dłuższą chwilę. W końcu podjął decyzję i oznajmił:

- Niech tak będzie! Poproszę policję morską o posłanie ekipy technicznej na tamtą wysepkę.

- Tu chodzi o archipeląg Branteskar - sprostowała Irenę. Komisarz udał, że tego nie usłyszał. I zwrócił się do Tommy'ego.

- Czy szanowna pani Ceder dzisiaj coś powiedziała?

- Nie.

- Nic?

- Właśnie. Dziś przeniosła się z powrotem do Askim. I załatwiła sobie zaświadczenie lekarskie, według którego potrzeba jej kilku dni wypoczynku. Jak mówi jej mama, pani Ceder odmawia wszelkich kontaktów z prasą, ale z nami będzie przecież musiała rozmawiać. Tyle że dzięki zaświadczeniu lekarskiemu to się odwlecze. Będę mógł z nią znowu pogawędzić nie wcześniej niż we wtorek - wyjaśnił Tommy.

- Należałoby tę cholerną babę zamknąć i przyprzeć do muru! - powiedział półgłosem Andersson.

- Ona jest sprytna. Ale może nie aż tak sprytna, jak jej się wydaje. Sprawdziłem finanse tej pary. Milionowe zyski Sanny kurczą się z zawrotną prędkością. W Szwecji miała w zeszłym roku opodatkowane dochody w wysokości pięćdziesięciu dwóch tysięcy koron, a jej zyski oceniono na dwieście dziewiętnaście tysięcy. Niestety, nie potrafię ustalić, czy Sanna ma jakieś pieniądze w innych krajach, ale tu, w Szwecji, są one na wyczerpaniu.

- Czy straciła je przez budowę domu w Askim? - zainteresowała się Birgitta.

- Raczej nie. Zadzwoniłem do wydziału geodezji i okazało się, że parcela w Askim należała od lat do Kjella Bengtssona Cedera. Odziedziczył ją po pierwszej żonie. Najpewniej trzymał ją przez te lata, czekając na wzrost wartości.

- A potem udostępnił parcelę Sannie - wywnioskowała Birgitta.

- Tak. Chociaż budowę domu firmowała spółka akcyjna Cedera. Jego restauracja oraz hotel są własnością spółki K. Bengtsson Ceder AB. Co ciekawe, z ostatniej deklaracji tej firmy wynika, że jest ona w miernej kondycji.

- W miernej kondycji? - zdziwił się Andersson.

- Straciła bardzo dużo pieniędzy. Jak rozumiem, spółka Cedera znalazła się w tak złej sytuacji finansowej, że grozi jej wkrótce bankructwo - wyjaśnił Tommy.

- A tymczasem Sanna urządziła dom według swego kosztownego gustu, przy czym nikt nie kwestionował wydatków. Czy to nie dziwne? - zapytała Irene.

- I owszem. Ale może właśnie na to pozwolił sobie Kjell Ceder. Na zakwestionowanie kosztów. Wiemy, że spotkali się w sobotę przed jego tragiczną śmiercią. Mogli rozmawiać o kosztach domu i sytuacji spółki w czasie lunchu - zasugerował Tommy.

- Z wypowiedzi personelu restauracji wynika jednak, iż do żadnej sprzeczki nie doszło - wtrąciła Birgitta.

- Jakże by inaczej. Ale pomyśl o tym, że oni jedli lunch w lokalu należącym do Cedera. Personel boi się pewnie utraty pracy. Któż dziedziczy imperium Cedera? Właśnie Sanna. Birgitta pokręciła głową i nie przyjęła wyjaśnienia.

- To ja rozmawiałam z personelem. Szef ochrony, Michael Fuller, widział tę parę na sali i twierdzi, że się nie kłócili. Podobne zapewnienia padły z ust szefa kuchni, kelnerki, która obsługiwała ich stolik, i jeszcze jednego kelnera. Chyba wykryłabym fałsz w zeznaniach tych ludzi.

- Co nie wyklucza rozmowy o domu w kontekście złej sytuacji finansowej spółki. Mogli się wcześniej pokłócić o pieniądze, których brakowało. Albo też chodziło o uratowanie tego, co jeszcze było do uratowania - obstawał Tommy przy swoim.

Andersson zachłysnął się własną złością i dało się to słyszeć.

- Przestańcie spekulować, a po prostu wypytajcie tę paniusią! Już chyba czas, żeby coś wyśpiewała - stwierdził opryskliwym tonem.

- Ten orzech trudno zgryźć - powiedział Tommy z grymasem, który świadczył o znużeniu.

- Ty z nią rozmawiałeś. Nie daj się jej zwieść! Wie na pewno dużo więcej, niż nam dotychczas opowiedziała - upomniął go komisarz.

I zwrócił się do Birgitty:

- Co udało ci się ustalić na temat Philipa Bergmana? - zapytał.

- Rozmawiałam z jego rodzicami. Są przytłoczeni żałobą i dlatego niełatwo było o jakąkolwiek rozmowę. Philip to ich jedyne dziecko. Jak ustaliłam, od lat mieszkał za granicą. Najpierw w Londynie, a potem niecałe dwa lata w Paryżu. Zapytałam, dlaczego się przeniósł do Paryża, ale na to rodzice nie umieli odpowiedzieć. „Miał tam co robić. Jako doradca banku i w innym charakterze” - tyle powiedzieli, zresztą z pewnym wahaniem. Oni są bardzo dumni z Philipa i jego talentu do biznesu.

- Do biznesu? Przecież on tylko obracał cudzymi pieniędzmi i troszczył się o to, żeby zniknęły! - wtrącił się Andersson.

- Trafiłeś w sedno. Zastanawiałam się, dlaczego tak nagle wszedł w spółkę z Joachimem Rothstaahlem. Intuicja podpowiada mi, że coś knuli.

- Czy wypatrzyłaś coś w domu rodziców Bergmana?

- Nie. Pokój, który zajmował w chłopięcych latach, pozostawili w nienaruszonym stanie, kiedy wyprowadził się z domu. Pozwolili mi obejrzeć te rzeczy, które tam zostały. Ojciec Philipa opowiedział, że w poniedziałek po południu syn spakował wielką torbę na ramię i uprzedził, że w nocy go nie będzie. Poprosił ojca o wypożyczenie samochodu. Wspomniał tylko, że jedzie do Joachima, ale o spotkaniu z kimś jeszcze nie było mowy. Nie wypatrzyłam w jego pokoju ani komputera, ani żadnych dokumentów. Żadnej wskazówki. Jak twierdzą rodzice, zarezerwował na środek bilet do Paryża. I pewnie wszystko można by znaleźć właśnie tam.

- W Paryżu! - zirytował się Andersson. Birgitta zignorowała ten wybuch i dodała:

- Philip nie miał żadnych przychodów w Szwecji. Ale nadal był szwedzkim obywatelem. U komornika znalazłam pewien dokument windykacyjny, który jego dotyczy. Bergman nie spłacił kredytu na zakup samochodu. Było to jeszcze, zanim wyjechał na stałe do Londynu.

- Czym zajmują się jego rodzice? - spytała Irene.
- Ojciec jest optykiem, a mama pielęgniarką. Mieszkają w szeregowym domu w Tuve. Tam Philip się wychował.
- Przepraszam, że przerywam, ale właśnie tam przeprowadziła się po rozwodzie matka Sanny. Philip i Sanna poznali się pod koniec szkoły podstawowej - powiedziała Kajsa.
Andersson spojrział na nią ze zdziwieniem, ale po chwili przypomniał sobie, że wyznaczył jej specjalne zadanie.
- Opowiesz o tych gagatkach, kiedy uporamy się z Rothstaahlem - zapowiedział.
Kajsa skinęła głową na znak, że przyjęła pouczenie, po czym dalej czekała cierpliwie na swoją kolej. Komisarz zwrócił się znowu do Birgitty.
- Czy masz jeszcze coś? - zapytał.
- Nie. Wszystko, co mogłoby nas zainteresować, miał pewnie w tej swojej torbie na ramię. Łącznie z komputerem. Nadal uważam, że powinniśmy czym prędzej wybrać się do Paryża, żeby zabezpieczyć dokumenty i dyskietki. Być może w jego paryskim mieszkaniu jest drugi komputer.
O głos poprosił Fredrik Stridh.
- Zgadzam się z Birgittą. Nie znaleźliśmy niczego, co by wskazywało na aktualny charakter zajęć Joachima Rothstaahla. W jego domu brak jakichkolwiek poszlak. Prawdopodobnie morderca zabrał wszystkie interesujące materiały, zanim się zmył. Kto wie, czy nie wyjechał do Paryża. Joachim mieszkał przy...
Fredrik urwał i zaczął literować według zapisu w notesie:
- ... B-o-u-l-e-v-ard R-a-s-p-a-i-l.
Kiedy podał ten adres, wtrąciła się głośnie Birgitta:
- Bergman też tam mieszkał, pod numerem 207.
- Bingo! Tam, gdzie Rothstaahl - stwierdził Frederik. Oboje odwrócili się w stronę Anderssona. Na jego czole pogłębiły się zmarszczki i obecni usłyszeli słowa wypowiedziane apatycznym tonem:
- Nie. Sprawdzenie jakichś tam mieszkań w Paryżu kosztowałoby zbyt wiele. Możemy poprosić francuskich kolegów o pomoc.
- Czyżby? Chodzi o dwóch szwedzkich obywateli, których zamordowano tutaj, w kraju. A tak się składa, że obaj mieszkali w Paryżu. Wątpię jednak, aby francuska policja chciała być koniecznie uwikłana w tę sprawę - podzieliła się swym sceptycyzmem Birgitta.
Andersson zerknął na nią z irytacją. Demonstracyjnie przeniósł wzrok na Frederika i zapytał:
- Co jeszcze udało się ustalić na temat Rothstaahla?
- Pierwsza informacja, ta o wspólnym zamieszkaniu Rothstaahla i jego partnerki, nie potwierdziła się. Chodzi tu o jego dawną znajomą, która spędziła ostatnie kilka lat w Vanersborgu, a teraz pracuje w naszym mieście. Zamierzała co najmniej przez rok odnajmować dom Rothstaahla. Ściagała go w ubiegły wtorek, żeby dostać klucz i spisać umowę najmu, bo wiedziała, że chciał w środę wrócić do Paryża. - wyjaśnił Frederik.
- Tego samego dnia, co Philip. Dlaczego musieli się spotkać tutaj, w Góteborgu? W Paryżu mieszkali przecież po sąsiedzku - przerwała mu Birgitta.
- Otóż to. Jaką przyczynę powrotu syna do kraju podali jego rodzice? - zainteresował się Tommy.
- Powiedzieli, że przyjechał, żeby spotkać się z nimi i z dawnymi kompanami.
- Do tego nie doszło. Spotkał się z kumplami, z którymi mógł mieć codziennie kontakt w Paryżu - stwierdziła znowu Irene.
Frederik skinął głową i dorzucił:
- A Joachim Rothstaahl przyjechał do kraju, żeby poczynić przygotowania do wynajęcia swego domu. Bergman i Rothstaahl przylecieli tym samym samolotem w piątek, późnym wieczorem. W sobotę Rothstaahl był w swoim domu w ciągu dnia, ale pod wieczór udał się

do rodziców, żeby zjeść z nimi obiad. W niedzielę wszyscy Rothstaahlowie zebrali się u stryjostwa Joachima. Rozstali się około dziesiątej wieczór i wtedy, jak stwierdzili rodzice, Joachim wrócił od razu do siebie. I widzieli go właśnie wtedy po raz ostatni. Matka rozmawiała z nim krótko w porze lunchu w poniedziałek. I odniosła wrażenie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Rodzina przeżyła szok i nie ma pojęcia, dlaczego Joachim został zamordowany. Ci ludzie prowadzą mnóstwo butików w całej Szwecji, ale Joachim nie był w żaden sposób związany z tym rodzinnym biznesem.

Irenę zerknęła na powiększone zdjęcie Joachima Rothstaahla, przyklejone do tablicy ogłoszeń. Była to świeża fotografia paszportowa. Joachim miał wąską twarz, w której zwracały uwagę ciemne oczy. Patrzyły zyczliwie. Wokół cienkich ust błąkał się nikły uśmiech. Gęste kasztanowe włosy były zaczesane do tyłu, ponad wysokim czołem. Irenę miała przed sobą zdjęcie sympatycznego, pełnego życia, młodego mężczyzny. Obok znalazła się fotografia z miejsca zbrodni. Na tej ostatniej Joachim był prawie nie do rozpoznania.

- Butiki Zazza i Escada - wyjaśniła Birgitta.

- Ach tak. Domyślałam się, że to bogaci ludzie. To przecież wielkie sieci sklepów z odzieżą - powiedziała Irenę.

Jej też zdarzało się czasem coś kupić w butikach sieci Escada. Odzież z sieci Zazza odpowiadała raczej jej córkom.

- A ja zbadalem tryb życia i finanse Joachima Rothstaahla - oznajmił Jonny Blom.

Zamilkł, żeby się upewnić, czy wszyscy będą go słuchać.

- Po tamtej katastrofie w Londynie Joachim wrócił do kraju. Bez mała pół roku był bez pracy, a potem zatrudnił się w jednym z tutejszych banków. Kiedy się bada wcześniejszy stan jego finansów, okazują się one całkiem zwyczajne. Mieszkał przez cały czas w swoim domu, nie odnajmując go. Prawie dwa lata temu dostał nową pracę w pewnym zagranicznym banku i przeniósł się do Paryża.

- We francuskim banku? - wtrąciła się Irenę.

- Nie. W amerykańskim. H.P. Johnson's... co się stało?

Jonny zdumiał się przerażonym wzrokiem Irenę.

- H.P. Johnson's! Szefem europejskiej filii tego banku jest Edward Fenton! - wykrzyczała.

- I co z tego? - zapytał obojętnie Jonny.

- H.P. Johnson's jest bankiem inwestycyjnym. Wszyscy czworo, to znaczy Kjell Bengtsson Ceder, Sanna Kaegler, Philip Bergman i Joachim Rothstaahl, mieli do czynienia z tym bankiem. I pewnie także Thomas Bonetti, póki był w Londynie. Nie wiemy tego, ale możemy to sprawdzić - powiedziała z przejęciem w głosie Irenę.

- Jaka jest różnica między zwyczajnym bankiem a inwestycyjnym? - zainteresował się komisarz.

Kajsa Birgersdotter przełknęła nerwowo ślinę.

- Bank inwestycyjny zarządza kapitałem deponowanym ze świadomością ryzyka i lokuje go w projekty, które, zdaniem banku, rokują niemały przychód. Zyski bywają ogromne! Podam taki przykład: w 1990 roku amerykańskie spółki zarządzały powierzonymi ze świadomością ryzyka depozytami na sumę rzędu trzech i pół miliarda dolarów. Na przełomie tysiącleci kapitał ten wzrósł do sumy stu czterech miliardów dolarów - powiedziała.

- O co chodzi z tym kapitałem podwyższonego ryzyka? - dopytywał się, nie bez irytacji, Andersson.

Kajsa zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

- To jakby nadwyżka pieniędzy. Ludzie mają tyle śmiałości, żeby nią spekulować. A ponoszą przy tym nie lada ryzyko. Łatwo przyszło, łatwo poszło - wyjaśniła po namyśle.

- Czy doszukaliście się czegoś więcej na temat Rothstaahla? - spytał Andersson.

- Nie. Przecież ostatnie dwa lata spędził we Francji. Podobnie jak jego kompan, Bergman. Być może coś wynikłoby z wyjazdu... - dopowiedział Jonny.

- Znowu? - przerwał mu komisarz. Poczzerwieniał na twarzy, po czym do Irenej dotarł niepokojący świst jego oddechu. Komisarz dosyć długo siedział spokojnie, bębnił tylko palcami po stole. Nikt z obecnych nie przerwał milczenia. Wreszcie Andersson zerknął niezyczliwym wzrokiem na Birgittę i powiedział:

- Jeśli to miałyby... czy ktoś zna francuski? Nikt nie podniósł ręki prócz Kajsy Birgersdotter.

- No tak. Tego można było się spodziewać - stwierdził komisarz.

- Ależ Francuzi znają angielski - wmieszała się Birgitta.

- Bynajmniej nie wszyscy - odparł, z całkowitą pewnością siebie, Andersson.

Irenej była przekonana, że jego noga nigdy nie powstała we Francji.

- Dobrze, Kajso. Zechciej szybko podzielić się z nami tym, czego się dowiedziałas o firmie gromadzącej dane, jak też o Bergmanie i Sannie Kaegler - poprosił.

Kajsa wstała i zwróciła się do kolegów. Nie odrywając wzroku od notatek, zaczęła czytać na głos.

- Sanna i Philip byli w jednej klasie, kiedy kończyli podstawówkę, i przez kilka lat stanowili nierozłączną parę. Podobno faktycznie chodzili ze sobą, ale nikt nie ma pewności, czy tak było. Oboje wybrali profil ekonomiczny w liceum. I zaraz po maturze podjęli studia ekonomiczne, ale chyba dosyć prędko się znudzili. Wzięli pożyczkę z banku i kupili sieć sklepów z modną odzieżą. Oboje bardzo się interesowali modą. W ciągu kilku lat udało im się, wspólnymi siłami, zwiększyć sprzedaż w tych butikach. Ta sieć nazywała się...

Kajsa powstrzymała swój potok wymowy i zerknęła na słuchaczy. Jej głos drżał z napięcia:

- ...Zazza.

- Mamy tu wczesne potwierdzenie powiązań Bergmana, Rothstaahla i pani Kaegler! Widać je całkiem wyraźnie, tyle że nie mogę się w tym dopatrzeć żadnego wzoru - westchnęła Irenea. Kajsa pokiwała głową i znów zagłębiła się w swoich notatkach.

- Po paru udanych latach Sanna i Philip odsprzedali swoje udziały w sieci Zazza rodzinie Rothstaahlów, która przejęła butik na wyłączną własność. Były ponoć jakieś niesnaski między parą Bergman-Kaegler a starszym pokoleniem Rothstaahlów i jakoby dlatego doszło do zbycia udziałów. Ale Sannie i Philipowi dobrze za nie zapłacono. A później zetknęli się z Thomasem Bonettim. Przywiózł on do kraju sporo pieniędzy, które zarobił w swoich londyńskich latach. W trójkę postanowili działać po nowemu. Skusiło ich prowadzenie interesów za pośrednictwem Internetu. Philip uważał, że zakupy przez Internet będą w przyszłości przeważały. Przewidywał, że w ciągu kilku lat wszystko będzie sprzedawane i kupowane za pomocą sieci. I dlatego Bergman, Kaegler i Bonetti uznali, że trzeba się znaleźć w pierwszej linii. W 1998 powstała firma ph.com.

Kajsa przerwała, by zaczerpnąć tchu po tym długim czytaniu. Zanim zdążyła powrócić do przedstawiania swoich notatek, odezwał się Andersson:

- A więc twierdzisz, że Bergman i Kaegler prowadzili interesy razem z Rothstaahlami i dopiero potem założyli firmę gromadzącą dane?

- Firmę informatyczną. Tak, działali razem. Udziałowcami sieci butików Zazza byli niewątpliwie także stryjowie Joachima. Dziś ci ostatni już są na emeryturze, a prowadzenie sieci przejęły dwie kuzynki Joachima - odpowiedziała Kajsa.

Komisarz spojrział surowo na Ireneę.

- I ostatnio Bergman i Rothstaahl knuli coś razem. Ireneę, zabierzesz ze sobą Kajsę i czym prędzej ruszajcie do Paryża. Porozumiem się z szefami. Jeśli chcemy się jakoś połapać w całej tej sprawie, to musimy sprawdzić, co ci dwaj dżentelmeni mieli w planie - stwierdził stanowczym tonem.

Irenea i Kajsa poczuły się, jakby zostały rażone piorunem.

Rozdział 7

Kiedy Irenę otworzyła drzwi swego szeregowego domu, poczuła jakieś przyjemne zapachy. Po południu zadzwonił do niej Krister i spytał, co zjadłaby na obiad. Po chwili zastanowienia uświadomiła sobie, na co ma ochotę, i odpowiedziała: „Tę twoją zupę rybną. Dodaj dużo cebuli i szafranu. A potem nie zaszkodziłby mus czekoladowy”. Bouillabaisse a la Gladys - tak nazywała się jedna ze specjalności lokalu, w którym Krister był szefem kuchni. Ani ta zupa, ani sławny już mus czekoladowy nie mogły zniknąć z jadłospisu. Przepis na mus był dobrze strzeżonym sekretem, ale Irenę wiedziała, że Krister potrafił go nawet doprawić odrobiną koniaku.

Wypadał właśnie jeden ze „świętych” wspólnych weekendów. Co trzeci weekend i Krister, i Irenę mieli wolne w piątek i sobotę. W te dni wieczorem zbierała się, jeśli to było możliwe, cała rodzina, żeby zjeść coś dobrego. Obecność bliźniaczek stała zawsze pod znakiem zapytania, ale ich udział w obiadach dochodził do skutku w przypadku braku innych, ciekawszych planów. Często zdarzało im się zniknąć po obiedzie i wychodzić na różne wieczorne imprezy. Krister robił

zwykle niezadowoloną minę i mówił: „To dziwne, że teraz wszystko zaczyna się o takiej porze, kiedy w naszych młodych latach należało być z powrotem w domu!”.

Irenę otrzymała wcześniej handlowe numery białego i czerwonego wina, których Krister życzył sobie na weekend. Nigdy nie podawał nazw, bo wiedział, że Irenę nie potrafiłaby ich wymówić. Cieszyła ją niedawno wprowadzona samoobsługa w sklepach sieci System.

Jak zwykle, pierwszą istotą, która ją przywitała w domu, był Sammie. Jego ogon wirował niczym śmigło helikoptera i pies obskakiwał ją radośnie. Trzymał się całkiem dobrze, mimo szacownego wieku, bo ukończył przecież już dziesięć lat. Wzrok i słuch mocno mu się w ostatnich latach pogorszyły, ale Irenę podejrzewała, że Sammie postanowił wziąć przykład ze wszystkich istot starszych wiekiem i słyszeć wybiórczo.

- Witam cię, kochanie. Czy kupiłaś wino? - zapytał Krister, który starał się zagłuszyć kuchenne odgłosy.

- Tak. Po dwie butelki każdego gatunku - odpowiedziała Irenę.

Uwolniła się od psiej natarczywości i wniosła zielone plastikowe torby do kuchni. Kiedy je stawiała na stole, butelki uderzyły o siebie. Irenę nie zdjęła kurtki, lecz podeszła do Kristera i chwyciła go za ramiona. Szybko narzuciła mu jedną z figur tanga, przyciągnęła go do siebie i pocałowała męża w usta.

Gdy wypuściła Kristera z rąk, wylądował na podłodze, rozbawiony tą sceną.

- Odbija ci! Ale tak to jest, kiedy się człowiek ożeni z byłą mistrzynią Europy w jiu-jitsu. Mogę tylko do siebie samego mieć pretensje.

Zanim Irenę zdążyła się uchylić, pociągnął ją w dół, ku sobie, i ścisnął niczym niedźwiedź.

Mężowski pocałunek rozgrzał jej ciało i potrzeba zaspokojenia głodu ustąpiła miejsca innemu pragnieniu.

- Co wy robicie?

Irenę i Krister opanowali się i zerknęli na drzwi. W progu kuchni stały córki, które patrzyły na nich ze zdziwieniem w oczach.

- Siłujemy się - wybąkał Krister.

Oderwali się od siebie, wciąż rozbawieni. Irenę wstała i wyszła do przedpokoju, żeby powiesić kurtkę. Krister też się podniósł i stanął przy kuchence.

- Co ja będę jeść? - zapytała Jenny.

Od kilku lat była weganką. Chwilowo miała całkiem czarne włosy z fioletowymi pasemkami i ubrana była też zupełnie na czarno. Jako wokalistka jednego z najpopularniejszych zespołów młodzieżowych w Göteborgu musiała sporo wydawać na farby do włosów i modne ciuchy. W następnym tygodniu fryzura mogła się zmienić w różową, a sama Jenny mogła wystąpić w

szmatkach z lumpeksów, w stylu flower power, który obowiązywał w latach siedemdziesiątych.

- Dostaniesz musakę wegańską. Na owsianej mące. Już jest w piekarniku - powiedział Krister. Przyrządzanie wegetariańskich posiłków bawiło go od pewnego czasu. Ale wegański jadłospis Jenny był też wyzwaniem, bo nie mogło w nim się znaleźć nic, co pochodzi od zwierząt, jak choćby ser czy mleko.

- Dobrze. A co na deser?

- Deser będzie, owszem, ale muszę cię zmartwić, bo przygotowałem mus czekoladowy. Ty zrobisz sobie sałatkę z owoców. Dodaj do niej kropelkę portwajnu, żeby...

Jenny przerwała mu głośnym westchnieniem:

- Och, wiesz przecież, że nie piję alkoholu!

- Tak, ale mała kropelka nie zaszkodzi, a doda smaku. Potraktuj to jako ziołową przyprawę - poradził ojciec.

- Ty spałaszujesz sałatkę z owoców, a ja napiję się portwajnu - zaproponowała łaskawie Katarina.

I uśmiechnęła się do siostry, która nie była aż tak rozbawiona.

- Czy zostajecie dziś wieczorem w domu? - zapytała Irene.

- Dont go out tonight. There's a baaad moon on the riiise - zaśpiewała Jenny, po czym tanecznym krokiem opuściła kuchnię i weszła na piętro.

- Wieczorem będziemy tu. Ale nie w nocy - odpowiedziała Katarina, która przypatrywała się wcześniej zniknięciu siostry.

- Czy jeszcze... jak ma na imię ten twój nowy...? - podpuścił córkę Krister.

- Jakie „jeszcze” i jaki „nowy”? Chodzimy już pół roku! No, prawie pół roku - odcięła się Katarina.

Wyjęła wino z torebek i przyjrzała się butelkom krytycznym wzrokiem.

- Cristóbal Verdelho. Białe, a więc do zupy rybnej - stwierdziła.

Następnie odczytała etykiety na butelkach czerwonego wina.

- Hecula. Hiszpańskie. Co jutro będzie na obiad?

- Polędwica wieprzowa, do tego kurki i borówki. I ziemniaki puree.

- Dobrze brzmi, ale nie będzie mnie w domu. Wypływamy wcześniej rano do Anholt.

Przenocujemy na pokładzie i wrócimy do domu w niedzielę.

Chłopak Katariny pożyczał od rodziców żaglówkę, kiedy sami jej nie potrzebowali. Ani Irene, ani Krister nie mieli pojęcia o żeglarstwie, ale ufali Johanowi i dlatego byli spokojni. Pływał łodzią, gdy chodził jeszcze z pieluszką, a szkicry znał jak własną kieszeń.

- Czy tylko wy dwoje będziecie na pokładzie? - zaciekawił się Krister.

- Tak.

- Macie chyba kamizelki ratunkowe? Chodzi mi o to, że gdyby któreś z was wypadło za burtę...

- Ależ zawsze bierzemy kamizelki, kiedy wypływamy między szkicry - zapewniła Katarina. „Można by się zastanowić, dlaczego nie wszystkie osoby oswojone z żeglarstwem tak rozumują - pomyślała Irene. - Dlaczego Kjell Bengtsson Ceder i jego żona, Marie, nie mieli na sobie kamizelek, kiedy przed szesnastu laty byli na pokładzie w słotną noc? Ich łódź znajdowała się na Morzu Północnym i zbliżał się sztorm. Tommy ma rację: jest w tej katastrofie coś dziwnego. Czyżby istniał jakiś związek między tamtym zdarzeniem a morderstwami, które są przedmiotem aktualnego śledztwa? Nie wydaje się to prawdopodobne, ale...”.

- Halo, halo! Ziemia do Irene - odezwał się Krister. Wprawdzie z delikatnym uśmiechem na twarzy, ale przecież przyjrzał się żonie uważnie.

- Co takiego? Przepraszam. Zamyśliłam się - usprawiedliwiła się.

- To widać. Ja pytałam, gdzie leży korkociąg, a tata chciał wiedzieć, czy nie masz ochoty na odrobinę sherry przed obiadem - włączyła się Katarina.

- Nie. Dziękuję. Wolę whisky. W górnej szufladzie, obok Kuchenki - odpowiedziała zmieszana Irene.

Krister i Katarina porozumieli się wzrokiem.

- Mamo, idź, połóż się na sofie. Tato przyniesie ci whisky, a ja otworzę wino. A po drodze wyprowadzę Sammiego.

Z przedpokoju dotarł do nich odgłos drapania parkietu pazurami. Sammie musiał usłyszeć swoje imię i to, że zostanie wyprowadzony. Mimo wszystko z jego słuchem nie było chyba tak źle.

- Nie. Połóż się jeszcze. Musisz chwilę poczekać - powiedziała do niego Katarina.

Psy nie przyjmują do wiadomości tego, że istnieje słowo „czekać”. Kiedy Sammie zrozumiał, że spacer został odłożony na nie wiadomo jak długo, opuścił ogon i poczłapał na piętro, do Jenny.

Irene posłuchała rady córki i poszła do salonu. Opadła na sofę i podkuliła nogi. Dopiero w tym momencie przyznała

się przed samą sobą do wielkiego zmęczenia. Czuła, że jej mózg przemienił się w watę, a mięśnie w galaretę. Czyżby wiek dawał o sobie znać? Ależ to niemożliwe! Niech no tylko znajdzie się w niedzielę ze swoją grupą na treningu jiu-jitsu, a zaraz poczuje się dużo lepiej. Później oddadzą z Kristerem głos w referendum europejskim. Irene nie była jeszcze pewna, czy zagłosuje na „tak”, czy na „nie”. W sobotę chciała przebiec co najmniej pięć kilometrów. Choć prawe kolano zaczęło ostatnio dokuczać. Teraz, aby biegać, musiała chronić je elastycznym bandażem. Ten problem pojawiał się dawniej, kiedy grała w drużynie szczypiornistek. Być może należało wtedy poddać się operacji, na nic nie czekać. Irene stwierdziła ze smutkiem, że zaczęło się u niej, związane z wiekiem, podupadanie na zdrowiu.

- Skarbie, została już tylko resztką whisky. Czy to wypijesz, czy wolisz coś innego? - z kuchni dotarł do niej głos Kristera.

- Należ mi tę resztkę. Kiedy polecę do Paryża, kupię nową butelkę w sklepie bezcłowym - odpowiedziała Irene, myśląc o czym innym.

W kuchni nikt już się nie odzywał. Irene usłyszała energiczne kroki Kristera i Katariny w holu. Oboje weszli do salonu, stanęli obok siebie i wpatrzyli się w nią pytającym wzrokiem. Irene wykonała obronny gest.

- Tak, tak. Opowiem wam. Ale najpierw muszę dostać tę odrobinę whisky - powiedziała. Komisarz Andersson zadzwonił w piątek wieczorem około godziny 21.00 i potwierdził wyjazd Irene i Kajsy do Paryża. Birgitta wypożyczyła klucz do paryskiego mieszkania Joachima Rothstaahla od jego rodziców. Z początku byli nieskorzy do tego, więc Birgitta musiała się wykazać nie lada cierpliwością i sprytem. W końcu udało jej się nawet wydobyć z nich bardzo interesującą informację: Joachim i Philip Bergman mieszkali razem. W czasie wstępnych przesłuchań policja nie usłyszała ani słowa na ten temat z ust ich rodziców. Birgitta zadzwoniła potem do mamy Philipa i spytała, czy to prawda, że jej syn dzielił mieszkanie z Joachimem. Matka Philipa potwierdziła, ale dodała zaraz, że była to tymczasowa sytuacja. Philip szukał mieszkania dla siebie, ale w centrum Paryża trudno o to i koszty są ogromne.

- Możesz jutro zjechać do komendy. Klucz leży w recepcji. Macie rezerwację na lot o godzinie ósmej dwadzieścia w poniedziałek rano z Landvetter, a wylatujecie z Paryża o ósmej wieczór - powiedział Andersson.

Irene poczuła niejakie oszołomienie.

- Jutro odbiorę klucz. I dziękuję za załatwienie rezerwacji, a także...

- Nie mnie dziękuj. Załatwiła to Birgitta - wyjaśnił komisarz.

Irene pewnie by to odgadła, gdyby chwilę pomyślała.

- I zostawię chyba w recepcji cały stos materiałów, które dostałem od Kajsy. Będziesz mogła przejrzeć je w samolocie - dodał komisarz.

- Stos materiałów? - powtórzyła Irene.

Prócz resztki whisky zdażyła wypić dwie szklaneczki wina. I alkohol, i zmęczenie sprawiły, że bynajmniej nie od razu kontaktowała.

- Kajsza otrzymała rozdział książki napisanej przez tego jej dziennikarza. Jak się zdaje, pisze on o firmach gromadzących dane i o pieniądzach, które zniknęły po tamtym krachu informatycznym. A udostępnił Kajsie rozdział dotyczący firmy Bergmana, Bonettiego i pani Kaegler - powiedział Andersson.

- Ph.com - uzupełniła Irene.

- O właśnie. Ponieważ to śledztwo ma tak ogromny zakres, nie starcza mi czasu na to, żeby poznać każdy szczegół. Cieszę się, że chociaż ty i Kajsza wiecie, co skłoniło tę trójkę pajaców do oszustwa.

Irene była świadoma niechęci komisarza do wszelkich maszyn nazywanych komputerami. Nie mówiąc już o przestępstwach finansowych, jako że śledztwa w tych sprawach wymagają często dobrej znajomości obsługi komputera. Pewno z ogromną ulgą cedował wszystko, co miało związek z informatyką i finansami, na nią oraz na Kajsę. I właściwie Irene była już ciekawa treści owego rozdziału.

Rozdział 8

„Cały klub nocny doznał jakby - niezbyt silnego - wstrząsu elektrycznego, kiedy pojawił się tu młody człowiek. Goście zauważyli pewnie dwie osoby idące za nim, ale właśnie on ściągał na siebie spojrzenia wszystkich obecnych. Wyćwiczonym powolnym krokiem zszedł ów człowiek po schodach, w pełni świadomy wrażenia, jakie wywołał.

Podszedł do baru i zamówił trzy martini z wódką. Dwójka jego przyjaciół zareagowała śmiechem na coś, co powiedział, i widać było, że żaden z nich nie jest trzeźwy. Ten najważniejszy wyjął nonszalanckim gestem kartę Visa i podał ją barmanowi. Pozostawił kartę w barze na cały wieczór. Już po kilku minutach pojawiła się pierwsza młoda kobieta i stanęła w pobliżu. Wkrótce znalazło się ich więcej. Niektóre były mu znane. Z nieznanymi dziewczynami nawiązał towarzyską rozmowę, a potem wszystkim zafundował szampan, oczywiście najdroższy.

Żadna kobieta w tej gromadce nie przekroczyła dwudziestu pięciu lat.

Ta, która znalazła się tuż obok niego, odznaczała się skandynawskim, jakby chłodnym typem urody, miała jasnoniebieskie oczy, platynowe włosy upięte w kok i oszczędny makijaż. Natomiast jej kreacja budziła podziw i pozwalała się domyślać, że kupiono ją bezpośrednio w którymś z droższych butików w Londynie. Mimo że ta kobieta nie była bardziej trzeźwa niż obaj mężczyźni, którzy dotrzymywali jej towarzystwa, wyraz jej twarzy świadczył o znużeniu. Ledwo umoczywszy usta w swojej szklaneczce, wstała raptownie i musnęła w pocałunku policzek blondyna. Obróciła się na pięcie i zniknęła na schodach wiodących w górę, do wyjścia. Mężczyzna nie przejął się chyba jej odejściem.

Bar był lepiej oświetlony niż reszta lokalu. Owo światło padało na jego gęste jasne włosy, nieco dłuższe aniżeli nakazywała moda. Miał on regularne rysy twarzy, wysoko osadzone kości policzkowe i prawdziwie męski podbródek. Często obdarzał otoczenie swym męskich uśmiechem. Świadczące o dobrej kondycji ciało i elegancki ubiór podkreślały urodę mężczyzny i, zgodnie z jego intencją, prezentowały go jako człowieka sukcesu.

Kompan zaś był niski i korpulentny. Wyglądał na mężczyznę zbliżającego się do czterdziestki, a w rzeczywistości ukończył właśnie trzydzieści lat. Jego jasne, rudawe włosy przerzedzały się już na ciemieniu i nękało go nadmierne pocenie się. Źle dopasowany garnitur wydymał się na jego krągłej figurze. Ale nie był to powód do zmartwienia. Ten człowiek

mógł sobie pozwolić na wiele nowych garniturów. A właściwie stać go było na wszystko, czego by zapragnął.

Zabawa potrwała do rana. Dwaj mężczyźni z dziewczynami okazali się ostatnimi gośćmi, którzy jeszcze pozostawali w lokalu. Oczywiście nie zamykano, póki ta paczka nie raczyła opuścić klubu. Personel wiedział, że nie zabraknie napiwków, byleby się odpowiednio zachowywać. Zdarzyło się na przykład, że blondyn bezpośrednio na kontuarze baru przygotował sobie skręta z białym proszkiem, który wciągnął przez krótką rurkę. Barman przymknął oczy. Nie inaczej było, kiedy mięśniak zabrał jedną z najmniej trzeźwych dziewczyn do męskiej toalety, zmusił ją do pochylecia się nad pisuarem i zgwałcił.

Ochroniarz, który akurat wtedy zajrzał do toalety, nie omieszkał wycofać się dyskretnie. Zobaczył coś, co było pewnie warte banknotu o dużym nominale.

Personel, przyzwyczajony do wyczynów tej paczki, nie uważał jej nocnych eskapad za gorsze niż zabawy innych ludzi. Tak właśnie zabawiała się po pracy kadra kierownicza firmy ph.com.

Powyższa relacja jest oparta na faktach. Tamta dziewczyna zgłosiła policji gwałt w toalecie, ale po wstępnych przesłuchaniach wycofała oskarżenie. Rozmawiałem z różnymi osobami, które potwierdziły częste posiadanie kokainy przez owo trio i całkiem jawne zażywanie jej w późnych godzinach nocnych. Pracownicy modnego lokalu Zodiak wypowiedali się właściwie podobnie, gdy przeprowadzałem z nimi wywiady. Ponieważ był to ulubiony lokal tria Bergman-Kaegler-Bonetti, kiedy sporadycznie pojawiała się ono w Góteborgu, personel miał niejedną okazję do oglądania takich nocnych zabaw. Jeśli szefowie firmy ph.com posiadali w ogóle jakieś talenty, to zapewne był wśród nich talent do zabawiania się!

Wybrałem ph.com jako typowy przykład, ilustrację tego, co się działo ze wszystkimi firmami informatycznymi, które w drugiej połowie dekady lat dziewięćdziesiątych wyrastały jak grzyby po deszczu. Nie wchodzę tu w szczegóły finansowania, poświęcam im bowiem osobny rozdział (por. rozdział 6: Doradcy, inwestorzy i banki inwestycyjne). Pokuszę się natomiast o uogólniające przedstawienie toku wydarzeń i ich przyczyn.

Niesamowita historia wstępu i upadku firmy ph.com rozpoczęła się w 1998 roku, kiedy Philip Bergman i Sanna Kaegler zetknęli się podczas pewnego spotkania towarzyskiego w Góteborgu z Thomasem Bonettim. Oni sami opowiadali w różnych wywiadach o tym, jak doszło do podjęcia wspólnej decyzji o uruchomieniu internetowego biznesu.

Wszyscy troje wierzyli święcie w nową formę handlu - coraz powszechniejsze transakcje za pośrednictwem Internetu. W Stanach Zjednoczonych istniały już takie firmy jak Netscape czy amazon.com (por. rozdział 4: Pierwsze przedsiębiorstwa internetowe w USA). Były to firmy, którym wrócono wielki sukces i które zdążyły wejść na giełdę. Prócz nich pojawiły się inne lukratywne przedsiębiorstwa, że wymienię Intel, Apple Computer albo Compaq. Szybkie zyski stanowiły dla różnych zinstytucjonalizowanych inwestorów zachętę do lokowania kapitału także w firmy nienotowane na giełdzie. Wielkie zainteresowanie inwestowaniem w przedsiębiorstwa działające po nowemu okazały między innymi amerykańskie fundusze emerytalne. Inwestowanie odbywało się za pośrednictwem spółek zarządzających kapitałem podwyższonego ryzyka, które zasilają nim nowe firmy. Pewien dziennikarz amerykański ustalił, że w latach dziewięćdziesiątych około 40 procent pieniędzy, którymi obracały spółki zarządzające kapitałem podwyższonego ryzyka, pochodziło z funduszy emerytalnych.

Od lata 1998 do lata 1999 roku wartość akcji firm internetowych wzrosła o 400 procent! Zainteresowanie tymi nowymi przedsiębiorstwami było ogromne i kapitał podwyższonego ryzyka wciąż napływał. Inwestorom zaczęło brakować projektów, które można by wesprzeć. Istniały, jak widać, doskonałe warunki wstępne działania nastawionych wyłącznie na zysk firm internetowych.

Znając powyższe fakty, można wyrazić zdziwienie tym, że ci, którzy narażali swój kapitał, nie wykazywali większej ostrożności. Firmy internetowe nie miały żadnych stałych

przychodów i często wiele traciły. O wartości ich akcji decydowało przekonanie, że musi nastąpić wielka rewolucja internetowa. Nikt nie chciał się spóźnić.

W czasie wspomnianego towarzyskiego spotkania w lutym 1998 roku powstał pomysł stworzenia globalnej firmy

internetowej i wprowadzenia jej na giełdę. Z początku nie rozmawiano o tym, co należałoby sprzedawać, mowa była tylko o sprzedawaniu przez Internet. Założycielom zależało na wykorzystaniu nowej szansy i na czołowej pozycji w handlu internetowym.

Philip Bergman i Sanna Kaegler pozbyli się właśnie swoich udziałów w sieci butików Zazza. Ponoć zostali, w gruncie rzeczy, zmuszeni do ich zbycia przez dwóch pozostałych wspólników, braci Gillisa i Walthera Rothstaahlów, a to z powodu coraz trudniejszej współpracy. I Philip Bergman, i pani Kaegler zdementowali tę pogłoskę. Wyjaśnili, że branża odzieżowa przestała ich interesować i że nastawili się na nowe wyzwania. «Dzięki nam sieć Zazza znalazła się na samym szczycie. Czujemy, że nadeszła pora na to, by pójść dalej» - tak mówił o sobie jako biznesmenie Philip Bergman, gdy rozmawiał z nim pewien dziennikarz ekonomiczny z gazety "Göteborgs-Posten". Od Bergmana i od pani Kaegler odkupiono udziały na sumę 7 milionów koron w każdym z tych przypadków, co trzeba uznać za rzeczywiście godziwą zapłatę, zważywszy, że gdy wchodzili do spółki, wnieśli razem zaledwie milion koron.

Philip był wizjonerem i człowiekiem elokwentnym. Jak twierdzą inni, potrafił oczarować i posiadał charyzmę. Krótko mówiąc, miał wszystko, czego potrzeba, aby odnieść sukces w biznesie internetowym.

Sanna umiała doskonale rozpoznawać wszelkie trendy i przewidywać to, co nieuchronne. Z powodzeniem zajmowała się marketingiem i dbała o PR w sieci butików Zazza. Choć w odróżnieniu od Philipa jest raczej introwertyczką, również ona potrafiła w razie potrzeby być czarującą osobą. Zresztą prawie nigdy nie oponowała przeciwko żadnemu pomysłowi Philipa. Uzupełniali się i w trudnych sytuacjach wspierali się wzajemnie.

Thomas Bonetti zupełnie do nich nie pasował. Nie należał bynajmniej do "lepszego towarzystwa" - i nigdy do tego nie pretendował. Modna odzież była mu obojętna, nie znał się na niej. Miał jednak doświadczenie zdobyte za granicą i kontakty w wielkich międzynarodowych bankach, nawiązane za pośrednictwem ludzi poznanych wcześniej w Londynie.

Wszystko wskazywało na to, że staną się tercetem zwycięzców. Zależało im na europejskiej palmie pierwszeństwa w handlu internetowym. «Liczy się first mover advantage» - o tym niejedną raz przypominał swoim nowym wspólnikom Thomas Bonetti.

W marcu ustalili, że będą sprzedawać haute couture oraz odpowiednie dodatki do tej ekskluzywnej odzieży. Kto kupuje garnitur od Armaniego, ten niech kupi także buty, skarpetki, krawat, koszulę, spinki do mankietów, płyn do golenia i perfumy, zegarek, sygnet i tak dalej.

«Będziemy potrzebować niespełna minuty na to, by zaoferować naszym klientom nowy styl życia! To doskonała oferta dla człowieka nowoczesnego, który jest jednak ciągle zabiegany!» - te entuzjastyczne słowa padły z ust Philipa na pierwszym (i jedynym) prezentacyjnym spotkaniu z pracownikami firmy ph.com.

Pod koniec kwietnia 1998 roku wszyscy troje wyjechali do Londynu. Zamieszkali w ekskluzywnym hotelu Hilton. Sanna uznała ten wybór za dość kosztowny, ale Thomas i Philip uważali, że trzeba zadbać o dobre wrażenie. Wszyscy byli za globalnym zasięgiem spółki, to znaczy przeciwkojarzeniu jej ze Szwecją. Liczyli oczywiście na wielkie sumy od inwestorów skorych do zaryzykowania swego kapitału i chcieli je uzyskiwać za granicą. Do Londynu wybrali się w celu podjęcia wstępnych negocjacji z różnymi koncernami ponadnarodowymi, które mogły uczynić ich przedsięwzięcie projektem godnym zaufania. Przed podróżą do Anglii umówili się na spotkania w najbardziej renomowanych kancelariach adwokackich i

biurach audytorskich. Dzięki posiadaniu ustosunkowanych partnerów chcieli ułatwić sobie nawiązanie kontaktów z takimi doradcami finansowymi, którzy mogli utorować im drogę do banków inwestycyjnych.

Dosyć szybko zorientowali się, że najlepszym rozwiązaniem byłoby skuszenie któregoś z amerykańskich banków inwestycyjnych. Stany Zjednoczone stanowią przecież największy rynek. Aby wzbudzić zaufanie u właścicieli wielkich domów mody, postanowili stworzyć sobie image firmy globalnej, mającej kontakty wśród doradców z Wall Street. Z oczywistych względów spróbowali już na samym początku zainteresować swoją firmą bank H.P.

Johnsona. Przedstawiciele europejskiej filii tego amerykańskiego banku inwestycyjnego stali się obiektami istnej ofensywy oczarowywania przez Szwedów. Prezentując ich biznesplan, Philip stwierdził butnie: «Liczymy na zysk rzędu 100 milionów dolarów».

Dla banku oznaczało to, według szacunków jego przedstawicieli, siedmioprocentowy udział w zysku, a więc siedem milionów dolarów. Jakże H.P. Johnson's Bank nie miałby okazać zainteresowania!

Ten istniejący od dawna, renomowany bank handlowy mógł dzięki firmie ph.com po raz pierwszy skorzystać na handlu przez Internet. Już niejeden konkurencyjny bank zarabiał na tym sektorze, co skłoniło zarząd do uznania, że nadszedł czas na podjęcie walki z konkurencją.

Wczesną jesienią 1998 roku H.P. Johnson's Bank dał do zrozumienia, że chce uczestniczyć w rokującym miliardowy zysk przedsięwzięciu. Stał się on oficjalnym doradcą firmy ph.com. Nic nie wskazuje na to, by bank w jakikolwiek sposób badał przeszłość trojga Szwedów. Możemy się tylko domyślać przyczyny tej obojętności, ale pewnie nie chciano postawić całego projektu pod znakiem zapytania, dla banku H.P. Johnsona był on bowiem szansą na to, żeby zaistnieć na lukratywnym rynku internetowym.

Jesień 1998 roku stała się czasem przyspieszenia realizacji. Tercet powierzył doradztwo prawne najbardziej znanej na świecie kancelarii adwokackiej Andersen&Andersen &Schoultsze.

Trójka, którą współtworzyli właściciele firmy ph.com, poczuła się wystarczająco pewna siebie, by zacząć ściągać kapitał na realizację projektu. Do tej pory był on finansowany tylko przez nich. W swojej informacji dla inwestorów podali sumę 950 000 dolarów jako kapitał zakładowy. Każda z osób należących do tercetu zasiliła firmę gotówką w wysokości 150 000 dolarów, a resztę - 500 000 dolarów - przyniosły rozliczenia faktur pośrednio dotyczących nakładów już poniesionych.

Wszyscy troje przygotowali się do wielkiego tournée po Europie i Stanach Zjednoczonych. Zamierzali nawiązać kontakty z dostawcami, ale przede wszystkim zależało im na zdobyciu kapitału.

Pod koniec lutego 1999 roku, gdy skończyli tournée mające zapewnić dopływ pieniędzy, spółka dysponowała już sumą 40 milionów dolarów. Oznaczało to..."

- Coś do picia?

Głos stewardesy zakłócił lekturę. Ireń, wytracona z rytmu, obejrzała i wybrała wodę mineralną. Na kawę będzie czas później. Szturchnęła delikatnie Kajkę, która zajęła miejsce obok niej i chrapała z otwartymi ustami. Kajka drgnęła i spróbowała się obudzić.

- Kawę... albo fantę... z mlekiem - wymamrotała, jeszcze w półśnie.

- Dla niej też woda mineralna - uznała Ireń.

Obie otrzymały swoje porcje, a chwilę później zjawił się steward z kanapkami i plastikowymi kubkami do kawy.

- Czy zdążyłaś wszystko przeczytać? - zdumiała się Kajka, wskazując plik papierów na kolanach Ireń.

- Nie. Potrzeba na to trochę czasu, bo nie rozumiem dobrze wszystkich tych określeń i terminów. Wiem tyle, że ci ludzie stali się rekinami finansjery. To nie znaczy, że stworzyli sobie solidne podstawy do działania, ale potrafili gadaniem przekonać starszych panów w bankach i adwokatów do swoich wizji. Właściwie jest to wprost niewiarygodne!

- A jakże - wybąkała Kajsa z ustami zapchanymi kanapką z szynką.

Irenę miała wrażenie, że rozminęły się w tej rozmowie i mają całkiem inne punkty widzenia, postanowiła jednak nie robić z tego problemu. Posiliła się szybko, żeby móc kontynuować lekturę.

Kilka kolejnych stron przebiegła tylko wzrokiem, bo mowa tam była głównie o ludziach, którzy zainwestowali swoje pieniądze w ów projekt, i wyłożonych przez nich sumach. Potem znów czytała uważniej:

„W grudniu Philip Bergman natknął się na spore pomieszczenia biurowe przy Charing Cross Road. Szwedzcy architekci przeprojektowali tę staroświecką siedzibę, aby, jak to określił Philip Bergman, wyglądała cool. Pod koniec stycznia była prawie gotowa. Jeszcze zanim ostatni fachowcy wykończyli ten ciąg modnie urządzonych pomieszczeń, firma ph.com zaczęła angażować personel. Nie było trudno o ludzi kompetentnych, a zainteresowanych nową pracą. Aby ściągnąć właściwe osoby, skorzystano z pomocy najbardziej znanej w Anglii firmy rekrutacyjnej. Według wyliczeń, firma ph.com potrzebowała w swojej londyńskiej siedzibie około stu osób. Przeciętna wieku zatrudnionych wynosiła 25 lat. W niejednym przypadku byli to dawni pracownicy firm konsultingowych i często należeli do przyjaciół i znajomych kierownictwa.

Globalna ekspansja przedsiębiorstwa ph.com rozpoczęła się wiosną 1999 roku. Otworzyło ono wielkie biuro na nowojorskim Broadwayu. Po kilku miesiącach pracowało tam około stu osób. Ponadto powstały filie w Sztokholmie, Frankfurt nad Menem, Paryżu i Amsterdamie. Philip Bergman umyślił sobie, że firma ph.com będzie lansowana w Europie i Stanach Zjednoczonych w sześciu językach. Ceny, cła i koszty spedycyjne należało wyliczyć w walutach poszczególnych krajów albo na te waluty przeliczać. Klient mógł obejrzeć sprzedawaną odzież w różnych wersjach kolorystycznych i dowolnie uzupełnić ją dodatkami. Co więcej, strona internetowa firmy miała różnić się od wszelkich innych i zwracać na siebie uwagę szokującą formą.

Część doradców była temu od początku przeciwna, ponieważ stworzenie takiej strony internetowej jest bardzo skomplikowanym procesem. Philip i Sanna nie ustępowali - to powinno się udać, to musi się udać! Thomas Bonetti podzielał ich zdanie. Jako ekonomista wiedział, co przesądza

o wysokiej pozycji na rynku akcji: częstotliwość odwiedzania strony internetowej firmy, szybki rozwój przedsiębiorstwa i spora liczba zatrudnionych. Nie ma sensu stać w miejscu czy też okazywać niechęć wobec ryzyka!

Ten i ów spośród doradców odważył się również zaprotestować przeciw pomysłowi właścicieli firmy, aby sprzedawać pewien "styl życia". Wyrażano wątpliwość, czy znane domy mody przystaną na taką koncepcję. Sceptyczni doradcy przewidywali, że będą one się domagać, żeby firma ph.com nabywała całe kolekcje przed rozpoczęciem sezonu. Narażałoby to na ogromne koszty składowania oraz na pomyłki. Sceptycy rozgniewali w końcu Sannę, która przywołała ich do porządku, mówiąc: «Od lat mam do czynienia z modą i projektowaniem nowych kolekcji! Panowie nie znają się na tym!». Takim pouczeniem doradców uciszyła wszelkie głosy krytyczne. Nie gryzie się ręki, która karmi.

Zresztą i atmosfera, jaka panowała w firmie ph.com, nie sprzyjała kwestionowaniu czegokolwiek. Pracownicy czuli się nieodłącznymi elementami firmy. Zjawiali się we wczesnych godzinach rannych, odchodzili do domu niezmiennie późnym wieczorem i zdarzało się im pracować w dni świąteczne. Kto protestował, ten szybko lądował na bruku. I kończyło się bycie kimś zasługującym na określenie cool, kończył się udział w nocnych

zabawach. Jakiemukolwiek życie rodzinne było dla pracowników firmy nie do pomyslenia. Ich niemal jedynym otoczeniem stawali się współpracownicy. Dostyc szybko wykrystalizował się krąg wewnetrzny, który utworzyli ludzie najbliziej związani z tercetem kierujacym, a równocześnie zapanowały w firmie i wielka solidarność, i zaufanie do ph.com.

Philip Bergman i Sanna Kaegler budzili coraz większe zainteresowanie mediów. Chętnie stawali w świetle reflektorów i prezentowali modny wystrój swych londyńskich mieszkań w odpowiednich czasopismach. Bonetti też mieszkał pod «właściwym» adresem, ale żadnych dziennikarzy tam nie wpuszczał. Czynyse pokrywała firma ph.com. Wszycy troje osiągal i roczne wynagrodzenie w wysokości 150 000 dolarów. Ich twarze trafiały często na okładki «Fortune». W wywiadach powtarzali jak mantrę, że zamierzają stosować najnowocześniejszą technikę internetową.

Od tego zaczęły się prawdziwe problemy. Duet Bergman-Kaegler wciąż odrzucał projekty strony internetowej, które przedstawiała firma Electroz. W lutym 1999 roku ta ostatnia zrezygnowała i ph.com straciła partnera technicznego. Philip Bergman po raz pierwszy okazał zdenerwowanie. Obiecał inwestorom, że strona internetową powstanie do kwietnia 1999 roku.

Pod koniec marca tercet wybierał się na kolejne tournee w celu znalezienia źródeł finansowania. I dlatego właściciele firmy ph.com nie chcieli oficjalnie przyznać się inwestorom, że termin uruchomienia strony internetowej nie zostanie dotrzymany.

W tym samym czasie Thomas Bonetti zwrócił uwagę na niedostateczną, a w pewnych przypadkach w ogóle nieprzeprowadzaną, wewnetrzną kontrolę finansów firmy. Wszyckie działy dokonywały zamówień, nie informując działu finansowego, który podlegał Bonettiemu. Nie pisano sprawozdań miesięcznych i nie było sposobu, żeby ogarnąć całość finansów. Thomas spierał się coraz częściej z duetem Philip-Sanna o wadliwą kontrolę gospodarowania. I właśnie on przegrywał, ponieważ miał ciągle tych dwoje nierozłącznych wspólników przeciwko sobie. Rozdźwięk w kierownictwie był dla personelu firmy coraz bardziej oczywisty. Niewykluczone, że już wtedy Thomas postanowił się usamodzielnic. W czasie jednej z zakrapianych libacji poinformował grupkę swoich współpracowników, że postara się już tylko wprowadzić firmę na giełdę, a potem sprzeda swój pakiet akcji.

Drugie tournee promocyjne w celu zapewnienia źródeł finansowania udało się nad podziw. Firma ph.com zyskała nowego partnera technicznego, mianowicie firmę Watsis. Ta ostatnia przyjęła zlecenie - ze względu na bardzo krótki termin - z wielkimi oporami. Stworzenie nowej strony internetowej do 1 czerwca było niemożliwe. Mimo nieuniknionego sceptycyzmu Watsisu co do daty, Bergman uparł się przy niej, wyznaczycwszy ją jako pierwszy dzień istnienia strony internetowej. Zależało mu na pozytywnym nastawieniu inwestorów.

Kierownictwo zwróciło się o pomoc do najlepszych nowojorskich projektantów stron internetowych. W Sztokholmie i Berlinie zadbano o sprawną administrację i logistykę. Konieczność pracy pod presją czasu zwiększyła oczywiście koszty odpowiednich usług. Zaangażowany zespół doradców wskazywał 1 listopada 1999 roku jako najwcześniejszy możliwy termin uruchomienia strony internetowej. Philip Bergman i Sanna Kaegler zaprotestowali, w końcu musieli jednak się z tym pogodzić. Skoro zależało im na najnowocześniejszej pod względem technicznym i najbardziej atrakcyjnej stronie internetowej, uczynienie jej skuteczną wymagało czasu.

Na zewnatrz oboje zachowywali pozory, zresztą w prasie ekonomicznej całego świata ukazywały się pozytywne artykuły, które jeszcze bardziej zwiększały zainteresowanie inwestorów firmą ph.com. Popyt na internetowe akcje był ogromny. Drugie tournee inwestycyjne przyniosło rychło efekty i nowi inwestorzy zamawiali sobie telefonicznie miejsce w kolejce, z myślą o trzecim tournee. Na konto ph.com szybko napływały pieniądze.

Doradzający bankowcy od H.P. Johnsona zacierali ręce. Zbliżała się pora wprowadzenia firmy ph.com na giełdę!

Jako że trzeci objazd dla zdobycia źródeł finansowania zakończył się jeszcze większym sukcesem, aktywa firmy ph.com oszacowano, przed nową emisją akcji, na 150 milionów dolarów.

W tamtym okresie prosperity stosunki pary Bergman-Kaegler z Thomasem Bonettim ochładzały się coraz bardziej. Na jesieni 1999 roku wyczuwalny był jeszcze większy rozdźwięk. Sanna Kaegler i Philip Bergman postanowili pozbyć się Bonettiego, ponieważ, ich zdaniem, «nie zmierzał w tym samym kierunku».

A równocześnie 1 listopada stawał się coraz mniej realnym terminem uruchomienia strony internetowej. Próby zainicjowania łączności za jej pomocą spełzały na niczym, zamówienia nie doczekały się realizacji, zbyt długo trwało poszukiwanie informacji i tak dalej. Datę początkowo przesunięto o miesiąc.

W filiach firmy - w Szwecji, Niemczech, Anglii, Francji, Stanach Zjednoczonych i Holandii - zatrudniono całe rzesze ludzi. Młodzi pracownicy byli hojnie wynagradzani, mogli jeździć po Europie i Stanach i zatrzymywać się w eleganckich hotelach. Póki strona internetowa nie funkcjonowała, nie mieli właściwie żadnych konkretnych zadań. Nikt w firmie nie wiedział, co by mogli tymczasem robić, oni sami też nie wiedzieli. Młodzi konsultanci nosili pięknie brzmiące tytuły i aż roiło się w tej firmie od wiceprezesów. Im bliżej było do zaistnienia firmy ph.com w sieci, tym bardziej rosły oczekiwania.

I oto zaczęły się poważne kłopoty z dostawcami, niejedna renomowana marka zniknęła z horyzontu. Tych firm nie

zadowalało dostarczanie odzieży zgodnie z zamówieniami. Renomowani dostawcy żądali, aby ph.com nabywał i składował całe kolekcje, które sprzedawano by potem przez Internet. Ponadto ktoś (nigdy nie udało się ustalić, kto) zamówił jednak pełne kolekcje u części dostawców, m.in. w firmach Prada i Kenzo. Nagle wynikł z tego ogromny zapas odzieży i ph.com musiał wynająć magazyn na terenie bezcłowego portu w Londynie. Jeśli doliczyć koszty prezentów i gratisów, kupowanych z myślą o wykreowaniu firmy, ph.com musiał wydać około 13 milionów dolarów. Były to wydatki nieprzewidziane.

Firmie ubywało pieniędzy, przy czym nikt nie miał kontroli nad ponoszonymi kosztami.

W okresie tych zawirowań pojawił się jeszcze jeden, tym razem anonimowy, inwestor. Ponieważ w grę wchodziło 15 milionów dolarów, Bergman uznał, że potrzebne będzie czwarte tournée inwestycyjne dla przekonania tej jednej anonimowej firmy. Wartość spółki została podwojona: niespodziewanie wyceniono ph.com na 350 milionów dolarów, chociaż ta firma nie sprzedała niczego - nawet za dolara!

Doradzający bank H.P. Johnsona również dopatrywał się w tym dobrego interesu. Otrzymał honorarium w postaci akcji, dzięki czemu zyskał na znaczeniu jako współwłaściciel firmy ph.com.

Na posiedzeniu jej zarządu podjęto decyzję o wprowadzeniu firmy na giełdę nie później niż w marcu 2000 roku.

Weześniej Sanna i zaangażowani przez nią projektanci postawili wysokie wymagania wobec strony internetowej. Jej zdaniem to, co proponowano, było «głupie, banalne, niemodne».

Praca nad stworzeniem strony opóźniła się jeszcze bardziej i powstało coś zaprojektowanego w tak skomplikowany sposób, że niełatwo było się zorientować, który przycisk należy nacisnąć. Presja czasu i brak wizji całości w początkowej fazie realizacji sprawiły, że strona okazała się gmatwaniną przycisków o nieprecyzyjnych funkcjach. Uzyskano niesamowicie powoli funkcjonującą stronę internetową, co gorsza, z mnóstwem błędów. Próby wykazały, że dokonanie zakupu mogło trwać 45 minut.

Gdy dzień wprowadzenia ph.com do sieci był już blisko, zapanowała straszliwa panika.

Strona internetową nie spełniła oczekiwań. Mimo to postanowiono, że trzeba tak wylansować firmę, aby inwestorzy nie stracili cierpliwości.

W dniu 1 grudnia 1999 roku, w godzinach przedpołudniowych Philip Bergman napił się szampana ze swymi umęczonymi współpracownikami. Firma ph.com znalazła się wreszcie w sieci!

Bergman liczył na ogromną sprzedaż przed Bożym Narodzeniem, ale oczekiwany boom nie nastąpił. Wiele osób zainteresowanych i powodowanych ciekawością odwiedzało stronę internetową, ale zniechęcało się trudnościami, które sprawiał handel za jej pomocą. W styczniu 2000 roku również Bergman musiał przyznać, że sytuacja jest katastrofalna. Nie sprzedano nawet 10 procent towaru, który chciano zbyć. Kierownictwo robiło dobrą minę do złej gry. Szefowie nie zwracali uwagi na żadne sygnały ostrzegawcze. Takie zachowanie klóciło się z wszelką etyką biznesu i miało wręcz kryminalny wydźwięk. Skoro wiadomo, co się stało, łatwo odgadnąć, dlaczego ci ludzie działali tak, jak działali: chcieli, żeby spółka weszła na giełdę, i chcieli się szybko wzbogacić.

Tymczasem odpływ ogromnych sum ze spółki, nad którym nie udawało się w żaden sposób zapanować, dawał się już mocno we znaki. Tercet kierujący zdecydował się na piąte tournée inwestycyjne. Trzeba było zdobyć co najmniej 45 milionów dolarów. W pierwszych dniach stycznia 2000 roku doszło do posiedzenia zarządu, na którym podjęto decyzję o wprowadzeniu spółki na giełdę „w dogodnym momencie” w drugim kwartale.

Wielkim rozczarowaniem okazała się też agresywna kampania reklamowa Sanny dla zaanonsowania wejścia na giełdę. Pochłonęła mnóstwo pieniędzy, które zapewnił ubezpieczony kredyt. Limit kredytu został znacznie przekroczony, ale Sanna nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej. Bergmanowi udało się wynegocjować podniesienie limitu do sumy 9 milionów dolarów. Firma ph.com musiała prędzej czy później spłacić także ten dług, tyle że, jako się rzekło, właściciele to raczej nie martwiło.

Długów przybywało - firma miała masę pracowników o wysokich wynagrodzeniach, zbyt wiele kosztownych biur za granicą, doradców, którzy żądali sowitych honorariów, nadmiar towaru na składzie. Do tego dodajmy, że mnóstwo pieniędzy kosztowało firmę sześciomiesięczne opóźnienie realizacji projektu przed wylansowaniem ph.com. A sprzedaż utrzymywała się na katastrofalnie niskim poziomie! Nie było więc dopływu pieniędzy, a tymczasem firma się wykrawiała.

Grupa kierownicza podjęła już przed Bożym Narodzeniem decyzję o pewnych oszczędnościach. Na to, by zlikwidować kosztowne filie i zwolnić część pracowników, nie starczało odwagi - byłby to przecież negatywny sygnał dla inwestorów. Jedynym konkretnym posunięciem okazało się polecenie powszechnego obniżenia kosztów przemieszczania się, także kosztów podróży.

Całe to przedsięwzięcie - firma ph.com - zostało oparte na horrendalnej pomyłce w ocenie sytuacji. Założono na początek, że bogaci nabywcy będą kupować ekskluzywne, markowe towary przez Internet. Bergman zapewniał butnie: «Zachęcimy klienta nowego typu do handlu internetowego! Nasi klienci wiedzą, czego chcą, poza tym nie brakuje im pieniędzy ani dobrego gustu. Brak im tylko czasu. Oszczędność czasu dzięki zamawianiu u nas stworzy firmie ph.com szeroki krąg klientów!».

Dostawcy nie zgadzali się na żadne rabaty. Z badań klienteli wynikało już wtedy, że główną zachętą do kupowania przez Internet jest szansa na korzystny rabat. Klienci firmy ph.com nie stanowili chyba wyjątku od tej reguły, ponieważ sprzedaż nie wzrastała. Nie przekraczała 10 procent wielkości prognozowanej.

W pierwszych miesiącach nowego tysiąclecia zaczęły się ukazywać w prasie artykuły krytyczne wobec ph.com. Co właściwie kryje się pod powierzchnią, która wydaje się modna, cool? Duet Bergman-Kaegler nie zaniechał puszenia się w mediach, ale był oczywiście do głębi wstrząśnięty. Nie tyle katastrofą finansową firmy ph.com, ile tym, że kończył się czas jednogłośnie pozytywnej reklamy.

Oboje poczuli zapewne wielką ulgę, gdy Thomas Bonetti całkiem nieoczekiwanie oświadczył, że zamierza opuścić ph.com pod koniec stycznia, przy czym złożył rezygnację ze skutkiem natychmiastowym. Odrzucił przedstawioną bez przekonania ofertę pozostania w zarządzie i 1 lutego odszedł na dobre.

W marcu 2000 roku balon informatyczny pękł. Po niepewnej prognozie dla Intelu zaczęły nagle spadać kursy akcji Nasdaq. W kwietniu ich wartość spadła o 25 procent. Rynek amerykański zareagował, na to, co się stało dopiero po kilku miesiącach. W Europie trwało to jeszcze dłużej. Rok 2000 przyniósł bankructwo niejednej firmy typu dotcom. Upadłość tysięcy przedsiębiorstw skazała setki tysięcy ludzi zatrudnionych w sektorze informatycznym na bezrobocie. Powstało pojęcie dotcom-death.

Z powodu kiepskiego gospodarowania firma ph.com nie mogła oczywiście stawiać czoła kryzysowi przez dłuższy czas. Jej upadłość stała się faktem w kwietniu 2000 roku. Z piątego objazdu inwestycyjnego nic nie wyszło. Inwestorzy wystraszyli się, poczuli bowiem bliskość „śmierci informatycznej”, owej dotcom-death, chociaż w pierwszej połowie roku 2000 nikt nie wyobrażał sobie jeszcze, jakie ona zbierze żniwo.

Ze strony banku H.P. Johnsona podejmowane były próby uratowania tego, co dałoby się uratować. Mimo wszystko mówiono o wejściu na giełdę na początku marca. Nie nastąpiło ono w ogóle, natomiast długi uczyniły firmę niewypłacalną i unicestwiły ją w dniu 15 kwietnia.

Sanna Kaegler i Philip Bergman wyjaśnili płaczącym tonem personelowi londyńskiej siedziby firmy, że "zawinił inwestorzy: nie dotrzymali swoich zobowiązań. A teraz sprawili, że ph.com stracił grunt pod nogami!». Nie wspomnieli słowem o wpompowaniu ponad 100 milionów dolarów przez inwestorów, którzy nie odzyskali nawet marnego dolara!

Jako że sprawozdawczość w tej firmie właściwie nie istniała, trudno było dojść, gdzie znikają te wielkie sumy. Ale już choćby na reklamę i marketing wydano 39 milionów dolarów. Nigdy nie udało się ustalić, który kontrahent zainkasował cokolwiek. Pracownicy ph.com osiągnęli w ciągu niespełna roku zarobki, które wyniosły ogółem 109 milionów dolarów. Według dzisiejszego kursu dolara jest to równowartość miliarda koron szwedzkich. I jak tu się nie dziwić, skoro pieniądze tylko znikają...

Kilka miesięcy po ogłoszeniu upadłości Sanna Kaegler i Philip Bergman oświadczyli, że ich dawny wspólnik, Thomas Bonetti, przelał miliony dolarów firmy na własne konto. Bonetti odrzucił kategorycznie to oskarżenie i stwierdził, że Sanna i Philip sami roztrwonili pieniądze, a teraz próbują jego obarczyć winą. Nie doszło ani do śledztwa, ani do procesu w tej sprawie, gdyż we wrześniu 2000 roku Thomas Bonetti zniknął".

Irenę zakończyła lekturę w momencie, kiedy podano informację, że samolot przystąpił do lądowania i poproszono

o zapięcie pasów. W przeczytanym przez nią tekście roilo się od terminów ekonomicznych, od pojęć dla niej niezrozumiałych, ale jednego była całkiem pewna: w chwili upadku firmy ph.com zniknęły jakieś pieniądze. Ogromne sumy!

Rozdział 9

Irenę i Kajsa miały plecaki, które mogły zabrać na pokład jako bagaż podręczny. Torby podróżne nie były im potrzebne, bo wybierały się na jedną dobę. Obie cieszyły się, że nie musiały, tak jak inni, czekać cierpliwie na odbiór bagażu. Lotnisko imienia Charlesa de Gaulle'a okazało się sprawiającym przygnębiające wrażenie kolosem z szarego betonu, ale szybko je opuściły dzięki autobusowi, który zabierał pasażerów do centrum Paryża.

- Autobus jedzie przez Boulevard Raspail. Tyle że nie wiemy, gdzie powinniśmy wysiąść. To strasznie długa ulica - powiedziała Kajsa.

Usiadła z planem, który otrzymała w informacji na lotnisku. Po dłuższej chwili złożyła go, mówiąc:

- Musimy wysiąść przed placem Denfert-Rochereau i pójść bulwarem przed siebie, ażeby natrafić na numer 207.

Irenę sięgnęła po plan i wpatrzyła się weń ostentacyjnie. Udało jej się odnaleźć Boulevard Raspail, który jest faktycznie długi, nie mogła więc nie zgodzić się z Kajszą. Ale oczywiście odpowiadał jej spacer w tak pogodny dzień. Kojarzył się z pięknym szwedzkim latem.

A potem znalazły się blisko centrum Paryża. Na szerokich bulwarach obowiązuje ograniczenie prędkości do 80 kilometrów na godzinę. Fala pojazdów płynie tam szybko i równomiernie. Nie brak w tej okolicy wysokich drzew i wspaniałej zieleni między kamienicami. Mimo obfitości kamienia oraz asfaltu obie uznały Paryż za miasto zielone. Ale oto kierowca zapowiedział przystanek, na którym postanowiły wysiąść. Wyszły z autobusu i poczuły na twarzach falę powietrza przesyconego zapachem benzyny.

- Jestem głodna. A może byśmy zjadły lunch, zanim pójdziemy do tamtego mieszkania? - zaproponowała Kajsa.

- Dobry pomysł.

Ruszyły w kierunku szerokiego bulwaru, który zaznaczono na planie jako Boulevard du Montparnasse. Idąc w tę stronę, natknęły się na numer 207, gdzie mieszkali Philip Bergman i Joachim Rothstaahl. Dom okazał się nieco niższy i z wyglądu starszy aniżeli sąsiednie, ośmiopiętrowe budynki. Był dobrze utrzymany, miał jasnoszarą elewację i pomalowane na czarno, żeliwne balkony.

- Jesteśmy na miejscu - stwierdziła Irenę.

- Tak. A tam jest restauracja, która wygląda zachęcająco - dodała Kajsa i wskazała przeciwną stronę ruchliwego skrzyżowania.

Zobaczyły zresztą więcej lokali gastronomicznych w tej okolicy. Obok skrzyżowania były dwie eleganckie rybne restauracje, a poza tym liczne bistra i kafejki. Kajsie spodobał się najbardziej lokal z obsługą na zewnątrz, na słońcu.

Spory szyld nad wejściem informował, że restauracja nosi nazwę „La Rotonde”, i ją właśnie wybrały. Kiedy już pokonały przejście dla pieszych i przedostały się na przeciwną stronę ruchliwego placu, opadły na trzcinowe krzesła przy marmurowym stoliku. Cały chodnik przed restauracją wypełniały stoliki i krzesła, i prawie wszystkie były zajęte. Kto natrafiał na wolny stolik, ten miał szczęście.

Dzięki pomocy Kajsy udało się Irenę zamówić piwo, butelkę wody i kurczę w potrawce z sosem Noilly-Prat. Jak zapewniła Kajsa, poulet to właśnie kurczę.

Po lunchu zamówiły kawę z mlekiem i odchyliły się na trzeszczące oparcia krzeseł. Irenę była zadowolona, że wieczorem poprzedniego dnia pomyślała o zabraniu okularów przeciwsłonecznych. Spoza nich mogła obserwować ludzi, którzy nieprzerwanym potokiem przechodzili obok ich stolika.

Gdy już uregulowały rachunek, pozostały przez chwilę w ciepłych promieniach słońca.

- W tym mieście czuje się puls życia - odezwała się Irenę.

- Tak. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. To miasto nigdy nie zasypia.

- Czy byłaś tu już kiedyś?

Kajsa odpowiedziała z uśmiechem od ucha do ucha:

- Mieszkałam tutaj. Pięć miesięcy. Pracowałam jako au pair. Ale wróciłam. Opieka nad dwójką maluchów nie była aż taką przyjemnością. Tamta rodzina mieszkała dość daleko od centrum, a poza tym... kusila mnie szkoła policyjna.

- Nie ma się co dziwić, że tak dobrze radzisz sobie z francuskim - powiedziała Irenę.

- Cóż, sporo pamiętam, chociaż minęło dziesięć lat.

- Nie mówisz jak my, ludzie z Góteborga, ale chyba też nie ze sztokholmskim akcentem. Skąd jesteś?

- Z Eskilstuny.

- Ach tak. I jak to się stało, że trafiłaś do Góteborga? - pytała dalej Irenę.

Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że przesłuchuje Kajkę, ale właśnie nadarzyła się okazja, żeby czegoś się wywiedzieć.

Kajka długo siedziała w milczeniu, zanim udzieliła odpowiedzi:

- Powód był ten sam, co zawsze. Mężczyzna - stwierdziła zwięźle.

Irenę wietrzyła już coś ciekawego i nie dała się odstraszyć.

- Rozumiem. Jesteście jeszcze razem?

- Nie.

- I żadnej nowej miłości nie ma w twoim życiu?

- Nie.

Kajka nie próbowała nawet ukryć irytacji z powodu niedyskretnych pytań Irenę. Ale ta ani myślała zrezygnować. Udało jej się przecież, tak jak chciała, przyprzeć Kajkę do muru. I spokojnie poradziła.

- Zastanów się, zanim upatrzysz sobie jakiegoś nowego faceta. Żonaty zawsze oznacza kłopoty. Dla ciebie samej, ale też dla jego dzieci i żony. Im więcej dzieci, tym większy problem. O dzieciach trzeba zawsze myśleć w pierwszej kolejności, bo one najgorzej wychodzą na rozwodzie. A ty, która jesteś winna rozpadu małżeństwa, musisz liczyć się z tym, że wypadnie ci pozostawać w cieniu.

Kajka była biała jak trup, ale zanim zdążyła nad sobą zapanować, Irenę wstała.

- No tak, najwyższy czas przystąpić do pracy. Jak powiedziała matka Philipa, mieszkanie jest niewielkie. Z powodzeniem zdążymy się w nim rozejrzeć przed odjazdem autobusu na lotnisko. Zdaje się, że wyrusza o szóstej wieczór - powiedziała, pozorując swobodny ton. I, nie czekając na reakcję koleżanki, skierowała się w stronę najbliższego przejścia dla pieszych.

Kajka nie odzywała się, póki szły w stronę domu, który chciały odwiedzić. Nie była głupia i oczywiście zrozumiała intencję Irenę: przestać polować na Tommy'ego. Z nim samym Irenę zamierzała porozmawiać przy sposobności. Chyba coś się popsło między nim i Agnetą. Albo też wchodziło w grę coś innego. Być może po prostu dopadł go kryzys wieku średniego. Ta myśl powstała w jej głowie kilka dni wcześniej, a nie należało całkiem wykluczać takiego banalnego wyjaśnienia. Cóż właściwie wiedziała Irenę o uczuciach Tommy'ego, mężczyzny, którego nazywała swym najlepszym kumplem? Odpowiedź brzmiała: bardzo niewiele.

Rzadko kiedy rozmawiali o miłości i seksie w życiu obojga, i pewno nie było w tym nic dziwnego. Oboje mieli za sobą dość długie małżeństwa i byli rodzicami. Ich rodziny często się kontaktowały, co więcej, w żonie Tommy'ego Irenę miała swą najlepszą przyjaciółkę. Skutki zdrady i ewentualnego rozwodu Tommy'ego i Agnety odczułaby jako osobistą klęskę. Irenę i Kajka zatrzymały się przy drzwiach domu i odczytały ozdobne, lśniące tabliczki z nazwiskami, wykonane z mosiądzu - jedna z nich informowała, że J. Rothstaahl mieszkał na piątym piętrze. Irenę wyjęła klucz z wewnętrznej przegródki plecaka. Gdy włożyła go do zamka, ciężkie drzwi otworzyły się z jękiem zawiasów.

Sień okazała się wybielona, było czysto i panował porządek. W powietrzu unosił się nikły zapach środków czyszczących.

- Nie ma tu windy - stwierdziła Irenę i ruszyła schodami w górę.

Kajka szła za nią w milczeniu. Zza niektórych zamkniętych drzwi słychać było głosy i muzykę, ale z większości mieszkań nie dochodził żaden dźwięk.

Na najwyższym piętrze zastały troje drzwi. Na jednych była tabliczka z nazwiskiem „J. Rothstaahl”. Irenę zwróciła uwagę na brak informacji o najemcy nazwiskiem P. Bergman.

Irenę wetknęła klucz i drzwi stanęły otworem. Tuż obok leżał cały stos korespondencji, przeważnie reklam. Hol okazał się bardzo wąski i jedyny mebel stanowiła komódka ze starym lustrem. Irenę stwierdziła, że w mieszkaniu utrzymało się dosyć świeże powietrze, co mogło

dziwić, skoro już półtora tygodnia nikt tam nie zaglądał. Było tak pewnie dlatego, że okna i drzwi w starych domach są nieszczelne.

- Podzielimy się - zaproponowała.

Kajsa skinęła głową i poszła do kuchni, którą rozpoznała dzięki otwartym drzwiom. Irenę otworzyła inne drzwi, najbliższej siebie, i stwierdziła, że jest za nimi niewielka łazienka z kabiną prysznicową. Wyczuła wyraźny zapach drogiej wody po goleniu i męskich perfum. Na półce pod lustrem stał niewielki czarny neseserek. Poza tym nie było w tym niewielkim pomieszczeniu niczego, co mogłoby zainteresować. Irenę wróciła do holu i otworzyła następne drzwi. Prowadziły do przestronnej sypialni, w której centralne miejsce zajmowało niezwykle szerokie podwójne łóże z piękną białoniebieską narzutą. Na wysokich oknach wisiały długie zasłony w tych samych kolorach. Drewniane podłogi zostały starannie wycyklinowane i pokryte lakierem. Tutaj również Irenę wyczuła zapach męskich perfum. Dziwne, że aż tak wyraźny... Z kolei otworzyła drzwi, które, jak podejrzewała, wiodły do wielkiej garderoby.

Ku swojemu pełnemu zaskoczeniu nagle została popchnięta. I to tak mocno, że oderwała się od podłogi i upadła głową naprzód do garderoby. Wieloletnie i wielogodzinne ćwiczenie techniki padania uratowało ją przed uderzeniem głową o tylną ścianę. Udało jej się unieść w obronnym geście ramię, w które trafił cios. Równocześnie usłyszała odgłos przekręcania klucza w zamku. Wokół niej zrobiło się całkiem ciemno.

Irenę poczuła w prawym łokciu straszliwy ból, który ogarnął całą rękę. Wydawała się bezwładna. Spróbowała nią poruszyć, ale daremnie. Jęcząc z bólu, zaczęła się podnosić i zamarła, gdy dotarły do niej nowe dźwięki. Słyszała niewątpliwie - mimo masywnych drewnianych drzwi - głos Kajsy.

- Co się dzieje...? Nieeee!

Dał się słyszeć dwukrotny głuchy odgłos jakby uderzenia, po czym przez dłuższą chwilę panowała cisza. Irenę wsłuchiwała się tak intensywnie w dźwięki z zewnątrz, że rozpoznawała przy tym szum własnej krwi w uszach. Kajsę musiało spotkać coś złego. „Czy napastnik jest jeszcze w mieszkaniu?”. Odpowiedzią na to pytanie były czyjeś szybkie kroki. Irenę z ulgą usłyszała, że się oddalają. Dopiero gdy ów ktoś zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania, pojęła, że wstrzymywała dech. Obojętne, kto je zaatakował, najważniejsze, że opuścił mieszkanie. Irenę była przekonana, że atak był dziełem mężczyzny. Odniosła wrażenie, że to człowiek silny, potężnej postury i że zadał od tyłu straszny cios, jakby uderzał kijem hokejowym. Żadna kobieta nie miałaby takiej siły. Sama Irenę miała metr osiemdziesiąt wzrostu i ważyła prawie siedemdziesiąt kilogramów. Poza tym sporo trenowała.

Sprawną lewą ręką zaczęła przy framudze szukać włącznika. Wyczuła go pod palcami po długim czasie; miała wrażenie, że trwało to aż nazbyt długo. Ulżyło jej, gdy rozbłysła żarówka. Skupiła się od razu na zamku u drzwi. Wyglądał na solidny, jak to dawniej bywało, i tkwił w nim klucz, co wypatrzyła przez dziurkę.

Irenę mawiała żartem, że większość problemów można rozwiązać przy użyciu siły. Dlatego właśnie cofnęła się trochę i z całej siły kopnęła zamek. Otworzyła go trzecim kopniakiem. Usłyszała krótki trzask, drzwi stanęły otworem, i wybiegła z garderoby.

Odnalazła Kajsę na progu salonu. Leżała na wznak, a pod głową tworzyła się, z każdą chwilą większa, kałuża krwi. Krew płynęła z otwartej rany nad skronią. Irenę ściągnęła z siebie plecak, wyciągnęła zapasowy t-shirt i mocno przycisnęła do rany. Z ulgą usłyszała cichy jęk Kajsy, która spróbowała pokręcić głową, ale jej się to nie udało. Chyba znowu zemdlą. Irenę zastanawiała się gorączkowo. Jej prawa ręka nie nadawała się właściwie do użytku. Wkrótce nie będzie w stanie uciskać rany Kajsy i nic nie mogła na to poradzić. Gdy jednak podjęła decyzję, działała szybko. Otworzyła zewnętrzną kieszonkę w plecaku i wyłowiła swój telefon komórkowy. Nacisnęła od razu przycisk szybkiego wybierania. Pogratulowała sobie

tę, że przezornie wpisała do pamięci telefonu numery kierunkowe krajów. Skłoniło ją do tego śledztwo, które przed kilku laty prowadziła w Kopenhadze. Odetchnąwszy z ulgą, pomodliła się w duchu, żeby wybrany numer odpowiedział. Jej serce zakolało radośnie, gdy usłyszała dobrze znany głos:

- Inspektor Birgitta Moberg-Rauhala.

- Cześć, Birgitto. Mówi Irene. Czy znasz numer, na który trzeba dzwonić we Francji, żeby wezwać pogotowie?

Rozdział 10

Inspektor Verdier miał szaroniebieskie oczy, które tkwiły blisko wąskiej nasady nosa i mierzyły ludzi chłodnym spojrzeniem. Swoje przerzedzone i szpakowate włosy szczytywał w nieatrakcyjny sposób na jeden bok. Ubrany był w jasno-beżowy prochowiec i nienagannie dopasowany szary garnitur, i mimo ciepła chyba się nie pocił. Irene skojarzyła go z pewną postacią z czytanych w dzieciństwie książek o Turem Sventonie. Między tamtymi opowieściami a przykrą paryską rzeczywistością, w której zaszła potrzeba przyjęcia kogoś na ostry dyżur, była taka różnica, że raczej policjant niż złoczyńca mógł się nazywać Ville Vessla. Inspektor pojawił się już wtedy, gdy Irene i Kajsę badano w osobnych pokojach. Cierpliwie czekał, kiedy Irene została zawieziona do pracowni radiologicznej, gdzie prześwietlono jej łokieć, i nie okazywał też bynajmniej pośpiechu, gdy na poważnie zwichniętą rękę zakładano odpowiedni temblak. Do złamania nie doszło, co Irene przyjęła z ulgą. Śniadoskóry lekarz ze zmęczeniem w oczach nabazgrał coś na blankiecie recepty i łamaną angielszczyzną pouczył Irene, że powinna łykać po dwie tabletki trzy razy dziennie i popijając je dużą

ilością wody. Irene skinęła głową i postarała się zrobić wrażenie, że jest posłuszną pacjentką.

Zapytała, co się dzieje z Kajsą Birgersdotter, ale doktor wzruszył ramionami i z żalem w głosie stwierdził:

- Not my patient.

Gdy lekarz wyszedł, inspektor Verdier ruszył jego śladem. Wrócił jednak po paru minutach.

- Pani koleżanka ma wstrząs mózgu. Do jutra zostanie tu na obserwacji - oznajmił dobrą angielszczyzną, choć z wyraźnym francuskim akcentem.

Nie było w jego głosie ubolewania, po prostu zwięźle stwierdził pewne fakty. Irene domyśliła się, że został przysłany ze względu na znajomość angielskiego. Na pewno nie wzięto pod uwagę jego umiejętności siadania na krawędzi łóżka ani talentów towarzyskich.

- Chciałbym zabrać panią na komendę, żeby opowiedziała pani, co się wydarzyło - dodał Verdier.

Jego twarz nie wyrażała ani krzty ciekawości, malowała się na niej tylko chłodna, obojętna poprawność. Zanim Irene zdążyła zareagować, w niewielkim pokoju, gdzie badano pacjentów, rozległy się głośne dźwięki francuskiego hymnu narodowego. Zdołała wydobyć swój telefon komórkowy z przegródki plecaka i odebrała.

- Jak leci? - usłyszała głos Birgitty.

- Dobrze. Chociaż właściwie... Kajsza ma wstrząs mózgu i musi zostać tu na noc, na obserwacji. Mój łokieć nie jest wcale złamany, ale... wiesz, będę musiała zadzwonić do ciebie później.

Bez zwłoki wyłączyła telefon. Inspektor Verdier wstał bez słowa i popatrzył na nią swymi jasnymi oczami. Wymownym gestem uderzył wskazującym palcem w powieszoną na ścianie tabliczkę z przekreślonym telefonem komórkowym.

Irene szybko pozbierała swoje rzeczy. Plecak zawiesiła na zdrowym lewym ramieniu, a zakiet zarzuciła na plecy. Verdier nie kwapił się pomóc w niesieniu czegokolwiek. Tyle że otworzył przed nią drzwi, kiedy wychodziła z pokoju.

Inspektor poprowadził ją w stronę izby przyjęć, gdzie pełniono ostry dyżur i gdzie roiło się od ludzi, a potem w kierunku podjazdu dla karettek. Jedna z pielęgniarek zagadnęła go o coś, ale zaraz umilkła, gdy inspektor wbił w nią wzrok i pomachał swoją legitymacją. Ireneę zrozumiała, że pacjentom oraz ich rodzinom zabraniano przechodzić przez izbę przyjęć, do której trafiają ofiary wypadków. Tuż obok można się narazić na rozjechanie przez pędzącą karetkę. Ale ten zakaz obowiązuje zwykłych ludzi. Inspektora Verdiera to nie dotyczy. Z rozwianymi połami płaszczka szedł teraz przed nią na parking, nie sprawdzając, czy podąża za nim. Dotarł do ciemnoszarego renault megane i otworzył samochód. Przytrzymał drzwi, żeby Ireneę mogła wsiąść, ona zaś stwierdziła bez zdziwienia, że wskazał jej w ten sposób miejsce z tyłu. Jej francuski kolega wolał chyba uniknąć rozmowy w czasie jazdy. W milczeniu włączyli się w popołudniowy ruch. Ireneę sięgnęła znów po telefon komórkowy i wystukała numer Birgitty. Ta odezwała się po pierwszym sygnale:

- Co się stało?

- W szpitalu nie wolno używać komórki. Teraz jestem w samochodzie i jadę na komendę, gdzie zostaną przesłuchana.

- Przesłuchana?

- Tak. Pewnie jako oskarżona o czyn karalny. Kolega, który mnie wiezie, patrzy w taki sposób, że czuję ciarki na plecach.

Ireneę dostrzegła w lusterku chłodny wzrok Verdiera i zmusiła się do uśmiechu. Birgitta zachichotała:

- Popatrz na to inaczej: omija cię teraz spotkanie ze Svenem.

Właśnie takich słów potrzebowała Ireneę w tej chwili. Nie robiła sobie żadnych złudzeń co do reakcji komisarza na wiadomość o tym, co się wydarzyło w Paryżu w ostatnich godzinach. Głęboko westchnęła i postanowiła nie przejmować się Verdierem, który obserwował ją w lusterku.

- Kochano Birgitto, czy mogłabyś zadzwonić do biura podróży i przebukować bilety na jutro po południu? I poprosić, żeby załatwili hotel niedaleko od mieszkania Rothstaahla. Nie mam samochodu, a nasz francuski kolega raczej nie zaproponuje siebie jako kierowcy. Skoro już tu jestem, to postaram się zdobyć jak najwięcej wiadomości o Bergmanie i Rothstaahlu.

- Tym lepiej! Być może Andersson nie uzna waszej wyprawy za całkiem bezpodstawną. Zadzwonię do ciebie, kiedy załatwię wszystko z biurem podróży. I jeszcze jedno: dziś rano zatelefonowałam do paryskiej filii H.P. Johnson's Bank. Podobno nigdy nie mieli pracownika o nazwisku Joachim Rothstaahl. Mały spryciarz wymyślił to pewnie, żeby uspokoić rodziców. Ciekawe, czym naprawdę zajmowali się ci dwaj faceci.

Gdy Ireneę wyłączyła telefon, poczuła się osamotniona. Urwał się kontakt z krajem i musiała od tej chwili radzić sobie sama w nieznannej metropolii, nie znając języka. A jedyny tubylec, z którym miała do czynienia, okazał się tak serdeczny, jak bryła lodu.

Jeszcze zanim pozostawili za sobą kilka wysokich bram i zaparkowali samochód, Ireneę zdążyła wypatrzeć budowlę, którą rozpoznała. Liczne iglice i wieże z rzygaczami w kształcie smoków mogły należeć tylko do sławnej katedry Notre Dame. Przypomniał jej się Disneyowski film o Dzwonniku z Notre Dame, który przed laty oglądała razem z córkami. Do komendy prowadziły imponujące drewniane drzwi, które zaopatrzone w solidne żelazne okucia, drzwi pozwalające się domyślać, że przetrwały napór tłumu w czasie rewolucji francuskiej. Wejścia strzegł umundurowany policjant w oszklonej budce. Wyprężył się i zasalutował, kiedy przechodzili, a Verdier oddał honory ledwo dostrzegalnie.

Wsiedli do starej skrzypiącej windy. Inspektor Verdier nacisnął przycisk oznaczony literami PJ. Obok wisiała mosiężna tabliczka z wygrawerowaną informacją: police judiciaire. Winda pokonała kilka pięter, potem zaś szli ciemnymi korytarzami. Brudne okienka po jednej stronie przepuszczały minimum światła. Ireneę poczuła się przeniesiona w czasie

o kilkaset lat wstecz. Przytłumione odgłosy ruchu ulicznego i karetek na sygnale, które przedostawały się zza okien, były dla Irenej jedyną więzią z teraźniejszością.

Po dłuższym spacerze mrocznymi korytarzami inspektor zatrzymał się przed któryś zamkniętymi drzwiami

i otworzył je swoim kluczem.

- Proszę - przepuścił Irene przed sobą.

Znaleźli się w jego gabinecie. Całe umeblowanie składało się z nadwreżonego biurka i dwóch krzeseł. Na ścianie wisiała zwyczajna półka z teczkami akt, a pośrodku biurka stał stary komputer. W gabinecie było chłodno, Irene otuliła się więc żakietem, zanim usiadła na wskazanym przez Verdiera krześle.

Ledwo zaczęła swą długą opowieść, usłyszała znów Marsylianę ze swego telefonu. Birgitta przekazała, że zrobiła dla niej rezerwację w hotelu Montparnasse Raspail. Jak poinformowała pracownica biura podróży, jest to hotel w pobliżu domu, w którym mieszkał Rothstaahl. Data odlotu też została zmieniona.

Póki Irene opowiadała kiepską angielszczyznę o prowadzonym w Góteborgu śledztwie w sprawie pewnych morderstw, inspektor Verdier obserwował ją w milczeniu. Nie było żadnych obrazów na ścianach ani kwiatów na parapecie, Irene nie miała więc na czym zawiesić oczu. I dlatego musiała wytrzymać zimny wzrok inspektora. Nigdy by nie przypuściła, że ktoś potrafi tak rzadko mrugać oczami. I to działało. Irene była nawet skłonna przyznać się do uderzenia Kajsy w głowę i zamknięcia siebie samej w garderobie, byleby się wydostać z gabinetu i uniknąć dalszej chłodnej obserwacji. Ale zapanowała nad sobą i zmusiła się do możliwie rzeczowego odtworzenia toku wydarzeń. Skoro inspektor potrafił być lodowaty, Irene postanowiła to przetrwać.

Kiedy zdała ze wszystkiego sprawę, przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Dlaczego wasz szef przysłał tutaj dwie kobiety? - zapytał w końcu Verdier.

Irene trochę zdziwiło to pytanie i doszła w tym momencie do wniosku, że jego zachowanie zaczęło ją niecierpliwic.

- Przysłał najlepszych inspektorów. Mamy przecież do czynienia z niebezpiecznym mordercą - wyjaśniła.

Na ułamek sekundy w oczach Francuza pojawił się jakiś błysk, ale że zaraz zniknął, Irene nie zdążyła zrozumieć, co by mógł oznaczać.

Inspektor Verdier wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. Irene wytrzymała jego wzrok i bardzo była zadowolona, że on jako pierwszy spojrział w inną stronę. Ale zatuszował to podniesieniem się z niewygodnego krzesła.

- Czy podwieźć panią, madamel - zapytał.

Jego ton nadal był chłodny, choć uprzejmy. Irene zwróciła uwagę na owo madame zamiast stopnia służbowego.

- Tak, bardzo proszę. Muszę dotrzeć do hotelu przy Boulevard Raspail - odpowiedziała bez zastanowienia.

Zdawała sobie sprawę ze swej niepoprawnej wymowy, ale nie przejmowała się tym, chciała tylko wydostać się z tamtego gabinetu, który działał na nią deprymująco, i uwolnić się od jeszcze bardziej deprymującego Verdiera. Ten podał swoją wizytówkę i powiedział:

- Proszę o numer telefonu komórkowego. Na wszelki wypadek, gdyby coś wyniknęło. Albo gdybym musiał się z panią skontaktować.

Postarał się, żeby te ostatnie słowa zabrzmiały jak groźba.

Młody policjant w mundurze odwiózł Irene do hotelu nieoznakowanym samochodem policyjnym. Irene usiadła z własnej inicjatywy z tyłu. Nie czuła się na siłach prowadzić konwersacji swą niedoskonałą angielszczyznę. Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Kontakt z inspektorem Verdierem okazał się bardziej nużący niż przewidywała. Nie bez znaczenia był

też napad w tamtym mieszkaniu i, konieczny z tego powodu, pobyt w szpitalu. I nawet nie udało się jej spotkać z Kajsą.

Przedtem lekarz obiecał Irenej, że będzie mogła odwiedzić koleżankę, kiedy ta trafi na oddział. Według jego słów mogłoby do tego dojść najwcześniej pod wieczór. Teraz brakowało już niewiele do godziny 18.00, a Irenej zamierzała jeszcze raz rozejrzeć się po mieszkaniu, zanim nadejdzie pora powtórnej wizyty w szpitalu.

Najpierw musiała jednak wypić kilka filiżanek kawy i zjeść jakąś kanapkę. Łokieć zaczął jej mocno dokuczać, uznała więc, że to chyba dobry pomysł, żeby zrealizowała receptę.

Sięgnęła po telefon i szczęśliwie trafiła na Kristera, który dopiero co wrócił do domu.

Zmartwiła go wiadomość o napadzie. Gdy się upewnił, że Irenej wyszła z tego prawie bez szwanku, obiecał zająć się domem. Minione lata przyzwyczyły go do takich obowiązków.

Był prawdziwym oparciem dla Irenej. Nie byłaby w stanie pogodzić tak dobrze obowiązków domowych ze służbą w policji, gdyby nie jego pomoc. To samo w nie mniejszym stopniu dotyczyło tych jej kolegów, którzy mieli żony i dzieci. I, tak jak oni, rzadko kiedy zastanawiała się nad tym.

Samochód zahamował przed hotelem Montparnasse Raspail. Irenej podziękowała swemu umundurowanemu francuskiemu koledze i niezdarnie zawiesiła plecak na lewym ramieniu.

Szklane drzwi hotelu rozstały się automatycznie, gdy podeszła do wejścia.

Hol okazał się niezbyt obszerny i pomalowany na jasno, w odcieniu terrakoty.

Młoda recepcjonistka miała na sobie nienaganny ciemnoniebieski mundur i olśniewająco białą bluzkę. Irenej zwróciła uwagę na jej nadzwyczaj wysoki wzrost i smukłą figurę. Kiedy kobieta wstała, zaszeleściły szklane paciorki na niezliczonych splotach jej włosów,

opadających na ramiona. Recepcjonistka obdarzyła Irenej ciepłym uśmiechem i ukazała przy tym nieskazitelnie białe zęby, które kontrastowały z jej śniadą cerą. „Co ona robi w hotelowej recepcji? - zdziwiła się w duchu Irenej. - Ta dziewczyna powinna zarabiać krocie na pokazach kolekcji prezentowanych przez wielkie domy mody. Czyż nie jesteśmy w Paryżu?”.

Irenej przedstawiła się. Recepcjonistka - według identyfikatora: Lucy - sprawdziła jej nazwisko w komputerze i z uprzejmym skinieniem głowy powiedziała:

- Witam panią. Życzę przyjemnego pobytu.

Jej angielszczyzna brzmiała o wiele lepiej niż ta, którą posługiwała się Irenej.

- Dziękuję.

Wzrok Irenej padł na niewielki bar w rogu holu.

- Przepraszam, czy można tam dostać kawę i kanapkę?

Głos Irenej nie zdołał ukryć jej zmęczenia. Lucy skinęła głową i zaraz zapewniła:

- Oczywiście, madame. Załatwię to. Ale to musi chwilę potrwać.

Recepcjonistka zreflektowała się i wychyliła poza kontuar.

- Przepraszam... Czy pani nie potrzebuje pomocy...? Irenej zrozumiała, że recepcjonistka patrzy na jej ramię.

- Nie. Proszę tylko o kawę i kanapkę - odpowiedziała, zakłopotana sytuacją.

- Chodzi mi o to... madame, że ma pani krew na bluzce.

Spojrzenie w lustro, które wisiało za plecami Lucy, potwierdziło jej słowa. Na wysokości lewego ramienia widać było wyraźne ślady krwi na jasnoniebieskiej bluzce Irenej.

- Och nie! A zapasowym t-shirtem zatamowałam cudzą krew! To nie są ślady mojej krwi.

Koleżanka... miała wypadek.

Irenej nie zdążyła nawet podjąć decyzji o ujawnieniu tego, co się stało, a już opowiedziała, jak było, tyle że w wersji ocenzonej. Młoda recepcjonistka kiwała głową i słuchała uważnie.

- To znaczy, że pani jest z policji? I nie zamierzała pani nocować w Paryżu? - upewniła się, gdy Irenej skończyła swą relację.

Lucy zastanawiała się przez chwilę, po czym powiedziała nieoczekiwanie:

- Już wiem, madamel Wśród moich znajomych jest ktoś, kto może pani pomóc! Przyda się pewnie nowy t-shirt i zmiana bielizny. Chyba się nie mylę?

- Tak. To znaczy... tak, dziękuję. I mam tu receptę... - odpowiedziała zmieszana Irene.

Udało jej się wydobyć receptę z przegródki plecaka.

- Gdzie znaleźć aptekę? - zapytała.

- Madame Huss, proszę mi dać tę receptę. Proszę udać się do swego pokoju i trochę odpocząć.

Przyniosę lekarstwo, kawę i tamte rzeczy. Bardzo proszę. Pokój 602.

Oszołomiona Irene przyjęła plastikowy żeton z kluczem do swojego pokoju i skierowała się w stronę małej windy. Wreszcie poczuła ulgę, bo ktoś wziął na siebie część jej kłopotów. Irene wiedziała, że ulga z tego powodu jest niebezpieczna i nigdy dotąd nie pozwoliła sobie na taką reakcję. Być może nadeszła właściwa pora. Serdeczne współczucie, jakie okazała Lucy, rozwiązało ten węzeł przykrości, który powstał w niej za sprawą lodowatego wzroku i odstręczającego zachowania inspektora Verdiera.

Pokój okazał się mały, ale było tam czysto i chyba został niedawno odświeżony. Cały hotel sprawiał wrażenie wyremontowanego w ostatnim czasie. Łazienka, prysznic, kuszące posłanie... - czegoż więcej można by oczekiwać?

Obudziło ją stukanie do drzwi. Spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że przespala prawie czterdzieści minut. Nie pamiętała, kiedy się położyła. Prawdopodobnie zasnęła, zanim jej głowa znalazła się na poduszce, i padła w ubraniu na narzutę.

Przy drzwiach stała Lucy. Przyniosła tacę. Miała też wielką kolorową torbę z papieru.

- Proszę, madame. Moja przyjaciółka chciałaby odzyskać czterdzieści osiem euro, a tabletki kosztowały osiemnaście - powiedziała z czarującym uśmiechem.

Irene miała w portfelu 50 euro, co stwierdziła z ulgą.

- Proszę na razie wziąć tyle. Wyjmę więcej pieniędzy. Dziękuję za uprzejmość - te ostatnie słowa wypowiedziała całkiem szczerze.

- Nie ma pośpiechu. Zaraz na rogu, w stronę Boulevard Montparnasse, jest bankomat. Nawet nie sto metrów stąd.

Na torbie widniała, zapisana ozdobnymi literami, nazwa „Galeries Lafayette”. Wewnątrz Irene znalazła niebrzydką jasnoliliową bluzkę z bawełny i bawełniane figi. Na samym dnie leżała przezroczysta plastikowa kosmetyczka. Były w niej próbki kosmetyków do osobistej higieny, a także kremy. Nie zabrakło nawet tuszu do rzęs.

Irene wypila najpierw kawę. Łyknęła dwie tabletki i zjadła kanapkę z serem camembert i winogronami. Później weszła pod prysznic. Stała tam długo, aby gorąca woda mogła przyspieszyć krążenie krwi.

Zanim się przebrała, ból ramienia zdążył zamienić się w znośne ómienie. Szybko wysuszyła włosy i wklepała w twarz zawartość jednej z tubek. Informację o kremie podano w języku francuskim, Irene nie miała więc pewności, czy był przeznaczony na dzień, czy na noc. Albo może nasmarowała twarz kremem oczyszczającym skórę?

Irene znalazła bankomat bez problemu. Wyjęła 100 euro. Od razu wróciła do hotelu i spłaciła swój dług wobec Lucy.

Mieszkanie Rothstaahla było prawie naprzeciw hotelu Montparnasse Raspail. Udało się jej, co prawda z narażeniem życia, przedostać na drugą stronę bardzo ruchliwego bulwaru. Gdy znalazła się tam bez szwanku, obiecała sobie, że będzie jednak w miarę możliwości korzystać z przejść dla pieszych ze światłami.

Irene wetknęła klucz w zamek. Już była gotowa go przekręcić, ale się powstrzymała. A jeśli wrócił ten, kto napadł na nią i Kajsę? Po chwili zastanowienia uznała, że to mało prawdopodobne. Mimo wszystko otworzyła drzwi, czując paraliżujący niepokój. Każdy jej zmysł wyczulony był na niebezpieczeństwo.

Zapach męskich perfum zniknął prawie bez śladu. I co by było, gdyby wcześniej pojęła, czym taki silny zapach może grozić! Irene otworzyła drzwi do łazienki z kabiną prysznicową i

stwierdziła, że zabrano neseserek. Czyżby napastnik przypomniał sobie o swoich przyborach toaletowych, albo może zajrzała tam francuska policja i posłała te rzeczy do zbadania? Ireń wyszła do przedpokoju i rozejrzała się. Wielki ślad po krwi, tuż przy progu, nie zniknął. Kiedy rzuciła okiem na kuchnię, sypialnię i salon, potwierdziło się to, co podejrzewała: nic nie świadczyło o wizycie francuskich kolegów. Osobiście zamknęła drzwi na klucz, gdy przyjechała karetka, żeby ją i Kajkę zabrać do szpitala. A inspektor Verdier nie poprosił o pożyczanie klucza, którego zresztą nie dostałby. Być może to zrozumiał.

Kuchnia była niewielka, z oknem na podwórze. Elewacje od strony podwórza okazały się mocno nadwerężone, zaniedbane. Liczyła się oczywiście elegancja od strony bulwaru. W jednej z szafek Ireń znalazła zwyczajny biały serwis, złożony z sześciu elementów; należały doń kieliszki do wina, szklanki, sztućce w koszyku i kilka półmisek. W spiżarnianym zapasie było trochę niezbędnych produktów, między innymi kawa rozpuszczalna.

Wyposażenie kuchni uzupełniały trzy garnki i patelnia. Widać było, że lokatorzy nie prowadzili gospodarstwa. Przyjrzawszy się uważnie umeblowaniu, Ireń doszła do wniosku, że mieszkanie wynajęto razem z meblami. Były tu rozmaite elementy, osobistego stylu zabrakło. Nie było modnego wystroju, tylko najzwyczajniejszy standard. W mniemaniu Ireń takie urządzenie przeczyło temu, co wyczytała na temat kariery Philipa Bergmana w okresie istnienia firmy ph.com. W czasopiśmie poświęconym nowoczesnym wnętrzom nie znalazłoby się pewnie miejsce na zdjęcia tego mieszkania. Ale należało ono do Joachima Rothstaahla. Być może miał on inny gust.

Sypialnia wyglądała tak samo, jak przed kilkoma godzinami, kiedy Ireń opuściła mieszkanie w towarzystwie personelu karetki. Mimo woli poczuła ciarki na plecach, gdy zobaczyła wyważone drzwi garderoby. Z wielkim trudem zapanowała nad sobą, po czym weszła tam i włączyła światło. Philip Bergman i Joachim Rothstaahl trzymali swoje rzeczy, jak rozumiała, po dwóch stronach garderoby. Odzież Philipa, znacznie wyższego i potężniejszej postury niż Joachim, okazała się o kilka numerów większa. Philip rozwiesił swoje garnitury podobnie jak Joachim, który miał swoje po przeciwnej stronie. Poniżej, na dwóch półkach, stały buty. Ireń nie oparła się pokusie policzenia ich. Philip miał czterdzieści siedem par butów, Joachim tylko dwadzieścia dwie. Ireń obliczyła szybko, iloma sama dysponowała, i uświadomiła sobie, że dziewięcioma parami, łącznie z kaloszami i sportowymi butami, które miała na sobie.

W szafach na ubrania były szuflady i półki. Brakowało w nich takiego porządku, jaki panował w garderobie. Właściciele wciskali tam byle jak bieliznę osobistą, t-shirty i skarpety.

Interesującym miejscem mogło się okazać łóżko. Jeśli napastnik spędził w mieszkaniu co najmniej jedną noc, to właśnie w nim powinien się znajdować jakiś ślad jego obecności. Ireń włączyła halogenowe lampy nad wezglowiem i skierowała je na narzutę. Dokładnie obejrzała jej powierzchnię. Zrobiło jej się gorąco, gdy wypatrzyła kilka

pojedynczych włosów tam, gdzie mogła się ich spodziewać, mianowicie na jednej z małych poduszek pod głowę. Poszła do kuchni i szczęśliwie natrafiła pod blatem na rulon cienkich białych torebek na śmieci. Zabrała ten rulon do sypialni. Ponieważ nie miała rękawiczek, owinęła jedną torebką lewą ręką. Jeszcze nie miała odwagi używać prawej. Każde poruszenie palcami oznaczało ból sięgający łokcia. Zbieranie włosów i wkładanie ich do innej torebki było zajęciem bardzo zmudnym i nużącym, ale powiodło się. Ireń odczuła zadowolenie, choć wiedziała, że czeka ją jeszcze sporo pracy. Ostrożnie odsunęła narzutę i powtórzyła zbieranie, tym razem z dwóch większych poduszek. Na nich też nie brakowało włosów.

Wszystkie umieściła w jednej torebce. Posortowanie należało do Malma i Ahlena. Nie powinni mieć z tym większego kłopotu. Na pewno szybko będą mogli oddzielić włosy Joachima i Philipa. Ciekawe mogłyby się okazać włosy jakiejś trzeciej osoby.

Niewykluczone, że należące do napastnika. Albo do niewinnej osoby, z którą jeden z

lokatorów dzielił posłanie, ale Irenę domyślała się, że tak nie jest. Starannie zawiązała węzeł na cienkiej torebce, w której umieściła włosy, i włożyła ją do plecaka. W rogu sypialni stało zwyczajne biurko z drukarką laserową i jakimiś przewodami na blacie. Komputera nie było. Irenę wysunęła szuflady, ale nic ciekawego nie znalazła. Na ścianie nad biurkiem wisiała półka z paroma segregatorami. Jeden z nich został opatrzony napisem: „Mieszkanie”. Zdjęła go i zaczęła przeglądać. Natknęła się na umowę najmu, podpisaną przez Joachima Rothstaahla w dniu 1 kwietnia 2001 roku. Wynajął mieszkanie z pełnym umeblowaniem i czynszem miesięcznym w wysokości 1500 euro. Irenę przeliczyła to szybko w myślach i stwierdziła, że Rothstaahl płacił 14 000 koron miesięcznie za mieszkanie, którego powierzchnia wynosiła, według umowy, 69 metrów kwadratowych. Można to było uznać za ważny powód do poszukania współlokatora.

Drugi segregator, który ją zainteresował, miał na grzbiecie nadruk „EuroFond”. Zawierał plik grubych broszur, które wydrukowano na doskonałym papierze. W broszurach znalazła robiące wrażenie wykresy i piękne fotografie Paryża. Towarzyszyły im teksty w języku szwedzkim, angielskim i francuskim. Ze szwedzkiego tekstu wyczytała, że materiały były przeznaczone dla firm i osób prywatnych, które chciałyby zainwestować w fundusz akcyjny z perspektywą sporego zysku. „Jest to niewątpliwie najlepszy fundusz na rynku, z gwarancją największego zysku” - zapewniała broszura. Irenę schowała segregator z całą zawartością do plecaka.

Jedynym sprzętem wysokiej klasy w salonie okazał się telewizor z panoramicznym ekranem. Wyglądał na całkiem nowy. Uwagę Irenę zwrócił rząd półek zastawionych kasetami z filmami wideo. Przeważały amerykańskie filmy akcji oraz horrory. Rozpoznała dwa tytuły: Milczenie owiec i Seven. Podnosząc kasety, wypatrzyła za nimi stos innych filmów. Wyciągnęła je i odczytała takie tytuły, jak Love-boy czy Beach Boys Sex. Na okładkach zobaczyła przystojnych, muskularnych mężczyzn w wyzywających pozach. Nie zdziwiło jej to, po prostu potwierdziło się coś, co podejrzewała jeszcze w Göteborgu.

Całe mieszkanie pozwalało się domyślać zgodnego współżycia lokatorów przez dłuższy czas. Nic nie wskazywało na to, by któryś z nich mieszkał tylko sporadycznie. Wielce prawdopodobny okazywał się także seksualny charakter znajomości Philipa i Joachima. A jednak w tekście, który Irenę czytała w samolocie, Philip został przedstawiony jako mężczyzna niezwykle atrakcyjny dla kobiet. Tyle że ich fascynacja nie musiała oznaczać zainteresowania z jego strony. Być może zadawał się z dziewczynami dla upozorowania czegoś, być może nie chciał się afiszować ze swą homoseksualną orientacją? Albo może był biseksem? Czy motywem zbrodni była wzajemna więź? Życie seksualne jest zawsze brane pod uwagę w toku śledztwa w sprawie morderstwa, ale Irenę, nauczona doświadczeniem, wiedziała, że nie zawsze łatwo dojść do prawdy. Kiedy jest coś do ukrycia, ludzie potrafią się maskować.

Nagle zaświtała w jej głowie pewna myśl: włosy. Właśnie. Włosy sprawcy mogą się znajdować na sitku odpływowym prysznicza. Irenę wyszła z rulonem torebek na śmieci do holu i otworzyła drzwi małej łazienki. W słabym świetle lampy nachyliła się, żeby dokładnie obejrzeć sitko na dnie kabiny prysznicowej. Żadnych włosów nie znalazła i rozczarowało ją to. Kiedy się prostowała, strzyknęło coś w jej nadwerężonym prawym kolanie. Ale nie był to aż tak głośny dźwięk, żeby nie mogła usłyszeć, że ktoś przekręca klucz w drzwiach do mieszkania.

Rozdział 11

- Mera, madame Lavenstein - to podziękowanie wypowiedział mężczyzna.

Irenę rozpoznała jego głos od razu. Straszliwe przerażenie, które czuła przez kilka sekund, ustąpiło miejsca i uldze, i złości. Jeśli powróciłby człowiek, który zaatakował ją i Kajkę, to Irenę nie miała jak się przed nim obronić, nie mając pistoletu, za to z kontuzją prawej ręki. Jakaś kobieta wyrzuciła z siebie mnóstwo francuskich słów, ale zatrzymała ten potok zwięzła replika:

- Oui! Merci!

Irenę usłyszała, że zamknięto drzwi mieszkania, po czym zapadła cisza. Zrozumiała, że tamten człowiek rozgląda się i pewnie dostrzeże światło, które wydostawało się spoza uchylonych drzwi łazienki.

Była przygotowana, gdy tamten ostrożnie je otworzył. Światło lampy odbijało się w lufie pistoletu.

- Bonjour, monsieur Verdier - odezwała się Irenę. Zdążyła tego dnia liźnąć francuskiego.

Drzwi otwały się na oścież. Inspektor Verdier nadal kierował pistolet w jej stronę.

- Co pani tu robi? - wycedził.

- Chcę panu zadać to samo pytanie - odparła spokojnie Irenę.

Pojedynek ich oczu rozciągnął się na kilka długich sekund. Irenę rozszyfrowała jego taktykę lodowatych spojrzeń i reagowała teraz wbijaniem wzroku w niego, co łączyła z dyskretnym uśmiechem. Inspektor nie wytrzymał i uciekł wzrokiem w bok. Przywykł, że chłodem swoich oczu i pogardliwą postawą deprymuje ludzi.

- Kto pana wpuścił? - indagowała dalej Irenę, która chciała zachować inicjatywę.

- Madame la con... dozorczyni. Postanowiłem obejrzeć miejsce przestępstwa - odpowiedział Verdier.

Pod uchem inspektora drgnął niewielki mięsień, kiedy zaciskał zęby. Verdier schował swój pistolet do kabury ukrytej pod marynarką.

- Dlaczego chciał pan obejrzeć miejsce przestępstwa? - zapytała Irenę.

Verdier nie odpowiedział od razu - przez dłuższą chwilę milczał.

- Napad na panią i tę pani koleżankę jest tylko częścią większej akcji przestępczej - wyrzekł w końcu.

- To dla mnie nic nowego. Ale chodzi tu o morderstwo popełnione w Szwecji, na dwóch szwedzkich obywatelach, będące przedmiotem śledztwa prowadzonego przez szwedzką policję. Tak się złożyło, że ofiary mieszkały tutaj, w Pa...

- Chodzi o inne przestępstwo - przerwał Verdier. Inne przestępstwo? Czyżby również francuska policja zaczęła znajdować rekiety finansjery z przestrzelonymi głowami?

- Przejdźmy tam i usiądźmy - zaproponował Verdier i gestem wskazał salon.

Zasiedli w pluszowych fotelach beżowego koloru. Francuz usiadł tak, że Irenę znalazła się niemal naprzeciw. Być może nie chciał wykręcać szyi w czasie rozmowy, ale Irenę podejrzewała, że zajął taką pozycję z przyzwyczajenia. Zależało mu pewnie na tym, żeby móc patrzeć ofiarom w oczy. Tyle że Irenę nie czuła się już ofiarą.

- Mówiła pani, że obaj zamordowani mężczyźni działali tutaj, w Paryżu, jako finansjery.

Skontaktowałem się z kolegą, który specjalizuje się w ściganiu przestępczości gospodarczej. Oddzwonił przed godziną. Joachim Rothstaahl figurował w jego rejestrze. Pewien norweski przedsiębiorca zaalarmował policję, kiedy zaproponowano mu ulokowanie pieniędzy w funduszu akcyjnym, który powstał we Francji. Norweg rozpoznał sposób działania Rothstaahla. Sposób wypraktykowany w Londynie. Ten Norweg ma serdecznego przyjaciela, który bardzo źle wyszedł na oszustwach Rothstaahla i jego wspólników. Z Anglii nadeszło potwierdzenie, że Rothstaahl był tam zamieszany w jakieś przestępstwa gospodarcze. Nie pociągnięto go jednak do odpowiedzialności karnej. To nastąpiło z jakiegoś powodu w Norwegii.

Część podanych przez Verdiera informacji dotarła do Irenę wcześniej. A jednak była zdziwiona. Tym, że francuska policja potrafiła tak szybko odgrzebać historię „piramidy” w

Pundfiksie, i tym, że Verdier wypowiedział pewne opinie, które były zgodne z jej ocenami, a ponadto - takie odniosła wrażenie - w swojej relacji nie mijał się z prawdą.

I oto Irenę dowiedziała się, co właściwie robił Joachim Rothstaahl w Paryżu. Wbrew temu, co powiedział rodzicom, nie był pracownikiem filii banku H.P. Johnsona. Powrócił do dawnych lukratywnych oszustw z czasu pobytu w Londynie, teraz już w Paryżu i z nowym wspólnikiem.

- Czy pański kolega dowiedział się czegoś o Philipie Bergmanie? - zapytała Irenę.

- Nie. Ale skojarzył jego nazwisko z jakąś historią w branży informatycznej. Nie wiedział jednak o zamieszkaniu Bergmana w Paryżu ani o jego uwikłaniu w interesy Rothstaahla. Czy pani wie o nich więcej?

Po krótkiej wewnętrznej walce z własnym sumieniem Irenę postanowiła zagrać czysto.

Sięgnęła do plecaka i wyjęła

stamtąd segregator z oznaczeniem „EuroFond” na grzbiecie. Po koleżeńsku przekazała Verdierowi połowę broszur.

- To dla pana. Proszę pozdrowić kolegę i podziękować za te informacje. Tu są także teksty po francusku. A propos francuskiego...

Irenę umilkła i wpatrzyła się w Verdiera. Ten wertował w roztargnieniu jedną z broszur o EuroFondzie.

- Czy nie zechciałby pan zatelefonować do szpitala i zapytać o samopoczucie Kajsy Birgersdotter? Ja nie znam w ogóle francuskiego i rozmowa przez telefon byłaby dla mnie bardzo kłopotliwa.

- Oczywiście. Mogę zadzwonić.

Irenę zapisała dane Kajsy, między innymi datę urodzenia, na okładce jednej z broszur.

Verdier wyjął telefon komórkowy z wewnętrznej kieszeni marynarki. Pod marynarką mignęła także kabura. Po długiej rozmowie, parokrotnie przerywanej, jak domyśliła się Irenę, z powodu przełączeń, komisarz zakończył wreszcie rozmowę.

- Koleżanka ma się dobrze, ale musi pozostać przez noc na obserwacji. Jeśli jej stan będzie stabilny, jutro około południa zostanie wypisana. Pielęgniarka stwierdziła, że nie ma potrzeby tam jechać. Obiecała, że przekaże pozdrowienia od pani - powiedział inspektor.

- Dziękuję - usłyszał od szczerze wdzięcznej Irenę.

Oznaczało to, że mogła pójść do hotelu, połknąć dwie tabletki przeciwbólowe i położyć się. Łokieć znowu dał o sobie znać. Powrót do hotelu wydał się nagle wyprawą nieomal ponad jej siły.

Verdier wstał i szybko obszedł całe mieszkanie. Irenę pozostała w fotelu. Po dłuższej chwili inspektor wrócił do salonu. Odchrząknął i zapytał:

- Czy ci dwaj... byli... parą?

Doszedł do takiego samego wniosku, jaki nasunął się Irenę. Ta skinęła głową i wstała.

- Prawdopodobnie.

Verdier zastanawiał się nad czymś, kiedy oboje umilkli na chwilę. Irenę była zbyt zmęczona, żeby choć spróbować wysilić mózg.

- Chciałbym prosić o spotkanie jutro, gdy zabierze pani koleżankę ze szpitala. Potrzebuję jej zeznania w sprawie napadu. O której godzinie odlatuje samolot? - zapytał.

- O piątej.

- Gdzie możemy się spotkać?

„Oby nie w twoim ponurym gabinecie” - tak odpowiedziała Irenę, gdyby nie potrafiła się ugryźć w język.

- Tutaj. Kajsa będzie mogła w razie potrzeby odpoczywać w pozycji leżącej. Autobus na lotnisko zatrzymuje się niecało sto metrów stąd.

- Dobrze. O wpół do dwunastej zabiorę panią z hotelu. Pojedziemy po tę koleżankę, a potem wrócimy tutaj - oznajmił Verdier.

Irenę odniosła wrażenie, że inspektor postanowił nie dopuścić do ich dyskretnego powrotu do Szwecji bez rozmowy z nim. Osądziła go chyba niesprawiedliwie. Chciał po prostu być uprzejmy i pomocny.

- W tym otoczeniu koleżanka na pewno przypomni sobie szybciej, co się działo i jak wyglądał mężczyzna, który ją zaatakował - mówił dalej Verdier.

Wbijając w Irenę na pozór obojętny wzrok, dodał:

- Bo chyba nie wiedzają panie, kto je napadł?

Irenę westchnęła głośno i nie zdobyła się na odpowiedź. „Ten facet nie jest ani uprzejmy, ani życzliwy, a po prostu opętany” - zmieniła zdanie.

- Jestem zmęczona i potrzebuję tabletek przeciwbólowych - odezwała się, wskazawszy nieprzydatną rękę na temblaku.

Chętnie uwolniłaby się od Francuza, ponieważ nie zdążyła pewnej rzeczy dokładnie sprawdzić. A poza tym nie chciała, żeby Verdier został w mieszkaniu sam, bo on też mógł natrafić na to, czego warto było szukać. Ulżyło jej, gdy Verdier na typowo francuski sposób wzruszył ramionami.

- Niczego więcej nie ma tu do sprawdzenia - stwierdził.

Wyszli z mieszkania, które Irenę zamknęła starannie. W milczeniu zeszli schodami. Verdier przepuścił ją uprzejmie przed sobą, gdy przez ciężkie drzwi wydostali się na zewnątrz. Był już dosyć ciepły wieczór. Nad bulwarem wiał słaby wiatr, niosąc zapachy ze wszystkich pobliskich restauracji. W sąsiednim domu mieścił się elegancki lokal, którego specjalnością były owoce morza. Na fasadzie domu od strony bulwaru umieszczono wielkie nierdzewne półki napełnione lodem. Wyżej leżały całe stosy najróżniejszych małży. Dwaj mężczyźni w gumowych fartuchach taśmowo otwierali ostrygi. Kelnerzy, niczym pracownicy przy taśmie produkcyjnej, wykonywali ruchy wahadłowe, odbierali homary, krewetki i ostrygi, po czym rozkładali je w lodzie na wielkich półmiskach. Irenę poczuła nagle głód. Ale na ostrygi bynajmniej nie miała ochoty. Kiedyś skusiła się na nie i ten jeden raz wystarczył. Połykana wtedy ostryga skojarzyła jej się ze strasznym katarem. I, co więcej, już na pewno nie wchodził w grę wieczorny obiad z Verdierem.

- Dobranoc. I dziękuję, że zechce pan jutro po mnie przyjechać - powiedziała Irenę z wymuszonym uśmiechem.

- Bonne nuit, madame.

Po raz pierwszy od chwili poznania odniosła wrażenie, że dostrzega cień uśmiechu na jego pociągłej twarzy. Ale być może się myliła.

Gdy się rozstali, Irenę zobaczyła kątem oka, że Verdier skierował swe kroki w stronę szarego megame. Ona zaś poszła w kierunku przejścia dla pieszych. Po przeciwnej stronie rozległego placu, gdzie zbiega się kilka bulwarów, wypatrzyła szyld Pizza Hut. Przepisowo skorzystawszy z istniejących przejść, dotarła do lokalu. Weszła i zamówiła dużą pizzę, coca-colę i sałatkę. W lokalu roiło się od młodzieży, ale udało jej się znaleźć miejsce przy oknie. Pizza smakowała wyśmienicie, dzięki czemu prawie całkiem zapomniała na jakiś czas o bólu ramienia. Na zewnątrz pulsowały światła i panował ożywiony ruch. Tuż obok przepływał nieustający potok ludzi i samochodów.

Gdy na zegarku zobaczyła, że jest wpół do dziesiątej, uznała, iż nadeszła właściwa pora.

Wróciła do domu nr 207 przy bulwarze Raspail. Ale przez całą drogę rozglądała się dyskretnie. Nie byłaby zdziwiona, gdyby nagle znów pojawił się Verdier.

Niezatrzymy wana, dotarła do mieszkania i włożyła klucz do zamka. Ostrożnie uchyliła drzwi i wpatrzyła się w mrok, który panował w mieszkaniu. Przekroczyła bezszelestnie próg i zamknęła drzwi. Odszukała tuż przy nich włącznik lampy pod sufitem i przekreśliła go.

Być może zdążyła przywyknąć do zapachu w mieszkaniu Rothstaahla, bo dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że aromat męskich perfum jest intensywniejszy niż ledwie przed

godziną, kiedy stamtąd wychodziła. Prócz tego doszła do wniosku, że powinna mieć zaufanie do swych odruchów warunkowych.

Kątem oka zauważyła otwarcie drzwi łazienki i szybkie kroki jakiegoś mężczyzny w swoim kierunku. Uskoczyła w bok, stopą zatoczyła koło z lewej na prawo i kopnęła poza siebie. Przy ataku zwanym uramawashi-geri powierzchnię trafiającą stanowi pięta i przypomina to kopnięcie konia. Mężczyzna nie był na to przygotowany. Ireń mogła więc skierować uderzenie w splot słoneczny. Mężczyzna złożył się niczym scyzoryk. Kiedy wysunął do przodu podbródek, Ireń zadała drugi cios, zwany yoko-geri. Szybko uniosła stopę na wysokość kolana i kopnęła w bok. Rozległ się głuchy odgłos, kiedy dolna szczęka mężczyzny uderzyła w górną przez nienaganne trafienie w sam środek podbródka. Mężczyzna padł głową naprzód na podłogę holu i leżał bez ruchu.

Zastrzyk adrenaliny ożywił Ireń i rozjaśniło jej się w głowie. Kilka razy odetchnęła głęboko, zanim się pochyliła, aby popatrzeć na mężczyznę. Ostrożnie przekręciła go na bok.

Okazał się wysoki i miał atletyczną budowę. Jego jasne włosy były przeredzone na czubku głowy. Mocna opalenizna wyglądała na naturalną. Ubiór można by uznać za starannie dobrany, ale i swobodny, a składały się nań spodnie w kolorze khaki oraz tegoż koloru prążkowana koszula. Marynarka była z jasnobrązowego sztruksu, do tego eleganckie buty. W sumie przystojny mężczyzna koło czterdziestki, schludny i zadbany. Cóż miał przeciwko policjantom? Albo w ogóle przeciw funkcjonariuszom policji?

W chwili, gdy zamierzała przeszukać jego kieszenie, doszedł do siebie i otworzył oczy. Ireń wstała szybko i zrobiła krok do tyłu. Szczęki tego człowieka okazały się bardziej wytrzymałe niż sądziła. Zmrużył oczy i zerknął na nią. Zaczął czegoś szukać w wewnętrznej kieszeni marynarki. Ireń wyczuła niebezpieczeństwo i ruszyła w kierunku drzwi wejściowych. Szczęśliwie nie zamknęła ich wcześniej na klucz, wystarczyło nacisnąć klamkę. Szybko wymknęła się tuż przy futrynie na korytarz.

Poczuła, że kula przeleciała obok jej policzka. Wbiła się w ścianę naprzeciw, od której w tym miejscu odpadł tynk. Ireń zbiegła na łeb na szyję po schodach. Słyszała za plecami otwieranie drzwi i francuskie okrzyki wzburzonych mieszkańców domu.

Już na ulicy zwolniła tempo, pozostając jak najbliżej ściany domu, aby nie wypatrzył jej z okna ktoś z lokatorów wynajmujących mieszkania w tej klatce schodowej. Dopiero gdy dotarła do rybnej restauracji, gdzie mężczyźni w fartuchach układali ostrygi, zmieszała się z przechodniami na chodniku. Mimo niewiele tylko mniejszego ruchu Ireń bez trudności przedostała się na przeciwną stronę bulwaru. Wchodząc do hotelowego holu, udawała spokój. W recepcji przy komputerze dyżurowała Lucy, zajęta trajkotaniem przez telefon. Wymieniły przelotne uśmiechy, po czym Ireń uciekła do windy.

W swoim pokoju nie włączyła żadnej lampy, stanęła natomiast przy zasłonie i zerknęła na drzwi, którymi dopiero co wybiegła na zewnątrz. Otworzyły się i wyszedł nimi jakiś mężczyzna, który ruszył szybko w kierunku Boulevard Mont-parnasse. Ireń rozpoznała tego, który do niej strzelał.

Kto to był?

Nie miała pojęcia, ale dojrzała w jego twarzy coś znajomego.

Rozdział 12

Inspektor Verdier zadzwonił dokładnie o 7.30. Na tę godzinę Ireń nastawiła budzik w telefonie komórkowym i dlatego była przez chwilę zdezorientowana, zanim - wytrącona przecież ze snu - zrozumiała, że nie wystarczy wyłączyć budzik, a trzeba odpowiedzieć.

Inspektor nie przedstawił się i zapytał:

- Dobrze pani spała, madame Huss?

- Tak, dziękuję. Francuskie tabletki są bardzo skuteczne - odpowiedziała Ireń.

Udawiała rzeškość, której jeszcze nie osiągnęła.

- Wczoraj wieczorem coś się wydarzyło... ale pani już chyba o tym wie?

- Nie. Co takiego?

Irenę ucieszyła się, że nie prowadzą rozmowy przez wideotelefon. Verdier nabrałby podejrzeń, gdyby zobaczył jej złośliwy uśmiešek.

Po kilku sekundach ciszy zapowiedział:

- Przyjadę do hotelu.

- Zgoda. Za pół godziny będę na śniadaniu - odrzekła.

Wielki dzban kawy, ciepłe bułeczki, różne gatunki francuskiego sera i jajka na miękko wprawiły Irenę w wyśmienity humor. Właściwie spała przez całą noc jak suseł i nie przyśnił jej się ani żaden niesympatyczny francuski policjant, ani żaden kiler. Kiedy się obudziła, czuła jeszcze ból w łokciu, ale było dużo lepiej niż poprzedniego dnia. Jedna tabletką rano musiała wystarczyć. Ten bardzo silny lek otepił ją i pewnie znowu by zasnęła, gdyby połknęła dwie tabletki.

Jej francuski kolega zjawił się w samą porę. Był ubrany tak jak w przeddzień, pod innymi względami też nie wyglądał inaczej. Chyba że można by się dopatrzeć trochę większej surowości w układzie ust. Siadł po drugiej stronie stolika, na wprost. Jak zwykle, zależało mu na kontakcie wzrokowym, aby mógł zauważyć nawet najmniejszą zmianę wyrazu twarzy. Ale Irenę, też doświadczone w prowadzeniu przesłuchań, przygotowała swoją strategię.

- Bonjour, monsieur Verdier - powitała go z uśmiechem na ustach.

- Bonjour, madame Huss - odparł Verdier, nie siląc się na przyjazny ton.

- Proszę się napić kawy, jeśli ma pan ochotę - Irenę wskazała dzbanek.

- Nie, dziękuję.

Gdy zacisnął swoje wąskie wargi, jego usta zmieniły się w cienką kreskę. Jak na niego był to niezwykle żywy wyraz twarzy. Natomiast spojrzenia, jakie kierował w stronę Irenę, pozostawały pod względem ekspresji na poziomie zera absolutnego.

- Co wiadomo pani o wieczornych zdarzeniach? - zapytał.

- To samo pytanie zadał mi pan przez telefon. Ale ja wciąż nie wiem, o czym pan mówi - odparła pewnie Irenę.

- Czyżby?

- Ależ oczywiście.

Inspektor wbił w nią wzrok, lecz Irenę, oswojona już z tą taktyką, zniosła to spokojnie. Przy ich stoliku zapadło pełne napięcia milczenie, które Irenę postanowiła przerwać.

- Czy nie powinnam wreszcie usłyszeć od pana, co się stało?

Verdier podjął jeszcze jedną próbę pojedynku wzrokowego, ale zaraz jej zaniechał.

Raptownie wstał i poszedł po filiżankę, którą postawił na stole. Napelnił ją do połowy mlekiem i aż po brzeg dolał kawy. Szybкими ruchami przechylił trzy razy dozownik cukru, a później energicznie mieszał kawę łyżeczką. Mleko o barwie kawy ułało się na spodek.

Inspektor upił sporo tej mieszanki, jakby chciał się wzmocnić przed tym, co go czekało. Irenę obserwowała w milczeniu jego czynności i czujnie wyczekiwała następnego kroku z jego strony.

Ostentacyjny chłód inspektora zelzał tymczasem. Nie był to głupi człowiek, miał też intuicję. Oczywiście irytowała go świadomość tego, że szwedzka policjantka wie znacznie więcej niż chce ujawnić. A domyślał się pewnego jej udziału w wieczornym dramacie, tyle że nie wiedział, jaką rolę odegrała. Kto by nie doceniał Verdiera jako przeciwnika, ten mógłby się narazić na niebezpieczeństwo, ale Irenę bynajmniej go nie lekceważyła.

- Chyba nie stało się nic złego z Kajsą? - spytała, udając niepokój.

- Nie.

Verdier upił jeszcze trochę swojej mieszaniny mleka i kawy, zanim znów się odezwał:

- Wczoraj wieczorem słyszano strzał w mieszkaniu Rothstaahla, za kwadrans dziesiąta. Kilku sąsiadów zadzwoniło na policję, ale ta nie zastała już nikogo w mieszkaniu, drzwi były jednak otwarte i w ścianie na klatce schodowej dostrzeżono otwór wybity przez kulę.

Irenę otworzyła szeroko oczy, udając przerażenie.

- Strzał? Ale kto...?

Umyślnie nie dokończyła zdania.

- Nie wiemy, kto strzelał. Wiemy natomiast, że w mieszkaniu byli dwaj mężczyźni.

„Dwaj mężczyźni? ” - Irenę zadbała o to, by wyraz twarzy jej nie zdradził. Verdier zmierzył ją wzrokiem, po czym dopowiedział:

- Sąsiedzi usłyszeli strzał. Nikt nie miał odwagi otworzyć swego mieszkania, żeby sprawdzić, co się stało, ale niejedna osoba nasłuchiwała przy drzwiach. Najpierw zbiegł po schodach jakiś mężczyzna. Minutę później usłyszano czyjeś wolniejsze kroki. Któryś z sąsiadów odważył się otworzyć drzwi swojego mieszkania i mignęła mu sylwetka barczystego blondyna.

- Czy ten sąsiad widział twarz tamtego mężczyzny? - spytała Irenę.

- Nie. Widział go tylko od tyłu.

- A pierwszy mężczyzna... czy ktoś zdążył go zobaczyć? - pytała dalej Irenę.

W duchu pogratulowała sobie, że miała na nogach sportowe buty. Biegnąc w nich, nie stuknęła, jak to kobieta, obcasami. A biegać umiała i zawdzięczała to długoletniemu treningowi, którego przydatność uświadomiła sobie teraz. I oczywiście biegnie się jeszcze szybciej, kiedy ktoś strzela za plecami.

- Nie. Nikt go nie widział. Ale nie zdążyliśmy przesłuchać wszystkich świadków - stwierdził ostrym tonem inspektor.

Irenę przypomniała sobie dwóch mężczyzn z ostrygami, przed restauracji. Miała nadzieję, że zajęci pracą, nie zauważyli wysokiej kobiety, która wmieszała się w tłum o tej porze, kiedy rozległ się tamten strzał. A Lucy?! Byłaby o niej zapomniała. Gdyby Verdier porozmawiał z Lucy, Irenę mogłaby zostać czymś obciążona. Zapragnęła nagle, by Verdier zniknął z hotelu. Ale jak to zrobić? Przeczynała, że zechce ją obserwować, póki nie wystartuje samolot z nią i Kajsą na pokładzie. A przecież nie zdążyła poszukać tego, co chciała wczoraj znaleźć. Przyszło jej coś na myśl: francuska policja dokonała pewnie rewizji w mieszkaniu po tamtym strzale.

- Czy coś zniknęło z mieszkania? - zapytała. Verdier wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie zauważyliśmy, by czegoś brakowało. Czy pani domyśla się, co mogłoby kogoś zainteresować?

- Być może. Czy znaleźliście jakieś dyskietki?

- Do komputera?

- Tak.

Po chwili zastanowienia inspektor sięgnął po telefon komórkowy i wystukał jakiś numer. Po krótkiej rozmowie wyłączył telefon.

- Nie. Żadnych dyskietek nie znaleziono. Dlaczego pani o to pyta?

- Kiedy zamordowano Bergmana i Rothstaahla, wykradzono ich komputery i w Góteborgu nie natrafiliśmy na żadne dyskietki. Naszym zdaniem, komputery albo dyskietki powinny dostarczyć dowodów na przestępczą działalność obu współników. A tymczasem możemy tylko snuć domysły.

- Tu, w Paryżu, też nie ma dyskietek. Nie brak, jak się zdaje, ludzi zainteresowanych poczynaniami obu panów - stwierdził Verdier.

Irenę dokonała szybkiej kalkulacji. Lepiej będzie powrócić do poszukiwań w mieszkaniu w towarzystwie Verdiera niż w ogóle tam się nie znaleźć. Zależało jej też na tym, by Verdier nie miał okazji do rozmowy z Lucy. Dlatego udała swobodny ton:

- Mogli ukryć dyskietki. Powinniśmy ich poszukać.

- Czy ukryliby je w mieszkaniu?
- Tak. Verdier wstał.
- Wobec tego idziemy - powiedział.

Oboje przeszukali starannie całe mieszkanie. Nie znaleźli ani jednej dyskietki. Natrafili za to na trzy torebki z białym proszkiem, ukryte w garderobie, w kartonie na obuwiu. Verdier wtarł odrobinę zawartości jednej z torebek w dżasło i bez wahania stwierdził, że chodzi o kokainę. W futerale na filmy wideo znaleźli ponadto niemało pigułek, ich zdaniem, jakiegoś rodzaju ecstasy.

Zasiedli w pluszowych fotelach i rozłożyli znalezione narkotyki na stole obok sofy. Verdier przyjrzał się temu znalezisku w zamyśleniu.

- Mamy tu kokainę. Bardzo dużo tego. Czy pani wiedziała, że ci ludzie handlowali narkotykami? - zapytał.

- Nie. Ale w okresie sukcesów Bergmana w przedsiębiorstwie informatycznym było tam ponoć sporo kokainy - odpowiedziała Irene.

Verdier pokiwał głową, po czym znów zamilkł i pogrążył się w swoich myślach.

- Ci dwaj podawali się za konsultantów i zachęcali skandynawskie przedsiębiorstwa do lokowania kapitału w ich funduszu akcyjnym EuroFond. Jak usłyszałem od mojego kolegi i od pani, Rothstaahl zajmował się podobną działalnością w Londynie. Teraz wiemy także, iż mieli prócz tego do czynienia z narkotykami. Dlaczego podejmowali takie ryzyko?

Verdier spojrział na Irene, która odpowiedziała tylko pytaniem na pytanie, bo nic lepszego nie przyszło jej na myśl:

- Jakie ryzyko?

- Ryzyko związane z tym, co robili. Rothstaahl musiał rozumieć, że prędzej czy później ktoś skojarzy jego nazwisko z prowadzoną przezeń działalnością. Plan działania jest taki sam, jak poprzednio. A na domiar złego zaczynają, on i jego wspólnik, sprzedawać drągi, bo przecież cały ten zapas narkotyków nie mógł być do własnego użytku. Moim zdaniem, zabrakło tu przemysłowości. W tym kraju wymierza się surowe kary za handel narkotykami. Ale tutaj wchodzi chyba w grę pewna rozpaczliwa sytuacja.

- Rozpaczliwa sytuacja? - powtórzyła machinalnie Irene.

- Tak. Rozpaczliwa, bo potrzebowali pieniędzy. Irene zapamiętała dobrze te słowa i przyznała mu rację.

Rozejrzała się po tym niezbyt imponującym salonie o standardzie dalekim od tego, do którego Philip Bergman przywykł, póki prosperował dzięki firmie ph.com.

Dlaczego rozpaczliwie szukali sposobów na szybkie zdobycie pieniędzy? Czyżby podjęli daremną próbę odzyskania poziomu życia i zasobów pieniężnych z końca lat dziewięćdziesiątych? Albo może chodziło o coś zupełnie innego?

Irene zastanowiła się nad tym, ale nie odgadła, co mogłoby wchodzić w grę. Prawdopodobnie Rothstaahl i Bergman byli pozbawionymi skrupułów przestępcami i nie cofali się przed niczym, byleby zarobić. Byli pewnie ludźmi bez sumienia i pazernymi, skoro sprzedawali narkotyki, a wiele za tym przemawiało.

Wzlot i upadek Bergmana w świecie biznesu mógł zdumiewać: uwielbiany „Złoty Cielec”, dookoła którego wszyscy chcieli tańczyć, przemienił się w mroczną postać ze światka przestępców gospodarczych i handlarzy narkotykami. W ostatnich latach wiódł żywot półoficjalny jako wspólnik innego przedstawiciela finansjery, który budził podejrzenia. To właśnie stwierdzenie wydało się Irene fałszem; coś nie zgadzało się w tym obrazie sytuacji. Ale co? Nie potrafiła tego jeszcze odgadnąć, coś jednak było na rzeczy. Gdyby dostrzegła błąd, znalazłaby się znacznie bliżej rozwiązania zagadki.

- A pani nie wie, dlaczego oni zostali przestępcami? - zapytał Verdier, jakby jej myśli odbiły się echem.

- Nie. Być może powodowała nimi po prostu pazerność? - odparła.

- Być może. Przyszło jej coś na myśl.

- A jeśli narkotyki umieścił w tym mieszkaniu człowiek, który zaatakował mnie i Kajse? Albo jeden z tych mężczyzn, którzy byli tutaj wczoraj wieczorem? - zapytała.

Verdier pokiwał głową:

- Oczywiście istnieje taka możliwość. Inspektor podniósł się i zerknął na zegarek.

- Czas jechać po koleżankę Kajse Berger... Bjerg...

- Birgersdotter.

- Dziękuję.

Kiedy Irene i Verdier weszli na oddział, poczuli mocny zapach moczu i detergentów. Kajsa siedziała na krześle w korytarzu i czekała na nich. Była blada i wyglądała na zmęczoną. Wielki bandaż dookoła głowy czynił jej wygląd wręcz godnym pożałowania. Do Irene podeszła korpulentna pielęgniarka i odezwała się do niej po francusku. Inspektor Verdier pospieszył z odsieczą i sam zagadnął pielęgniarkę. Ta wręczyła Irene dużą brązową kopertę i powiedziała kilka słów Verdierowi. Potem uśmiechnęła się do Kajsy, poklepała ją po policzku i odeszła w głąb korytarza.

- Zajmowała się mną przez całe przedpołudnie jak małym dzieckiem - powiedziała półgłosem, po szwedzku, Kajsa.

Verdier wskazał na nią i zapytał Irene:

- Czy ona mówi po angielsku?

Zanim Irene zdążyła odpowiedzieć, z ust Kajsy wydobył się potok gniewnych słów, które w uszach Irene brzmiały wdzięcznie i z francuska. Dla niej były one co prawda niezrozumiałe, natomiast Verdier (o tym świadczyła jego mina) pojął wszystko, co mówiła Kajsa. Kiedy skończyła, Verdier ściągnął usta i oschłym tonem stwierdził:

- Myślę, że ze względu na madame Huss lepiej będzie pozostać przy angielskim.

Do Irene dotarło, że Kajsa powiedziała coś po szwedzku.

- Pielęgniarka zaleciła pani... nie, pannie Kajsie, spokój. Po wczorajszym wstrząsie mózgu potrzeba paru dni odpoczynku - powiedział Verdier.

Irene podała Kajsie rękę, żeby pomóc jej wstać z krzesła, ta jednak zrezygnowała z pomocy i podniosła się samodzielnie. Gdy ostrożnie ruszyła w stronę wyjścia, jeszcze bardziej pobladła i zachwiała się.

- Jak się czujesz? - zapytała Irene.

- A jak sądzisz? - zachnęła się Kajsa.

Obie umilkły i nie odezwały się słowem, póki nie wsiadły do samochodu. Irene zajęła miejsce z tyłu obok Kajsy. Verdier ruszył i włączył się w szczytowy właśnie ruch.

- Jedziemy do mieszkania Rothstaahla, żeby spokojnie porozmawiać - powiedziała po szwedzku Irene.

Kajsa, zaniepokojona, zerknęła na nią kątem oka.

- Dlaczego musimy tam jechać? - zapytała.

- Drugą możliwością jest gabinet Verdiera, a tam nie chciałabyś trafić.

Inspektor usłyszał chyba swoje nazwisko, bo za pomocą wstecznego lusterka zmierzył Irene wzrokiem. Ta pochyliła się w jego stronę z wyjaśnieniem:

- Próbuję się dowiedzieć, jak się czuje. Kiedy dotrzemy do mieszkania, będziemy rozmawiać po angielsku.

Irene odchyliła się na oparcie i obdarzyła inspektora nikłym uśmiechem. Verdier go nie odwzajemnił. Gdy odwróciła się w stronę Kajsy, aby jeszcze z nią porozmawiać, stwierdziła, że koleżanka zasnęła. A przynajmniej zamknęła oczy.

Po głębokim westchnieniu skupiła się na widocznej w oddali wieży Eiffla.

Kajsa nie chciała położyć się na sofie. Zajęła jeden z wysiedzianych foteli, a Verdier zasiadł w drugim. Irene ulokowała się na sofie.

Verdier przeszedł od razu do rzeczy:

- Czy rozpoznała pani napastnika?
- Nie - odparła zdecydowanie Kajsa.
- Jak wyglądał?
- Wysoki blondyn. Nie otyły, ale postawny. Albo raczej potężnej postury. To lepsze określenie: potężnej postury.
- Widać było po Kajsie, że ucieszyła się ze znalezienia właściwych słów. Ireń zgadzała się z nią. Odniosła takie samo wrażenie.
- Wiek?
- Pewnie po trzydziestce. Wszystko stało się tak szybko. Nie zdążyłam go obejrzeć... A potem uderzył mnie w głowę i straciłam przytomność... Prawdopodobnie to i owo zapomniałam.
- Prawdopodobnie. Spróbujemy sprawić, żeby przypomniawszy pani sobie jak najwięcej - powiedział Verdier.
- Czym ten mężczyzna uderzył cię w głowę? - wmieszała się Ireń.
- Nie mam pojęcia. Zauważyłam tylko... jakby stalową rurę... w jego ręce. Dosyć długą.
- Czy mógł to być nieduży łom? Albo duża latarka? - podpowiedziała Ireń.
- Raczej łom. Czy coś takiego znaleźliście?
- Nie. Zabrał ze sobą ten ciężki przedmiot. Poza tym drzwi nie zostały wyłamane. On miał klucz. I wciąż go ma - stwierdziła Ireń.
- Poproszę panią Lauenstein, żeby załatwiła wymianę zamka - powiedział szybko Verdier. Zerknąwszy na Kajse, oznajmił:
- Ktoś strzelał w tym mieszkaniu. Technicy ustalili kaliber kuli: trzydzieści osiem. Ale sądzę, że madame Huss poinformuje panią o tym dokładniej.
- Wypowiadając ostatnie słowa, wbił swój stalowy wzrok w Ireń. Znow tym się posłużył. Ireń podziwiała mimo woli jego upór i nadzwyczajnego nosa. Miał rację, choć obrał całkiem niewłaściwy kierunek. Ireń nie zamierzała go naprowadzać. Wolą uniknąć dalszych kłopotów z paryską policją. Ich stosunki były wystarczająco złe.
- Z pamięci Kajsy nie udawało się niczego wydobyć. W końcu poprosiła, żeby zaprzestali tych zabiegów. Była zmęczona i rozboleła ją głowa. I poczuła straszliwy głód! Ireń zaproponowała, że przyniesie pizzę z Pizza Hut, ale Kajsa zaczęła grymasić jak małe dziecko i oświadczyła, że skoro są w Paryżu, to chce zjeść coś porządnego. Postanowili pójść jeszcze raz do „La Rotonde”. Lokal był blisko i wiadomo było, że dobrze tam karmią.
- Po solidnym lunchu w postaci pstrąga z rusztu i ziemniaków z koprem Kajsa odżyła.
- Nie chcę wracać do tamtego przygnębiającego mieszkania - oświadczyła przy kawie i szarlotce.
- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził Verdier. Inspektor nie zamówił szarlotki, ograniczył się do kawy z mlekiem.
- Wkrótce odjedzie nasz autobus na lotnisko - powiedziała Ireń.
- Wbijając właśnie widelec w kruchy wierzch szarlotki i skupiła się wyłącznie na tym, by nie wbić zbyt mocno. Wtedy jakiś kęs musiałby spaść na stolik. A niechby tak wylądował na kolanach Verdiera - okropność! Ireń zerknęła na Francuza i zauważyła, że był zajęty obserwowaniem Kajsy. Nagle zapytał:
- Co on powiedział, kiedy dobiegał do pani?
- Kto? - zapytała Kajsa, zaskoczona tą indagacją.
- Mężczyzna, który panią zaatakował. Co powiedział, kiedy panią uderzył?
- Kajsa popatrzyła na inspektora ze zdziwieniem w oczach. Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła.
- O Boże - wyszeptwała po szwedzku. Obróciła głowę w stronę Ireń i powiedziała:

- Kiedy mnie uderzył, zaklął: „Niech to diabli, niech to diabli, niech to diabli...”. Po szwedzku.

Rozdział 13

- Niech to diabli, niech to diabli, niech to diabli - powtarzał w zamyśleniu komisarz Andersson.

Znów opadł na swoje miejsce u szczytu stołu konferencyjnego. Wcześniejsza przerwa wzięła się z tego, że został wezwany do telefonu. Rozmowę przełączono do jego gabinetu. Wszyscy, którzy byli w sali konferencyjnej, nie omieszkali rozprostować nóg i zaopatrzyć się w świeżą kawę. Irene i Kajsa niemal całe przedpołudnie były zajęte opowiadaniem kolegom o swych przeżyciach w Paryżu. Birgitta Moberg-Rauhala, Tommy Persson, Fredrik Stridh i Jonny Blom słuchali tej relacji w skupieniu. Irene zauważyła, że Tommy przejął się bardzo bandażem na głowie Kajsy, a na prawą rękę Irene, podtrzymywaną przez temblak, nie zwrócił uwagi.

- Bergman i Rothstaahl płatają figle za pomocą piramidy. Mieszkają razem i są pedałami. Mają do czynienia z narkotykami. Obaj zostają zamordowani tutaj, w Göteborgu, kiedy goszczą w domach rodzinnych. Kajse i Irene napada mężczyzna, który mamrocze coś po szwedzku. I prawdopodobnie na tego samego człowieka natrafia Irene później, wieczorem. Ani Kajsa, ani Irene nie rozpoznają go. Niewykluczone, że właśnie on umieścił narkotyki w mieszkaniu. I nasuwa się pytanie: dlaczego? Co tam robił? Czy to on strzelał do Bergmana i Rothstaahla? A jeśli tak, to dlaczego? I co ma wspólnego z tym wszystkim zamordowanie Kjella Bengtssona Cedera? - podsumował Jonny.

Andersson pokiwał głową i zmierzył go ponurym wzrokiem.

- Sprawa jest jeszcze bardziej zagniatwana. Przed chwilą dzwonił Svante Malm. Są na tamtej wysepce i sprawdzają kamienie graniczne, które, jak twierdzi ta pijaczka, zostały przesunięte. Ma rację. Pod nimi znaleziono szczątki czyjegoś ciała.

Reakcją na słowa komisarza było milczenie zaskoczonych kolegów. Nawet Irene umilkła, choć już wcześniej domyślała się, że właśnie dlatego mogło dojść do przesunięcia granicznych kamieni.

- Irene i Tommy muszą tam pojechać. Przypuszczalnie odnaleźliście wreszcie, po trzech latach, Thomasa Bonettiego - dopowiedział oschłym tonem komisarz.

- Ja pojadę z nimi - nie omieszkala oznajmić Kajsa. Zerknęła spod bandaża z przekorą w oczach. Wokół

nich rozprzestrzeniał się, począwszy od skroni, okazały siniak.

- W takim stanie nie możesz pracować. Lekarz w Paryżu zalecił zwolnienie do poniedziałku - stwierdził komisarz, ucinając dyskusję.

Na twarzy Kajsy malowało się rozczarowanie i patrzyła na szefa z pewną urazą, ale nie sprzeciwiła mu się. Andersson nie znał ani słowa po francusku i na pewno nie rozszyfrował tego, co w wypisie zalecił francuski lekarz. Chociaż Kajsie oczywiście nie zaszkodzi odpoczynek, bo ze wstrząsem mózgu nie ma żartów. To Irene wiedziała z własnego doświadczenia.

O głos poprosiła Birgitta.

- Zastanawiałam się nad kwestią pieniędzy. Wszystkie ofiary w pewnych okresach życia obracały kolosalnymi sumami. A teraz udało nam się ustalić, że osoby uwikłane w tę historię pozbyły się większości swoich przychodów. W ciągu ostatnich trzech lat zmalała rzeczywista wartość majątku Cedera, Bergmana i Rothstaahla. I Sanny Kaegler też. Ponadto nikt nie wie, gdzie zniknęły pieniądze Thomasa Bonettiego - powiedziała.

- Pochłonął je krach na rynku informatycznym. Z tego właśnie powodu stracili swoje pieniądze - wyjaśnił, z absolutną pewnością w głosie, Jonny.

Birgitta pokręciła głową.

- Wiadomo nam, że były pieniądze, które zniknęły z firmy ph.com i znalazły się w kieszeniach współników. Jak wiemy, Sanna i Philip zrzucili winę na Thomasa Bonettiego, który przepadł bez wieści w odpowiednim momencie - powiedziała Birgitta.

- Och, ta Sanna Kaegler...! Tommy! Gdy tylko tamte zwłoki na wysepce zostaną zidentyfikowane, mocno przyprzecie tę babę do muru! - wtrącił Andersson.

- Jeśli o nią chodzi, mogę poinformować, że ani Bergman, ani Rothstaahl nie byli ojcami małego Ludwiga. Dziś rano nadeszły wyniki badań DNA - wyjaśniła Birgitta.

- Żaden z tych pedałów nie mógł być ojcem, to oczywiste! I nie był nim też Ceder. A więc kto jest tatą chłopca? - nie przestawał pytać Jonny.

- Zajmijmy się teraz raczej śledztwami w sprawach morderstw, a nie ustalaniem ojcostwa - zażądał Andersson.

Irenę przeczuwała jakiś związek między tymi sprawami, ale nie umiałyby wyjaśnić, dlaczego zakładała coś takiego.

Policyjna motorówka zabrała ich z przystani Fiskeback. Irenę i Tommy dobrze poznali kapitana, Torbjórna Melandera, w latach wspólnej służby w ówczesnym trzecim rejonie.

Pracowali razem i jako stróże prawa jeździli radiowozem po całym centrum Góteborga. Torbjörn był o kilka lat starszy, a urodził się i wychował na wyspie Brannó. Gdy kilka lat temu pojawiła się szansa na stanowisko kapitana policyjnej motorówki, nie omieszkał złożyć podania i otrzymał tę pracę. Dla niego oznaczało to jakby powrót do domu.

Irenę i Tommy usiedli przy nim w sterówce. Poziom morza zdążył się podnieść, zanim po zawietrznej stronie wypłynęli ze Styrsó, i czuło się to na całej łodzi, gdy ta opadała ciężko w doliny między grzbietami fal. Niezbyt męcząca mżawka spowiła okolicę szarą mgłą. Irenę nie była oswojona z morzem, ale nie odczuwała niepokoju, bo Torbjörn znał każdą większą i mniejszą wyspę na całym szkieletowym akwenie od Nordkoster po Anholt. Aby dotrzeć do Branteskar, nie potrzebował ani kompasu, ani mapy.

- Kompas jest tutaj - wyjaśnił, wskazując własną pierś.

Z mgły zaczęły się przed ich oczami wyłaniać zarysy Branteskar. - Branteskar to w wolnym przekładzie Stroma Wyspa (przyp. tłum.)

Ta wysepka zasługuje na swoją nazwę.

- Od tej strony nie można zacumować. Z tyłu jest zatoczka, w którą wpłyniemy, bo innej możliwości właściwie nie ma - powiedział Torbjörn.

Coraz silniejszy wiatr utrudniał przybicie do brzegu, musiało to więc potrwać.

- Ja zostanę na pokładzie. Muszę założyć odbijacze, żeby łódź o nic nie uderzyła - oznajmił Torbjörn.

Irenę chwiała się na nogach, kiedy ze śliskiego pokładu dziobowego trzeba było zeskoczyć na ląd. Nie do pomyślenia, by na oczach kolegów wpadła do wody! Docinano by jej, póki nie odeszłyby na emeryturę. Niewiele prostsze okazywało się wejście na skalną ścianę, bo Irenę mogła się posłużyć tylko jedną ręką. Musieli, niczym wielkie kraby, przemieszczać się bokiem, żeby przemierzyć najbardziej stromy odcinek. Wędrówka stała się trochę łatwiejsza, gdy dotarli w okolicę kamieni granicznych, poniżej nich. Zalegały tam wielkie otoczaki, które osiadły w głębokiej rozpadlinie kilka tysięcy lat temu, kiedy cofnął się lodowiec.

Svante Malm siedział z dwoma policjantami i wszyscy pili kawę z termosów. Tam, na wyżynach wysepki, wiał zimny wiatr, przez co pod przeciwdeszczową odzieżą tworzyła się wilgoć, która wychładzała. Policjanci rozpięli brezent nad ową kotlinką, aby się ochronić przed mżawką.

- Napijcie się kawy. Ten chłopak czeka od kilku lat, tak więc pięć minut nie będzie odgrywało żadnej roli - powitał ich Svante.

Irenę z wdzięcznością przyjęła kubek i trzymała go zgrabiętymi palcami. Któż by myślał pod koniec września o zabranii wełnianych rękawiczek? Na pewno nie ona. Kawa rozgrzała cienkie tworzywo i przywróciła czucie jej zmarzniętej lewej ręce. Prawa pozostawała w rękawie, ciepła i wolna od wilgoci. Irenę nie zamierzała już długo używać temblaka, ponieważ czuła, że łokieć odzyskuje sprawność.

- Czy, twoim zdaniem, chodzi tu o Thomasa Bonettiego? - zapytał rzeczowo Tommy.

- Nie wykluczam, że zwłoki przeleżały tutaj tyle czasu, ile minęło od zniknięcia Bonettiego. Znaleźliśmy parę fragmentów tkanki, ale nie ma tego wiele. Owady zrobiły swoje. Ubiór pozostał, podobnie jak włosy. Jest to ubiór męski, poza tym włosy są cienkie i jasne. Lekko rude.

- Potwierdza się podejrzenie, że to Bonetti - powiedział, kiwając głową, Tommy.

Malm dolał sobie kawy. Dmuchał na nią, zerkał przez parę na oboje oficerów śledczych.

- Stwierdziłem jeszcze coś. Lewa dłoń trupa jest pozbawiona wszystkich palców oprócz kciuka.

- Dostyc szybko rozpoznaliśmy uzębienie Thomasa. Odwiedzał on dentystę swoich rodziców. Wczoraj wieczorem

ortodonta z zakładu medycyny sądowej obejrzał zęby trupa i porównał je ze zdjęciami rentgenowskimi zębów Thomasa. Stwierdził, że są identyczne. Faktycznie znaleźliśmy Thomasa Bonettiego - powiedział Tommy.

W piątek rano oficerowie usiedli wokół stołu konferencyjnego, aby zanalizować najnowsze fakty w sprawie Bonettiego. Za oknem było ciemnowo i trzeba było włączyć światło. „Lato minęło bezpowrotnie. To już na pewno jesień” - pomyślała ze smutkiem Irenę. Pociężyła się perspektywą zbierania grzybów w weekend, razem z Tommym i Agnetą. Jeździli przeważnie w bory Harskogen, gdzie znali pewne miejsca obfitujące w grzyby.

- I potwierdza się to, co mówił Svante. Brakuje czterech palców lewej ręki. W tamtej rozpadlinie ich nie było, bo ekipa techniczna przeszukała dokładnie cały teren - dodał Tommy.

Komisarz dyszał ciężko i kaszał, starając się pozbyć flegmy. Wilgoć w powietrzu sprawiała, że astma dawała mu się bardziej we znaki.

- Tortury. Nasuwa się podejrzenie, że zastosowano tortury - odezwał się chrapliwie.

- Dlaczego ktokolwiek miałby go torturować? - zdziwił się Fredrik.

- Z powodu pieniędzy. W tej sprawie chodzi tylko o pieniądze - odpowiedziała natychmiast Irenę.

- Ależ to się nie zgadza. Kiedy zginął Bonetti, wszystkie pieniądze firmy ph.com zdążyły już przepaść - zaprotestowała Birgitta.

- Otóż to. A kto został oskarżony o ich wyprowadzenie? - zapytała Irenę.

Sama odpowiedziała na to retoryczne pytanie, uprzedzając wszystkich obecnych:

- Thomas Bonetti.

Zapadło milczenie, które uczestnicy spotkania wypełnili rozmyślaniami. Potem zaś Fredrik Stridh zapytał:

- Ile pieniędzy miał zdefraudować Bonetti?

- Wiele milionów. Co najmniej piętnaście albo nawet dwadzieścia, jak mówi Sanna Kaegler - odpowiedziała Irenę.

- Piętnaście milionów. Już niejedyn człowiek stracił palce i życie z powodu mniejszej sumy - stwierdził Birgitta.

- Ale dlaczego Bonetti był torturowany, zanim zginął? Chyba że palce ucięto po morderstwie? - zagadnął Fredrik.

- Tego nie wiemy. Niewykluczone, że obdukcja coś wyjaśni. Ale po tak długim czasie trudno cokolwiek ustalić ponad wszelką wątpliwość. Poza tym zwłoki uległy silnemu rozkładowi - odpowiedziała Irenę.

Przed jej oczyma pojawił się na chwilę, wywołany z pamięci, obraz szczerzącej zęby czaszki, która sterczała wśród resztek koszuli Peak Performance. Koszula, z mocnego nylonu, była całkiem dobrze zachowana. Również buty i spodnie prezentowały się przyzwoicie. „Warto kupować rzeczy wysokiej jakości” - pomyślała z dyskretnym grymasem Irene.

- Nie ma natomiast żadnych wątpliwości co do przyczyny jego śmierci. Dwa strzały wprawą skroń. W czaszce tkwiła jeszcze kula. Kaliber nie został dotychczas ustalony, ale stawiam na dwadzieścia pięć - odpowiedziała Irene.

- Ale dlaczego zabito go trzy lata temu? I dlaczego po tak długim czasie zostali zamordowani Ceder, Bergman i Rothstaahl? - pytała znów Birgitta.

- Kiedy poznamy odpowiedzi na te pytania, dochodzenie zostanie zakończone - odrzekł Tommy.

Wyraz twarzy Mariannę Bonetti, kiedy otworzyła przed parą policjantów ciężki dębowe drzwi, świadczył o spokoju i skupieniu, ale oczy kobiety, ukryte za grubymi soczewkami okularów, były opuchnięte i miały zaczerwienione powieki. Ta niemłoda dama odznaczała się sporą tuszą, którą potrafiła po części ukryć pod dobrze skrojoną ciemnoniebieską garsonką. Pod żakietem miała jedwabną bluzkę w lawendowym kolorze i naszyjnik z różowo migoczących pereł. Bujne włosy ufarbowała na czarno i upięła we wspaniały kok z tyłu głowy. Kolor włosów wydawał się zbyt jaskrawy w zestawieniu z grubą warstwą pudru na wiotkiej skórze twarzy. Mocny zapach perfum sprawił, że Irene zabrakło tchu. A gdy pani Bonetti poruszyła rękami, żeby wskazać drogę w głąb domu, roziskrzyły się na nich brylanty. Pani domu weszła przed nimi do przestronnego pokoju, urządzonego w surowym stylu skandynawskim, z kosztownymi meblami, które wykonano na zamówienie. Ta korpulentna kobieta niezbyt pasowała do swojego własnego salonu. Prawdopodobnie urządził go jakiś architekt wnętrz.

- Proszę usiąść. Mój mąż będzie tu za chwilę - powiedziała.

Mimo tuszy miała dziewczęcy głos, który zaskakiwał. Wskazała im fotele z białym i beżowym obiciem.

Kilka godzin wcześniej Irene zadzwoniła do domu rodziców Thomasa i natrafiła na jego matkę. Zapytała, czy rodzice mogliby przybyć do komendy na rozmowę. Mariannę Bonetti poprosiła, żeby to raczej oni przyjechali do willi w Langedrag, bo nie była w stanie wybrać się dokądkolwiek od czasu potwierdzenia informacji o śmierci syna.

A teraz opadła na jeden z foteli. Irene dostrzegła w jej ręku nerwowo miętą chusteczkę.

Tommy powiedział głosem pełnym współczucia:

- Jest nam oczywiście przykro, że...

- Wolę to. To, że wiem - przerwała Mariannę Bonetti.

- Rozumiem. Tyle lat niepewności musiało udręczyć - dodał Tommy.

Pani domu skinęła głową i przełknęła ślinę.

- Jak ktoś mógł... Thomas... był taki kochany...

Głos odmówił jej posłuszeństwa. Gdy zapadło milczenie, usłyszeli otwieranie i zamykanie

drzwi domu. Ktoś zbliżał się szybkim krokiem. W salonie pojawił się Antonio Bonetti i

podszedł do policjantów. Irene i Tommy wstali, żeby się

z nim przywitać. Mocno uścisnął ich dłonie, po czym Irene wyczuła na swojej nieco wilgoci.

Ten znany adwokat był o pół głowy niższy od żony. Prawie całkiem wyłysiał. Resztkę

włosów zaczesywał do góry, na pokrytą piegami łysinę. Elegancki garnitur nie potrafił skryć

wydatnego już brzucha. Na serdecznym palcu jednej ręki widniał szeroki złoty sygnet. Był on

w tym samym stylu, co ciężki zegarek na rękę marki Rolex. Choć już po sześćdziesiątce,

Antonio Bonetti wciąż należał do elity adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych.

Ostatnimi czasy przyjmował tylko takie, które trafiały do mediów i zapewniały mu wygraną.

W minionych latach siedział na niejednej sofie w studiach telewizyjnych i objaśniał widzom

kulisy różnych spraw. Oczywiście zawsze z korzyścią dla swoich klientów.

- Czy państwo już zaczęli rozmowę? - zapytał, zerknąwszy przelotnie na małżonkę, Antonio Bonetti.

Jego oczy były bezbarwne niczym woda.

- Państwo przyjechali dopiero co... ledwo usiedliśmy - pospieszyła z odpowiedzią pani Mariannę.

Irenę zrozumiała, że adwokat chciał się upewnić, czy policjanci nie rozpoczęli przesłuchania małżonki pod jego nieobecność.

Antonio Bonetti usadowił się na sofie. Założył jedną nogę w starannie zaprasowanej nogawce na drugą, i wtedy Irenę zwróciła uwagę na niezwykle wysokie obcasy jego butów.

- Czy mają państwo jakieś poszlaki? - zapytał, kierując wzrok na Tommy'ego.

- Żadnych. Nie wiemy więcej niż trzy lata temu. Tyle że teraz wiadomo, iż został zamordowany. Ale nie mamy pojęcia, dlaczego. Czy pan się domyśla? - spytał uprzejmie Tommy.

- Nie. Tommy nie miał z nikim żadnych porachunków. Kiedy... zniknął, opowiadano sporo kłamstw na jego temat, ale wszystkie te oszczerstwa były bezpodstawne - powiedział adwokat, mocno zaakcentowawszy ostatnie słowa.

- Zanim zniknął, został oskarżony o defraud...

- To kłamstwo! - przerwał Bonetti.

W irytacji kiwał stopą w eleganckim bucie. Jak na mężczyznę, miał niezwykle małe stopy.

- To tamtych dwoje. Sanna Kaegler i Philip Bergman. Oni sprzysięgli się przeciw Thomasowi i zrobili go kozłem ofiarnym, kiedy doszło do bankructwa firmy ph.com. A równocześnie, jeszcze przed tą katastrofą, wyprowadzili pieniądze z firmy - powiedział, już trochę spokojniej, adwokat.

- Czy ma pan na to dowody? - zdziwił się Tommy.

- Nie. Opieram się tylko na wypowiedziach Thomasa z tamtego ostatniego lata. Kiedyś wspominał, że Philip i Sanna robili coś, co określił jako kickbacks. Kickbacks (ang.) - działania korupcyjne (przyp. tłum.)

Nie próbowałem niczego dociekać, ponieważ po zniknięciu Thomasa pomówienia ucichły.

Było wtedy dość innych spraw. Zniknął Thomas, a poza tym ja sam byłem obrońcą w wielkim procesie związanym z aferą farmaceutyczną. To był wówczas największy tego typu proces w historii szwedzkiego sądownictwa. Było ciężko, ale wygramy.

Chyba bezwiednie się uśmiechnął, dając wyraz swojej satysfakcji. Spotkali się, żeby porozmawiać o śmierci jego syna, a tymczasem on potrafił się uśmiechać na wspomnienie dawnego procesu, który wygrał. Irenę wzdrygnęła się mimo woli i zapisała w notesie:

kickbacks. - Czy ktoś Thomasowi groził? - indagował dalej Tommy. Oboje rodzice pokręcili głowami.

- Nigdy - odparł adwokat.

- Czy miał jakichś wrogów?

- Żadnych - zapewniła matka.

Irenę przypomniała sobie nagle słowa Anniki Hermansson: „On nie miał kolegów. Nikt nie chciał się z nim bawić. Billy też nie”. I wtrąciła swoje pytanie:

- A z kim się przyjaźnił?

Rodzice skierowali teraz wzrok na Irenę. Nie odpowiedzieli od razu. Zapadło żenujące milczenie. Przerwała je w końcu Mariannę Bonetti.

- Thomas miał bardzo wielu znajomych w biznesie. Mieszkał w Londynie... Nie znaleźmy wszystkich jego przyjaciół.

- Czy utrzymywał kontakt z któryś spośród tutejszych kolegów? - pytała znów Irenę.

- Być może... ale niezbyt często przyjeżdżał do domu - odpowiedziała niepewnie pani Bonetti.

- Joachim Rothstaahl został zamordowany zaledwie o kilka kilometrów stąd, a wychowywał się też tutaj, w Langedrag. Czy Thomas i Joachim znali się w dzieciństwie?

- Nie. Była między nimi zbyt duża różnica wieku. Cztery albo pięć lat. To sporo. Również dla nastolatków! Poznali się dopiero w Londynie - wyjaśniła Mariannę Bonetti.

- Czy spotykał się z kimś na wyspie Styrśó?

- Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Dlaczego o to pytasz? - zdziwiła się pani domu.

- Przecież Thomas pojechał w tamten ostatni wieczór na Styrśó. Być może zamierzał się z kimś spotkać. Czy wtedy był jeszcze w kontakcie z Billym Hermanssonem?

- Nie. Nie wydaje mi...

Mariannę Bonetti urwała, gdyż jej mąż nagle wstał. Patrzyła na niego z niepokojem w oczach, bo jedną ręką dotknął swej piersi. Jego wielki sygnet rozbłysł na tle ciemnego garnituru.

- Lekarstwo... - wyszeptał Antonio Bonetti i szybko wyszedł z salonu. Słychać było potem stukanie jego obcasów o parkiet w holu.

- Antonio ma chorobę wieńcową. Musi przyjmować lekarstwo... Pewno rozumieją państwo, że boleśnie przeżył całą tę historię. On stara się nie pokazywać tego... wszystko dusi w sobie - wyjaśniła Mariannę Bonetti.

- Rozumiemy, że dla obojga państwa musi to być bardzo trudna sytuacja - zapewnił Tommy. Pani domu pokiwała głową i otarła oczy chusteczką, którą miała w ręku przez całą rozmowę. „Styrśó. Dlaczego Antonio Bonetti zareagował tak gwałtownie, kiedy w trakcie rozmowy pojawiła się ta nazwa? Przedtem zdawał się w pełni panować nad sobą. Czyżby wiedział coś, czego nie chce ujawnić?” - Irene postanowiła nie dać za wygraną.

- Przyniosę trochę wody mineralnej - oznajmiła Mariannę Bonetti i stęknęła, wstając z miękkiego fotela.

Zanim policjanci zdążyli zareagować, pani domu poszła w ślady swojego małżonka.

Irene pochyliła się pod pozorem poprawienia nogawki rajstop.

- Nie zapominaj o Styrśó. Coś jest na rzeczy - szepnęła Tommy emu.

- Uhm - odpowiedział półgłosem.

Z oddali dotarł do nich odgłos splukiwania w toalecie. I zaraz państwo Bonetti powrócili do salonu. Antonio Bonetti niósł trzy butelki Ramlósa, a jego małżonka niewielką srebrną tacę z czterema kryształowymi szklankami. W każdej były kawałki lodu. Pani domu postawiła szklanki na połączonych podkładkach, również ze szkła. Kawałki lodu szeleściły, gdy jej mąż wlewał bulgoczącą wodę mineralną. Oboje zajęli swoje miejsca. Adwokat upił łyk wody.

- Mam chorobę wieńcową. Niewykluczone, że w zimie poddam się operacji - oznajmił.

Irene i Tommy pokiwali głowami, dając do zrozumienia, że potrafią się wczuć w jego sytuację. Tommy też upił łyk wody, po czym powrócił do indagacji.

- Była tu mowa o Styrśó. Czy to możliwe, że Thomas umówił się tam z kimś?

- Nie.

Antonio Bonetti postawił energicznie swą szklankę na podkładce.

- Czy kontaktował się w ostatnim czasie z Billym Hermanssonem? - wtrąciła swoje pytanie Irene.

Adwokat spojrział na nią przelotnie, ale Irene nie zdołała z jego oczu niczego wyczytać. Coś kryło się za ich wyrazem - co, tego Irene nie odgadła, bo pan Bonetti skierował wzrok w inną stronę.

- Nie. Bawili się, póki byli małymi chłopcami - stwierdził stanowczym tonem.

- A więc nie mają państwo pojęcia, dlaczego syn chciał w tamten ostatni wieczór udać się na Styrśó? - naciskała dalej Irene.

- Nie. Wiemy tyle, ile już przekazaliśmy. Thomas wspomniał, że musi to i owo przemyśleć w ciszy i spokoju.

Antonio Bonetti był znów wyniosły, ale i czujny. Irene dostrzegła nieznaczne drzenie jego rąk, kiedy odstawiał szklankę, być może wskutek działania leku.

- Czy zachowali państwo jego komputer? - zapytała Irene.

- Komputer? Jaki komputer?! - zirytował się adwokat.

- Osobisty. Pewno był to laptop. Czy mają go państwo? - uściśliła swoje poprzednie pytanie Irene.

Oboje rodzice udali, że się zastanawiają. Po chwili ojciec Thomasa pokręcił głową.

- Nie przypominam sobie, byśmy wśród jego rzeczy natknęli się na jakiś komputer. A ty przypominasz sobie coś takiego? - Z tym pytaniem zwrócił się do małżonki.

- Nie. Żadnego komputera nie było. Ani tu, ani w Londynie - odparła.

- I żadnych dyskiety też państwo nie znaleźli?

- Nie - odpowiedzieli jednym głosem państwo Bonetti.

- Kiedy zastanawialiśmy się, kto mógłby żywić urazę do Thomasa, przyszła nam na myśl jego działalność w Pund-fiksie. W tej spółce działał razem z Joachimem Rothstaahlem, który, jak państwo przecież wiedzą, został zamordowany. ..

- Tamten Norweg, Dahl, wywiódł Thomasa w pole! Stał przed sądem i trafił za kratki, co mu się należało! Niefortunna sprawa Pundfixu już dawno przebrzmiała! - stwierdził stanowczo adwokat.

- Zasięgnąłem języka o Eriku Dahlu. Norweska policja udzieliła odpowiedzi na moje zapytanie, zanim wybraliśmy się do tego kraju. W grudniu tego roku, kiedy Thomas został zamordowany, jeden ze współwięźniów zadźgał Dahla nożem! - oznajmił spokojnie Tommy. Ta wiadomość była zaskoczeniem także dla Irene. Podobnie jak państwo Bonetti, umilkła i wpatrzyła się w Tommy'ego.

- Sporo ludzi z tego towarzystwa zmarło śmiercią tragiczną w ciągu trzech lat - dopowiedział Tommy.

- Choć różne firmy bankrutują i z niejednej znikają wielkie sumy, to przecież w świecie biznesu rzadko zdarzają się morderstwa! - wybuchnął Antonio Bonetti.

„To zależy, jakie interesy wchodzi w grę” - pomyślała Irene.

- Zawsze trzeba się liczyć z globalnym kryzysem i na skutek tego z gorszą koniunkturą. Takie ryzyko istnieje w biznesie stale - dodał adwokat.

„A twój syn, też biznesmen, wywołał taki spadek koniunktury, że podobnych zdarzyło się niewiele w historii - miała już na końcu języka Irene. - Tamtą bessę odczuły giełdy na całym świecie”.

- Musimy również zapytać, czy Thomas miał jakąś przyjaciółkę - odezwał się Tommy.

- Thomas miał wiele przyjaciółek - odpowiedział wyniośle Bonetti, akcentując słowo „wiele”.

- Czy którąś znają państwo z nazwiska? Interesuje nas szczególnie tamten ostatni rok. Zima, wiosna i lato 2000 roku - uściślił Tommy.

Państwo Bonetti porozumieli się wzrokiem. Ani mąż, ani żona nie kwapili się chyba z odpowiedzią.

- Żadnej nie przywiózł do nas. Proszę pamiętać, że mieszkał w Londynie... i wiele podróżował, po całym świecie... Tak rzadko bywał w domu. Wciąż absorbowały go interesy. .. Wątpię, czy miał czas na stały związek - wyjaśniła jednak matka.

Dalsza rozmowa z państwem Bonetti nie dała niczego. Wyraźnie wyczuwało się, że niewiele wiedzą o prywatnym życiu syna.

Gdy policjanci odchodzili, adwokat wyjął kilka wizytówek z wewnętrznej kieszeni marynarki i wręczył im jedną, mówiąc:

- Proszę o niezwłoczne poinformowanie mnie o wynikach sekcji zwłok. Wystarczy zatelefonować na któryś z numerów podanych na wizytówce. Dla najbliższych jest to oczywiście ważne, jak... czy cierpiało.

Kiedy wypowiadał te ostatnie słowa, głos odmawiał mu już posłuszeństwa. Irene skinęła głową i spojrzała na adwokata wzrokiem pełnym powagi. Nie było to łatwe. Policjanci nie opowiedzieli o uciętych i nieznaleszonych palcach. Przed wizytą ustalili, że nie ujawnią tego szczegółu, póki nie otrzymają końcowego raportu z sekcji zwłok.

- Wiem od Agnety, że w ten weekend wybieracie się razem na grzyby - powiedział Tommy.

Jechali w szczycie późnego piątkowego popołudnia do centrum.

- Tak, w niedzielę. W poprzedni weekend nie dałyśmy rady. Agneta była, zdaje się, bardzo zajęta - wyjaśniła Irenę.

Tommy potwierdził cicho:

- Owszem, miała co robić.

Z jakiegoś powodu, którego Irenę nie zrozumiała, w samochodzie zapadło milczenie i utrzymało się, póki nie zaparkowali pod komendą. Tommy wyłączył silnik i wyjął kluczyk ze stacyjki. Kiedy głęboko wzdychał, można było pomyśleć, że chce coś powiedzieć, ale powstrzymał się w ostatnim momencie.

- Nie, zresztą... ona będzie pewnie z tobą rozmawiać - powiedział tylko i wysiadł z samochodu.

Irenę z trudem dotrzymywała mu kroku, kiedy szli w stronę wejścia.

- Niewiele to wniosło - stwierdził komisarz. Siedział oparty łokciami o biurko, z czubkami palców tak

ściśle złączonymi, że trzeszczało w stawach.

- Niestety. Ale Bonetti zareagował chyba na nazwę Styrso. Wybieram się jutro na tę wyspę - zapowiedziała Irenę.

- W sobotę? Czy sądzisz, że to się na coś przyda? - zdziwił się Tommy.

- Krister pracuje w ten weekend. Mogę zabrać Sammiego. Ale nie... to niedobry pomysł.

Annika Hermansson ma koty.

- Może tam być naprawdę wesoło! - zaśmiał się komisarz.

Słyszał kiedyś opowieść o tym, że Sammie pogryzł kota sąsiada, i o późniejszych kłopotach z tego powodu. Pomogła jakaś czarodziejka... Komisarz uznał, że to doprawdy zabawna historia, w tle mordy, którego ofiarą padła rodzina pastora w Kullahult.

- Sammie musi zostać w domu. Tak, i ja sądzę, że to się na nic nie przyda. Tyle że odnoszę wrażenie, jakbyśmy o czymś zapomnieli, jakbym ja zapomniała o czymś ważnym. Albo może nie doceniłam znaczenia jakiegoś szczegółu. Wiecie, że takie odczucia mają czasem znaczenie - powiedziała Irenę.

Tommy i Andersson pokiwali głowami.

W piątek wieczorem Krister miał wolne, ale czekała go praca i w sobotę, i w niedzielę. Zapalili świece, których blask odbijał się w złocistym winie. Na talerzach przed sobą mieli jedną ze swoich ulubionych potraw - parujące zapiekane kraby. Zapachy francuskiej musztardy, sherry, kopru, sera i morza współtworzyły symfonię, która sprawiała, że leciała ślinka. Krister podniósł swój kieliszek i spojrzął żonie w oczy.

- Wypijmy, moja ty śliczna, za miły wieczór i wspaniałą kolację - zaproponował.

Stuknęli się kieliszkami i zaraz poczuli to chłodne wino na podniebieniu.

- Mam więc dobrą wiadomość - odstawiając kieliszek, Krister nawiązał do swych wcześniejszych słów.

- Mów, jaką - poprosiła Irenę.

- Dzwoniła dziś moja siostra. Nie Ulla, Maggan. Żadnej nie zależy na samochodzie taty. Obie mają całkiem nowe auta. U Maggan są nawet dwa.

Ojciec Kristera zmarł nagle niemal w pełni lata. Osiemdziesięcioletnia matka uskarżała się na przewlekły gościec. Dom rodziców na peryferiach Saffle należało sprzedać, ponieważ mama dostała ładne dwupokojowe mieszkanie na parterze czynszowej kamienicy. To komunalne mieszkanie miało niewielką werandę, a sam dom dzieliło zaledwie kilka minut piechotą od domu siostry Kristera, Ulli. Ulla i druga siostra mieszkały nadal ze swymi rodzinami w Saffle, co Kristerowi i jego żonie oszczędziło w lecie wielu kłopotów. Najstarszy z rodzeństwa, Stefan, po rozwodzie wybrał samotność. Mieszkał w Sztokholmie i niezbyt się kwapił do podtrzymywania kontaktu z resztą rodziny. Pojawiał się rzadko i za każdym razem

przyjeżdżał swym samochodem, zwykle sportowym. Mimo kryzysów na giełdzie i w bankowości zarobki menedżerów w tym światku pozostały na niezłym poziomie. A teraz siostry postanowiły się pozbyć samochodu marki Volvo, który stał w garażu. Dom należało opróżnić do pierwszego grudnia.

- Volvo 740. Z dziewięćdziesiątego drugiego roku. Niecałe osiemdziesiąt tysięcy kilometrów przebiegu. Na dobrą sprawę, mało co używany - powiedział Krister.

- Choć ma już jedenaście lat. Tylko o dwa lata mniej niż saab - wtrąciła Irenę.

- Ale jest w dobrym stanie. Zadbany. I ma na liczniku czwartą część przebiegu saaba. Jest wart dwadzieścia pięć tysięcy.

Irenę uśmiechnęła się.

- To chyba dobry interes. Wchodzimy w to. Wypijmy za nowy samochód!

- Wypijmy. W poniedziałek mam wolne. Pojadę do Saffle pociągiem i sprowadzę auto. I dam ogłoszenie o sprzedaży saaba. Dopiero co miał przegląd. Dobrze będzie, jeśli dostaniemy za niego pięć tysięcy.

- A kiedy volvo miało przegląd?

- Nie wiem. Ale ze względu na Sammiego potrzebne nam jest kombi. Pies będzie bezpieczniejszy tam z tyłu. Jego miejsce oddzielimy kratą i wyodrębnimy część bagażową. Będziemy mogli dużo zabrać do Sunne.

Irenę spojrzała na męża ze zdziwieniem.

- Dlaczego mówisz o naszych wyjazdach do Sunne? Czy nie wystarczał nam saab, kiedy jeździliśmy do letniego domku?

Pierwszymi właścicielami tego letniskowego domu w okolicy Sunne byli rodzice Kristera, ale kilka lat temu przepisali go na dzieci. Z początku bywały one tam na przemian, co tydzień kto inny, ale w ostatnich latach podział był już niepotrzebny. Irenę i Krister mogli w zasadzie dysponować domkiem według swego uznania. Stefan nie przyjeżdżał tam nigdy ze Sztokholmu, Maggan i jej mąż kupili działkę nad samym jeziorem Wener, a Ulla zainwestowała razem z mężem w spory jacht, którym pływali przez całe lato.

- Ulla i Maggan chcą, żebyśmy przejęli domek i je spłacili. Irenę sączyła jeszcze wino.

- Nie damy rady - wykrztusiła.

- Damy. Jeśli sprzedamy nasz segment i kupimy mieszkanie.

- Sprzedać ten segment?

- Przecież dziewczyny się przenoszą. Zostaniemy tylko we dwoje. No i Sammie - dodał, gdy dotarło do niego spod stołu chrapanie psa.

- Mieszkania w centrum kosztują tyle samo, co szeregowy domy tu, na peryferiach - zaoponowała Irenę.

- Niezupełnie. Zresztą o dom trzeba dbać. Praca w ogrodzie nie odpowiada ani tobie, ani mnie. Niedługo wypadnie znów malować okiennice i boazerie na zewnątrz. A za dwa lata trzeba będzie jeszcze raz malować front budynku i garaż. Drewno na elewacje frontu nie było najlepszej jakości, bo kiedy budowano te domy, w siedemdziesiątych latach, pienieło się brakoróbstwo. I trzeba wymienić deski w...

- Sprzedajemy! Chociaż, prawdę mówiąc, wynikło to dość niespodziewanie. Muszę się nad tym zastanowić - powiedziała Irenę.

Z uśmiechem na twarzach przepili do siebie, jednak Irenę kryła w sercu pewien żal. Nie cieszyła jej perspektywa sprzedaży domu, w którym przeżyli piętnaście lat.

Rozdział 14

Morze było wzburzone i rozkołysane szare fale mocno uderzały o kamienisty brzeg. Deszczowe chmury wisiały nad wodą przez całe przedpołudnie, zapowiadając ulewy. Irenę, pochyliwszy głowę, walczyła z porywistym wiatrem, parła jednak naprzód. Zdążyła się już

przekonać, jak należy pokonywać drogę do domu Anniki Hermansson przy takiej pogodzie. Nauczona doświadczeniem z wcześniejszych wypraw na Styrśó, ubrała się odpowiednio. Pamiętała nawet o zabraniu rękawiczek.

Można by pomyśleć, że na wyspę zrzucono bombę neutronową, ponieważ wszelkie życie ustało - zachowały się tylko domy. Jediną żywą istotą, na jaką Ireń natrafiła, była pospolita mewa, która przycupnęła na którymś przybrzeżnym kamieniu i wpatrywała się w Ireń. Kiedy ta podeszła zbyt blisko, mewa wzięła z krzykiem. Innych oznak życia Ireń nie dostrzegła, póki nie doszła do domu Anniki Hermansson. Na schodach siedział czarno-biały kocur, który zareagował na pojawienie się Ireń niezyczliwym błyskiem w złocistych ślepiach.

- Witaj, kotku. Czy mnie poznajesz? - zagadnęła uprzejmie Ireń i pochyliła się nad nim. Kot położył uszy po sobie i parsknął. Ireń cofnęła wyciągniętą do niego rękę. Nie wszystkich można do siebie przekonać. Koty potrafią na pewno wyczuć, że mają do czynienia z psem w ludzkiej skórze.

Ireń zapukała mocno do drzwi i otworzyła je, gdy z głębi domu dotarło do niej niegłośne wołanie. Uderzył ją taki sam obrzydliwy smród, jak przy okazji poprzednich odwiedzin. Odetchnęła głęboko, zanim weszła do przedpokoju, w którym panował bałagan.

- Witaj, Anniko. To ja, Ireń Huss. Dzwoniłam wczoraj i powiedziałaś, że mogę przyjechać. Mówiąc to, zbliżyła się do kuchni. Stamtąd docierało do niej czyjeś mamrotanie. Brzmiało tak, jakby ktoś próbował mówić z zakneblowanymi ustami. Ireń zatrzymała się w progu, gdy zobaczyła na podłodze bezkształtną ludzką masę. W pierwszej chwili pomyślała, że Annika straciła przytomność albo umarła, ale poczuła ulgę, kiedy z leżącego ciała wydobył się jakiś bełkot. Annika pozostała przy życiu, tyle że najwidoczniej była kompletnie pijana.

Ireń uklękła przy Annice i spróbowała ocenić jej stan. Już wcześniej kobieta zwymiotowała i czuć było od niej mocz. Siliła się na jakieś słowa, ale jej obwisłe usta ziały tylko plwociną i odorem alkoholu. Leżała na boku i chyba dzięki temu nie udusiła się, kiedy miała torsje. Na całej głowie widać było ślady krwi. Gdy Ireń obejrzała Annikę dokładniej, zauważyła głęboką ranę nad lewą skronią. Najwidoczniej nie powstała od upadku na podłogę, lecz od uderzenia o kant stołu. Annika leżała na lewej ręce, która ułożona była pod dziwnym kątem. Gdy Ireń dotknęła tego ramienia, rozległ się krzyk Anniki. „Pewnie złamanie” - postawiła swoją diagnozę Ireń.

Wstała z klęczek i wyjęła telefon. Połączywszy się z numerem 112, poprosiła o przysłanie karetki i starała się objaśnić położenie domu na wyspie Styrśó.

- Wyślemy łódź ratownictwa medycznego. Czy możesz wyjść jej naprzeciw? - zapytała tamta kobieta.

- Oczywiście. Dom jest bardzo blisko brzegu. Stanę przed domem.

- Dobrze. Podam im numer twojej komórki, żeby mogli zadzwonić, kiedy będą dopływać. Unikniesz wystawiania tam dłużej niż potrzeba.

- Dziękuję.

Ireń niewiele więcej mogła zrobić dla Anniki. Leżała we właściwej pozycji, a prócz tego zdążyła się znieczulić alkoholem. W bałaganie na kuchennej sofie znalazła brudny koc, którym przykryła Annikę.

Postanowiła wykorzystać czas oczekiwania na łódź pogotowia. Zaczęła ostrożnie się rozglądać po tym zaniedbanym domu. Poruszała się powoli nie dlatego, że nie chciała niczego potrącić, a raczej z obawy przed wdepnięciem w coś cuchnącego. Postanowiła zacząć od piętra, weszła więc rozeschniętymi schodami na górę.

W sypialni było wielkie szczytowe okno, które wychodziło na południowy zachód; roztaczał się z niego widok na morze. Ireń otworzyła okno i zabezpieczyła je zardzewiałym hakiem, aby móc w ogóle wytrzymać w pokoju. Na podniszczonym zielonkawym biurku stało kilka zdjęć w ramach. Podeszła bliżej, aby się im przyjrzeć.

Na pierwszym zdjęciu zobaczyła nastolatkę z małym dzieckiem na kolanach. Dopiero po paru sekundach zorientowała się, że to pewnie Annika i Billy. Na tej barwnej fotografii Annika miała długie rudawe włosy, które opadały na ramiona. Z nikłym uśmiechem na ustach patrzyła spokojnym, nieomal wyzywającym wzrokiem prosto w obiektyw. Jej całkiem łyse dziecko mogło mieć kilka miesięcy. Ireń była zdziwiona, że Annika odznaczała się w młodości wielką urodą. Kto widywał ją ostatnio, temu trudno byłoby to sobie wyobrazić. Następne zdjęcie przedstawiało siedmio - albo ośmioletniego chudzielca, który, nagi od pasa w górę, stał na pomoście z wędką w ręku. Roześmiany, pokazywał luki w przednim uzębieniu górnej szczęki oraz złowioną rybkę. Jego niemalże kredowobiałe włosy rozwiewał wiatr, a w tle widać było szopę na sprzęt rybacki.

Na ostatniej fotografii Ireń zobaczyła poważnie wyglądającego młodzieńca w czapce studenckiej. Jego bladą twarz pokrywały pryszcze, prócz tego nie czuł się chyba dobrze w garniturze i ciasnej czapce.

W przedpokoju stał na swoim miejscu teleskop, przez który Ireń nie zamierzała patrzeć.

Minęła hol i po jego przeciwnej stronie otworzyła drzwi drugiej sypialni.

Pachniało tam stęchlizną, ale nie było brudno. Wzdłuż jednej ze ścian stało wąskie, jednoosobowe łóżko, przykryte spraną ciemnoniebieską narzutą frotte. Pod oknem umieszczono sosnowe biurko z Ikei, a na nim blaszaną lampę, powleczonej czerwonym lakierem. Na blacie biurka nie było niczego prócz małego przycisku na listy, który wykonano z kolorowego szkła. Zwyczajne żeberkowe krzesło służyło do pracy przy biurku. Na parapecie stała sztuczna pelargonia, która zdążyła wyblaknąć od słońca. Firany były jasnoniebieskie, z białymi kwadratami, kolorystycznie dostosowane do sfatygowanego szmaciaka na podłodze. Nad biurkiem wisiała pusta półka na książki, podobna do tej w sypialni Anniki, tyle że pomalowana na ciemnoniebieski kolor. Ścianę zdobił afisz z napisem: Powstawanie kwasu cytrynowego. Przedstawiał mnóstwo wzorów chemicznych ujętych w wielki krąg. Szuflady biurka okazały się puste. Podobnie obie szafy na ubrania. Pokój został posprzątany, ale nikt w nim nie mieszkał. I to od dawna. Czyżby Annika zmyślała, kiedy wspominała o tym, że Billy jej pomaga?

Ireń wyszła z sypialni i ruszyła głośno trzeszczącymi schodami na parter. Nagle usłyszała, że ktoś otworzył drzwi domu. Zamarła, nie dokończywszy ostatniego kroku, i wstrzymała oddech. Nie przypuszczała, aby już mogła tu dotrzeć załoga łodzi pogotowia ratunkowego. Zresztą nikt jeszcze do niej nie telefonował.

W tym momencie odezwała się jej komórka. Wyjęła telefon z kieszeni kurtki i zeszła schodami do holu.

- Halo. Inspektor Ireń Huss z wydziału kryminalnego - powiedziała na tyle głośno, by została usłyszana nawet przy drzwiach domu.

- Tobbe Johansson z łodzi ratownictwa medycznego. Zaraz będziemy płynąć pod mostem, który prowadzi na wyspę Donsó. Czy wyjdiesz przed dom?

- Tak.

Jakiś szczupły młody mężczyzna wpatrywał się w Ireń oczami, które świadczyły o zaskoczeniu. Ireń rozpoznała w nim pasażera promu. W taką niepogodę mało kto korzystał z tej formy transportu. Mężczyzna stał w drzwiach z reklamówką z sieci Konsum w jednej ręce i większą, podróżną torbą w drugiej. Jego kurtka firmy Fjallraven w kolorze khaki, z dopasowanymi do niej spodniami, pozwalała się domyślić, że ten człowiek wie, jak należy się ubierać w niepogodę na takich wyspach. Miał też kaptur na głowie. Obie torby wydały głuchy łoskot, kiedy rzucił je na podłogę. Szybko też zsunął kaptur. Niezbyt bujne rude włosy zaczęły się już przerzedzać i nad skroniami powstały dwie spore zatoki. Zamiast zdziwienia w jego oczach pojawiła się złość, kiedy wysyczał:

- Nie mogłem nie usłyszeć, że jesteś z policji. Co tu robisz?

Ireń wyłączyła telefon, po czym odpowiedziała:

- Dzwoniłam wczoraj do Anniki i ustaliłyśmy, że będę mogła dzisiaj przyjechać. Ale kiedy się tu zjawiłam, zastałam ją na podłodze w kuchni. Upadła i chyba złamała rękę. Wezwałam telefonicznie łódź ratownictwa medycznego i właśnie teraz dzwoni. Mam czekać na nich przed domem. Tymczasem ty idź do niej.

Mężczyzna usunął się z drogi, kiedy Irenę wychodziła na zewnątrz. Poczowała ulgę na świeżym powietrzu i wzięła głęboki oddech.

- Chodźmy na górę, do twojego pokoju - zaproponowała Irenę.

Ratownicy wywieźli Annikę Hermansson. Billy był w kuchni, nie wiedząc, co robić. Na jego bladej twarzy malowały się zmęczenie i udręka. Gdy usłyszał propozycję Irenę, skinął głową. Irenę usiadła na krześle, a Billy opadł na łóżko. Widać było po nim zakłopotanie. Nerwowo przełykał ślinę i wtedy pod skórą chudej szyi przesuwano się w górę i w dół wielkie jabłko Adama.

- Nie jest wcale tak, jak myślisz - odezwał się agresywnym tonem.

- A co ja myślę? - zapytała spokojnie Irenę.

- Że mam gdzieś matkę... że jej życie w takim... syfie nic mnie nie obchodzi!

Na szyi i policzkach Billy'ego pojawił się nagle rumieniec.

- A więc nie masz tego gdzieś - wywnioskowała Irenę.

- Nie.

Billy przełknął kilka razy ślinę i dodał:

- Przyplłynęliśmy w tym samym czasie, tyle że ja poszedłem po zakupy. Zawsze to robię. Ale ona nie pozwala mi sprzątać... nie chce.

Głosem i wzrokiem błagał o zrozumienie. Irenę chciała, żeby mówił dalej, i bez emocji zapytała:

- Dlaczego nie?

Billy opuścił wzrok na zniszczony dywan ze szmat i przez dłuższą chwilę milczał. W końcu westchnął.

- Moja partnerka... mama jej nie cierpi. Ona... to znaczy mama... wściekła się, kiedy ja i Emma zamieszkaliśmy razem. Zawsze dbałem o mamę. Piła, gdy byłem jeszcze małym chłopcem. Ale kiedy ja i Emma... wszystko się skomplikowało! Ten... bałagan jest jednym z jej pomysłów na zemstę. Ona mści się na mnie.

- Jak długo mieszkasz razem z Emmą?

- Prawie cztery lata.

- Ale to ty kupujesz wino i wódkę dla Anniki - stwierdziła.

Billy wzruszył ramionami.

- Muszę. Mama nie chce wychodzić z domu. Jeśli ja tego nie zrobię, starzy kumple dostarczą jej alkohol. Ci „kumple” biorą duże prowizje. I takim sposobem mama wydałaby wszystkie pieniądze na wino i wódkę. Przyjeżdżam do niej raz albo dwa razy w tygodniu. Kupuję wtedy wszystko, co chce pić i co musi zjeść. Dzięki temu zostaje trochę pieniędzy.

- Rozumiem. Czy ona nie chce się leczyć z alkoholizmu?

Billy uśmiechnął się sceptycznie i powiedział:

- Nie znasz mojej matki.

- Niezbyt dobrze. Ale widziałam się z nią jakiś tydzień temu. Wróciliśmy do sprawy zniknięcia Thomasa Bonettiego. Jak wiesz, prawie trzy tygodnie temu zamordowany został jego dawny wspólnik w firmie ph.com, Philip Bergman. Annika prowadziła obserwację w ostatni - jeśli się nie mylimy - wieczór życia Thomasa. Jej zeznania nikt nie spisał... szczerze mówiąc, była pijana, kiedy zadzwoniła na policję. I dlatego nikt wtedy z nią nie rozmawiał. Ja przyjechałam tutaj, pogadałam z nią i dzięki jej obserwacji odnaleźliśmy na Branteskar ciało Thomasa.

Zanim Billy zdołał wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk, jego jabłko Adama uniosło się i opadło kilka razy.

- Czytałem o tym... odkryciu. A mama w ogóle nie wspominała o waszej rozmowie. Nie wiedziałem, że zobaczyła wtedy coś ważnego. Pamiętam tylko jej do znudzenia powtarzane zapewnienia, że w tamten wieczór słyszała łódź Thomasa.

- Czy mówiła o przesunięciu kamieni granicznych Nissego?

- Od paru lat gada tylko o tym.

- Od trzech lat. Ten stos kamieni został przesunięty. Thomas leżał pod nim. Morderca położył jego zwłoki po prostu obok i przesunął te kamienie. Tak zwany kamień graniczny Nissego znalazł się o co najmniej metr dalej. Annika miała rację.

Billy pokiwał głową.

- Ona jest "właściwie" bardzo inteligentna... w szkole miała dobre stopnie. Ale w domu było dużo dzieci. Babka i dziadek chcieli, żeby podjęła pracę. A już w lecie, zaraz po dziewiątej klasie, zaszła w ciążę. I potem ja przyszedłem na świat. Od tamtej pory nie znajdowała stałej pracy. Przeważnie jakieś pomocnicze zajęcie albo od czasu do czasu zastępstwo. A kiedy poznała Hassego, stoczyła się bardzo szybko.

- Kto to jest?

- Kto to był. Hasse nie żyje. Siedem albo osiem lat temu zapił się na śmierć. Nikt go nie oplakiwał. Mama też nie. Ona sama zresztą piła już wtedy na umór.

- Miałeś bardzo trudne dzieciństwo - powiedziała ostrożnie Irene.

Billy wzruszył nieznacznie swoimi chudymi ramionami.

- O tyle, o ile. Miałem jeszcze babkę i dziadka. Można by powiedzieć, że właściwie wychowałem się w ich domu. Prócz tego mam tu na wyspie ciotki i wujków. I wielu kuzynów. Dziadek zmarł dziesięć lat temu, a babka zapadła na chorobę Parkinsona. Nie żyje od paru lat.

- Czym się teraz zajmujesz?

- Jestem inżynierem, chemikiem. Pracuję w Stanung-sund, a mieszkam w Kungalu.

- Dość daleko stamtąd na Styrsó.

- To prawda. Ale radzę sobie.

Irenę zastanawiała się, jak sformułować ostatnie pytanie, które musiała postawić. Wypadało poruszyć delikatnie kwestię. Uznała, że najlepiej będzie spytać wprost.

- Wiem od Anniki, że ty i Thomas bawiliście się razem jako mali chłopcy. Jaki on był?

Billy wpatrzył się znowu w dywan i znów poruszyło się kilka razy jego jabłko Adama, zanim odpowiedział:

- Był prawie pięć lat młodszy. Ale nikt nie chciał się z nim bawić. Ja też nie, tylko że czasami przychodził po mnie. Ciągłe się popisowywał i chwalił tym, że ma bardzo bogatego ojca i dostaje od niego wspaniałe rzeczy. W taki sposób wytykał mi to, że ja ojca nie mam, a także naszą biedę. Był typem prześladowcy. Trochę to dziwne, bo pamiętam, że wobec niego też stosowano mobbing. Widzisz, on był gruby i nosił okulary. I opalał się zawsze na czerwono. Dlatego nazywano go „oparzoną szczurą”. Takie opalenie się było chyba jedyną naszą wspólną cechą.

Irenę miała już na końcu języka: „Łączył was nie tylko brak pigmentu, ale też barwa oczu i włosów”, powstrzymała się jednak. Antonio Bonetti zareagował gwałtownie, gdy usłyszał o Billym. Teraz Irene postanowiła wpatrywać się w niego uporczywie. Billy zauważył to i w zakłopotaniu wiercił się na swoim miejscu.

- Billy, wiem od Anniki, że nigdy nikomu nie ujawniła tożsamości twojego ojca. Czy tobie powiedziała, kto nim jest?

- Nie. I jest mi to obojętne. Od dwudziestu ośmiu lat nie daje znaku życia, więc tak jakby go nie było.

W głosie Billy'ego Irene wyczuła pewne rozczarowanie.

- Annika wspominała też o pieniądzach, jakie dostaje za nieujawnianie jego tożsamości - dopowiedziała.

- Od lat o tym gada. Twierdzi, że on jest żonaty i zamożny. Po prostu chce uchodzić za ważną.

- Tak sądzisz? Czy możesz sprawdzać stan jej konta?

- Tak. Mam kontrolę nad jej finansami. Nie ma żadnych niezrozumiałych wpłat. Ale...

Billy urwał i zagryzł dolną wargę.

- Co finanse mamy mają wspólnego z zamordowaniem Thomasa? - zapytał ostrym tonem.

- Jakieś powiązanie jest możliwe. Ale pośrednie - odparła Irenę.

Skłamała. Jej ostatnie pytania dotyczyły pewnego ubocznego wątku. Otóż chciała ustalić, czy Thomas Bonetti miał przyrodniego brata nazwiskiem Billy Hermansson.

Problemy z nadwagą i wzrokiem Thomas odziedziczył po matce, ale barwę oczu i włosów

miał po ojcu. Tę samą, co Billy. Ponadto czoło Billy'ego stawało się coraz wyższe, zaczął się więc taki sam proces, jak u Thomasa około trzydziestki.

Billy taksował ją swymi jasnymi oczami z pewną dozą podejrzliwości, potem jednak wzruszył znów ramionami.

- Jest coś, co mnie zastanawia. Zdarzyło się parę razy, że przyszły do niej listy bez nadawcy.

Zwyczajne brązowe koperty. Z adresem wypisanym na maszynie. I za każdym razem widać u niej było jakby... wyraz triumfu.

- Hm, zawsze przyjemnie dostać list...

- Nie rozumiesz. Mama nigdy nie dostaje listów. Nikt do niej nie pisze. Prócz nadawcy tych brązowych kopert.

- Czy pytałeś, kto je wysyła?

- Tak. Ale ona śmieje mi się tylko w twarz.

- I robi tajemniczą minę?

- Dokładnie.

- Tak samo, jak wtedy, gdy jest mowa o twoim tacie? Billy drgnął i zmierzył Irenę badawczym wzrokiem.

- Być może.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Zmarszczył też brwi, zbierając siły na to, jak zorientowała się Irenę, by móc mówić dalej.

- Jeśli nie kłamie w sprawie pieniędzy od mojego... biologicznego ojca, to najprawdopodobniej przychodzą w tych brązowych kopertach - powiedział jednym tchem.

- Czy, twoim zdaniem, udałoby nam się odnaleźć jedną z tych kopert? Być może zachowała którąś - powiedziała Irenę.

- Mogę poszukać - odparł.

Irenę poczuła wielką ulgę. Nie cieszyła jej perspektywa grzebania w mnóstwie śmieci zgromadzonych w tym domu.

- Dobrze. Oto moja wizytówka. Znajdziesz na niej adres i numery telefonów, pod którymi możesz się ze mną skontaktować. Jeśli natrafisz na jakąś kopertę, to obchodź się z nią ostrożnie. Nie chwytaj jej zbyt często. Włóż ją do większej koperty.

- Chodzi o odciski palców.

- Właśnie.

Rozdział 15

W niedzielę rano słońce dawała się już trochę mniej we znaki. Prognozy zapowiadały na ostatnie dni września naprawdę dobrą pogodę. Irenę wybrała się przed południem na trening jiu-jitsu. Musiał to być trening złagodzony, bo przy gwałtowniejszym ruchu czuła jeszcze, że ma łokieć.

Po szybkim lunchu zapakowała do samochodu Sammiego, termos z kawą, kalosze i kosz na grzyby, i odjechała w kierunku Harskogen. Razem z Agnetą upatrzyły sobie w tym lesie

miejsce, w którym zbierały grzyby przez kilka ostatnich lat. Miejsce to znajdowało się na obrzeżu, już poza granicą rezerwatu przyrody. W pobliżu nie było żadnych prywatnych parceli ani domów, wszyscy mogli więc korzystać z tego grzybnego rajku.

Ale tym razem niczego nie uzbierały.

- Muszę z tobą o czymś porozmawiać - rzuciła na wstępie Agneta.

Irenę zachęciła ją skinieniem głowy. Oczywiście, na cóż byliby komu przyjaciele, jeśli by nie można było im się zwierzać?

- Biorę rozwód z Tommym.

Irenę poczuła się niezręcznie i poszukała wzrokiem czegoś, na czym mogłaby usiąść. Zrobiło jej się słabo. Jak Agneta może być tak spokojna?

- Przeprowadzam się pierwszego października.

- Tak... szybko? - wyjąkała Irenę.

„Dlaczego? Dlaczego?” - powtarzała w myślach. Para jej najlepszych przyjaciół. A ona niczego się nie domyśliła. Albo może jednak?

- Czy ta historia... z Kajszą jest naprawdę takim problemem? - wydusiła z siebie.

- Z Kajszą? Kto to jest? - zapytała Agneta i zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc, o czym mowa. Zanim Irenę zdążyła odpowiedzieć, dodała od siebie:

- Jeśli on flirtuje z kimś w pracy, to mam nadzieję, że coś z tego wyniknie. On tego potrzebuje. Ale mimo wszystko jest ojcem trójki naszych dzieci i wciąż bardzo go lubię.

- Skoro tak... skoro wciąż... - wtrąciła z iskierką nadziei Irenę.

- Nic na to nie poradzę, że przestałam go kochać. Spotkałam miłość mego życia. Może to brzmi dziwacznie, ale uległam namiętności. To jakby... żywio! Człowiek zostaje po prostu porwany przez nurt. Walka byłaby daremna.

W piwnych oczach Agnety pojawiły się łzy.

- Kto to jest?

- Na imię ma Olof. Jest lekarzem i pracuje w szpitalu. Znamy się od lat. Wciąż Ignęliśmy do siebie, ale walczyliśmy z tym. Oboje mamy przecież rodziny. On ma dwójkę dorosłych dzieci. Ale teraz nie chcemy dłużej zwlekać. Oboje zrywamy z przeszłością.

Na Irenę podziałało to deprymująco. A równocześnie gotowa już była okazać złość. Jak Agneta może zrobić coś takiego Tommyemu i dzieciom? Starła się jednak nie ujawnić swoich uczuć.

- Jak długo już jest to coś poważnego? - zapytała.

- Od wiosny.

- A jak długo wie o tym Tommy?

Właściwie Irenę wolałaby nie usłyszeć odpowiedzi. Najchętniej odjechałaby prosto do domu, gdzie padłaby na łóżko i się poryczała. Przeważył jednak instynkt oficera śledczego. Musiała rozpoznać całą sytuację.

Agneta wytarła nos w jednorazową chusteczkę i osuszyła łzy, które płynęły powoli po jej policzkach.

- Tommy... zorientował się już w pierwszych tygodniach lata, co jest na rzeczy.

Rozmawialiśmy... mój Boże, ileż my się nagadaliśmy! Ale jest jak jest. Nie potrafię się wyrzec mojego uczucia. Olof i ja przenosimy się do naszego wspólnego mieszkania w Alinasas. Jest tam dość miejsca dla dzieci. Tommy zostaje na razie w szeregowym domu.

Irenę poczuła się mocno zawiedziona. Ani Tommy, ani Agneta nie rozmawiali z nią wcześniej o kryzysie w swoim małżeństwie. Para jej najlepszych przyjaciół i żadne nie zająknęło się słowem.

- Dlaczego nic nie mówiliście? - nie mogła nie spytać.

- W lecie mieliście przecież dość kłopotu przez chorobę twojego teścia. A potem on zmarł i był pogrzeb. W sierpniu spędziliście dwa tygodnie na Krecie. My chcieliśmy zresztą poradzić sobie z tym wszystkim samodzielnie. Bez obciążania innych.

Agneta umilkła i spojrzała Irenę prosto w oczy, po czym dodała:

- Mam nadzieję, że nasza przyjaźń zbytnio na tym nie ucierpi. Że będziemy mogli podtrzymywać kontakt. I na przykład zbierać razem grzyby.

Wypowiadając te ostatnie słowa, Agneta uśmiechnęła się bez przekonania.

- Oczywiście - wyszeptala Irenę.

W głębi duszy zdawała sobie sprawę z tego, że już nic i nigdy nie będzie takie samo jak dawniej.

W drodze do domu zaczęła odczuwać wstyd, i to tak wielki, że zaczął jej doskwierać.

Przyznała się przed sobą, że była nie w porządku wobec biednej Kajsy. Od czasu napadu w mieszkaniu Rothstaahla nie miały okazji do prawdziwej rozmowy. W samolocie Kajsa spała przez cały czas. W kraju też nie znalazły chwili dla siebie. A później Andersson odesłał Kajsę do domu. Jutrzejszy dzień miał być dniem jej powrotu do pracy. Irenę czuła, że winna jest Kajsie przeprosiny. Ale najpierw musiała porozmawiać z Tommym.

Tommy zachował się spokojnie i rozsądnie, kiedy Irenę wspomniała, że wie o rozwodzie. Ale gdy spytała, dlaczego nie próbują uratować małżeństwa, wybuchnął:

- Ty nie rozumiesz, co człowiek wtedy czuje! Ta sprawa dotyczy tylko Agnety i mnie! Tobie niech wystarczy wiadomość o naszym rozwodzie - oświadczył gniewnie.

- Ależ ja chciałam tylko o tym pogadać... - broniła się Irenę, lecz Tommy zamknął jej brutalnie usta.

- Powiedziałem już. To nie twoja sprawa! I nie naprzykrzaj się ludziom z dobrymi radami, kiedy nikt o nie nie prosi!

Raptownie wstał i energicznym krokiem wyszedł z pokoju. Irenę stanęła jak wryta, kiedy jego plecy zniknęły za zamkniętymi drzwiami. Słowa Tommy'ego o niepożądanych dobrych radach nasunęły podejrzenie, że Kajsa wspomniała o ich paryskiej rozmowie. Być może właśnie dlatego Tommy dał Irenę odczuć swoją złość. W głębi duszy była świadoma, że zasłużyła sobie na takie potraktowanie.

„Czy w ten poniedziałek zdarzy się jeszcze coś?”

Niejako odpowiedzią na tę myśl było pukanie do drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyła coś powiedzieć i do środka zajrzał Jonny Blom.

- Czy widziałaś Svena? - zapytał.

- Jest na zebraniu.

- Ach tak. Źle wyglądasz. Czyżbyś nie uzupełniła dziś rano poziomu kofeiny?

Jeśli był na świecie ktoś, komu nie chciała się zwierzać ze swoich trosk, to na pewno Jonny był taką osobą. Irenę zebrała się w sobie i zmusiła do uśmiechu.

- Nie o to chodzi. Zastanawiałam się nad czymś. W sobotę pojechałam na Styrso, żeby jeszcze raz przesłuchać Annikę Hermansson. Nic z tego przesłuchania nie wyszło. Znalazłam ją na podłodze, nieprzytomną. Strasznie pijaną. Rozbiła sobie głowę i złamała rękę. Był tam też jej syn. Sprawdziłam, że w jego metryce jest adnotacja „ojciec nieznany”. Ale ja mam swoje podejrzenia co do tożsamości jego biologicznego ojca - zaimprovizowała pośpiesznie, a jednak całkowicie zgodnie z prawdą.

Jonny wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Opadł na krzesło dla gości.

- Kto to jest? - zagadnął.

- Nie chcę nic mówić, dopóki nie sprawdzę... pewnych rzeczy.

Irenę wzięła ze stołu dużą białą kopertę i pomachała nią.

- Nadeszła w porannej poczcie. Wewnątrz jest inna koperta, prawdopodobnie z wieloma odciskami palców nadawcy. A w szufladzie mojego biurka leży w plastikowej teczce wizytówka człowieka, który, jak podejrzewam, jest ojcem syna Anniki. Na wizytówce są jego odciski palców, bo nie miał rękawiczek, kiedy mi ją wręczał. Zastanawiam się, czy iść dalej tym tropem, czy dać sobie spokój. Dla śledztwa jest to pewnie bez znaczenia. Ale, jak mówią, nigdy nie wiadomo.

Jonny przyjrzał się jej uważnie.

- Ty jednak sądzisz, że tam leży coś, co śmierdzi.

- Nie wiem. Być może daje po prostu o sobie znać mój niedobry zwyczaj wtykania nosa w nie swoje sprawy.

Irenę nie zdołała powstrzymać nuty goryczy.

Jonny uniósł brwi. Ton, jakim Irenę mówiła, nie uszedł jego uwagi. Przechylił się nieznacznie ponad biurkiem i stwierdził dobitnie:

- Dobry oficer śledczy może łatwo popaść w chorobliwą ciekawość. Ty zresztą jesteś znana z tego, że zawsze wściubiasz gdzieś nos!

Jonny wstał, uśmiechnął się i wypadł za drzwi. Irenę patrzyła na zamknięte drzwi ze zdumieniem w oczach. Stał się cud. Jonny Blom uratował jej dzień.

- Według pani Stridner, powierzchownie w miejscach odcinania świadczą o tym, że do usunięcia palców Thomasa Bonettiego użyto obcęgow. Określa je wręcz jako „obciążki do cięcia drutu”. Jakim cudem przez badanie powierzchni w miejscach odcinania potrafi ona odróżnić takie obciążki od zwyczajnych obcęgow? - zapytał sarkastycznym tonem Andersson.

- Skoro profesor pisze o obciążkach do cięcia drutu, to idę o zakład, że tak było - powiedziała Birgitta.

- Ja też - poparła ją Irenę.

Komisarz udał, że nie słyszał ich słów. Wolał się skupić na wstępnym raporcie z sekcji zwłok.

- Zobaczmy... wzrost... użębienie... grupa krwi... odzież są takie, jak u Bonettiego. Przyczyna zgonu... przestrzelenie prawej kości skroniowej. Píše os temporak, a wyjaśnienie: „kość skroniowa” podaje w nawiasach. Trzeba jej za to dziękować. Dwa strzały. Kaliber dwadzieścia pięć. To nas raczej nie zaskakuje. Potwierdza nasze podejrzenia, że ten sam diabeł zamordował przed kilkoma tygodniami tamtych trzech facetów. O tym, że zwłoki przeleżały trzy lata, wiemy już i jest to zgodne z ustaleniem dokonany przez panią Stridner. Trochę wcześniej zadzwoniłem do techników, którzy na moje pytanie o to odpowiedzieli, że nie znaleźli okularów Bonettiego.

- Czy coś się wam nasunęło? Wypowiadajcie się swobodnie.

Komisarz odchylił się na oparcie krzesła i zachęcił wzrokiem swoich inspektorów. Zerknął także na Kajse, ale zaraz odwrócił od niej wzrok. Wyglądała niezbyt pięknie. Ale Andersson podziwiał ją za odwagę. Większość kobiet nie zechciałaby się pokazywać, wyglądając tak jak ona.

- Najbardziej dziwi mnie to, że morderca umieścił zwłoki w najwyższym miejscu tamtej wysepki. Niełatwo tam dotrzeć. Dlaczego nie wrzucił trupa do wody? Tak byłoby o wiele prościej - stwierdził Tommy.

- Zwłaszcza że Thomas nie był wcale lekki - wtrąciła Irenę.

- Przy dosyć niskim wzroście, metr sześćdziesiąt sześć, ważył ze sto kilo. Do przeniesienia go potrzeba było co najmniej dwóch ludzi - powiedziała Birgitta.

- Czy na ciele albo ubraniu znaleziono jakieś ślady uszkodzeń, które mogłyby wskazywać na to, że wciągano go z boczem na szczyt wzniesienia? Na przykład za pomocą liny dookoła kostek albo czegoś takiego? - zaciekał się Fredrik.

Andersson pokręcił głową.

Irenę przypominała sobie własny wysiłek na pierwszym odcinku drogi znad zatoki. Tamci musieli szukać oparcia dla nóg w poprzecznych wyżłobieniach i chwycić się palcami wszelkich wypukłości tej góry. Istniało tylko jedno przekonujące wyjaśnienie.

- Ponieważ sama wspinałam się tym klifem na szczyt, przypuszczam, że Thomas Bonetti też wspinał się samodzielnie, innej możliwości nie ma.

- Samodzielnie? Dlaczego miałyby to robić? - zainteresował się Jonny.

- Dlatego że ktoś mierzył do niego z pistoletu. Dlatego że ktoś groził mu torturami albo torturował go wcześniej. Dlatego że bał się o swoje życie.

- I słusznie - stwierdziła półgłosem Birgitta.

Wśród milczenia, które zapadło, wszyscy obecni rozważali scenariusz zarysowany przez Irenę: gruby Thomas, straszliwie przerażony, dociera na szczyt, do kamieni granicznych, po to tylko, by w tamtych wrzesniowych ciemnościach ktoś go zabił z zimną krwią. Okropna scena.

- Jak się orientowali po ciemku w czasie wspinaczki? Czy pomogła latarka? - zapytał Fredrik i od razu sam sobie odpowiedział.

- Prawdopodobnie. Być może przydała się lampa umieszczona nad oczami. Zresztą wystarczy jedna ręka, żeby się wspiąć. Tak było w moim przypadku. Co prawda za dnia - dodała Irenę.

- Było to jednak trudne. I dlatego myślę, że palce zostały odcięte, kiedy Thomas zginął - odezwał się Tommy.

Nie słysząc reakcji, poszedł dalej tym tropem:

- Dlaczego morderca odciął palce Thomasa? Albo przynajmniej cztery z nich?

- Jako trofeum - stwierdził z przekonaniem Jonny. Irenę i Jonny porozumieli się szybko wzrokiem ponad

szerokim stołem konferencyjnym. Oboje zachowali w pamięci trofea nagromadzone przez seryjnego mordercę, którego razem kiedyś tropili. I oboje starali się wyprzeć to wspomnienie.

- Bardzo możliwe. Masz na myśli mordercę sprzed kilku lat, który ćwiartował zwłoki - powiedział Tommy.

- Typowe zachowanie seryjnego mordercy - zgodził się Jonny.

- Tamten był nim zapewne. Ale nie wiadomo, czy nasz obecny sprawca jest typowym seryjnym mordercą. Owszem, zamordował kilka osób, tyle że jakoś ze sobą związanych. U żadnej z trzech ostatnich ofiar nie doszło do amputacji czegokolwiek ani do zbezczeszczenia zwłok. Tylko w przypadku Thomasa Bonettiego. Jaki jest powód?

- Myślę, że to potrzeba trofeów. Zachowanie pamiątki z morderstwa. I chęć okazania władzy nad ofiarą - obstawał przy swoim Jonny.

Musiał się nacytać o seryjnych mordercach po pierwszym spotkaniu z kimś takim. Jeśli wierzyć statystykom,

był to zarazem najprawdopodobniej jedyny seryjny morderca, z którym mógł się zetknąć w swej służbie oficera śledczego.

- Gdyby tak było, to amputowałyby pewno jakąś część ciała każdej z trzech ostatnich ofiar. Tommy też się nie poddawał, lecz uparcie pozostawał przy swoim poglądzie.

- Jeśli to w ogóle ten sam morderca. Thomas mógł paść ofiarą jakiegoś jednego mordercy, a tamci trzej mogli zginąć z rąk innego - wtrącił sceptycznie komisarz.

- Wątpliwe. Proszę nie zapominać o niezwykłym kalibrze kul - zaprotestowała Birgitta. Andersson zerknął na nią niezyczliwie, ale swojej tezy już nie bronił. Sam przecież zwrócił wcześniej uwagę na to, że prawdopodobnie sprawcą był ten sam morderca, właśnie ze względu na kaliber broni. Teraz głośno odchrząknął i stwierdził:

- Wciąż nie wiadomo, dlaczego zastrzelono go przy tamtym kamieniu granicznym.

- Morderca nie chciał, aby zwłoki zostały znalezione. To musiało być ważne. Ale wciąż się dziwię, dlaczego morderca po prostu nie utopił ciała w morzu - powiedział Tommy.

„Utopił”. Irenę zrozumiała nagle, że za tym słowem kryje się rozwiązanie.

- Morderca nie utopił go w morzu z tego powodu, że nie miał niczego, co by pozwoliło go utopić! - stwierdziła z przekonaniem.

- Znowu zaczyna - westchnął Jonny i skierował wzrok ku niebu.

Irenę zignorowała ten wygłup. Postanowiła natomiast nadać swoim dalszym słowom możliwie pedagogiczny wydźwięk.

- Bez obciążenia nie można ciała utopić. W takim przypadku ciało bardzo szybko wypływa na powierzchnię. A tego

nasz morderca bynajmniej nie chciał. Moim zdaniem, w tym kryje się wyjaśnienie trudu, jaki sobie zadał, wlokąc ciało do kamieni granicznych na wyspie Branteskar.

- To brzmi wiarygodnie - przyznał Andersson.

- Palce - przypomniał Tommy.

- Tak, palce! Na cóż mu jeszcze cztery palce? - zapytał, zachęcając do refleksji, Andersson.

- Trofea - powtórzył Jonny, który nie rezygnował ze swego zdania.

- Jeśli palce zostały odcięte, zanim doszło do morderstwa, to w grę wchodziło torturowanie - stwierdziła Birgitta.

Jonny westchnął.

- Dlaczego ktoś miałby torturować tego małego, spasionego rekina finansjery? - zapytał zjadliwym tonem.

- Właśnie. Dlatego że był spasionym, małym rekinem finansjery.

Wszyscy spojrzeli na Kajkę, która nagle przerwała milczenie.

- Co masz na myśli? - spytał komisarz. Kosztowało go to doprawdy sporo wysiłku, żeby zapytać

grzecznie, mając przed sobą jej zmieniającą barwy twarz. Gdy uwaga wszystkich obecnych skupiła się na Kajce, jej policzki pokrył różowawy rumieniec, który w interesujący sposób kontrastował z niebieskoliliową otoczką jej lewego oka.

- Był przecież kimś takim. Rekinem finansjery. Ale w Londynie zajmował się działalnością nielegalną i w związku z upadkiem firmy ph.com podejrzewano go o malwersacje. A tortury mogły służyć wydobyciu informacji o umiejscowieniu konta - powiedziała z przekonaniem. Irene pokiwała bezwiednie głową. I stwierdziła:

- Kajsa ma rację. To łączy wszystkie nasze ofiary. Były to rekiny finansjery, ale o niezbyt czystych sumieniach. Być może z wyjątkiem Kjella Bengtssona Cedera. Wszyscy czterej znali się jednak.

- Czy Ceder naprawdę znał Rothstaahla i Bergmana? I czy znał też Bonettiego? - zapytał Andersson.

- Nie. Ale Sanna go znała - odparła Irene. Komisarz ożywił się. Uniósł się na swoim krześle i wbił

wzrok w Tommy'ego.

- Czy przesłuchałeś ją jeszcze raz?

- Nie. Ona była wręcz załamana, kiedy zginęli Ceder i Bergman. Moim zdaniem, obeszła ją zwłaszcza śmierć tego ostatniego.

- A teraz przyciśniesz ją do muru! - polecił komisarz.

Aby podkreślić znaczenie swoich słów, Andersson wpatrzył się znów w Tommy'ego.

- Irene i Tommy zajmą się od nowa uroczą panią Ceder i będą dalej szukać punktów stycznych między tamtymi czterema ofiarami. Birgitta i Kajsa, wy sprawdzajcie dalej ich finanse, a być może wykryjecie coś dziwnego, co przeoczyliśmy. Zbadajcie, czy zarzuty wobec Bonettiego po krachu firmy ph.com miały jakieś podstawy. Nie zaszkodzi porozmawiać z szefem albo kimś innym z wydziału gospodarczego. Zresztą ci, którzy ścigają takie przestępstwa, angażują w to wszelkie służby. Być może i w tym przypadku tak już postąpili. Niech Jonny i Fredrik sprawdzą, czym właściwie zajmowali się tamci dwaj faceci, Bergman i Rothstaahl. Skoro przyjechali do Szwecji, żeby spotkać się u Rothstaahla, można podejrzewać, że coś było tutaj nagrane. Porozmawiajcie jeszcze raz z ich rodzicami. Mam przecucie, że próbują ukryć coś, co mogłoby postawić ich synów w złym świetle.

- Wypatrujcie komputerów i dyskietek. Tacy faceci nie trzymają niczego w segregatorach.

Wszystko jest w komputerach! - spuentowała swoją radę Birgitta.

Andersson wspominał wcześniej o czymś, nad czym Irene zastanawiała się niejeden raz.

Dlaczego Philip i Joachim musieli się spotkać w Göteborgu, skoro mieszkali w Paryżu? Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Irene przedstawiła je:

- W Göteborgu zamierzali się spotkać nie ze sobą, lecz z kimś innym. Z kimś, kto nie mógł albo nie chciał pojechać do Paryża.

Elsy, matka Sanny Kaegler-Ceder poinformowała, że z córką nie będzie można rozmawiać. Lekarz przepisał jej silne środki uspokajające i mocno zasnęła.

- Nie należy jej przeszkadzać ani też denerwować - dodała ostrym tonem.

- Proszę poprosić Sannę, żeby jutro rano, o dziewiątej, stawiała się w komendzie. I niech zapyta o mnie - polecił Tommy.

Kiedy odłożył słuchawkę, zerknął na zegarek.

- Prawie wpół do piątej. Wyjdę chyba dzisiaj trochę wcześniej. Mam co robić w domu, czuję zresztą, że się przeziębilem. Boli mnie gardło. Zobaczymy się jutro.

Wyszedł, zanim Irenę zdążyła zareagować.

- Cześć - - powiedziała do zamkniętych drzwi.

Tamtego popołudnia Tommy przez cały czas unikał sytuacji, w których musiałby trochę dłużej być sam na sam z Irenę. A Kajsa pracowała pilnie razem z Birgittą o kilka pokoiów dalej.

Irenę była już skłonna zniknąć i zrealizować swój wcześniejszy pomysł, żeby paść na łóżko i schować nawet głowę pod kołdrą.

I wtedy zadzwonił telefon.

- Kłaniam się! Mówi Svante. Udało mi się sprawdzić tę twoją kopertę i wizytówkę. Już po kilku minutach było wiadomo, że na obu są te same odciski palców. Kilka kompletów tych odcisków. Sto procent pewności.

Irenę podziękowała technikowi i powoli odłożyła słuchawkę. Czy iść dalej tym tropem? Tak czy inaczej, zamierzała dokładniej wy badać państwa Bonettich. Ostatnio małżonka adwokata nie doszła do głosu. Irenę podjęła decyzję i znów sięgnęła po telefon.

- Dzień dobry. To znowu ja, inspektor Irenę Huss. Chciałabym dokończyć naszą rozmowę. Czy możemy się spotkać jutro po południu?

Rozdział 16

Świeżość wyglądu Sanny Kaegler-Ceder zniknęła prawie zupełnie. Zmęczenie pozostawiło po sobie głębokie bruzdy wokół ust i wyraźne cienie pod oczami. Otaczała ją aura rezygnacji, której nie wyczuwało się wcześniej. Irenę żal było Sanny. Zbyt wiele bliskich jej ludzi stało się ofiarami morderstw. Thomas Bonetti nie mógł wprowadzić uchodzić za kogoś bliskiego, zważywszy na ich stosunki w ostatnich czasach, póki jeszcze istniała firma ph.com i później, ale Sanna na pewno dobrze go znała.

Pozory elegancji starała się zachować przez czarny skórzany kostium i białą bluzkę z szerokim kołnierzem oraz głębokim dekoltem. Cenny krzyż wisiał na swoim miejscu, podobnie jak pierścionek pozostawał na swoim. Sanna poruszała się swobodnie w czarnych butach na wysokich szpilkach. Irenę nigdy nie potrafiła utrzymać równowagi w takim obuwie. Pocieszała się tym, że przy wzroście metr osiemdziesiąt bez butów tego rodzaju obuwie jest niepotrzebne.

- Dla mnie to zbyt wczesna pora. Wciąż muszę łykać silne środki nasenne i przed południem jestem straszliwie zmęczona - oznajmiła Sanna bez ogródek.

Jakby na potwierdzenie, że mówi prawdę, głośno sapnęła, kiedy opadała na krzesło.

Tommy skinął głową i z życzliwym uśmiechem powiedział:

- Domyślałem się tego. Biorąc to pod uwagę, wyznaczyłem godzinę dziewiątą. Zwykle zaczynamy o wpół do ósmej.

Sanna popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale nie zdołała ustalić, czy powiedział prawdę. Tommy skłamał, ale Irenę nie zamierzała tego wyjawiać Sannie.

Tommy poszperał w dokumentach, które leżały przed nim na stole. Wertował je, jakby czegoś szukał. W końcu dał sobie z tym spokój. Szybko uniósł wzrok i zdołał wychwycić spojrzenie Sanny.

- Porozmawiamy dziś o Philipie Bergmanie - zapowiedział zwięźle.

Sanna przestała wodzić oczami. Jej twarz była bez wyrazu.

- Znalście się z Philipem ze szkoły. Byliście bardzo zaprzyjaźnieni, a jak twierdzą niektórzy, nie tylko zaprzyjaźnieni. Co was łączyło?

Odpowiedź padła po paru sekundach zastanowienia.

- On był moim najlepszym przyjacielem - odparła nieco drżącym głosem.

Irenę nie mogła się powstrzymać i zerknęła na Tommy'ego, ale on nie odwzajemnił spojrzenia.

- Nigdy nie byliście razem? Jako para?

- Nie. Łączyło nas wszystko oprócz łóżka.

W głosie Sanny wyraźnie słychać było nutkę goryczy, wcale nie skrywanej.

- Czy wiedziałaś o jego orientacji homoseksualnej? Sanna znowu odpowiedziała nie od razu.

- Tak. Ale... wiem o tym dopiero od dwóch lat. Któregoś wieczoru Philip wspomniał, że zamierza razem z Joachimem zamieszkać w Paryżu.

- Jak zareagowałaś na tę wiadomość?

- Chyba jednak... był to dla mnie szok.

- Czy coś podejrzewałaś?

- Nie. Nigdy! On dbał o wygląd i często chodził na treningi, ale tak zachowuje się przecież mnóstwo facetów. I zawsze otaczał się bardzo młodymi laskami. Często były to, ku mojemu zdziwieniu, nastolatki. Tak inteligentny i rozsądny facet podrywał smarkule. Pewnego razu usłyszałam od niego, że wolałby się uchronić przed głupim gadaniem. Nie zrozumiałam go... póki nie wyznał prawdy.

- Czy sama byłaś choć trochę zakochana w Philipie?

Sanna drgnęła i z przerażeniem w oczach popatrzyła na Tommy'ego. Widocznie takiego pytania się nie spodziewała.

- Ja... nie... tak. Chyba w liceum. Ale krótko. Właściwie byłam trochę zawiedziona, bo wszyscy inni faceci uganiaли się za mną, a on nie okazywał zainteresowania. Mimo że dziewczyny za nim szalały. Z jedną chodził trochę. A później nie zadawał się z nikim. Aż w końcu zamieszkał z Joachimem. Żaden z nich zresztą nie ujawniał tego publicznie. Myślę, że Philip zwierzył się tylko mnie. I raczej bezwiednie. Kiedy o tym mówił, był bardzo pijany.

- Czy, według twojej wiedzy, któryś z nich wyjawiał to swoim rodzicom?

- Nie sędzę - odparła Sanna i zdecydowanym gestem pokręciła głową.

Irenę była tego samego zdania. Poza tym nic nie pozwalało się domyślać orientacji seksualnej Philipa i Joachima; ona sama i Kajsa przekonały się o niej dopiero w czasie wizyty w ich wspólnym paryskim mieszkaniu.

- Czy wiedziałaś, jakie interesy prowadzili w Paryżu?

- Od dwóch lat nie było między nami stałych kontaktów. Zanikły one prawie zupełnie, kiedy... Philip opowiedział... o swoim związku z Joachimem. Od czasu jego wyjazdu do Paryża rozmawialiśmy tylko telefonicznie i czasami wymienialiśmy maile. Otrzymałam od niego piękny prezent ślubny i kartę z gratulacjami, kiedy urodził się Ludwig.

- Jeden gest zmienił najlepszych przyjaciół w niezbyt bliskich sobie znajomych, tak można by to określić - stwierdził Tommy.

- Tak. Już mówiłam, że wszystko się zmieniło, kiedy Philip opowiedział mi o sobie i Joachimie.

- Czy to ty nie chciałaś podtrzymywać kontaktów, czy raczej on?

Sanna chciała chyba dobrze się zastanowić nad odpowiedzią.

- Myślę, że mniej czy bardziej oboje. Ale raczej on. Joachim zastąpił mnie jako najlepszy przyjaciel i powiernik.

W jej słowach znów pobrzmiwała gorycz.

- Czy dlatego wyszłaś za Kjella Bengtssona Cedera?

- Nie. Właśnie wtedy odezwał się mój zegar biologiczny. Chciałam urodzić. Kjell, już niemłody, też pragnął potomka. Polubiliśmy się, więc... uznaliśmy, że trzeba się pobrać.

Irenę zdołała zapanować nad sobą. Dała szansę Tommy'emu. Ten skorzystał z niej.

- Kto jest ojcem Ludwiga? - zapytał spokojnie. Sanna zbladła tak, iż jej wargi stały się niewidoczne na

już wcześniej bezbarwnym tle twarzy. Irenę była prawie gotowa wesprzeć Sannę, gdyby ta znów zemdląca.

- Co... co masz na myśli? Oczywiście Kjell! - odpowiedziała niepewnie.

- Czy wiedziałaś o wazektomii, której Kjell poddał się pięć albo sześć lat temu? Wycięto mu nasieniowody i nie mógł mieć dzieci.

- Co takiego...? Poddał się...

Sanna siedziała nadal, teraz oniemiała, i tylko wpatrywała się w Tommy'ego, który spokojnie wytrzymywał jej wzrok. Nagle ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Irenę podeszła do niej z paczką chusteczek jednorazowych, które Sanna przyjęła z wdzięcznością. Wytarła nos i usunęła ślady łez z czerwonych od płaczu oczu.

- Kjell nigdy nie wspomniał o tym, że nie mógł mieć dzieci. Zanim doszło do ślubu, pozostawaliśmy przez rok w niezobowiązującym partnerstwie. Spotykaliśmy się, kiedy mieliśmy na to ochotę. Pozwalaliśmy sobie na to i owo. Ale byli też inni mężczyźni w moim życiu. Kiedy bawiłam się w Nowym Jorku, poznałam faceta, który miał na imię Mark. Spędziłam z nim dwie doby w jednym z hoteli. Nie zabrałam wtedy pigułek, ale liczyłam, że nic się nie stanie. I chyba wtedy zaszłam w ciążę. To był najlepszy seks, jaki mi się w życiu zdarzył! Ale, prawdę mówiąc, znam tylko imię mojego partnera, nic więcej o nim nie wiem. Ponieważ był żonaty, ustaliliśmy od razu, że skończy się na tym jednym spotkaniu w Nowym Jorku - powiedziała płaczącym głosem Sanna.

- Nigdy się nie odezwał.

- Ależ nie. Mojego adresu mu nie podałam. Nazwiska też nie. Dla siebie byliśmy po prostu Markiem i Sanną.

Na twarzy Sanny malował się niemalże wyraz triumfu, kiedy prowokowała udawaną irytacją. Tommy kiwał tylko głową i nie zdradzał mimiką swojej reakcji na wiadomość o ojcu Ludwiga.

- A Kjell się oświadczył - stwierdził po prostu.

- Tak. Owszem, powiedziałam mu, że to jego dziecko. Ogromnie się ucieszył i nie wspomniał o swojej operacji... Czy to w ogóle prawda? Mam nadzieję, że nie usłyszałam kłamstwa, które byłoby potrzebne, żebym zaczęła mówić - w głosie Sanny słychać teraz było nutę podejrzliwości.

- Nie. Wazektomię stwierdzono w prosektorium.

- W prosek... o Boże! Kjell powiedział mi kiedyś, że zoperowano mu niegroźną przepuklinę. Być może chodzi tu o tę właśnie operację. Przeprowadzono ją na kilka lat przed naszym ślubem. To mogłoby się zgadzać.

Wtedy Tommy porozumiał się szybko wzrokiem z Irenę, która przypomniała sobie nagle o jego operacji przepukliny sprzed kilku lat. Czy u Tommy'ego także jednocześnie przeprowadzono zabieg wazektomii? Było to właściwie bardzo prawdopodobne. Zresztą Kajsa zareagowała nadzwyczaj gwałtownie, gdy Tommy parę tygodni wcześniej napomknął o tamtym niewielkim zabiegu. Czyżby liczyła już na to, że będą parą i założą nową rodzinę? Kajsa nie miała dzieci. Jej zegar biologiczny mógł się też odezwać, była przecież kobietą trzydziestoletnią. Ale właściwie... jak daleko zaszli z Tommym?

Irenę zorientowała się nagle, że przez swoje zamyślenie straciła wątek rozmowy między Tommym i Sanną.

- ...i ja, i Philip, niejedną raz. Tamten nie robił tego, co do niego należało. A nam nie było łatwo go przyłapać. Właśnie on miał ekonomiczne wykształcenie i on odpowiadał za ekonomiczną stronę działalności firmy.

- W jaki sposób wyprowadzał z niej pieniądze?

- Według rewidentów, służyły temu fałszywe faktury i różne transakcje dzięki nim dokonywane, a dochód trafiał na jego własne konto. Z tego rachunku przenosił go do pewnego banku w Luksemburgu, skąd już po kilku dniach były przelewy na Kajmany. I wtedy znikają. Klasyczne ograbianie spółki, nic innego!

- Jakie sumy wchodziły w grę?

- Chyba aż piętnaście czy szesnaście milionów koron. Posiadał konto, na którym miał pieniądze jeszcze z Pundfixu. Kiedyś sam przyznał się do pięciu milionów na tym koncju. Miał oprócz tego osobisty kapitał dzięki pobranym pożyczkom oraz dietom służbowym ze spółki. Według policji, na tym koncju było prawie pięć milionów. Jeśli wszystko się zgadza, to posiadał około dwudziestu pięciu milionów, kiedy zniknął.

Sanna mówiła teraz lodowatym tonem, hamując gniew. Co więcej, nagle okazała się skora do poinformowania oficerów śledczych o ciemnych sprawkach Bonettiego.

Irenę zwróciła uwagę na to, że w miarę postępów śledztwa niezwykle szybko zwiększała się suma, o którą chodziło. Teraz było wiadomo, że Thomas nie tylko zniknął z pieniędzmi, ale też został zamordowany. Gdzie się podziały te wszystkie pieniądze?

- Jak w ciągu jednego roku udało mu się wydobyć tak wielkie sumy ze spółki? Prawie pięć milionów to całkiem dobry zarobek...

- Jak mówiłam, na te pieniądze składało się wiele diet. Wszyscy troje jeździliśmy bez przerwy po świecie. To było naprawdę uciążliwe! Poza tym firma ph.com płaciła za wynajem jego londyńskiego mieszkania.

- Czy spółka nie opłacała tego wszystkim trojgu?

Sanna rzuciła okiem na Tommy'ego, wzruszyła ramionami i w odpowiedzi wymamrotała coś, czego policjanci nie zrozumieli.

- Przepraszam, nie usłyszałem - odezwał się Tommy uprzejmym, choć nieustępliwym tonem.

- Powiedziała, że naprawdę na to zasługiwaliśmy. Harowaliśmy jak woły! Na okrągło! Wy nie rozumiecie pewnie...

Tommy mierzył ją przez dłuższą chwilę lodowatym wzrokiem, po czym rzekł:

- Nie. Nie rozumiemy. To bez wątpienia nie lada wyczyn: zgromadzić ponad miliard koron i w ciągu roku cały ten kapitał zmarnować.

- To nie była nasza wina!

- A czyja?

- Nie jestem ekonomistką ani analityczką giełdy. Znam się na projektowaniu wnętrza i na marketingu.

Sanna zerknęła na Tommy'ego wzrokiem pełnym chłodu. Po gorliwości w udzielaniu informacji nie było śladu.

- Jakie wykształcenie miał Philip?

- Był prawnikiem.

Skłamała bez wahania, jej głos nawet nie drgnął. Irenę i Tommy wiedzieli, że Sanna i Philip nie ukończyli żadnych

studiów. Dlatego Sanna pozwoliła sobie na kłamstwo, które było tak łatwo wykryć?

Widocznie postanowiła zlekceważyć oficerów śledczych, a prócz tego zaimponować im rzekomym wyższym wykształceniem.

Tommy pokiwał tylko głową i poszukał czegoś w swoich papierach. Irenę wiedziała, że nastąpi zmiana tonu.

- Czy dobrze znałaś Joachima Rothstaahla? - zapytał.
- Joachima? Prawie wcale go nie znałam. Zdziwienie Sanny zabrzmiało szczerze.
- Jak się poznaliście?
- Na pewnym przyjęciu w Londynie. Thomas przedstawił go mnie i Philipowi. Wtedy widzieliśmy się po raz pierwszy. A wcześniej znaliśmy jego krewnych. Odkupili firmę odzieżową, którą my rozkręciliśmy.
- Ale Joachima wcześniej nie spotkałaś?
- Nie.
- I później też nie?
- Nie. Raczej nie.
- Ale Philip i Joachim mieli pewnie ze sobą do czynienia po tamtym pierwszym spotkaniu w Londynie?
- Tak. Zapewne.
- I ty o tym nie wiedziałaś?
- Nie. I Philip, i ja mieliśmy wielu przyjaciół, z którymi ani on, ani ja nie utrzymywaliśmy kontaktu.

Sanna dotknęła swego czoła i teatralnym głosem oświadczyła:

- To musi wystarczyć! Mam dość! Jestem chora i lekarz to potwierdził. Ostatnie dni były dla mnie straszne. Nie mam już siły mówić.
- Ostatnie pytanie: gdzie byłaś w poniedziałek wieczorem między siódmą a ósmą? Chodzi o ten wieczór, kiedy zginęli Philip i Joachim.

Sanna wpatrzyła się w Tommy ego. Wyraz jej oczu nie świadczył już o zmęczeniu. W głębi tych pięknych niebieskich oczu czaił się strach.

- W domu. Byłam w domu z Ludwigiem.
- W Askim?
- Tak.
- Bez towarzystwa?
- Tak.

Irenę spróbowała wyobrazić sobie scenę, w której Sanna wyskakuje z garderoby i czterema celnymi strzałami zabija Philipa i Joachima. Gdyby udało się jakoś podważyć jej alibi w przypadku morderstwa, którego ofiarą padł Kjell Bengtsson Ceder, to użycie broni właśnie przez Sannę nie zdziwiłoby wcale. Natomiast jako morderczynię Thomasa Bonettiego trudno ją sobie było wyobrazić. Dla niej było to fizyczną niemożliwością.

Ale czy na pewno? W trakcie tego przesłuchania Sanna pokazała, że stać ją na wszelkie kłamstwa i na popisy aktorskie. Owszem, wygląda niepozornie, jest wątła, ale wysportowana. Irenę zauważyła to.

Teraz właśnie ona przerwała milczenie i zadała Sannie ostatnie pytanie:

- Czy strzelałaś kiedyś z pistoletu? Sanna pokręciła głową.
- Nie. Nigdy! - odparła dobitnie.

Po raz pierwszy w czasie tego przesłuchania Irenę była przekonana, że Sanna mówi prawdę.

- Ta kobieta strasznie kłamie! - stwierdziła zniesmaczona Irenę, kiedy Sanna odeszła.
- Tak. I nie ma tyle sprytu, ile sama sobie przypisuje. Wręcz przeciwnie, kłamie kiepsko, skoro potrafimy się zorientować, że ona łże - dodał Tommy.

Uderzając długopisem o biurko i zastanawiając się nad czymś, wpatrywał się w Irenę.

- Czy historia poczęcia Ludwiga jest dla ciebie wiarygodna? - zapytał.
- Nie. Kobieta z taką znajomością świata, jaką ma Sanna, nie uprawiałaaby przez dwie doby seksu z całkiem nieznanym jej Amerykaninem, i to bez zabezpieczenia. Nie przy dzisiejszym narażeniu na HIV.
- Nie?
- Ależ nie. To zbyt niebezpieczne. Ale w jej opowieści może się kryć ziarenko prawdy.

- Co konkretnie?

- To, że Ludwig został faktycznie splotzony w Nowym Jorku. Czy przypominasz sobie koszulkę, którą miał na sobie w dniu śmierci Kjella Bengtssona Cedera? Przewinęliśmy i nakarmiliśmy wtedy Ludwiga. Był to jasnoniebieski t-shirt z napisem Made in New York.

- Tak, teraz sobie przypominam - potwierdził Tommy.

- Zastanawiam się, co ona próbuje ukryć tymi swoimi kłamstwami - powiedziała Irene.

- Albo kogo chroni.

- Nie ma alibi na tamten poniedziałkowy wieczór, kiedy zamordowano Philipa i Joachima, ale trudno mi sobie wyobrazić, że to ona mogłaby ich zabić. Wydaje mi się, że wciąż kochała Philipa.

- Właśnie dlatego mogła go uśmiercić. Klasyczny dramat z zazdrością w tle - zasugerował Tommy.

- Nie. Raczej Joachim był ofiarą, a nie Philip. Śmierć Philipa wstrząsnęła nią najbardziej. Moim zdaniem, trzech pozostali nie znaczyli dla niej aż tyle.

- Otóż to! Kjell Bengtsson Ceder był jej chyba całkiem obojętny! Dlaczego za niego wyszła i dlaczego on zechciał się z nią ożenić?

- Być może faktycznie, jak sama powiedziała, zapragnął potomka...

- Wątpliwe. On nie chciał mieć dzieci. Mężczyzna, który poddaje się wazektomii, zostaje dokładnie poinformowany o skutkach i wie, że bardzo trudno przywrócić płodność. To właściwie niemożliwe. Wybrał więc nieposiadanie dzieci po przeprowadzonym zabiegu. Wiem to z własnego doświadczenia.

Irene spojrzała na niego i szybko coś rozważyła. Nadeszła odpowiednia chwila.

- Bardzo przepraszam, że się wmieszałam do tego, co cię łączy z Kajszą. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że powodowała mną troska o małżeństwo Agnety i twoje. I o naszą przyjaźń. To znaczy przyjaźń między Agnetą, Kristerem, tobą i mną. Nigdy bym się nie domyśliła, że jest, jak jest! Dopiero w niedzielę usłyszałam o tym od Agnety. Mogę tylko powiedzieć, że byłoby mi bardzo przykro, gdyby Kajsa miała mi za złe naszą rozmowę w Paryżu.

Tommy westchnął i nieznacznie się uśmiechnął.

- O tym musisz porozmawiać z nią. Zresztą i ja trochę zawiniłem. Powiniennem być wcześniej coś powiedzieć. Ale nie mam ochoty o tym rozmawiać. Jeszcze nie teraz.

- Czy Kajsa... jest jakąś pociechą w tej przykrej sytuacji? Albo jeszcze kim innym? - ostrożnie zapytała Irene.

- Hm. Na razie jest nikim. Po prostu przemiłą babką, która chyba się we mnie zadurzyła. To mi pochlebia. Potrzebuję tego. Zdarzyło nam się jeden raz zjeść lunch we dwoje. Potem przytuliłem ją i pocałowałem. I tyle. Zadowolona?

Irene zrozumiała ironię ukrytą w tym ostatnim słowie. Znowu poczuła, że spłonęła rumieńcem aż po uszy.

- Nie chciałam być wścibska...

- Czyżby? To byłoby niepodobne do ciebie - powiedział uszczypliwie Tommy.

Mocno ją uraził. Irene nie posiadała się ze zdumienia, że zyskała sobie opinię osoby wtykającej nos w sprawy, które nie powinny jej obchodzić! Ale nagle przyszło jej na myśl powiedzenie Jonny'ego, że „dobry oficer śledczy zawsze wtyka gdzieś nos”. To ją pocieszyło i dodało otuchy. Była dobrym oficerem śledczym. Jej czujniki od razu zasygnalizowały, że coś się psuje między Tommym i Agnetą. Ale wyciągnęła pochopne i mylne wnioski, a to z powodu zbyt małej liczby znanych faktów. Inaczej mówiąc, powstała dokładnie taka sama sytuacja, jak na początku prawie każdego śledztwa.

Popołudniowy ruch w kierunku Langedrag zdążył się nasilić. Irene włączyła się w ten ruch, nie skupiając myśli na niczym konkretnym. Mariannę Bonetti zaprosiła ją znowu do swojej willi. Prawdopodobnie bardzo niechętnie ją opuszczała. Irene miała nadzieję, że nie zastanie

małżonka pani Mariannę. Kiedy się umawiały telefonicznie, nie mogła o to zapytać. Gdyby zadała takie pytanie, adwokat byłby u boku żony w chwili wejścia Irene do domu. To było pewne „jak amen w pacierzu” - jak mawiała matka Irene.

Sama Irene miała teraz wyrzuty sumienia. Od dawna nie rozmawiała ze swoją matką. Było przecież tyle zajęć w związku ze śledztwem. A podróż do Paryża trwała o jeden dzień dłużej. Zresztą w poprzednim tygodniu matka i jej przyjaciel, Sture, wybrali się jako emeryci w dotowaną podróż do Lubeki. Bez troski żywot emeryta był pełen absorbujących rzeczy. Co więcej, Sture zdołał namówić matkę Irene do zapewnienia sobie na lato zielonej karty w klubie golfowym. W samym środku sezonu ogórkowego, pod koniec lipca, poświęcono temu krótki tekst na łamach „GP” zatytułowany: „Gerd otrzymuje zieloną kartę w wieku 75 lat!”. Notatce towarzyszyło zdjęcie matki, z wyzywającą miną pochylonej nad torbą z kijem golfowym, którą pożyczyła od kogoś. Irene wycięła ten krótki tekst i umieściła go za pomocą magnesu na drzwiach lodówki. Kilka dni później pojechali obie do Saffle, na pogrzeb teścia Irene.

Saffle, no właśnie... Krister skorzystał z wolnego poniedziałku, żeby sprowadzić stamtąd volvo. Samochód prezentował się, o dziwo, bardzo dobrze, ale na wszelki wypadek trafił na przegląd do warsztatu, którego właścicielem był znajomy Kristera. Należało sprawdzić hamulce i to i owo poprawić. Właściciel warsztatu obiecał, że samochód będzie potem jak nowy. Irene myślała z bólem serca o bliskiej sprzedaży starego saaba. Był to wierny sługa. Ale nawet wierny sługa nie może pracować wiecznie.

W ostatniej sekundzie zdążyła wyhamować i uniknąć kolizji z samochodem, który jechał przed nią. Trochę dalej jakiś mały chłopiec wybiegł na ulicę. Cudem nie doszło do karambolu i chłopczykowi też nic się nie stało. A brakowało niewiele. Irene poczuła przyspieszone tętno i zmusiła się do skupienia na jeździe. Nie była to dobra pora na relaks. A równocześnie zdała sobie sprawę z tego, że rzadko udawało jej się zrelaksować. Naprawdę zbyt rzadko.

Irene ucieszyła się tym, że zastała Mariannę Bonetti w domu bez małżonka. Pani Bonetti miała wciąż oczy czerwone od płaczu, co przekonało Irene o jej prawdziwej żalobie, mimo że syn - ze zrozumiałych względów - nie dawał od trzech lat znaku życia. Pani Bonetti nie minęła się z prawdą, gdy w czasie poprzedniej wizyty Irene u nich wspomniała o potwierdzeniu się najgorszych przypuszczeń ich obojga. A zarazem na pewno łatwiej było uporać się z bolesną sytuacją, mając już pewność, że syn nie żyje. Choć świadomość takiej właśnie jego śmierci raczej nie ułatwiała znoszenia żaloby. Prócz tego rodzice nie wiedzieli nadal, że zwłoki zostały pozbawione czterech palców. Irene była zdania, iż należałoby wreszcie ich o tym poinformować. Ten makabryczny szczegół mógł się przedostać do prasy i sprawić, że informator sporo by zarobił i sprzedano by więcej egzemplarzy gazety. Irene nie miała złudzeń: taki przeciek był nieunikniony. Byłoby znacznie lepiej, gdyby rodzice zostali przygotowani na pojawienie się tej wiadomości, ale Irene nie chciała o tym mówić tylko matce. Ujawnienie tego szczegółu musiało poczekać do takiego momentu, kiedy byłby przy niej mąż.

Ciemnoniebieską garsonkę zastąpiła inna, w kolorze brunatnym, ale poza tym Mariannę Bonetti wyglądała tak samo, jak w czasie pierwszej wizyty Irene.

Nie inaczej niż poprzednio, Irene została wprowadzona do salonu. Na stoliku przy sofie stała niewielka taca z nakryciami dla dwóch osób. Filiżanki na herbatę były z delikatnej chińskiej porcelany, a dzbanek i cukierniczka ze srebra. Ciemny keks czekoladowy na kryształowej paterze został pokrojony na grube porcje, kusił zapachem świeżo upieczonego ciasta.

- Zapomniałam o mleku! - zreflektowała się Marianna Bonetti i klasnęła w dłonie, przy czym rozbłysły wszystkie jej brylanty.

- Ja dziękuję za mleko - powiedziała Irene.

- Tym lepiej. Ja go też nie używam, bo mam uczulenie.

Pani Bonetti rozstawiła filiżanki i patere. Posapując, nachyliła się i wlała herbatę do filiżanki Irenę. Pogawędziły trochę o rzeczach obojętnych i w tym czasie Irenę delectowała się ciastem. Zrozumiała, że Mariannę Bonetti odczuwała potrzebę swobodnej rozmowy i potraktowania tej wizyty jako zwyczajnego popołudniowego spotkania przyjaciółek. W poprzednich latach pracy śledczej zdarzało się Irenę zetknąć z taką samą postawą: ona, przedstawicielka policji, była przyjmowana jak osoba zaproszona towarzysko. Tak odnosiły się do niej przeważnie starsze panie. Podobne zachowanie ze strony pani mecenasowej, kobiety o pełnych smutku oczach, nasunęło Irenę podejrzenie, że poznała oto osobę bardzo samotną.

Gdy Irenę uporą się z dokładką keksu, uznała, że czas już porozmawiać o tym, co ją właściwie sprowadziło do willi. I zaczęła ostrożnie:

- Jak wspominałam, kiedy dzwoniłam do ciebie, są pewne sprawy, które muszę z tobą omówić.

Mariannę skinęła głową poważnie i ze zrozumieniem.

- Próbowemy ustalić chronologię i odtworzyć tamten ostatni dzień, kiedy widziano Thomasa żywym. Przeczytałam wszystkie zeznania świadków, które zostały spisane trzy lata temu. Moim zdaniem, to i owo pozostaje nie całkiem jasne. Poza tym materiały z tamtego śledztwa nie zawierają wszystkiego, co powinny zawierać. Spróbuj przypomnieć sobie dzień wyjazdu Thomasa na Styrśó. Czy tego dnia spotkałaś się z nim osobiście?

- Tak. Gdzieś o wpół do szóstej przyjechał do domu i zabrał stąd trochę jedzenia i kilka butelek wina. Chciał też pożyczyć ode mnie buty z cholewami. Buty Antonia były dla niego za małe.

- Czy właśnie wtedy zapowiedział swój wyjazd na Styrśó?

- Tak. Zapytałam, dlaczego tam jedzie, i usłyszałam, że musi w ciszy i spokoju przemyśleć to i owo. Można go było zrozumieć. Ci okropni ludzie, Sanna Kaegler i Philip Bergman, próbowali całą winę zrzucić na Thomasa! Prawdę mówiąc, właśnie on przestrzegał oboje niejednym razem, że firmie grozi bankructwo. Nie chcieli tego słuchać. Antonio i ja usłyszeliśmy o tych ostrzeżeniach od Thomasa już jesienią. Był naprawdę bardzo zmartwiony.

Irenę nie omieszkała przerwać opowieści pani Bonetti:

- Czy przypominasz sobie jeszcze coś, co Thomas powiedział tamtego dnia?

Jego matka chciała już pokręcić głową, ale zrezygnowała z tego.

- Zapowiedział, że pojedzie do supermarketu na placu Jaegerdorffa, bo kończył się nam zapas whisky. Dokładnie to pamiętam - zapewniła pani Bonetti.

- Jakie wrażenie sprawiał Thomas, kiedy widzieliście się po raz ostatni?

W oczach pani Mariannę pojawiło się więcej wilgoci - była chyba bliska płaczu. Zdjęła okulary i otarła oczy chusteczką.

- On... on był zestresowany. Jak zawsze zresztą. Ciągłe absorbowało go mnóstwo ważnych spraw. Jego telefon komórkowy odzywał się co rusz.

- Czy ktoś dzwonił w tym czasie, kiedy Thomas pakował się przed wyjazdem na Styrśó?

- Taak... raczej tak. Komórka odzywała się, jak mówiłam, bez przerwy. Tak! Teraz sobie przypominam! Jakiś mężczyzna zatelefonował tutaj, na nasz numer, i zapytał o Thomasa.

- W tym czasie, kiedy Thomas się pakował?

- Nie. Krótko po jego odjeździe. Minął kwadrans albo może pół godziny, ale nie więcej.

- Czy pamiętasz, kto to był?

- Niezbyt dobrze... po tylu latach... ale chyba dzwonił ktoś z jakiegoś banku w Anglii. To pamiętam.

Mariannę zdawała się szczerze uradowana tym, że taki fakt pozostał w jej pamięci mimo upływu czasu.

- Czy przypominasz sobie nazwę banku?

- Nie. Wiem tylko, że był to angielski bank.

- Rozumiem, nie tak łatwo zapamiętywać nazwy angielskich banków. Zwłaszcza gdy trzeba się skupiać na mówieniu przez telefon po angielsku.

- To nie było potrzebne. On mówił po szwedzku.

- Ach tak. Pewno podał więc jakieś skandynawskie nazwisko?

Po minie pani Bonetti widać teraz było, że usilnie stara się wydobyć to nazwisko z pamięci. W końcu pokręciła swą czarną fryzurą.

- Nie. On się nie przedstawił. Tego jestem całkiem pewna. Powiedział tylko, że dzwoni w imieniu banku i szuka Thomasa. Chciał wiedzieć, gdzie mógłby go odnaleźć.

- Co mu odpowiedziałas?

- Usłyszałam, że Thomas potrzebuje paru dni urlopu i wyjechał do letniego domku. Podałam mu numer telefonu komórkowego Thomasa.

- Czy ujawniłaś lokalizację domku?

- Ależ nie. Thomas prosił, żebym nikomu nie mówiła, gdzie jest.

Irenę coś tknęło. Wyczuła w tych słowach pewną wskazówkę. Coś się tu nie zgadzało.

- Czy nie zastanawiałaś się nigdy, jak pracownik angielskiego banku uzyskał wasz numer telefonu, tutaj w Göteborgu?

Marianne wyglądała na zaskoczoną.

- Nigdy o tym nie pomyślałam. Ale musiał chyba dostać ten numer od Thomasa.

Dlaczego miałyby podawać numer telefonu rodziców, a nie swej komórki człowiekowi ze światka bankowców, komuś, z kim chciał utrzymać kontakt? Coś się tu nie zgadzało. Irenę postanowiła zostawić to i nie naciskać zbyt mocno pani Bonetti, która okazała się osobą życzliwą i robiła, co mogła, żeby pomóc. O większości ludzi, z którymi prowadzący to śledztwo policjanci mieli do czynienia, nie można było tego powiedzieć.

Irenę zmieniła temat i zapytała:

- Dlaczego zniknięcie Thomasa nie zaniepokoiło was tak bardzo, jak należałoby się spodziewać? Zanim ty i twój mąż poinformowaliście o tym policję, minęły prawie dwa miesiące.

Łkanie przemieniło się szybko w kaskadę łez i spazmatyczny płacz. Irenę musiała podać pani Bonetti swoją serwetkę, bo jej chusteczka była już zbyt mokra.

- Sądziliśmy... sądziliśmy, że on... żyje - wydusiła z siebie w końcu.

Pani Marianne wytarła nos w serwetkę i kilka razy odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Drżącymi rękami założyła znów okulary, a potem przez grube szkła, które powiększały jej opuchnięte oczy, wpatrzyła się w Irenę.

- Przesyłka... dostaliśmy przesyłkę - powiedziała.

Z trudem wstała i zniknęła w holu. Irenę słyszała trzeszczenie podłogi, kiedy pani Bonetti przechodziła z pokoju do pokoju. Po dłuższej chwili wróciła z niewielkim brązowym kartonem. Wręczyła go Irenę.

- Otwórz - zachęciła zwięźle.

Irenę uniosła pokrywę. Na wierzchu leżał złożony arkusz papieru. Irenę postawiła pudełko na stole przy sofie i ostrożnie potrząsnęła nim, trzymając za jeden róg. Potem równie ostrożnie rozłożyła arkusz papieru. Była to zwyczajna kartka formatu A4, wyrwana z kołonoatnika w kratkę. Wypisano na niej niebieskim tuszem:

WSZYSTKO W PORZĄDKU. ODEZWE SIĘ.

THOMAS

Te zapewnienia zostały umieszczone pośrodku arkusza i zapisane drukowanymi literami. Na dnie kartonu leżały okrągłe okulary. Irenę nie wyjęła ich.

- Czy to okulary Thomasa? - zapytała, choć znała już odpowiedź.

Marianne skinęła głową. Decyzja o pokazaniu przesyłki uspokoiła ją chyba.

- Kiedy nadeszła ta przesyłka?

- Dokładnie w tydzień po zniknięciu Thomasa. Niepokoił się już, bo się nie odzywał. I wtedy nadeszło właśnie to. Antonio był zdania, że Thomas chciał... zniknąć na pewien czas. Aby w ciszy i spokoju ochłonąć po tych wszystkich niesłusznych oskarżeniach. Potrzebował czasu na zebranie dowodów swojej niewinności.

Wypowiadając te ostatnie słowa, Mariannę skierowała wzrok w inną stronę, dzięki czemu Irene zrozumiała, że pani Bonetti zdobyła się na świadome kłamstwo. Rodzice byli oczywiście przekonani, że Thomas faktycznie się uwikłał w to, o co go oskarżano, i że miał bardzo poważne powody po temu, by zniknąć. Wiedzieli o jego wcześniejszych malwersacjach. W Londynie przewidział swego czasu, co się stanie z Pundfixem, i w porę się wycofał. A w przypadku firmy ph.com tak łatwe wykręcenie się sianem mogło już nie wchodzić w grę.

- Czy ta przesyłka została przekazana przez pocztę? - zapytała Irene.

- Tak. Była w dużej wyscielanej kopercie.

- Czy zachowaliście tę kopertę?

- Niestety, nie.

- Czy pamiętasz, skąd ją wysiano?

- Tak. Z Góteborga.

Mogło to wskazywać na przebywanie mordercy w Góteborgu, ale pewności bynajmniej nie dawało.

- Czy Thomas potrafił się obejść bez okularów? - zainteresowała się Irene.

- Nie. On miał bardzo słaby wzrok.

- A jednak przesłał okulary, które były mu niezbędne. Czy to was nie zdziwiło?

Oczy pani Bonetti rozbiegły się. Najwyraźniej obmyślała, co powiedzieć, a co przemilczeć. Po chwili zacisnęła usta i, zdecydowana, wyznała:

- Antonio powiedział... że to znak. Tajemny znak. Thomas chciał nas zawiadomić, że zmienił wygląd. Napisać tego nie mógł. Ale liczył, że zrozumiemy.

- Jakże nie mielibyśmy zrozumieć? Jesteśmy przecież jego rodzicami! - w salonie rozległ się czyjś głos, który zabrzmiał jak smagnięcie batem.

Irene i Mariannę podskoczyły z wrażenia. Żadna nie usłyszała kroków Antonia Bonettiego.

- Ja... ja chciałam wyjaśnić, dlaczego sądziliśmy, że... Thomas żyje - wyjąkała w swym przerażeniu jego małżonka, kobieta potężnej postury.

Adwokat przeszedł gniewnym krokiem, na swoich nadzwyczaj wysokich obcasach, przez pokój. Całkiem zignorował swoją żonę i wbił wzrok w Irene. Nie osiągnął efektu, jaki sobie założył, ponieważ Irene wstała i spokojnie odpowiedziała spojrzeniem na spojrzenie. Aby zachować kontakt wzrokowy, Bonetti musiał się odchylić do tyłu.

- Dobrze, że pan wrócił. Mam coś do przekazania obojgu państwu. Otrzymaliśmy właśnie pełny protokół sekcji zwłok. Jest pewien bardzo dziwny i makabryczny szczegół, o którym muszę poinformować - rzekła Irene.

Rozdział 17

Pierwszy dzień października ucieszył pięknym, pogodnym rankiem. Kiedy nad horyzontem wzeszło słońce, było ledwie kilka stopni ciepła, ale później, gdy torowało sobie drogę wzwyż, na niebieski firmament, temperatura rosła. Jeśliby szczęście dopisało, to można by jeszcze liczyć na parę dni babiego lata. Chyba że to październikowe trzeba nazywać jakoś inaczej? Irene nie miała pewności, wołała jednak nie wnikać w szczegóły, a po prostu korzystać z pięknej pogody.

Zaparkowała samochód przed komendą i zabrała z niego plecak. Miała w nim plastikową torbę z brązowym pudełkiem, w którym pozostały krótką wiadomość od Thomasa Bonettiego i jego okulary. Oboje rodzice zapewnili, że - ich zdaniem - sam Thomas napisał ten krótki list.

Ale niełatwo było im znaleźć cokolwiek, co by posłużyło do porównania charakterów pisma. Thomas nie kwapił się, jak wyjaśnili, do pisania listów, wolał przysyłać maile albo telefonować. Po dłuższych poszukiwaniach zdołali natrafić na kartkę z życzeniami urodzinowymi dla Mariannę. Była to widokówka ze Statuą Wolności i datą „NY 1999- 04- 03”. Również na tej kartce Thomas posłużył się pismem drukowanym. Ireń nie dopatrzyła się w tych imitacjach liter drukowanych podobieństwa z tymi, które złożyły się na krótki list dołączony do okularów, ale nie była przecież specjalistką. Na odwrocie widokówki syn umieścił te oto słowa, napisane czarnym długopisem:

NAJLEPSZE ŻYCZENIA, MAMO! OBY TA KARTKA DOTARŁA AKURAT NA TWOJE URODZINY TU JEST ŚWIETNIE. DUŻY STRES, SPORO SPOTKAŃ. ALE WSZYSTKO TOCZY SIĘ CHYBA TAK, JAK OCZEKIWALIŚMY ŚCISKAM CIĘ, THOMAS

Ireń włożyła widokówkę do plastikowej torby. W zbyt wąskim kartonie nie mieściła się. W kartonowym pudełku znalazła się natomiast wizytówka Antonia Bonettiego. Oboje rodzice pozostawili na niej swoje odciski palców, aby ułatwić technikom odróżnienie ich na innych przedmiotach. Ireń była w głębi ducha ciekawa, co powiedziałby adwokat, gdyby usłyszał, że jego odciski palców zostały włączone do katalogu kilka dni wcześniej. I też dzięki jego wizytówce.

Gniew Antonia Bonettiego szybko ustąpił, kiedy Ireń opowiedziała o uciętych palcach, które zaginęły. Dla rodziców był to oczywiście ogromny wstrząs. I nie potrafili pojąć, dlaczego ktoś zapragnął uciąć cztery palce ich syna. Ireń żywiła przedtem co prawda niewielką, ale jednak nadzieję, że usłyszy od nich jakieś wyjaśnienia albo przynajmniej jakiś domysł. Nie doczekała się z ich strony żadnej teorii. Tajemnica pozostała tajemnicą.

Ireń zboczyła do laboratorium i przekazała Svantemu Malmowi plastikową torbę z kartonem i widokówką. A że poczuła się nagle bardzo rześko, przeszła do swojego wydziału schodami. Tak usposobiła ją piękna pogoda. Gdy, idąc do góry, była już na ostatnim stopniu, niewiele brakowało, żeby się zderzyła z Fredrikiem Stridhem, który szedł szybko korytarzem.

- O, cześć! - odezwała się Ireń.

- Cześć. Spieszę się. Dopiero co dzwonił ojciec Rothstaahla, który wpadł w histerię. Ci państwo chcieli rozmrozić w piwnicy lodówkę, żeby ją przygotować dla tamtych ludzi, którzy chcą jednak wynająć dom i zacząć się już dzisiaj wprowadzać. Wczoraj wieczorem rodzice byli przekonani, że w lodówce nic nie ma, ale dziś rano mamusia wypatrzyła na samym dole fiolkę po witaminie C. Wyjęła ją, przekonana, że jest pusta. Nie była. Zgadnij, co ta kobieta znalazła w środku?

- Nie mam pojęcia. Kokainę?

- Palec.

Komisarz przesunął odprawę z wpół do ósmej na jedenastą. Cały zespół śledczy znalazł się o tej porze w sali konferencyjnej. Fredrik Stridh zdążył wrócić od państwa Rothstaahlów z makabryczną zawartością fiolki po witaminie C. Przekazał ją do zakładu medycyny sądowej. Jak sam powiedział, również pani profesor Stridner okazała zdziwienie. Dla Anderssona była to niewielka pociecha. Mierzył teraz swoich podwładnych posepnym wzrokiem.

- Jakiś diabeł zagrywa z nami - stwierdził głuchym głosem.

Nikt nie zaoponował.

- Ze sporą dozą pewności możemy przyjąć, że to palec Thomasa Bonettiego. Jeden z jego palców - odezwała się Birgitta.

- A gdzie są pozostałe? - zaciekał się Jonny.

- Do tego można chyba dojść. Istnieje taka możliwość, że Joachim był w posiadaniu wszystkich czterech palców. Choć nic na to nie wskazuje, skoro znaleźliśmy w jego domu tylko jeden - rozważała dalej Birgitta.

- Czy ktoś nie mógł go podrzucić? - zapytał Jonny.

- Nie należy tego wykluczać. Morderca mógł zabić Joachima i Philipa, a potem zejść do piwnicy i włożyć fiolkę z palcem do lodówki - zgodziła się z nim Birgitta.

- Jak twierdzą rodzice, fiolka leżała w grubej warstwie śniegu. Joachim nie rozmrażał tej lodówki od wielu lat. Pewno dlatego wczoraj wieczorem nie zauważyli fiolki. Wypatrzyli ją dopiero, kiedy śnieg zniknął - wyjaśnił Fredrik.

- W zamrażarce nie powstaje śnieg - wtrącił Jonny.

- Mniejsza o to, proszę mówić dalej - zirytował się Andersson.

Nawet Jonny zrozumiał, że lepiej nie denerwować szefa, skoro jest w takim nastroju.

Skrzyżował więc ręce na piersi i wymamrotał coś pod nosem. Andersson zerknął na Birgittę i powiedział:

- Proszę kontynuować.

- Jeśli za punkt wyjścia przyjmiemy fakt, że Joachim był w posiadaniu jednego palca, to wolno nam uznać, że po jednym palcu miały trzy inne osoby. O ile ten palec miał ostrzec Joachima, to możemy chyba podejrzewać, że i Kjell Bengtsson Ceder, i Philip Bergman otrzymali palce, zanim zginęli. Nasuwa się tu pytanie: do kogo trafił czwarty palec? I jeszcze jedno: czy właśnie ta osoba jest kolejną ofiarą?

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Policjanci rozważali słowa Birgitty. W końcu Jonny poprosił o głos:

- Niewykluczone, że morderca zachował pozostałe trzy palce dla siebie. Jako trofea albo na później.

Jonny nie wyrzekł się chyba jeszcze swojej teorii zbrodni seryjnych, ale, być może, jego uwaga miała jakiś sens.

- Musimy więc szukać brakujących palców, i to przede wszystkim u dwóch pozostałych ofiar - stwierdził Tommy.

- Skoro ten cały Rothstaahl miał w swojej zamrażarce palec Bonettiego, to nie należy chyba całkiem wykluczać i takiej możliwości, że właśnie on zamordował. Ewentualnie z czyjąś pomocą - odezwał się Jonny.

Znowu zapadło całkowite milczenie. Nikomu nie nasunęła się taka myśl, mimo że była całkiem prawdopodobna. Ireneę dostrzegła zaraz pewną zaletę w rozumowaniu Jonny'ego.

- W naszych rozważaniach powinniśmy wziąć jeszcze coś pod uwagę. I to właśnie może się okazać rozwiązaniem pewnej zagadki związanej z morderstwem, którego ofiarą padł Thomas Bonetti. Otóż dla jednej osoby popełnienie mordu w tak trudnych warunkach musiało być bardzo kłopotliwe. Gdyby mordowały co najmniej dwie osoby, sytuacja byłaby całkiem inna. Jedna osoba mogła mieć pod opieką łódź, latarkę i tak dalej, i sterować. Druga osoba mogła pilnować Thomasa. I zmusić go później do wspinaczki w kierunku kamieni granicznych, poganiając go pistoletem, i wreszcie go zastrzelić - powiedziała Ireneę.

- Jak to... dwaj mordercy? Czyżbyś teraz chciała nam wmówić dwóch morderców? Kim jest ten drugi? - zdziwił się Andersson.

- A nuż Philip Bergman? - zasugerowała Ireneę.

- Bergman? A to dlaczego? - zdenerwował się komisarz.

- Nie wiemy, czy Joachim Rothstaahl miał o cokolwiek żal do Bonettiego. Mogło tak być, tyle że nic nam nie wiadomo o ich kontaktach po tamtej londyńskiej grze w domino. Wiemy natomiast, że Philip Bergman i Thomas Bonetti nie przepadali za sobą w ostatnim okresie istnienia firmy ph.com.

- Jaki motyw? - - spytał Andersson.

Jego posępna mina zniknęła - słuchał teraz uważnie wywodu Ireneę.

- Pieniądze. Oczywiście pieniądze. Wiemy, że Thomas w porę zniknął z Pundfixu i zdążył uratować dla siebie sporo kasy. Wiemy prócz tego, że oskarżono go o zdefraudowanie co najmniej pięciu, a maksimum dwudziestu milionów koron na niekorzyść spółki ph.com.

Chodziło o pieniądze,

które Joachim i Philip też pewno uważali za swoje. I mogli zapragnąć odwetu.

- Pieniądze i zemsta. Klasyczne motywy - potwierdził Andersson.

Był coraz pogodniejszy. W rozumowaniu Ireneę niejedno przypadło mu do gustu. Sporo kwestii znajdowało objaśnienie.

- Dwaj mocno podejrzani sprawcy, a żadnego nie można przesłuchać! - stwierdził z żalem Fredrik.

- I dalej nie wiemy, kto zamordował tamtych dwóch - dodał Tommy.

- I Kjella Bengtssona Cedera. Zginął w ciągu dwudziestu czterech godzin od śmierci Philipa i Joachima - uzupełniła Birgitta.

- Jest tu pewna luka czasowa - stwierdził refleksyjnie Tommy.

Siedział rozparty na krześle za biurkiem i uderzał długopisem o swe przednie zęby. Ireneę czuła, że zelżało już napięcie między nimi, ale wystrzegą się rozdrapywania świeżych ran.

Jeśli Tommy zechce mówić o rozwodzie, niechaj sam zacznie. Jak mawiała Gerd, matka Ireneę, mądry człowiek różni się od głupiego niepowtarzaniem swoich błędów.

- Jaka luka czasowa? - zapytała.

- Wiem od ciebie, że Thomas był około wpół do szóstej u rodziców, żeby coś zabrać. Potem wybrał się po whisky do supermarketu na placu Jaegerdorffa. Ale dopiero po ósmej znalazł się na pokładzie swojej łodzi. Minęły dwie godziny. Co robił? Czy spotkał się z kimś?

- Poszedł przecież do supermarketu. Tam mogła być długa kolejka - zasugerowała bez przekonania Ireneę.

W głębi ducha była zła na siebie, że sama nie zastanowiła się nad tą sporą różnicą czasu.

- Oni zamykają o szóstej. Aby z placu Jaegerdorffa dotrzeć na przystań, potrzeba piętnastu, może dwudziestu minut. Co robił, zanim tam pojechał?

- Nie mam pojęcia.

Tom my westchnął i włożył długopis z powrotem do wazonu, który jego najmłodsza córka zrobiła w przedszkolu. Pomalowała wazon na mocny złoty kolor i przyozdobiła czerwonym sercem. Pośrodku wypisała wielkimi literami: TATA.

- Zjemy coś, a potem poszukamy palców. Myślę, że tak będzie najlepiej. Także ze względu na nasz apetyt. A przy okazji, czy, twoim zdaniem, rodzice też dostali palec? - zapytał Tommy.

- Rodzice Bonettiego? Palec?

- Tak. Morderca mógł spróbować wyciągnąć od nich pieniądze. „Jeśli nie zapłacicie tylu a tylu milionów, to następnym razem prześlemy głowę”. Coś w tym rodzaju.

- Nie. Matka na pewno opowiedziałaby o tym. Nie ukryłaby czegoś takiego. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile ją kosztowało pokazanie okularów. A ten adwokat jest prawdziwym tyranem. Chociaż... moja opowieść o zaginionych palcach zrobiła na nim wrażenie. Był naprawdę wstrząśnięty.

- A więc, twoim zdaniem, państwo Bonetti nie dostali palca?

- Nie.

- Kto inny może mieć jeden z nich?

Ireneę była już gotowa odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, gdy przyszło jej na myśl, kto mógł posiadać jeden z nich. Albo i dwa.

Elsy Kaegler ostrożnie uchyliła drzwi. Ireneę wysunęła Tommy'ego przed siebie, licząc na to, że otworzy je właśnie ona. Matka Sanny rozpromieniła się na widok Tommyego.

- Tak się cieszę... to znaczy... proszę wejść. Sanny nie ma... wróci niebawem. Ludde dopiero co zasnął - powiedziała, jak zwykle nie całkiem do rzeczy, Elsy.

Ireneę zastanawiała się, jak to możliwe, że taka kobieta jest matką Sanny, osoby potrafiącej chłodno kalkulować.

Czyżby Elsy nie pracowała? Albo może jest na emeryturze? Na sześćdziesiąt lat jeszcze nie wygląda, ale kto wie, a nuż jest w takim wieku?

- Dopiero co zaparzyłam kawę. Ale nie mam do niej niczego słodkiego... Czy tak będzie dobrze? - zapytała Elsy.

- Tak, dziękujemy - odpowiedzieli jednogłośnie policjanci.

- W takim dniu należałoby posiedzieć w przybudówce. .. ale czulibyśmy się chyba makabrycznie. Przecież właśnie tam biedny Kjell... och! Usiądziemy raczej w salonie - dodała bojaźliwym tonem Elsy.

- Zgoda. Pomogę ci nakryć do stołu - zaproponował Tommy.

Razem z Irenę weszli za Elsy do kuchni. Pani domu udało się znaleźć kilka wysokich szklanek z mocnego szkła, najwidoczniej przeznaczonych do picia kawy.

- Cafe latte - wyjaśniła Elsy.

Podgrzała mleko w mikrofalówce. Mleko i kawę z ekspresu zmieszała potem w odpowiednich proporcjach w tych wysokich szklankach. Ustawiła je na tacy, którą Tommy podniósł, nie przerywając rozmowy z Elsy. Oboje ruszyli w stronę wyjścia z kuchni, a Irenę zatrzymała się w niej.

- Należę sobie tylko wody i wezmę trochę papieru, żeby wytrzeć nos. Wiem, gdzie jest, i za chwilę dołączę do was - zapowiedziała.

- OK - zgodził się Tommy.

Dalej prowadził konwersację z Elsy, która zdawała się nie zwracać uwagi na Irenę ani na jej słowa.

Irenę przemierzyła szybko klinkierową podłogę i otworzyła stalowe drzwi wielkiej lodówki, zresztą nie bez pewnych emocji.

Pusto.

W lodówce nie było niczego prócz cienkiej warstwy lodu na półkach i tylnych ściankach. Na najwyższej półce stał plastikowy pojemnik na kostki lodu. Irenę zajrzała do niego na wszelki wypadek, ale nie było w nim nawet jednej kostki. Rozczarowana, zamknęła drzwi, naładowała sobie wody do szklanki, a potem dołączyła do tamtych dwojga w salonie.

Tommy nie zmarnował tego czasu. Kiedy Irenę usiadła na jednym z foteli z tapicerką w kolorze skorupki jaja, usłyszała jego słowa:

- Czy nie moglibyśmy wobec tego pożyczyć klucza od ciebie, abyśmy nie musieli niepokoić Sanny? Zdążymy go przywieźć tutaj, zanim ona wróci do domu.

Tommy uśmiechnął się zachęcająco do Elsy.

- Taak... zgoda... ta biedaczka jest w straszliwym stresie i bardzo samotna. To, co spotkało Kjella i Philipa... było dla niej zbyt wielkim ciosem... Chyba nie ma w tym nic złego, że pożyczycie klucz... W końcu jesteście policjantami!

Wypowiadając te ostatnie słowa, Elsy znów się uśmiechnęła.

Policjanci zakończyli to spotkanie wypiciem kawy. Przy drzwiach Tommy przypomniał jej o kluczu. Elsy szperała dość długo w kwiecistej torbie z materiału, zanim wygrzebała z niej niewielki pęk, dokładnie trzy klucze na kółku. Z kółka zwisała także metalowa tabliczka z wyrytą na niej nazwą hotelu Gothenburg.

- Proszę!

Jeszcze raz podziękowali za kawę i w pośpiechu wsiedli do samochodu.

- Dom został właściwie starannie przeszukany i przez nas, i przez ekipę techniczną, kiedy zamordowano Cedera, ale mogliśmy przeoczyć coś, co znajdowało się w lodówce. Palec mógł być ukryty w pudełku paluszków rybnych albo czegoś w tym rodzaju - stwierdziła Irenę.

- Ale nie był. Mam nadzieję, że tu nam się bardziej poszczęści - odparł Tommy i zaparkował na niezajętym miejscu tuż przed wejściem do domu, w którym znajdowało się mieszkanie Kjella Bengtssona Cedera.

Cichobiezną windą wjechali na piąte piętro i tam wysiedli. Gdy Tommy był już gotów włożyć klucz do zamka, Irenę szepnęła:

- Zaczekaj! A jeżeli Sanna tu jest?

Tommy westchnął i z przekonaniem w głosie rzekł:

- W tym mieszkaniu Sanny na pewno nie zastaniemy. Ono budzi w niej wstręt!

Wypowiedziawszy te słowa, Tommy przekreślił klucz w zamku. Otworzył drzwi i usłużnym gestem przepuścił Irenę przed sobą.

Wydało się jej, jakby ktoś szorował piaskiem po szkle. Dźwięk był taki, że zamarła na progu.

Nie od razu uświadomiła sobie, że słyszy bardzo głośny krzyk. Po kilku dalszych sekundach zobaczyła czyjąś ciemną postać przy ścianie po przeciwnej stronie obszernego holu.

Oślepił ją blask lampy spod sufitu. Tommy'emu udało się natrafić tuż przy drzwiach na

włącznik. Sanna ucichła równie raptownie, jak się rozkrzyczała. Patrzyła na oboje policjantów wielkimi oczami. Pewno nie rozpoznała ich w swoim przerażeniu. Przywarła plecami do ściany i sprawiała przy tym takie wrażenie, jakby chciała podjąć rozpaczliwą próbę stopienia się z tapetą.

- Sanno, jesteśmy z policji, Irenę Huss i Tommy Persson. Wybacz, że cię przestraszyliśmy - odezwał się swoim spokojnym niskim głosem Tommy.

Sanna była faktycznie tak wystraszona, że ukazały się białka jej oczu. Wyglądała jak przerażone zwierzę. Irenę skojarzyła ją z pewnym koniem, który zbiegł i zabłąkał się między samochodami na autostradzie. Razem z Tommym jeździli wtedy jeszcze radiowozem i zostali wezwani w to miejsce. Był tam totalny chaos i rozhisteryzowany koń kręcił się w kółko wśród mnóstwa samochodów. Irenę zapamiętała błysk strachu w oczach konia i białka jego oczu.

Dlaczego Sanna wpadła w taką panikę?

- Nie wiedzieliśmy, że tu jesteś. Kiedy sprawdziłem drzwi, okazały się otwarte, więc postanowiliśmy wejść. Mogło przecież dojść właśnie w tym momencie do włamania - wyjaśnił Tommy.

Dobre sobie! Zwykle Irenę kłamała jak z nut, ale Tommy też to potrafił. Nie byłoby dobrze, gdyby Sanna zaczęła się nagle zastanawiać, dlaczego policjanci z wydziału kryminalnego pozwolili sobie na wejście do mieszkania. Żadnego powodu do rewizji nie mieli. Oczywiście uzyskaliby nakaz, ale zajęłoby to co najmniej jeden dzień więcej. Tommy improwizował w Askim, kiedy nadarzyła się okazja wypożyczenia kluczy od niepodejrzliwej Elsy. A teraz pchnął Irenę przez próg i energicznie podszedł do Sanny. Zatrzymał się tuż przed nią.

- Nie musisz się bać. To tylko my - zapewnił jeszcze raz.

Lęk w jej oczach zaczął słabnąć i z oczu popłynęły łzy, które toczyły się z wolna po policzkach. Roniła je, nie wydobywając z siebie żadnego dźwięku.

- Proszę cię, Sanno. Usiądźmy w bibliotece - zaproponował Tommy i ostrożnie dotknął jej ramienia.

Bezwolnie pozwoliła się zaprowadzić do przestronnego pokoju z wysokimi regałami i fotelami obitymi skórą. Unosił się tam właśnie zapach starej skóry oraz kurzu. Tommy łagodnie usadowił Sannę w jednym z foteli. Tymczasem Irenę wymknęła się do kuchni. Była zachwycona jej nowoczesnym wyposażeniem, ale też ciemnymi kamiennymi ławami i drzwiczkami szafek, wykonanymi z jasnej dębiny. Nie było tam dosłownie niczego z nierdzewnej stali! Kuchnia schludna i bardzo funkcjonalna, co specjalnie nie zaskakiwało, skoro Kjell Bengtsson Ceder miał zawodowo do czynienia z przygotowywaniem posiłków. Poza tym ta kuchnia była wymownym potwierdzeniem - jakże licznych - różnic między małżonkami. Dlaczego Kjell ożenił się z Sanną?

Irenę urwała sporo papieru z grubej jeszcze rolki, która wisiała w pojemniku obok kuchenki.

Postanowiła rzucić okiem na zawartość zamrażarki i dopiero potem opuścić kuchnię.

Zamrażarkę ustawiono przy lodówce. Oba sprzęty wysokością dorównywały wzrostowi Irenę.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej oglądać tak obficie wypełnionej zamrażarki i lodówki.

Sprawdzenie całej zawartości zajęłoby kilka godzin. Drzwi ledwo się domykały.

Sanna uspokoiła się tymczasem i Tommy bawił ją rozmową. Na widok Irene z papierowym ręcznikiem w ręku rozpromienił się i powiedział:

- Oto Irene z papierem. Już myśleliśmy, że pomyliłaś korytarze.

- Na szczęście mam dobrą orientację - odparła Irene i uśmiechnęła się nieznacznie, wręczając Sannie papier.

Sanna przyjęła go, ale nie spojrzała na Irene, po czym osuszyła ślady łez i głośno wytarła nos.

Później zgmiotła papier i wrzuciła go do kominka.

- Co tu robicie? - zapytała niespodziewanie ostrym tonem.

- O to samo chcieliśmy ciebie spytać - odciął się Tommy.

- To moje mieszkanie.

- Jeszcze nie całkiem.

- Mam jednak prawo tu przebywać - obstawała przy swoim Sanna.

Chyba znów nabrała odwagi i coraz bardziej przypominała tę Sannę, jaką poznali. „Jeśli chcemy zmusić Sannę do mówienia prawdy, to trzeba będzie zbić ją z pantałyku” - pomyślała Irene. I zdecydowała się na blef.

- Szukamy palca - oznajmiła.

Był to strzał ślepym nabojem, ale jego efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Sanna zamarła i wbiła wzrok w Irene.

- To... niemożliwe... żebyście coś wiedzieli... - wyszeptała.

- Znaleźliśmy palec, który był w posiadaniu Joachima. Napisał zresztą, że pewne inne osoby też otrzymały po jednym palcu...

Irene pozostawiła zakończenie domyślności Sanny i - znaczącym gestem - uniosła jedną brew. Sanna, wytrącona z równowagi, uznała ten gest za niewątpliwe potwierdzenie.

- Skoro tak, to... zginiemy.

Jej szeroko otwarte oczy przesuwały się z Tommy'ego na Irene i z powrotem.

- Kto grozi ci śmiercią? Czy raczej wam - poprawiła się zaraz Irene.

Sanna pokręciła głową i poruszyła pobladłymi ustami, ale nie zdołała wydusić z siebie żadnego słowa, które tamci mogliby usłyszeć. Była śmiertelnie przerażona.

- Kto wam grozi? - powtórzyła Irene.

- Nie wiem. Muszę sprawdzić, czy Kjell miał jakiś palec i czy go gdzieś nie schował!

Sanna ukryła twarz w dłoniach i znowu zaczęła drzeć na całym ciele.

Tommy wstał i podszedł do niej. Ku zdziwieniu Irene, usiadł na bocznym oparciu fotela i ostrożnie otoczył Sannę ramieniem. Irene była zdziwiona tym, że Sanna pozwoliła mu na taki gest. On zaś odezwał się łagodnym tonem, jakby mówił do dziecka:

- Posłuchaj, Sanno. Już nie musisz się bać. Wiemy o uciętych palcach i o wysłaniu ich do paru osób. Czy ktoś chciał od was pieniędzy?

- Tak. A teraz... chodzi o Ludwiga - wyszeptała.

- A więc grożono tobie i Ludwigowi - stwierdził Tommy. Sanna skinęła głową, lecz nie oderwała rąk od twarzy.

- Dlaczego grozi się wam teraz? Czy dalej chodzi o pieniądze? - wtrąciła się Irene.

Po dłuższej chwili Sanna odsłoniła twarz. Sprawiała wrażenie osoby zrozpaczonej, ale też zrezygnowanej.

- Muszę odnaleźć palec, który otrzymał Kjell. W przeciwnym wypadku... mnie i Ludwiga spotka coś złego!

- A więc trzy lata temu i ty dostałaś jeden palec.

- Tak. Ale wtedy chodziło o pieniądze. Byłam szantażowana. Teraz... kiedy Thomas został odnaleziony... ktoś chce odzyskać te palce!

Cała ta historia okazywała się doprawdy makabryczna. Sanna żyła już prawie miesiąc w wielkim napięciu. Irene potrafiła zrozumieć jej reakcję w holu. Sądziła oczywiście, że oto pojawia się morderca, który chce spełnić swą groźbę.

- Co zrobiłaś z twoim palcem?

- Z moim? Od razu go wyrzuciłam! Do pojemnika na śmieci przy domu, w którym mieszkałam.

Odpowiedź padła tak szybko, że zabrzmiała wiarygodnie.

- Czy dostałaś ten palec, kiedy mieszkałaś znowu w Szwecji?

- Tak. Wróciłam w sierpniu. Palec trafił do mnie pod koniec września.

- Co zawierał list, który otrzymałaś?

Knykcie mocno ściśniętych rąk Sanny zbieleły. Po chwili rozprostowała dłonie i zaczęła je splatać, jak to zwykła czynić jej matka.

- Bo przecież musiałaś razem z palcem dostać chociaż jakąś kartkę - domyśliła się Irene.

Ten pomysł powstał na oczekaniu, a wziął się z przypuszczenia, że nadawca palców był tą samą osobą, która przesłała okulary rodzicom Thomasa Bonettiego. Większość morderców powtarza się w swoich poczynaniach.

- Tak. Żądano ode mnie pieniędzy... To był szantaż. Na tamtej kartce znalazła się informacja, że to palec Thomasa. Jeślibym nie zapłaciła, mnie spotkałby taki sam los. Płaciłam, płaciłam... i teraz nie mam już pieniędzy!

W jej oczach znowu pojawiły się łzy. Irene zadałaby chętnie właśnie w tym momencie kilka pytań o pokrycie kosztów nowego domu w Askim, ale uznała, że byłoby to nierozsądne. Sanna mogła znowu zamilknąć. A teraz przynajmniej rozmawiała z nimi i chyba mówiła prawdę.

- Komu płaciłaś? - zapytała z kolei Irene.

- Edwardowi. On przelewał te pieniądze na inne konto. I sam nie wie, kto jest właścicielem tamtego rachunku.

- Ile płaciłaś?

Sanna przełknęła kilka razy ślinę, zanim zdobyła się na odpowiedź.

- Dwadzieścia tysięcy dolarów miesięcznie.

Szybkie przeliczenie tych wszystkich sum w pamięci uświadomiło Irene przyczynę tego, że Sannie zabrakło już pieniędzy. Kiedy przez trzy lata trzeba płacić prawie dwieście tysięcy koron na miesiąc, to majątek kończy się bardzo szybko.

- Czy przelewów dokonywał brat twojego szwagra, Edward Fenton? Ten sam, który jest szefem europejskiej filii banku H.P. Johnsona? - wtrącił się Tommy.

- Tak. On też pozbył się palca, który mu przesłano. Ale tamci zażądali teraz, żeby wszystkie palce trafiły z powrotem do nich. Dlatego Edward poprosił mnie o sprawdzenie, czy Kjell nie zachował palca, który dotarł do niego. Szukałam przez wiele godzin, ale niczego nie znalazłam.

Irene i Tommy szybko porozumieli się wzrokiem. Nie zdziwiło ich to, że Kjell Bengtsson Ceder był adresatem jednego palca, ale zaskoczyło przesłanie innego palca do Edwarda Fentona. Ponieważ zwłoki Thomasa zostały pozbawione czterech palców, oznaczało to, że adresatami byli: Sanna Kaegler, Joachim Rothstaahl, Kjell Bengtsson Ceder i Edward Fenton. Coś tu brzmiało fałszywie i czujniki Irene zareagowały na ten fałsz.

- Kiedy polecono ci szukać palca, który otrzymał Kjell? - zagadnęła ostrożnie.

- Wczoraj rano. Ma to chyba związek z odnalezieniem ciała Thomasa przez policję.

- Czy na tej kartce, która dotarła do ciebie przed trzema laty, była informacja o zamordowaniu Thomasa?

- Nie. Tylko tyle, że to jego palec. Była to wprost obrzydliwa historia. Przecież Thomas zniknął. Ale... sprytu mu nie brakowało i dlatego nabrałam podejrzeń, że mógł kupić palce kogoś, kto zmarł, i posłał je różnym osobom, aby szantażem wyludzić od nich pieniądze.

Wyciągnął co prawda dużo z firmy ph.com, ale dłuższe ukrywanie się kosztuje.

- A jednak nie on przesłał te palce. Nie było go już wtedy na świecie - stwierdziła rzeczowo Irene.

Sanna drgnęła, jakby została surowo przywołana do porządku. Widać było, że jej własna teoryjka trafiała jej bardziej do przekonania niż fakty.

- Czy Philip wspomniał ci kiedyś, że i do niego dotarł jeden palec?

- Nie. Ale coś takiego mogło wchodzić w grę, wiemy przecież... co go... spotkało.

Oczy Sanny zaszkliły się od łez i nie zdołała powstrzymać łkania. Irene wyzbyła się już całkiem swoich podejrzeń wobec Sanny i wykluczyła jej współudział w zamordowaniu Philipa Bergmana. Jego śmierć musiała być ogromnym wstrząsem dla Sanny. Być może potrafiłaby zastrzelić Joachima i Thomasa, ale nigdy Philipa.

Z jej słów wynikało, iż w obiegu znalazło się co najmniej pięć uciętych palców, a tak nie było. Irene utwierdziła się w przekonaniu, że coś tu się nie zgadza.

- Dlaczego jeden palec trafił do Edwarda? - zapytał Tommy.

Sanna westchnęła i spuściła z tonu.

- Tak się złożyło, że Edward zainwestował w firmę ph.com trochę pieniędzy w imieniu kogoś, kto nie chciał ich stracić. A to się zdarza, kiedy w grę wchodzi kapitał podwyższonego ryzyka. Takie są reguły gry. Później również Edward otrzymał przesyłkę z palcem i musiał zapłacić. W przeciwnym wypadku skończyłby tak samo jak Thomas. Kartka, którą ja dostałam, i ta skierowana do Edwarda zawierały podobne groźby.

- Wynikałoby z tego, że on zna nazwisko osoby upominającej się o zwrot swoich pieniędzy - domyśliła się Irene.

- Tego nie wiem. Edward twierdzi, że nie zna nazwiska tamtego człowieka.

Sanna mówiła tak, jakby to ją niewiele interesowało. Zapewne nie rozumiała doniosłości odpowiedzi na to pytanie, sformułowane pośrednio przez Irene. Albo, wręcz przeciwnie, była świadoma wielkiej wagi tej odpowiedzi.

- Edward Fenton winien był więc pośredniczyć w przelewaniu twoich i przelewać własne pieniądze na tamto nieznane konto - uściśliła dla pewności Irene.

Coś tu się nie zgadzało, ale nie było czasu na wykrycie przyczyny niezgodności. Irene powróciła do swoich pytań:

- W czym znajdował się palec, kiedy go otrzymałaś?

- W plastikowej fiolce. Przedtem były w niej musujące tabletki. Witamina C.

- W czym umieszczono fiolkę?

- W wyszcielonej kopercie.

- Czy pamiętasz, jakie miejsce nadania widniało na stemplu pocztowym?

Sanna zmarszczyła czoło i widać było, że bardzo stara się sobie przypomnieć. Po chwili pokręciła jednak głową.

- Nie. Nie pamiętam.

- Czy list nadszedł na adres twojej mamy?

- Dlaczego miałyby przyjść na adres mamy? Ja właśnie wtedy wprowadziłam się do swojego mieszkania. Tam nadszedł ten list.

Oznaczało to, że nadawca miał świeże wiadomości o Sannie i wiedział o jej powrocie do Göteborga, a nawet znał jej nowy adres. Irene utwierdziła się w przekonaniu, że morderca był w jakiś sposób związany z Göteborgiem.

- Czy wiedziałaś, że Kjell też dostał jeden palec?

- Nie. Dopiero wczoraj się o tym dowiedziałam.

- Jak sądzisz, dlaczego dostał jeden z palców? Sanna uniosła brwi i wzbiła wzrok w Irene.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego. Nie zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała ze szczerym zdziwieniem.

- Czy Kjella coś łączyło z firmą ph.com?

- Nie. Zupełnie nic! Zajmował się bez przerwy swoim hotelem i tymi dwiema restauracjami.

- I nie lokował swoich pieniędzy u Thomasa Bonettiego i Joachima Rothstaahla w Londynie, kiedy ci działali w Pundfiksie?

- Nie. Kjell inwestował tylko w swój hotel. Jak sam mówił, ten pochłaniał sporo.

Sanna wstała nagle i półgłosem powiedziała:

- O Boże! Jeśli wy znajdziecie palec, nie będę mogła zostawić go w waszych rękach. Dla mnie i Ludwiga byłby to koniec!

Tommy przyjrzał się jej spokojnie.

- Komu go przekażesz?

Zaparło jej dech i w oczach znów pojawił się błysk przerażenia.

- Tego nie wiem. Oni skontaktują się ze mną.

- Jak?

- Przez Edwarda. On odezwie się do mnie chyba dziś wieczorem albo jutro. Jeśli znajdę palec, to otrzymam pewnie dalsze instrukcje.

Irenę i Tommy wstali jednocześnie. Tommy dotknął lekko ramienia Sanny i powiedział:

- Pomożemy ci szukać. Dzięki temu będziesz mogła z czystym sumieniem poinformować Edwarda, kiedy on się z tobą znowu skontaktuje, że palca nie znalazłaś. Kjell mógł przecież też się go pozbyć, tak jak ty i Edward. I nie zapominaj o tym, że nie było jeszcze przecieku do prasy o brakujących palcach. Prasa nie wie nawet, że jeden z nich znaleźliśmy u Joachima. I dlatego człowiek, któremu zależy na wszystkich palcach, nie jest świadomy tego, iż policja posiada już większość informacji o nich.

Słowa Tommyego po części trafiły chyba Sannie do przekonania, bo widać po niej było mniejsze napięcie, choć nie wszystko przyjęła za dobrą monetę.

Irenę poczuła ulgę, kiedy Tommy wziął na siebie przeszukanie zamrażarki. Sanna odeszła do pokoju, który był prawdopodobnie sypialnią jej zmarłego małżonka. Podejmowanie na nowo poszukiwań w tym ogromnym mieszkaniu z wieloma pokojami i mnóstwem mebli wydawało się doprawdy beznadziejnym przedsięwzięciem. Irenę wyszła do holu i spróbowała logicznie pomyśleć.

Gdzie ukrywa się części zwłok? W skrzyni. Wzrok Irenę padł na bogato zdobiony staroświecki kufer z żelaznymi okuciami, ustawiony pod jedną ze ścian. W zamku drewnianego kufra tkwił klucz, którym Irenę otworzyła solidny zamek. Wewnątrz znalazła tylko kalosze, latarkę i dwuczęściowy niebieski strój sportowy Helly Hansen. Uważnie szukała dalej, póki się nie przekonała, że palca tam nie ma.

Czy wchodziło w rachubę jakieś inne miejsce? Co mogłoby być przydatne zamiast kufra?

Nagle Irenę udało się wydobyć z podświadomości pewien obraz. Jakaś urna. Właśnie ta urna.

Owszem, mogła wchodzić w rachubę. Irenę powróciła do biblioteki z konkretnym zamiarem.

Na gzymsie nad kominkiem stała czarna kamienna urna z okazałymi lichtarzami po obu jej stronach. Lustrzana powierzchnia urny była całkiem gładka. W fakturze kamiennego materiału wyróżniały się zielonkawe żyły oraz tu i ówdzie jakaś lśniąca domieszka. Irenę zdjęła ostrożnie urnę i postawiła ją na szydełkowanej serwecie, która przykrywała stół przy sofie. Musiała tę zaskakująco ciężką urnę uchwycić mocno obiema rękami. Niełatwo też było podnieść jej pokrywę. Silny nacisk od dołu jednak ją uniósł.

Wystarczyło jedno spojrzenie w głąb urny, żeby wypatrzeć na dnie fiołkę po witaminach.

Tommy zdołał - tyleż łagodnie, co nieustępliwie - przekonać Sannę, że w stanie takiego wzburzenia nie powinna prowadzić samochodu. Ustalili, że Tommy podrzuci ją do Askim.

Irenę domyśliła się za tą jego propozycją chęci skorzystania z szansy poprowadzenia mercedesa typu kabriolet. Sama też nie miałaby nic przeciwko odegraniu roli kierowcy takiego samochodu! Przekazując kluczyki do ich znacznie mniej efektownego służbowego wozu, Tommy nie omieszkał przemycić pęku kluczy do mieszkania Kjella Bengtssona Cedera. Była to niewątpliwie dobra strategia: odwróciwszy uwagę Sanny, dał do zrozumienia, że Irenę powinna wręczyć Elsy ten pęk kluczy. Chodziło o to, by Elsy nie przywiązywała zbyt wielkiej wagi do ich wypożyczenia. A najlepiej by było, gdyby jak najszybciej zapomniała o całej sprawie i nie napomknęła o niej Sannie. To właśnie policjanci chcieli teraz osiągnąć.

Tommy włączył się w ruch w kierunku zachodnim. Ireń nadążała za nim bez trudu, jeździła przecież tą drogą codziennie od piętnastu lat i poznała ją dokładnie.

W ostatnich godzinach wydarzyło się niejedno, dzięki czemu mógł nastąpić przełom w śledztwie. To i owo warto było przemyśleć. Czy rzeczywiście posłanie uciętych palców paru osobom wystarczyło, aby szantażem wyłudzać od nich pieniądze? Raczej nie. Wiązało się z tym zbyt wielkie ryzyko powiadomienia policji przez którąś z tych osób. Ale takie zgłoszenie oznaczałoby, że osoba informująca nie ma nic do ukrycia w toku ewentualnego śledztwa. Tak więc przesłaniu palców musiały towarzyszyć groźby donosów na adresatów. Owe ucięte palce były potrzebne po prostu w tym celu, by dać do zrozumienia, że za groźbami kryją się poważne zamiary. Co zatem miały do ukrycia osoby uwikłane w tę historię?

Pieniądze. Malwersacje. Wielkie sumy. Było zapewne niemało takich ludzi, którzy po krachu firmy ph.com poczuli się oszukani przez tercet Bonetti- Bergman-Kaegler. Wcześniej Bonetti i Rothstaahl, lokując pieniądze różnych skandynawskich firm za pośrednictwem Pundfixu, zdefraudowali ogromne sumy, które były własnością owych przedsiębiorstw. A ostatnio Rothstaahl i Bergman podjęli podobną działalność w Paryżu. Ile osób zdążyli już oszukać? Bonettiego oskarżono o to, że przed upadłością ph.com wyprowadził wiele milionów z tej firmy, ale jak właściwie miała się sprawa z Sanną i Philipem? Oboje wyszli, o dziwo, bez szwanku ze skandalu informatycznego. Trzy lata wcześniej obojgu nie brakowało pieniędzy. A potem nadeszły palce w małych plastikowych fiolkach i cztery osoby zostały zmuszone do płacenia haraczu.

Dlaczego Philip Bergman nie dostał palca? Wszystko wskazywało na to, że i on padł ofiarą szantażu. Również jego majątek szybko zmalował. Nie inaczej było w przypadku Joachima Rothstaahla.

I dlaczego jeden z palców znalazł się nagle u Edwarda Fentona, szefa banku? Stał on na czele banku inwestycyjnego, który - o czym klienci wiedzieli - operował kapitałem lokowanym ze świadomością ryzyka. Jeśli Ireń dobrze zrozumiała istotę sprawy, to niepowodzenie pewnych przedsięwzięć było wkalkulowane w owo ryzyko. Dlaczego Edward Fenton miałby nagle stać się interesującym obiektem szantażu? Z tego samego powodu, co pozostałe osoby: miał coś do ukrycia.

Tu właśnie widać było sprzeczność. Pięć ofiar szantażu powinno dostać pięć palców. A dysponowano tylko czterema.

Należało podjąć próbę nawiązania kontaktu z Edwardem Fentonem.

Ireń i Tommy mieli szczęście. Elsy przywitała ich z bojaźliwym wyrazem twarzy i, jak zwykle, załamywała ręce.

- Ludwig ma kłopoty z brzuszkiem. Wrzeszczy i robi... luźną kupkę - oznajmiła, bardzo tym przejęta.

Potwierdzeniem jej słów były głośne krzyki dziecka. Sanna pospieszyła synowi na odsiecz w głąb domu.

Ireń uśmiechnęła się do Elsy i oddała jej pęk kluczy.

- Sanna była w mieszkaniu, tak więc nie musieliśmy ich użyć - wyjaśniła.

Elsy wrzuciła klucze do kwiecistej torebki.

- Czy chłopak źle się czuje od chwili, kiedy się obudził? - zapytał Tommy.

- Tak. Obudził się z kolką. Biedactwo... nie chce nic pić. Tylko płacze. I musiałam go ciągle przewijać.

Policjanci zatrzymali się na dłuższą chwilę w holu i pozwolili Elsy wygadać się na temat jej kłopotów z rozstrojonym żołądkiem wnuka. Kiedy w końcu się pożegnali, mieli wrażenie, że Elsy całkiem zapomniała o pęku kluczy.

- Jak dotrzemy do Edwarda Fentona? - zaczął Tommy, gdy znaleźli się już w samochodzie.

- Chyba porozmawiam z Glenem - odpowiedziała Ireń.

- Dobry pomysł.

Irenę poznała Glena Thomsena w Londynie, kiedy toczyło się śledztwo w sprawie trzech morderstw w Kullahult. Ta skomplikowana sprawa ze spektakularną potrójną zbrodnią w tle znalazła oddźwięk w prasie skandynawskiej i brytyjskiej. Przy okazji tamtego śledztwa Irenę i Glen stali się dobrymi przyjaciółmi. Matka Glena była Brazylijką, a ojciec Szkotem, stąd syn miał najbardziej śniadą cerę w Scotland Yardzie. Glen odwiedził kiedyś państwa Hussów w drodze na Przylądek Północny, spędził u nich kilka dni, po czym ruszył dalej swoim samochodem z przyczepą, razem z dwójką synów-bliźniaków, bardzo żywych sześciolatek. Posiadanie bliźniąt umocniło zresztą ich przyjaźń. Synowie Glena byli bliźniakami jednojajowymi.

Irenę czuła, że będzie mogła poprosić Glena o pomoc w nawiązaniu kontaktu z Edwardem Fentonem.

Rozdział 18

Nazajutrz Irenę zadzwoniła najpierw do Glena Thomsena. Szczęśliwie połączyła się z nim od razu. Długo rozmawiali o wszystkim innym oprócz sprawy, która ją najbardziej interesowała. Gdy w końcu rozpoczęła swą relację z trudnego śledztwa, musiała opowiadać o nim o wiele dłużej, niż przewidywała. Mimo to nie wszystko zdołała przekazać. Glen nie przerywał jej zresztą, choć Irenę trochę kaleczyła angielski.

- One heli oj a lot of problems - stwierdził ze śmiechem, kiedy skończyła swą szczegółową relację.

Irenę nie mogła się z nim nie zgodzić. W tej sprawie pojawiło się faktycznie aż nadto problemów.

- Nawiążę kontakt z tym całym Edwardem Fentonem i poproszę, żeby zadzwonił do ciebie, do Göteborga. Czy po południu będzie miał na to szansę? - zapytał Glen.

- Podałam ci przecież numer mojej komórki.

- To prawda. Odezwę się.

- Co tu jest grane? - wściekł się Andersson.

Irenę i Tommy powiedzieli mu właśnie o nieoczekiwanym przełomie w śledztwie. Zdaniem komisarza, skomplikowało się ono jeszcze bardziej.

- Nie mamy co prawda pewności, ale być może uzyskamy ją po rozmowie z Edwardem Fentonem - odpowiedział mu Tommy.

Irenę podzieliła się swoimi podejrzeniami o szantaż. Birgitta i Kajsa przyznały jej rację.

- Faktycznie wiele wskazuje na zastosowanie szantażu. Jeszcze raz przyjrzałyśmy się wszystkim danym ekonomicznym. Uwikłane w tę sprawę osoby, wszystkie bez wyjątku, zadziwiająco szybko wyzbyły się wielomilionowych majątków. A pieniądze Thomasa Bonettiego zniknęły w ciągu kilku dni po tym, jak on sam przepadł - rzekła Birgitta.

- Właśnie Bonetti stał się pierwszą ofiarą - przypomniał Andersson.

- On zagarnął chyba najwięcej - domyśliła się Kajsa.

Jej okropne siniaki zdążyły gdzieś poizienić. Nadal jednak przeważał odcień liliowy. Dzień przedtem Kajsa pozbyła się szwów, nie miała też bandaży na głowie, pozostał tylko niewielki opatrunek na samej ranie. Nie przejmowała się raczej różnorodnością kolorów na swojej twarzy. Uczestniczyła w śledztwie i był to intensywny udział. Irenę podziwiała ją za wytrwałość i upór. Zauważyła zresztą Tommy'ego u boku Kajsy. Czy spotkali się w czasie weekendu? Irenę nie zamierzała o to pytać.

- Ale skąd nagle taki cholerny pośpiech w likwidowaniu Cedera, Bergmana i Rothstaahla? - chciał koniecznie wiedzieć komisarz.

- Bylibyśmy o wiele bliżej rozwiązania całej zagadki, gdybyśmy znali odpowiedź na to pytanie - westchnęła Irene.

- Widocznie ktoś wpadł z tego czy innego powodu w panikę. Być może znowu chodzi o zatarcie śladów - zasugerował Tommy.

Irenę pokiwała głową. Jej przyszło na myśl to samo.

- Jak dotąd, mamy w tym śledztwie do czynienia z malwersacjami, szantażem i niejednym morderstwem. Ach tak,

i jeszcze z handlem narkotykami w Paryżu. W mieszkaniu Rothstaahla natknęliśmy się zresztą na dość dużą ilość narkotyków. Wszystkie te przestępstwa można określić jako poważne - stwierdziła Irene.

- Skoro mowa o Paryżu, jest coś, o czym ciągle zapominam. Gdzież ja to znowu położyłem? - niecierpliwiał się, posapując, Andersson, który szukał czegoś w stosie papierzysek na swoim stole. - O, tutaj!

Założył okulary do czytania i skierował wzrok na trzymany dokument.

- Przecież zabralyście parę włosów z mieszkania Rothstaahla. A teraz mamy odpowiedź na nasze pytanie o te włosy.

Andersson zrobił pauzę i sponad okularów zerknął na Irene. Zdziwił ją złośliwy uśmiezek w kącikach ust komisarza.

- - Jak się spodziewaliśmy, większość włosów należała do Bergmana i Rothstaahla. Zostały one szybko oddzielone. Resztę skojarzono z czterema osobami. Dwie z nich zidentyfikowano. Mianowicie Irene i Kajsę. Te włosy też zostały oddzielone. Do rozpoznania były już tylko te, które należały do dwóch innych osób. I...

Komisarz zamilkł i zamiast tamtego uśmiešku na jego twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha, po czym zaskoczył wszystkich słowami:

- ...jedną z nich jest najprawdopodobniej ojciec Ludwiga!

Andersson zrobił, co mógł, żeby zaszokować swoją wiadomością, i chyba nie miał powodu narzekać na efekt. Irene siedziała z otwartymi ustami i jej zdziwienie było szczere. Intuicja podpowiadała jej wcześniej, że profile DNA mogłyby się okazać przydatne przy próbie identyfikacji ojca Ludwiga, ale pojawienie się tego człowieka w toku śledztwa było dla niej pełnym zaskoczeniem. Szare komórki w jej mózgu wznowiły swe funkcje dopiero po dłuższej chwili. Co do jednego Irene nie miała już wątpliwości: opowieść Sanny o seksie z nieznanym w Nowym Jorku, rzekomo wyjaśniająca, skąd się wziął Ludwig, była po prostu wymyślona! Nasuwało się oczywiście pytanie o prawdziwego ojca. Policja dysponowała teraz czymś, co nie mogło nie skłonić Sanny do mówienia. Skoro nieznanany ojciec pojawił się nagle w tym śledztwie w sprawie paru morderstw, odmowa z jej strony nie wchodziła w rachubę.

- Część włosów należy zatem do człowieka, który jest prawdopodobnie ojcem Ludwiga. Był tam jeszcze jeden włos niezidentyfikowany, a pochodzi on od osoby starszej wiekiem, bo jest siwy - mówił dalej Andersson.

- Do mnie strzelał blondyn. Tak więc on miałby być ojcem Ludwiga?! - zniecierpliwiła się Irene. I po chwili zastanowienia dodała: - Musimy znowu przyprzeć Sannę do muru. Kto jest ojcem jej syna? Jaki hak miał na nią szantażysta? Wątpliwe, czy będzie chętnie odpowiadać. Nie wiadomo, ile jeszcze potrafi znieść. Wczoraj była w wielkim strachu. Śmiertelnie przerażona.

Po plecach Irene przeszły ciarki, kiedy przypomniała sobie białka oczu Sanny, które zaskoczyły ją tam, w holu. Wyraz jej oczu świadczył o niesamowitym przerażeniu, wręcz o śmiertelnym strachu. Miała dość powodów, by drzeć o swoje życie, zwłaszcza w obliczu znacznej śmiertelności w kręgu jej znajomych.

O głos poprosił Fredrik Stridh.

- Razem z Jonnym spróbowaliśmy ustalić, dlaczego Bergman i Rothstaahl musieli w jednym czasie pojechać do Göteborga. Ponad wszelką wątpliwość nie chodziło o spotkanie ich obu,

lecz o konfrontację z kimś trzecim. Nie udało nam się dociec tożsamości tej trzeciej osoby. Sprawdziłem swoją teorię, że mógł to być Kjell Bengtsson Ceder, ale nie o niego chodziło. On spotykał się ze swą sekretarką, Malin Eriksson. Miał z nią romans. Wczoraj usłyszałem o tym od niej, kiedy jeszcze raz zapytałem, co Ceder robił w tamten poniedziałkowy wieczór, zanim go zamordowano. Odniosłem wrażenie, że sekretarka postanowiła powiedzieć prawdę. Otóż umówili się na kolejne spotkanie we wtorek wieczorem w mieszkaniu Cedera. Malin Eriksson dostała klucz do tego mieszkania. Przygotowała gorący posiłek i czekała tam do północy. Ale Ceder się nie pojawił - z wiadomych przyczyn.

- Właśnie dlatego zginął w Askim! Umówił się z mordercą w willi, bo wiedział, że Sanna i Ludwig będą u Tove Fenton, jej siostry! A w jego mieszkaniu przebywała kochanka, która czekała, przy świecach, z kolacją. Ceder nie chciał z jakiegoś powodu, żeby ta Malin Eriksson wiedziała, z kim miał się spotkać - stwierdziła wzburzona Irene.

Nareszcie wyjaśniło się, dlaczego Kjell Bengtsson Ceder został zamordowany w willi w Askim! Wszystkich, Sannę nie mniej niż innych, zdziwił fakt, że zamordowano go w domu, w którym prawie nigdy nie był.

- Cholerna baba! Czy nie mogła wcześniej wydusić tego z siebie? - zirytował się komisarz.

- To mężatka. Żona policjanta - poinformował z drwiącym uśmiechem Fredrik.

Andersson wyglądał na nieprzyjemnie zaskoczonego.

- Ach tak. Wobec tego... Czy znamy jej męża? - spytał niepewnie.

- Raczej nie. Całkiem niedawno został przyjęty do pierwszego komisariatu. Służył kilka lat w Sztokholmie i wiosną przeniósł się tutaj ze swą żoną, Malin. Oboje są z Göteborga. Ona chciała wrócić do domu i dostała pracę u Cedera - wyjaśnił Fredrik.

Tak więc Kjell Bengtsson Ceder dosyć szybko wdał się w romans z nową sekretarką. Sanna i Ludwig nie mieli dla niego znaczenia. A on niewiele znaczył dla Sanny. Dlaczego w ogóle się pobrali? To pytanie też należało zadać Sannie.

Jonny odchrząknął, chcąc skupić na sobie uwagę obecnych.

- Wytropiłem zaginioną łódź Thomasa Bonettiego. Szukano jej długo i bezskutecznie, kiedy ten facet zniknął - ulotniła się bez śladu. Czy przypominacie sobie ten wielki gang, który wysledzili w lecie nasi koledzy z Malmö? Ich specjalnością były kradzione wozy i łodzie. Większość eksportowano, ale część sprzedawano w Szwecji. Ci złodzieje zmieniali po prostu numery silników łodzi. Przedwczoraj przyszło mi coś na myśl, zadzwoniłem więc do Malmö i spytałem, czy nie wpadł im w oko jakiś Storebro Royal Cruiser 420. Wczoraj dostałem faks. Dwa lata temu taki model został sprzedany komuś w Karlskronie. Numer silnika jest fałszywy, teraz będą więc szukać prawdziwego, który kryje się gdzieś wewnątrz.

- Świetnie! Może wreszcie teraz dowiemy się, gdzie przepadł tamten luksusowy jacht - ucieszył się Andersson.

Irene była przede wszystkim zdziwiona tym, że Jonny wykazał tyle inicjatywy. Choć właściwie zdawała sobie sprawę, że potrafił się popisać inteligencją, jeśli wkładał w to trochę wysiłku. Ale przez ostatnie lata właśnie wysiłku brakowało, bo on się nie kwapił. Znów poprosiła o głos:

- Dalej trzeba zakładać, że do śmierci Thomasa przyczyniły się co najmniej dwie osoby.

Tamta łódź jest duża i wymaga tego, by ktoś manewrował i rzucił potem cumy. Drugi człowiek musiał trzymać Thomasa w szachu. Po morderstwie jeden z nich odpłynął łodzią tam, gdzie mógł ją przejąć gang. Drugi płynął za nim inną łodzią, która pozwoliła potem im obu wrócić do domu. Albo też sternik łodzi Thomasa miał w pobliżu samochód. Albo jeszcze inaczej: mógł po prostu skorzystać z publicznego transportu.

- Wątpliwe. To zbyt wielkie ryzyko. Kto popełnił taką zbrodnię, ten będzie chciał być widziany przez jak najmniej osób. Moim zdaniem, wchodzi w rachubę łódź albo samochód - stwierdziła stanowczym tonem Birgitta.

- Albo może pobiegł stamtąd - zasugerował Tommy.

- Pobiegł? - zdziwił się Andersson i jeszcze bardziej zmarszczył swoje pobrużdzone już czoło. W tym momencie był zdumiewająco podobny do buldoga. Irenę wiedziała, że nie tylko to upodobało go do psa owej rasy: co schwytał, tego z rąk nie wypuszczał. Jego upór w takich sytuacjach pomógł im w minionych latach doprowadzić do końca niejedno śledztwo.

- Tak. Biegacz, którego widziano w Askim w porze morderstwa, nie zgłosił się pomimo naszych apeli w prasie. A poza tym mignęła nam w domu sylwetka biegacza - przypomniał Tommy.

Irenę ledwo pamiętała już o tym, że jakiś mężczyzna z psem wypatrzył mimo mżawki kogoś, kto uprawiał jogging. Ten ostatni mógł oczywiście okazać się ważnym świadkiem. Z jego strony można było spodziewać się co najmniej jakichś istotnych spostrzeżeń, skoro znajdował się w pobliżu domu w porze zbrodni. Tommy miał rację, biegacz zasługiwał na zainteresowanie.

- Zastanawia mnie Sanna. Zeznała, że ktoś groził jej i Ludwigowi. I jest jedyną żyjącą jeszcze osobą spośród tych, którym przesłano palce - refleksyjnym tonem mówił dalej Tommy.

- Edward Fenton też dostał palec - przypomniała Irenę.

- Tak powiedział Sannie. Pewności mieć nie będziemy, póki z nim nie porozmawiamy.

Irenę przyznała Tommy'emu rację. Również jej zdaniem narażenie szefa europejskiej filii banku H.P. Johnsona na szantaż było dziwaczną sytuacją.

- Morderca jest nadal aktywny i zagroził jej za pośrednictwem tego Fentona. Nasuwa się pytanie: czy musimy brać pod uwagę jej bezpieczeństwo? - powiedział Tommy.

- Jeśli umieścimy w domu policjanta, to morderca zrozumie, że zaczęła śpiewać - wtrącił Fredrik.

Andersson wydymał swoje pulchne policzki i wypuszczał z nich powietrze, czemu towarzyszyły ciche parsknięcia. Wszyscy podwładni wiedzieli, że to oznaka głębokiego skupienia ich szefa. Pogrążył się w rozmyślaniach. Po dłuższej chwili klasnął w dłonie i oznajmił:

- Nadzór! Obejmiemy ją i chłopca całodobowym nadzorem. Jeśli morderca zechce sprzątnąć ją albo dziecko, to nadzór nad nimi będzie podwójnie uzasadniony. W grę wejdzie bezpośrednia ochrona ich życia oraz możliwość schwytania tego, kto czyha na oboje.

- A jeżeli ona kłamie? W takim przypadku kosztowny przecież nadzór nie będzie miał sensu...

- zaczął Jonny.

- Gdybyś ją wczoraj widział, kiedy o tym opowiadała, też byłbyś przekonany, że mówi prawdę. Możesz mi wierzyć. W ostatnich tygodniach usłyszałem z jej ust całe mnóstwo kłamstw. A nie wychodzi jej to zbyt dobrze - przerwał mu Tommy.

Jonny odburknął coś i zerknął na Tommy'ego niezyczliwym wzrokiem, ale powstrzymał się od dalszych zastrzeżeń. Wszyscy wiedzieli o jego wielkiej niechęci do działań obserwacyjnych. Zmuszają one przecież do wielogodzinnej czujności.

- Kiedy zaczynamy? - spytała Irenę.

- Po lunchu. Kajsa i Birgitta obejmą pierwszy dyżur - postanowił Andersson.

- Czy musimy informować Sannę? - zainteresowała się Birgitta.

To pytanie wywołało nową serię wydechów i parsknięć, aż wreszcie komisarz podjął decyzję.

- Nie. Tożsamość mordercy albo morderców nie jest znana ani nam, ani, jak sądzę, tej paniusi. Jeśli będzie wiedzieć o ochronie, to może nieświadomie ostrzec tego bądź tych, którzy na nią czyhają.

Irenę przyjęła z ulgą to, że komisarz potraktował bardzo serio groźbę wobec Sanny i jej syna. Było doprawdy dość powodów, by groźby nie zlekceważyć.

Policjanci ustalili harmonogram obserwacji na najbliższe dni. Na Irenę i Tommy'ego przypadł pierwszy dyżur wieczorny od godziny 18.00 do północy. W sobotnie popołudnie czekał Irenę wspólny dyżur z Jonnym, ponieważ Tommy został na weekend zwolniony z tej służby „z prywatnych powodów”. Irenę przyjęła tę wiadomość ze ściśniętym gardłem. Jedynym

„powodem” była przeprowadzka Agnety. Tommy zamierzał pojechać z dziećmi na weekend do swoich rodziców. Przechodził teraz istny koszmar. Irenę zerkała na niego i widziała ciemne podkowy pod jego oczami. Pewno kiepsko spał. I bardzo zmizerniał na twarzy. Widać też było, że stracił parę kilogramów. Owszem, sam wspominał, że trochę się na nim to wszystko odbiło, ale tak marnego wyglądu chyba nie przewidział. Jak dotąd, o rozwodzie wiedziała tylko Irenę; nikt inny raczej nie zauważył u Tommy'ego żadnej zmiany. Tommy robił, co mógł, żeby ukryć swój ból. Jak długo człowiek potrafi wszystko tłumić, nie dopuszczać do wybuchu? Doświadczenie nauczyło Irenę tego, że taki wybuch musiał prędzej czy później nastąpić. A Tommy długo już skrywał swoje problemy, i robił to tak dobrze, że nawet ona niczego się nie domyśliła.

Do ostatniego spotkania Irenę i Kristera z Tommym i Agnetą doszło latem. Od kilku lat zbierali się w noc świętojańską w domku Perssonów w Orust, i stało się to już tradycją. Świętowano w licznym gronie sąsiadów i przyjaciół. Najstarszy syn Tommy'ego, Martin, był chrześniakiem Irenę. Zwykle rozmawiała i żartowała z nim, ale ostatnio było inaczej. Ten piętnastoletni chłopiec był mrukowaty i nietowarzyski. Zniknęła nawet jego gadatliwość. Martin pojechał po południu na wycieczkę rowerową z kolegami i wrócił do domu około drugiej w nocy. Agneta wyjaśniła zły humor Martina wyjazdem jego dziewczyny na kurs językowy do Anglii.

Ale niekoniecznie właśnie jej nieobecność tak podziałała. Zachowanie Martina świadczyło raczej o rozdźwięku w rodzinie. Potrafił już zrozumieć, że coś jest nie w porządku. Pewnie też zasłyszał to i owo. A sygnałów zmiany jednak nie było. Tommy i Agneta umieli ukryć swój konflikt.

Irenę w skrytości ducha żywiła nadal irracjonalną urazę o to, że Tommy i Agneta właśnie ją wywiedli w pole.

Ledwo Irenę przełknęła ostatni kęs lunchu, czyli kielbasy z rusztu z makaronem polanym sosem, odezwał się jej telefon komórkowy. Glen Thomsen rozgadał się, zanim Irenę zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Masz naprawdę niezwykły talent do wdeptywania w dziwaczne sprawy! A tym razem udało ci się niezwykle!

Glen roześmiał się, ale Irenę nie była pewna, czy też powinna zareagować śmiechem. Nie rozstrzygnęła jeszcze tej wątpliwości, gdy Glen dodał trochę spokojniej:

- Kiedy dziś rano zasięgałem języka, nikt nie umiał wskazać miejsca pobytu Edwarda Fentona. Ci, z którymi rozmawiałem, wydali mi się zatroskani i czymś zdenerwowani. W końcu dotarłem do kogoś, kto określa siebie jako szefa służby informacyjnej. I okazało się, że Edward Fenton zniknął kilka dni temu!

- Zniknął kilka dni temu! - powtórzyła Irenę. Nie była to bynajmniej dobra wiadomość.

- Tak. Zarząd banku H.P. Johnsona zebrał się dzisiaj rano w celu omówienia działań koniecznych w tej kryzysowej sytuacji. Wygląda na to, że Edward Fenton spędził dwa pierwsze tygodnie września w Stanach, gdzie razem ze swą rodziną odwiedził jakichś krewnych. Żona została tam z synami na następne dwa tygodnie, a on wrócił do Londynu. O dziwo, ani w poniedziałek, ani we wtorek nie pojawił się w biurze i nie dał znaku życia.

Właściwie często pracuje w domu, ale raczej nie zdarza mu się to po tak długiej nieobecności. W środę, siedemnastego września, był znowu w biurze. Od sekretarki wiadomo, że miał pokaleczoną twarz i wielki plaster na niej. Wyjaśnił, że poślizgnął się na kamiennych schodach do ogrodu. Ale nie powiedział, gdzie był w dwóch pierwszych dniach tamtego tygodnia. Pozostałe dni spędził, jak zawsze, normalnie pracując. W piątek po południu oznajmił sekretarce, że w poniedziałek rano wybiera się do Berlina. I przez cały ten tydzień utrzymywał codzienny kontakt telefoniczny z sekretarką ze swojej komórki. Po raz ostatni zadzwonił w piątek, dwudziestego siódmego września. Od tej pory nie odezwał się do nikogo.

- Co robił w Berlinie?

- Nic.

|- Nic? - powtórzyła machinalnie Ireneę.

- Właśnie. Otóż w ogóle tam nie dojechał. Owszem, zarezerwował na poniedziałek miejsce w samolocie do Berlina, ale do niego nie wsiadł.

- A dokąd się udał?

- Tego nie wie nikt. Zniknął.

Ireneę poczuła, że zaschło jej w ustach. Miała w głowie straszliwy galimatias!

- Glen, pamiętasz chyba, co ci opowiadałam dziś rano. Zamordowano cztery osoby. Tu, w Góteborgu, mamy dwie osoby - młodą kobietę i jej małe dziecko - właśnie objęte przez nas ochroną, ponieważ grożono im śmiercią. Dwa dni temu przekazał tę groźbę telefonicznie Edward Fenton. Kobiecie, o której mówię, wspomniał, że przed trzema laty otrzymał ucięty palec i że też usłyszał groźbę.

Glen zamilkł na chwilę, po czym zapytał:

- - Sądysz, że i on może zostać zamordowany?

W jego głosie nie było już ani śladu rozbawienia.

- Jest takie niebezpieczeństwo.

- Co wiesz o tym Fentonie? - zapytał.

Ireneę podzieliła się swą skąpą wiedzą. Kiedy skończyła mówić, milczał dość długo. A potem padło z jego ust pytanie:

- Czy to ty mówiłaś, że jego żoną jest Janice Santini? Córka Sergia Santiniego.

- Tak.

- Jako się rzekło... gniazdo os. Ale jeden z moich kolegów wie więcej o tym wszystkim - dodał refleksyjnym tonem Glen.

- Więcej o czym? - zdziwiła się Ireneę.

Coraz trudniej przychodziło jej skrywanie własnej niecierpliwości.

- O Stanach Zjednoczonych... i o pewnym rodzaju przestępczości. On pracował w FBI. Kilka lat temu przeniósł się do Londynu, bo poznał jakąś babkę stąd. Teraz pracuje u nas.

Ireneę czuła, że ma mętlik w głowie. Wszystkie osy z gniazda, które przydeptała, trafiły chyba do jej mózgu.

- Odezwę się znów, skoro tylko dowiem się czegoś więcej - zakończył Glen.

- Dziękuję... bardzo dziękuję - powiedziała Ireneę. Kiedy wyłączyła swój telefon, poczuła się wyczerpana,

jak po nadzwyczaj długim treningu.

Rozdział 19

Ireneę poszukała miejsca na samochód na parkingu za chodnikiem i ścieżką rowerową. Wóz można tam było ukryć dzięki wysokim drzewom i gęstym krzakom. Poza pasem roślinności rozpościerała się otwarta przestrzeń aż do willi Sanny Kaegler-Ceder. Samochód Ireneę znalazł się na wprost luki w roślinności. Zewnętrzne oświetlenie willi sprawiało, że była dobrze widoczna przez tę lukę.

- Stąd możemy obserwować wejście i zachodnią ścianę szczytową. Tyłu i wschodniej ściany nie zobaczymy w ogóle. Tak więc jedno z nas musi się przenieść, aby tył i wschodnia ściana były pod obserwacją - stwierdził Tommy.

Miał ze sobą zwyczajną lornetkę. Ireneę wypożyczyła specjalną lornetkę, a właściwie noktowizor z sekcji antynarkotykowej, choć tamci policjanci byli mocno niezadowoleni.

„Trzeba się nauczyć dzielić różnymi rzeczami. Tę umiejętność dzieci powinny opanowywać już w przedszkolu” - powiedziała z uśmiechem od ucha do ucha Ireneę, po czym zniknęła ze swoim łupem za drzwiami. Brak zarośli i drzew wokół domu zmuszał do pozostawiania w sporej odległości od niego. Szczególnie przy złej pogodzie obserwacja domu po

ciemku z użyciem zwyczajnych lornetek mogłaby się okazać trudna. Noktowizor był nieocenioną zdobyczą. Taki przyrząd jest właściwie elektronicznym wzmacniaczem światła, potrafiącym zwiększać jego natężenie nawet tysiąc razy. Irenę posługiwała się nimi we wcześniejszych śledztwach i była świadoma ich wielkiej przydatności.

Teraz rozejrzała się szybko po okolicy za pomocą swojej lornetki. Zaraz też wypatrzyła to, czego szukała.

- Przetnę ścieżkę rowerową i znajdę sobie miejsce na tyłach domu. Stanę w zagajniku za tamtą wolną przestrzenią. Widzisz chyba korony drzew nad dachem domu - powiedziała, wskazując je, Irenę.

- Dobrze.

Zsynchronizowali zegarki, wyłączyli dźwięk w komórkach i przestawili je na wibracje. Irenę zawiesiła sobie pożyczony noktowizor na szyi, ale ukryła go pod kurtką. Tkwiła pod nią także kabura z jej Sig Sauerem. Irenę ubrała się odpowiednio do pogody, jakiej można było się spodziewać po ciężkich deszczowych chmurach i silniejszym już wietrze. Służby meteorologiczne zapowiadały pod wieczór wichurę.

- Odezwij się, kiedy uznasz, że wolałabyś posiedzieć w samochodzie, wtedy się zamienimy - zaproponował Tommy.

Irenę wysiadła z wozu i skierowała się w stronę ścieżki rowerowej. Wyliczyła zawczasu, że przejdzie tą ścieżką sto pięćdziesiąt metrów, po czym skręci w kierunku zagajnika. Od morza mocno wiało. Zapach soli drażnił powonienie, prócz tego twarz smagały drobne krople deszczu. Pomiędzy rzadko ustawionymi latarniami zmierzch zdążył się przemienić w jednolitą ciemność. Zimny wiatr zmusił Irenę do włożenia kaptura. W oddali zobaczyła samotnego mężczyznę z owczarkiem. Być może właśnie ten człowiek widział amatora joggingu w ów wieczór, kiedy został zamordowany Kjell Bengtsson Ceder. Mężczyzna z psem szedł w tym samym kierunku, co Irenę, przy czym ani dla człowieka, ani dla zwierzęcia jej obecność zdawała się nie mieć znaczenia. Aby zachować pewną orientację co do tego, gdzie jest, Irenę liczyła kroki. Doliczywszy się stu pięćdziesięciu, skręciła ze ścieżki rowerowej w stronę zagajnika. Najpierw musiała pokonać spore wzniesienie pokryte trawą. Tamte wysokie drzewa zobaczyła przed sobą niespełna pięćdziesiąt metrów w prawo. „Całkiem dobrze je namierzyłam” - pomyślała, zadowolona z siebie. Dotrzeć po ciemku do zagajnika nie było łatwo, bo przyszło się przebić przez wysoką trawę i maliniak. Gdy znalazła się już na posterunku w zagajniku, stwierdziła, że to idealne miejsce do prowadzenia obserwacji. Mogła patrzeć spoza pnia drzewa, osłonięta przez niższą brzezinę. Nie było takiego niebezpieczeństwa, aby ktoś przebywający w domu dostrzegł jej sylwetkę, w czarnym ubraniu i w głębokiej ciemności pod drzewami.

Irenę założyła noktowizor i uważnie przyjrzała się tylnej ścianie domu. Kolory nie były rozpoznawalne, noktowizor nadawał wszystkim przedmiotom rozmaite odcienie barwy zielonej. Dzięki oszklonej przybudówce zobaczyła nawet wnętrze salonu. Odniosła wrażenie, że nikogo tam nie ma. Natomiast w pokoju przeznaczonym chyba dla Ludwiga paliło się światło. Irenę wypatrzyła w nim Elsy Kaegler. Elsy ruszała ustami i kilka razy się nachyliła. Zasłony w sypialni Sanny były zaciągnięte. Ze szczeliny między nimi wydobywała się smuga słabego światła. Być może Sanna leżała na swoim łóżku, wpatrzona w szeroki ekran telewizora.

Irenę i Tommy zjedli lunch przed wyjazdem na obserwację, a jednak około dziewiątej wieczorem Irenę czuła już wielkie pragnienie. Chętnie wypiłaby coś gorącego. Mimo że drzewa właściwie chroniły przed wiatrem, ręce Irenę skostniały za sprawą wilgotnego powietrza znad morza. Długie wystawanie okazało się męczące, mimo że Irenę wykonywała ostrożne ruchy dla przyspieszenia przepływu krwi. Czy nie należałoby się na jakiś czas zamienić z Tommym?

W momencie, gdy zaczęła wystukiwać jego numer, otworzyły się tylne drzwi domu. Irene zamarała z kciukiem gotowym do włączeniu sygnału. Zobaczyła przez lornetkę Sannę, która wystawiła głowę na zewnątrz i rozejrzała się. Gdy stwierdziła, że nikogo w pobliżu nie ma, szybko wymknęła się z domu, zamknawszy drzwi. Irene nacisnęła klawisz telefonu.

- Tommy - odezwał się jej kolega.

- Sanna wyszła z domu drzwiami od tyłu, którymi wchodzi się do ich pralni. Ma na sobie wierzchnie okrycie. Długi płaszcz i spodnie. Włosy upięła w koński ogon. Chyba idzie w twoim kierunku - powiedziała cicho.

- Teraz ją widzę. Wychodzi zza rogu. Jakby szła do jakiegoś punktu między mną a ścieżką rowerową. Niewykluczone, że wejdzie na tę ścieżkę. Och, a teraz się potknęła!

- Czy nie ma latarki?

- Nie.

Irenę też dostrzegła zachwianie się Sanny. Wędrówka w ciemności przez podmokłe pole musiała być uciążliwa. „Mam nadzieję, że włożyła odpowiednie buty” - pomyślała. I nie bez kozery, bo nigdy jeszcze nie widziała u Sanny obcasów poniżej dziesięciu centymetrów.

- - Pójdę za nią skrajem lasu - zapowiedziała szeptem Irene.

- Zgoda. Ja ruszę w stronę ścieżki rowerowej. Nie wyłączaj komórki.

- Zrozumiałam.

Niełatwo było przebijać się bezszelestnie przez zarośla i chaszczki, ale ten sam problem miała Sanna. Potykała się w ciemnościach. Irene utwierdziła się w przekonaniu, że wysokie obcasy Sanny grzęzną w miękkiej glinie. Korzyść z tego była taka, że Irene zaczęła ją doganiać.

Tommy nie pomylił się chyba, gdy wyraził przypuszczenie, że Sanna ruszy w kierunku ścieżki rowerowej. Przecięła bowiem otwartą przestrzeń na ukos i dochodziła właśnie do zarośli obok ścieżki. Irene dzieliło od Sanny niespełna pięćdziesiąt metrów. I nagle dostrzegła nieznaczny ruch w krzakach, które miała przed sobą. Stała i przyłożyła lornetkę do oczu.

Wśród gałęzi skryła się jakaś postać w wiatrówce z kapturem. Sannę dzieliło od tego mężczyzny mniej niż dziesięć metrów. Irene zobaczyła jego uniesioną rękę i rzuciła się w stronę Sanny, która nie spodziewała się żadnego zagrożenia. Nie tracąc czasu na obmyślenie następnego ruchu, Irene pobiegła wzdłuż pola. Sięgnęła pod kurtkę, żeby wyjąć pistolet z kabury. I wykrzyknęła co sił w płucach:

- Policja! Stój, bo strzelam! Stój!

W tym czasie od strony ścieżki rowerowej dobiegł Tommy i wydał głośno podobne polecenie:

- Policja! Proszę się zatrzymać! Policja!

Irenę zobaczyła jednocześnie, jak Sanna zachwiała się i upadła; dostrzegła też bezgłośnie chwilowe rozproszenie ciemności u wylotu lufy. „Tłumik” - przyszło jej na myśl.

Stała i obejrzała przez noktowizor miejsce, w którym był przedtem tamten mężczyzna.

Dostrzegła już tylko plecy, ponieważ zniknął błyskawicznie wśród krzaków i drzew.

- Ja zajmę się Sanną! - zawołał Tommy.

- Dobrze! Nie wyłączaj komórki! - wykrzyzczała w odpowiedzi Irene.

- Zrozumiałem!

Irenę zobaczyła, że Sanna się porusza, ale pozostaje w pozycji leżącej. Na ścieżce rowerowej znów przyłożyła do oczu lornetkę. Tamten człowiek biegł ze sporą przewagą - bardzo szybko

- w kierunku Billdal. Choć była niezłą sprinterką, zrozumiała, że go nie dogoni. A że miał

broń, to próba samodzielnego schwytania nie była wcale dobrym pomysłem. Irene

osiągnęłaby coś pożytecznego, gdyby zdołała podejść na tyle blisko, by celnie strzelić w jego

łydkę. Tyle że, prawdę powiedziawszy, Irene nie wyróżniała się w strzelaniu. Coroczne

sprawdziany kończyły się dla niej oceną dostateczną, na więcej nie było jej stać.

Wciąż miała w ręku komórkę, ale musiała jeszcze raz wystukać numer Tommy'ego, który się rozłączył, żeby wezwać karetkę. Mówiła w biegu, prosząc o skierowanie do Hovas radiowozów, które mogłyby odciąć tamtemu drogę ucieczki.

Wiatr nasilił się jeszcze bardziej i przywiewał teraz ciężkie krople deszczu znad morza. Bieg pod wiatr męczył podwójnie. Odległość między nimi ciągle rosła. Ireń zacisnęła zęby, starając się nie stracić tamtego człowieka z oczu. Biegł irytująco swobodnie i sprawiał wrażenie wysportowanego. Był młody, nieco ponad średniego wzrostu, atletycznej budowy, w ciemnej wiatrówce z kapturem i ciemnym stroju do joggingu. Ireń starała się zachować to w pamięci. Było to już coś, choć za mało na rysopis.

Kątem oka dostrzegła, że mijają przystań. Tamten mężczyzna wiedział, dokąd się kierować, bo przebiegł nabrzeże, nie okazując przy tym ani śladu zmęczenia. Ireń była już spocona i dyszała. Ciepła odzież, którą miała na sobie, nie nadawała się na długie biegi. Co gorsza, odezwało się nadwerężone prawe kolano.

Nagle tamten zniknął z pola widzenia jej lornetki. Na ścieżce rowerowej nie było nikogo. Ireń stanęła i zaczęła nasłuchiwać, ale daremnie, bo przeszkadzał silny wiatr. Ponadto w jej uszach pulsowała krew, i to tak głośno, że nie usłyszałyby nawet parowozu nadjeżdżającego z naprzeciwka z maksymalną prędkością. Nie bez trudu wspięła się na zdradliwie śliskie trawiaste zbocze i przez lornetkę obejrzała panoramę okolicy. Po kilku sekundach wypatrzyła tamtego: w niezmiennym tempie biegł skrajem pola golfowego. Drzew było tam niewiele, ale on nie przejął się tym chyba. Nie starał się kryć za drzewami. Uznał pewnie, że Ireń nie ma noktowizora.

Ireń zadzwoniła znów do Tommy'ego.

- Biegnie w stronę parkingu klubu golfowego - wysapała.

- Czy widzisz go teraz?

- Tak. Ale parking jest otoczony wysokimi krzakami... teraz zniknął. Czy któryś z wozów nie mógłby go zatrzymać, kiedy on wybiegnie na drogę?

- Nie wiem. W pobliżu nie było żadnego patrolu, ale obiecali przysłać tyle, ile zdołają. Ja mogę...

- Teraz nadjeżdża jakiś samochód!

Ireń próbowała rozpoznać markę i ewentualnie numer rejestracyjny, ale samochód jechał zbyt szybko. Kilka drzew przesłoniło blask jego tylnych świateł, po czym wóz zniknął.

- A niech to! - zirytowała się.

- Właśnie nadjeżdża karetka - poinformował Tommy.

- Co z nią?

- Została trafiona w głowę. Jest przytomna, ale w szoku - wyjaśnił.

Oczywiście można to było zrozumieć. Nikomu nie jest przyjemnie, kiedy zostaje postrzelony. Ireń miała jeszcze w pamięci tamten strzał w Paryżu. Niewykluczone, że człowieka, który strzelił do niej w mieszkaniu Rothstaahla, ścigała dopiero co tutaj, na ścieżce rowerowej w kierunku Billdal.

- Musimy mieć nadzieję, że jakiś patrol zdąży odciąć mu drogę - spróbowała poprawić sobie nastrój Ireń.

Ale Tommy już się wyłączył.

Rozdział 20

Sannie uratowały życie jej wąskie wysokie obcasy. Na sekundę przed oddaniem strzału przez napastnika Sanna utknęła jednym obcasem w glinie i zachwiała się. Z tego powodu kula wyłobila głęboką bruzdę u nasady włosów, zrywając skórę z pobliskiej kości, nie przebiła jej jednak i nie przedostała się do mózgu. Jako pamiątka po tym ataku pozostanie jej na resztę życia stały przedziałek tuż nad lewym uchem.

Lekarze nie stwierdzili u Sanny żadnych poważniejszych urazów w obrębie czaszki. Miała natomiast wstrząs mózgu i była w szoku. Można by oczekiwać od niej przynajmniej umiarkowanej wdzięczności dla policjantów za to, że ocalała. Ale nie okazała jej. Woląta, jak zwykle, kłamać i kluczyć, byleby nie odpowiedzieć na ich pytania. Jako ostatni argument padły słowa:

- Muszę wrócić do domu i zająć się synkiem.

Sanna skierowała swe pełne łez oczy w stronę Tommyego i zadbała o to, by choć trochę zdrząły jej usta. Zagrała to dobrze, ale Irenę parsknęła śmiechem. Sanna chciała ją zignorować, co w tej ciasnej izolatce nie było łatwe.

W domu w Askim pozostawiono na noc policjanta. Elsy Kaegler i małego Ludwiga policja przewiozła rano do mieszkania Elsy.

- Czy naprawdę musisz wrócić do domu? A jeśli morderca znów się pojawi... - zasugerował Tommy.

Sanna zamrugała oczami, po czym znowu wbiła w niego wzrok, złagodniały z powodu wcześniejszych łez.

- Nie sędzę, aby się ośmielił. Teraz działa alarm, a poza tym on wie, że jestem pod waszą ochroną - powiedziała z nikłym uśmiechem.

„Ona nie boi się tego, kto strzelał” - pomyślała zdziwiona Irenę. Reakcja Sanny nie była całkiem naturalna. Powinna raczej okazywać przerażenie, błagać o ochronę i prosić o kilka dni przedłużenia pobytu w szpitalu.

- Kto próbował cię zabić? - właśnie dlatego zapytała Irenę.

- Nie mam pojęcia - natychmiast odparła Sanna. Tommy pochylił się ku obandażowanej głowie, która nieomal złała się z tłem, czyli z białą powłóczką na poduszkę, i poszukał wzroku Sanny.

- Posłuchaj mnie uważnie, Sanno. Mamy dowód na to, że tamten człowiek zamordował cztery osoby. Bliskie ci osoby. Jego ofiarami stali się Thomas Bonetti, Joachim Rothstaahl, twój mąż Kjell i Philip Bergman.

Świadomie zostawił na koniec to, co musiało najbardziej zboleć. Zanim Sanna znów zebrała siły, Tommy powrócił do swego monologu, wypowiadanego głosem niemalże hipnotyzującym:

- Wczoraj wieczorem próbował też zamordować ciebie. Nie żyłabyś już, gdybyśmy razem z Irenę nie przeszkodzili mu naszym krzykiem i gdybyś się nie potknęła.

Tommy znów umilkł i jeszcze bardziej przybliżył swoją twarz do poblądłej twarzy Sanny.

Akcentując każde słowo z osobna, zapytał szeptem:

- Dlaczego osłaniasz mordercę?

Sanna spojrzała rezolutnie na Tommy'ego, ale musiała w końcu odwrócić wzrok.

- Nikogo nie osłaniam. Nie wiem, kto to jest - odpowiedziała płaczącym głosem.

Irenę i Tommy szybko porozumieli się wzrokiem. Nadszedł czas na serię mniej przyjemnych pytań. Irenę odchrząknęła, przygotowując się do odegrania swojej roli.

- Dlaczego wysłaś tylnymi drzwiami?

Sanna zwilżyła wargi i bez wahania odpowiedziała:

- Bo mój płaszcz wisiał w pralni. Był mokry, kiedy miałam go poprzednio na sobie. Dlatego tam wisiał...

- Pytam jeszcze raz. Dlaczego wysłaś tylnymi drzwiami? - przerwała jej Irenę.

Sanna popatrzyła na nią ze złością. „Nie będzie dobrze, jeśli ona znowu okaże się twarda. Musisz ją nastraszyć, żeby zaczęła mówić prawdę” - upomniała samą siebie Irenę.

- Tak było najprościej. Płaszcz...

- Dlaczego w ogóle wysłaś?

- Potrzebowałam świeżego powietrza. Wieczornego spaceru...

- W szpilkach po glinie - uzupełniła Irenę.

Brzmienie jej głosu nie świadczyło bynajmniej o wyrozumiałości - Irene nie starała się skryć swego przeświadczenia o tym, że Sanna kłamała.

- Często spaceruję dokoła domu - dodała nieprzekonująco.

- Obserwowałam cię przez lornetkę. Skierowałeś się tam, gdzie stał ten mężczyzna. Nie miałaś żadnych wątpliwości, że tak trzeba. Nie ma też wątpliwości co do tego, że on chciał cię zabić. Kiedy uniósł rękę, wycelował broń w twoją stronę, i ja to widziałam. Gdyby nas tam nie było, zginęłabyś. Zamordowana. Przez człowieka, który zabił tamtych czterech. Przez człowieka, którego ty z jakiegoś niezrozumiałego powodu osłaniasz. Ty wiesz, kto to jest. Podaj jego nazwisko.

Przez kilka sekund Sanna wyglądała faktycznie na wystraszoną, ale ten wyraz twarzy zniknął tak szybko, jak się pojawił. Zastąpiła go teatralnym przyłożeniem ręki do skroni i żalną skargą:

- Moja głowa... boli mnie głowa.

- Dobrze, wobec tego uporajmy się z tym szybko. Powiem wprost. Skoro tylko zostaniesz wypisana ze szpitala, zawieziemy cię do komendy. Potrzymamy cię tam, póki nie wyśpiewasz tego, co ci wiadomo. Osłanianie mordercy jest naprawdę poważnym przestępstwem. Zresztą powinnaś o wiele bardziej bać się o swoje życie.

Irene minęła się z prawdą, gdy zapowiedziała postępowanie policji po wyjściu Sanny ze szpitala, ale pani Ceder nie mogła tego wiedzieć. Sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale potem zacisnęła mocno zęby. Demonstracyjnie odwróciła twarz od Irene i zamknęła oczy.

- Wrócimy tu za kilka godzin - uprzedziła Irene. Para policjantów wstała i ruszyła w stronę drzwi. Irene

odwróciła się z ręką na klamce.

- Mam nadzieję, że morderca jest tak niegroźny, jak ty, zdaje się, myślisz. Paru ludziom zdarzyło się już zginąć na szpitalnym łóżku z ręki mordercy - rzekła chłodnym tonem.

Policjanci wyczuli, że Sanna zamarła, ale nie odwróciła głowy, gdy wychodzili.

- Dobrze zagrałaś na końcu - stwierdził Tommy, kiedy ruszyli szpitalnym korytarzem.

- Niech się trochę pomartwi, nie zaszkodzi jej to. Mimo tych słów Irene przyznała się przed sobą samą, że

trochę za bardzo wczuła się w rolę „złej” policjantki. Tak się zresztą złożyło, że w niewielkim przedpokoju obok izolatki Sanny siedział faktycznie policjant w mundurze. Irene poprosiła, żeby nie zaglądał przez szybę do pokoju Sanny, a tylko pilnował drzwi.

- Nocna ulewa i wichura zniszczyły wiele śladów. Ale zabezpieczyliśmy wśród krzaków odcisk stopy. Ukrywając się tam, zostawił po sobie bardzo wyraźny ślad - stwierdził Svante Malm.

Irene i Tommy weszli na jego teren, do sekcji technicznej, aby uzyskać wstępny raport.

- Czy ten odcisk jest taki sam jak tamten, który znaleźliśmy w pralni po śmierci Cedera? - zapytał Tommy.

- Jeszcze nie zbadaliśmy go tak dokładnie. Ale z dużą dozą prawdopodobieństwa można zakładać identyczność odcisków - potwierdził z zadowoleniem technik.

Jego piegowatą twarz rozjaśnił radosny uśmiech, kiedy zapytał, czy nie napiliby się kawy dla uczczenia prawie już pozytywnego wyniku. Oboje zgodzili się, ale pożałowali tego, gdy wypadło spróbować zawartości plastikowych kubków. Irene rozumiała, dlaczego Svante zawsze wpadał w przerwie do wydziału śledczego. Na czwartym piętrze była niewątpliwie dużo lepsza kawa.

- Nasza operacja nie przydała się na nic. Zbyt późno doszło do blokady. Ale zatrzymaliśmy dwóch pijanych kierowców i przejeźliśmy ukradzioną kosiarkę do trawy - tak Jonny podsumował działania po strzelaninie, która miała miejsce poprzedniego dnia.

- Czyżby ktoś jechał ukradzioną kosiarką w październiku, i to w czasie wichury? - zapytała z uśmiechem Birgitta.

Jonny odwdzieczył się niezyczliwym spojrzeniem.

- Nie. Kosiarka stała na ciężarówce. Chłopcy z patrolu nabrali podejrzeń, bo kierowca był strasznie zdenerwowany, niespokojny. Gdy podjechali do ciężarówki, okazało się, że chodzi o kosiarkę, której kradzież zarejestrowano dwa tygodnie temu. Złodziej dał ogłoszenie o sprzedaży i chciał dostarczyć maszynę nabywcy. Pewnie sądził, że późny wieczór to najlepsza pora na taką dostawę.

- Czy znamy tego faceta? - spytał Fredrik.

- Nie. To jakiś trzydziestolatek. Za młodu popełnił kilka drobnych kradzieży, ale w ostatnich latach zawiesił działalność. W jego garażu znaleźliśmy jednak dwa skradzione telewizory, dwa całkiem nowe rowery i komputer. Na odległość pachnie paserstwem. Koledzy podejrzewają, że może tu chodzić o gang złodziei. Śledztwo jest w toku. Ale to nie nasz problem.

- Naszym problemem jest ta cholerna baba, Sanna Kaegler. Dlaczego ubzdurała sobie, że nie będzie z nami rozmawiać? - zastanawiał się Andersson.

Tommy wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie wydaje się to rozsądne.

- Uważacie więc, że ona zna albo jest przekonana, że zna nazwisko tamtego mężczyzny - stwierdził komisarz.

Irenę i Tommy skinęli jednocześnie głowami.

- Czy ktoś ma jakieś wytłumaczenie?

Andersson odchylił się na oparcie krzesła, które zaczęło groźnie trzeszczeć. W lecie przybyło komisarzowi jeszcze parę kilogramów. „Niedobrze się stało ze względu na jego astmę i nadciśnienie” - pomyślała z troską Irenę. Nic jednak nie mogła poradzić, choć chciałaby pomóc. Szczerze polubiła swego szefa.

Teraz poprosiła o głos jakby z wahaniem.

- Długo zastanawiałam się nad tym. Po pierwsze, wygląda na to, że ona się nie boi człowieka, który wczoraj do niej strzelał. Po drugie, chyba nie przyjmuje do wiadomości tego, że on chciał i ją zamordować. Dlaczego reaguje tak dziwnie? Przychodzi mi na myśl tylko jedno wyjaśnienie: ona nam nie wierzy. Podejrzewa nas o kłamstwo i zastawienie pułapki na człowieka, o którego niewinności jest przekonana.

- Na kogo? - zainteresował się komisarz.

- Chodzi o ojca Ludwiga - odpowiedziała natychmiast Irenę.

- O ojca tego chłopca! Dlaczego miałby chcieć ją zastrzelić? - zdumiał się Jonny.

- Gdybym to wiedziała, zagadka zostałaby na pewno rozwiązana - odcięła się Irenę.

Sięgnęła przez stół po dzbanek z kawą, żeby napełnić swój kubek. „Ta smakuje lepiej niż tamta lura w laboratorium” - pomyślała z satysfakcją. Ostrożnie upiła trochę gorącego napoju. Pokrzepiona swoim eliksirem, mówiła dalej:

- Nie przestaję myśleć o mieszkaniu Rothstaahla w Paryżu. Znaleźliśmy tam włosy mężczyzny, który prawdopodobnie jest ojcem Ludwiga. Jasne włosy. Do mnie strzelał właśnie blondyn. On może być ojcem Ludwiga.

- Brzmi to rzeczywiście dość wiarygodnie - zgodził się Tommy.

- Ojciec chłopca... to wyjaśniałoby, dlaczego Sanna nie widzi w nim mordercy - głośno myślała Birgitta.

- Strasznie głupia baba! Przecież Irenę widziała, że on do niej strzelał! - zirytował się Andersson.

- Takie już jesteśmy. Wobec ukochanych mężczyzn lojalne aż po grób - stwierdziła z przekornym uśmiechem Birgitta.

Komisarz przeszył ją wzrokiem, ale wolał nie kontynuować dyskusji o kobiecym braku logiki. Dla Irenę co innego było godne uwagi: wyglądało na to, że komisarz i brazylijska mama Glena Thomsena, Donna, przypadli sobie do gustu. Na sześćdziesiąte urodziny

personel zafundował Anderssonowi podróż do Londynu. Zajął się tym Irene. Trzy noce w hotelu należącym do siostry Glena, prócz tego lunchy i wieczorne posiłki w restauracji Donny. Po powrocie Andersson mówił o swej podróży z wielkim zadowoleniem. Był tak zadowolony, że pod koniec lipca pojechał jeszcze raz na cały tydzień. Sądził, że w komendzie nikt o tym nie wie, ale Glen wtajemniczył Irene.

Jej rozmyślenia przerwał telefon komórkowy. Przeprosiła, szybko wstała i wyszła na korytarz. Jak przewidziała, dzwonił Glen.

- Mam nadzieję, że siedzisz. Co tu się dzieje! Pracujemy dziś na pełnych obrotach.

Wczorajsze sprawdzenie wykazało, że ślady Edwarda Fentona prowadzą do Francji.

Skontaktowaliśmy się z francuskimi kolegami i dostaliśmy niespodziewaną wiadomość.

Udało się odnaleźć Fentona. Posłuchał sobie tak zwanej trunk musie - opowiedział Glen.

- Znalezione go? Gdzie? I co to jest trunk musie? Glen zwlekał z odpowiedzią.

- Tak określa się pewien rodzaj... egzekucji. Ofiara zostaje zastrzelona i ukryta w bagażniku samochodu.

- Coś podobnego! Czyżby Fenton zginął!? - wtrąciła Irene.

Przeszła do swego pokoju i opadła na krzesło przy biurku. Glen miał rację - musiała usiąść.

- Tak. Nie żyje od paru dni. Znalezione go przedwczoraj. W wypożyczonym samochodzie, który zaparkowano na terenie nieczynnej fabryki. Natrafił na niego jeden z patroli. Zastanowił ich zapach i dlatego zadzwonili do kolegów w Paryżu. Okazało się, że wypożyczył samochód pod fałszywym nazwiskiem. Kiedy szukano tego Morgana Chestertona z Brighton, szukano kogoś, kto nigdy nie istniał. Ofiarę udało się zidentyfikować dopiero wczoraj, kiedy zwróciliśmy się z naszym pytaniem. Dołączyliśmy zdjęcie, na którym ktoś go rozpoznał.

Irene miała mętlik w głowie. Ale skoro Edward Fenton zginął przed kilkoma dniami, to nie mógł rozmawiać przez telefon z Sanną. Jak wiadomo, umarli nie mówią. Z kim więc rozmawiała? Dziwne, że w tym przypadku skłamała. Kiedy opowiadała o tamtej rozmowie, potrafiła przekonać, że nie kłamie. Co więcej, Fenton nie mógł strzelać. Rozmyślenia Irene przerwał Glen:

- Halo! Jesteś tam?

- Tak. Tyle że... w lekkim szoku. Tutaj też się dużo dzieje.

Opowiedziała zwięźle o zamachu na Sannę i wcześniejszej relacji tej kobiety z rozmowy telefonicznej z Edwardem Fentonem, jakoby na temat koniecznego odnalezienia wszystkich palców, które straci! Thomas Bonetti. Tamta rozmowa odbyła się ponoć w tym samym dniu, w którym znaleziono zwłoki Fentona w wynajętym samochodzie, gdzieś w Paryżu.

- I on nie żył od kilku dni. Przypominam, że zwłoki cuchnęły - powiedział Glen.

- Wiem. To niczego nie upraszcza. Czy możesz mi przesłać wszystkie wasze materiały, które dotyczą tej sprawy?

- Niewiele tego, ale oczywiście prześlę wszystko, co mam. Zresztą ty...

Glen zrobił teatralną pauzę.

- ...wy macie chyba u siebie, w Göteborgu, o wiele ciekawsze sprawy niż my tutaj, w Londynie - zaśmiał się, zachwycony własnym dowcipem.

Irene powstrzymała się od śmiechu, i to bez trudu.

Kiedy wróciła do sali konferencyjnej i zaskoczyła obecnych wiadomością o śmierci Edwarda Fentona, zaczęła się licytacja teoryjek i domysłów. W końcu Andersson uderzył pięścią w stół i narzucił dyscyplinę.

- Po kolei! Po kolei! - upomniął. Kiedy szum przycichł, zwrócił się do Irene:

- Gdzie teraz jesteście?

- Po kolana w gównie - wtrącił Jonny, uprzedzając odpowiedź Irene.

Zgodziła się z nim wyjątkowo, choć głośno tego nie przyznała.

- Nasuwa mi się wniosek, że trzy lata temu Edward Fenton faktycznie dostał ucięty palec.

Wobec tego Philip Bergman nie mógł otrzymać żadnego palca, bo zwłokom Thomasa

brakowało tylko czterech. A jednak Philip został zamordowany. Coś tu się nie zgadza - stwierdziła.

- Być może zginął, ponieważ przypadkiem znalazł się w towarzystwie Joachima. Morderca mógł nie chcieć, aby pozostał przy życiu jakikolwiek świadek - zasugerował Fredrik.

- Z finansami Philipa działa się przez ostatnie trzy lata to samo, co z pieniędzmi Joachima i Sanny. Ich majątki skurczyły się. Wszystko wskazuje na to, że również Philip naraził się na szantaż - wyjaśniła Birgitta.

- To oznacza, że Edward Fenton też padł ofiarą szantażu, skoro został zamordowany. Jak możemy to sprawdzić? - zastanowiła się na głos Kajsa.

- Skontaktuję się jeszcze raz z Glenem Thomsenem. Przecież Fenton mieszkał przeważnie w Londynie. Tam powinny być jakieś informacje o jego finansach - powiedziała Ireń.

- To brzmi rozsądnie - przyznał Andersson. Dobrze jest przerzucić część kosztów śledztwa na organa

ścigania gdzie indziej. Szwedzka policja nie ma w praktyce takiej możliwości, by w sprawach związanych z biznesem prowadzić śledztwo w innych krajach. A przynajmniej jest to bardzo kłopotliwe. Tajemnica bankowa i różne bzdurne przepisy są przeszkodami, które trudno pokonać.

- Kto poinformuje szwedzką rodzinę Fentonów o śmierci Edwarda? - zainteresowała się Birgitta.

Na czole komisarza pojawiły się głębokie bruzdy, po czym obecni usłyszeli:

- Poczekamy na potwierdzenie tożsamości Fentona. Ireń, ty podtrzymasz kontakt z Londynem i Paryżem. Kiedy będziemy mieć stuprocentową pewność, zawiadomisz jego krewnych.

Ireń zareagowała natychmiast, jakby w natchnieniu:

- Wobec tego będę potrzebować Kajsy. Tylko ona mówi po francusku. Ułatwi więc moje kontakty z Paryżem.

- Zgoda. Ale po południu pojedziesz z Tommym do tej upartej baby, Sanny Kaegler, i wydobędziesz z niej prawdę! W ostatnich tygodniach powtarzam to chyba po raz tysięczny. Musicie ją teraz porządnie przyprzeć do muru!

- Łatwiej to powiedzieć niż zrobić - westchnął Tommy. Komisarz zmierzył go surowym wzrokiem.

- Przestańcie się z nią cackać! Nastraszcie ją tym, że Fenton zginął. Już tylko jedna osoba z trzech, które trzy lata temu dostały po palcu, pozostaje przy życiu. Właśnie uroczą pani Kaegler-Ceder. Jeśli nie zrozumie, co dla niej dobre, i nie zacznie śpiewać, to wkrótce nie zostanie już nikt. W tym śledztwie jest tyle zwłok i części martwych ciał, że zaczyna to być nużące!

Glen Thomsen nie odebrał telefonu, kiedy Ireń zadzwoniła. Nagrała więc prośbę o jak najszybszy kontakt.

Paryż. Inspektor Verdier. Z nim trzeba się skontaktować. On jeden na pewno mówi po angielsku. Jeśli nie odbierze, to wypadnie zaangażować Kajkę. Ireń westchnęła głośno. Tommy uniósł wzrok znad swoich papierów, ale powrócił do nich, gdy nie usłyszał ani słowa. Ireń pogrzebała w najwyższej szufladzie biurka i odnalazła w końcu wizytówkę ich francuskiego kolegi. Był na niej bezpośredni numer. Wystukała go z jeszcze jednym głośnym westchnieniem.

Ułożyło się nadspodziewanie dobrze. Inspektor Verdier był u siebie. Kiedy Ireń wyjaśniła, że znalezienie Edwarda Fentona w bagażniku wynajętego samochodu ma związek ze śledztwem, które ją i Kajkę zaprowadziło do Paryża, inspektor wydawał się zainteresowany.

- Ja nie biorę udziału w śledztwie w sprawie morderstwa, którego ofiarą padł Edward Fenton. Ale teraz muszę poinformować mojego szefa o tym, że morderstwo można chyba powiązać ze zdarzeniami, jakie miały miejsce w czasie wizyty pań w Paryżu. Ta informacja sprawi

pewnie, że zostaną dołączeni do ekipy śledczej. Jest to skomplikowane. Zamieszkały w Londynie Amerykanin ginie w Paryżu, a sprawę bada szwedzka policja - stwierdził inspektor.

- Pan wie przecież, dlaczego my mamy z tym do czynienia. Powodem są morderstwa, których ofiarami padli dwaj szwedzcy obywatele, Bergman i Rothstaahl, zamieszkali w Paryżu, oraz szwedzki restaurator Kjell Ceder. I właśnie odnaleźliśmy ciało czwartej ofiary. Tego człowieka zamordowano trzy lata temu. Nazywał się Thomas Bonetti. A wczoraj wieczorem doszło do próby morderstwa tutaj, w Göteborgu. Zaatakowano kobietę, Sannę Kaegler. Była ona blisko związana ze wszystkimi czterema ofiarami i dobrze знаła tych ludzi.

- Jako kochanka wszystkich czterech.

Nie było to pytanie, lecz po prostu stwierdzenie faktu przez Verdiera. Ireń miała ochotę głośno westchnąć, ale powstrzymała się, żeby rozmówca tego nie usłyszał.

- Nie. Ona знаła Bergmana już w dzieciństwie. Bonetti był jej partnerem w interesach, z Rothstaahlem spotykała się sporadycznie, a Ceder był jej mężem. Poza tym pan, tak samo jak ja, uznał Bergmana i Rothstaahla za parę - wyjaśniła Ireń.

Verdier odpowiedział bez wahania:

- Oczywiście. A co łączy ją z Edwardem Fentonem?

- Jej siostra wyszła za jego młodszego brata. Matka obu braci jest Szwedką, a ojciec Anglikiem. Wszyscy oni mają pewnie podwójne obywatelstwo. Jeszcze nie udało mi się tego sprawdzić. Wiemy też o kontaktach Fentona z Sanną Kaegler, kiedy ta brała udział w prowadzeniu firmy ph.com.

- Gorzej niż w serialu. Wszystkie osoby mają jakieś wzajemne powiązania. Ale jest to też pewnym ułatwieniem. Morderca musi pochodzić ze środowiska ofiar.

Inspektor nie mijał się z prawdą. To samo przyszło Ireń kilka razy na myśl, tyle że niewiele jej ta refleksja pomogła. Któż mógł zyskać na śmierci tamtych ludzi?

Ireń podała Verdierowi nazwisko i numer telefonu Glena Thomsena, oficera New Scotland Yardu. Współpraca policji różnych krajów mogłaby zapewne niejedno ułatwić.

Długa rozmowa przez telefon sprawiła, że Ireń poczuła suchość w ustach. I w okolicach skroni dawał się już trochę we znaki ból głowy. Zbliżała się pora miesiączki. Aby odizolować się od światła dziennego, zamknęła oczy. Piątkowe popołudnie. Kończył się strasznie pracowity tydzień, a do rozwiązania zagadki była jeszcze daleka droga. Trzeba teraz zajmować się aż pięcioma morderstwami. Do tego dochodzą cztery ucięte palce. Pięć morderstw, a cztery palce...

- Ireń! Czyżbyś zasnęła?

Ireń drgnęła, gdy dotarł do niej głos Tommy'ego.

- Nie. Boli mnie głowa. Tylko zamknęłam oczy. Muszę się napić kawy - wybąkała.

Nie patrząc na Tommy'ego, skierowała się chwiejnym krokiem w stronę automatu. Na wszelki wypadek zabrała do pokoju dwa kubki. Jeden podała Tommyemu.

- Nie, dziękuję. Ciebie boli głowa. Ty wypij - zachęcił ją życzliwym tonem.

Ireń znalazła w szufladzie biurka starą tabletkę alvedonu. Nie miała pojęcia, jak długo tam leżała, ale plastikowa otoczka i folia były nienaruszone. Szybko połknęła tabletkę i popiła ją łykiem kawy.

- A może wolałabyś nie jechać ze mną do wschodniej części miasta, żeby „przyprzeć do muru tę babę, tę panią Kaegler-Ceder”? - zapytał Tommy, doskonale naśladując Anderssona.

Źle trafił, bo komisarz stał w drzwiach. Spojrzał zimno na Tommy'ego i rzekł surowo:

- Sądziłem, że już wyjechaliście. Na co czekacie?

Komisarz obrócił się na pięcie i poszedł do siebie, zadowolony, że jednak do niego należało ostatnie słowo. Właściwie wybrał się do ich pokoju, żeby zapytać o prowadzone w Paryżu śledztwo w sprawie morderstwa, którego ofiarą padł Edward Fenton. Ale to mogło poczekać.

W Paryżu potrzebowano na pewno weekendu na to, żeby cokolwiek ustalić i podać. Choćby kaliber broni, z której został zastrzelony Fenton.

Rozdział 21

- Ona śpi - oznajmiła siwa pielęgniarka, która wychodziła z izolatki w chwili, gdy Tommy sięgał do klamki. Pielęgniarka zamknęła drzwi.

- I nie należy jej budzić - dodała surowo.

W przedpokoju siedziała teraz, po zmianie warty, młoda policjantka. Opowiedziała, że matka i siostra Sanny zajrzały na krótko około godziny 11.00. A poza tym było spokojnie.

- Wobec tego pójdziemy coś zjeść - zaproponował Tommy.

Zjechali windą do bufetu. Był tam prawie komplet, ale udało im się znaleźć stolik w pobliżu wielkich okien, które wychodzą na wewnętrzną część ogrodu. Zamówili oboje to samo: pasztet z szynki, sałatkę i kawę z mlekiem. Jak stwierdził Tommy, nie była to uczta gastronomiczna, ale taka przekąska, którą można się nasycić. Już przy niezbyt ciepłej kawie Ireneń odważyła się zapytać:

- Czy cały weekend spędzisz z dziećmi u twoich rodziców?

- Nie. Martin chce być w sobotę wieczorem w domu. Jego dziewczyna urządza jakąś imprezę. Ale Agneta zdąży przez sobotę zabrać swoje rzeczy. Wszystko jest już spakowane.

Te ostatnie słowa wypowiedział niezbyt wyraźnie i zaraz wpatrzył się w dno swojej filiżanki. W tym momencie Ireneń nie mogła się już powstrzymać.

- Mój Boże! Widać po was takie opanowanie i... dyscyplinę! Ani jednej łzy, żadnych oskarżeń... nic!

Tommy uniósł wzrok i zerknął na nią nieprzyjaźnie.

- Co ty możesz o tym wiedzieć!

Ireneń postarała się zapanować nad sobą. Dyskretnie obejrzała się na sąsiednie stoliki, ale odniosła wrażenie, że nikt nie zwrócił na nich uwagi.

- To oczywiście, że nic nie wiem. Przecież nic mi nie powiedzieliście! Nie rozumiem, jakwam się udało ukryć... tę sprawę. Zachować pozory. I nagle stawiacie otoczenie przed faktem dokonanym, rozwodzicie się.

Tommy odetchnął głęboko.

- To moja wina, że nie potrafiliśmy utrzymać małżeństwa - wyznał cicho.

Jego mina świadczyła o szczerości, Ireneń nie omieszkała jednak zaproponować:

- Nie bierz winy na siebie. Przecież Agneta zadała się z tym lekarzem i chce roz...

- To nie jest cała prawda - przerwał jej Tommy.

Zdezorientowana, nie wiedziała już, co powiedzieć. I dlatego umilkła. Tommy skierował wzrok na oranżerię, gdzie liście na krzewach przybierały jesienne barwy. Wtedy też zaczął mówić przyciszonym głosem, nie zwróciwszy twarzy w stronę Ireneń. Musiała się pochylić ponad stół, aby go usłyszeć.

- Kilka lat temu spotkałem się kilka razy z pewną kobietą. Mieszkaliśmy po sąsiedzku. Odznaczała się niezwykłą urodą, a poza tym... Różnie o niej mówiono. Zaiskrzyło między nami na przyjęciu, którego atrakcją były raki. Cóż, dalej wszystko potoczyło się tak, jak musiało się potoczyć. I jej mąż, i Agneta dowiedzieli się o romansie. Tamci wyprowadzili się kilka miesięcy później, a ja i Agneta poszukaliśmy pomocy w poradni rodzinnej.

Tommy westchnął smętnie i dopił kawę. Ireneń uznała, że najrozsądniej będzie siedzieć spokojnie i słuchać. Ani ona, ani Krister nie mieli pojęcia o tym, że ich najlepsi przyjaciele popadli w takie tarapaty.

- Tym razem udało się jeszcze skleić. Ale... historia się powtórzyła. Przypominasz sobie pewnie szkolenie, które mieliśmy przed dwoma laty w Sztokholmie... Spotkałem tam koleżankę z Gavle. Też była zamężna i zapowiadało się tylko na niewinny flirt. Tak ja myślałem. Ale okazało się, że ona postanowiła odejść od swego starego i rozglądała się za nowym partnerem. Upatrzyła sobie mnie. Kiedy zrozumiała, że nie jestem zainteresowany,

wściekła się i zadzwoniła do Agnety. Powiem oględnie, że doszło do strasznej awantury! I tylko wzgląd na dzieci skłonił nas do podjęcia jeszcze jednej próby. Ale nie szło to dobrze. Latem tego roku daliśmy sobie spokój. Agneta powiedziała, że z wzajemnością zakochała się w tym swoim lekarzu. Zażądała rozwodu. Niełatwo było znaleźć wystarczająco duże mieszkanie, ale w końcu się połączy pod jednym dachem. That's alla - stwierdził Tommy, w pozornie beztroskim geście machnąwszy ręką, choć wyraz oczu świadczył o czymś zupełnie innym niż obojętność.

Irenę wyrwała się wreszcie z osłupienia i wyjąkała:

- A ty... czy potrzebowałaś... dlaczego nie byłeś wierny? Tommy wytrzymał jej wzrok. Irenę nie mogła jeszcze

uwierzyć, że Tommy powiedział prawdę. A równocześnie dało o sobie znać coś irracjonalnego, czego doświadczyła niejeden raz: złość.

- Znamy się ponad dwadzieścia lat. Zawsze twierdziłam, że jesteś uczciwym i rozsądnym człowiekiem. A tymczasem okazujesz się taki sam jak wszyscy mężczyźni! Większa głowa strajkuje, kiedy tamta główka chce znaczyć więcej!

- Cóż, jestem mężczyzną. Skoro uważasz, że wszyscy mężczyźni reagują tak jak ja, dotyczy to pewno także Kristera.

Po Tommym widać było irytację i bojowy nastrój. Irenę natomiast wyzbyła się agresywności równie szybko, jak

w nią wpadła. Wykonała więc rękoma gest, którym chciała zapobiec dalszej agresji.

- Dość tego. Siedzimy tu i kłócimy się, jakbyśmy mieli o co. Ja nie mam prawa osądzać ani ciebie, ani tego, co robisz. Słusznie mówisz, że są to sprawy między tobą i Agnetą. Ale musisz też zrozumieć, że nie będą one obojętne innym osobom. Tym, które polubiły was oboje.

Tommy również stracił wienę i utarczkę zakończyło jego pochylenie się nad pustą filiżanką. Zaraz też się rozprostował i wyznał:

- Potrzebuję drugiej filiżanki. A ciebie chyba nie muszę o to pytać.

Uśmiech, jaki wykrzesał, przypominał smutny grymas. Irenę spróbowała swoim uśmiechem podnieść Tommy ego na duchu, ale poczuła, że zdobyła się na coś chybionego, tak jak on. Z bólem w sercu patrzyła na jego plecy w dżinsowej marynarce, kiedy torował sobie drogę do dzbanów z kawą, które stały na utrzymujących ciepło podstawkach.

Zagrało tyle silnych uczuć. Irenę była znużona. Ale też wdzięczna Tommy emu za to, że w końcu wyjaśnił sytuację. Zrozumiała, dlaczego wszystko potoczyło się tak, a nie inaczej.

Dlaczego Tommy zaryzykował utratę rodziny? Czy tylko dla paru skoków w bok? Czy szukał wrażeń? A może chciał zaspokoić swoją próżność? Sprawdzić własną atrakcyjność? Chyba że wzięło górę pożądanie, jeden przekaźnik faktycznie przestał działać i udaremnił rozsądne myślenie?

Tommy wrócił z filiżankami i postawił je na stoliku. Zainwestował też w dwa pękate kieliszki araku.

- Pomyślałem, że przyda nam się mocniejszy dodatek do kawy - powiedział.

Sanna zdążyła się przebudzić, zanim wrócili do jej izolatki. Na ich widok odwróciła demonstracyjnie wzrok w stronę okna. Irenę przeniosła w tę stronę swoje krzesło, nie przejawszy się jej gestem. Otoczona przez policjantów, Sanna musiała kierować wzrok na sufit, aby nie oglądać wyrazu ich oczu. Ale pytań nie mogła uniknąć.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś, jesteś wypoczęta i możesz nam pomóc w ujęciu mordercy - powiedział łagodnie Tommy.

Sanna, wpatrzona w klosz z opalizującego szkła, odpowiedziała tylko niechętnym prychnięciem.

- Na świecie doszło do pewnych dramatycznych wydarzeń, o których dowiedzieliśmy się w tym czasie, kiedy ty spałaś - mówił dalej Tommy.

Gdy umilkł, obserwował Sannę przez dłuższą chwilę. Aby odseparować się od nich i od ich nieprzyjemnych pytań, Sanna zamknęła oczy i spróbowała udąć, że jeszcze śpi. Następne pytanie Tommy'ego zmusiło ją do otwarcia oczu.

- Wspominałaś, że dwa dni temu miałaś kontakt telefoniczny z Edwardem Fentonem. Czy to prawda?

Sanna skinęła niepewnie głową. W jej oczach pojawił się niepokój.

- Co on powiedział? Sanna odchrząknęła.

- Nie pamiętam dokładnie.

- Przypomnij sobie - poprosił zwięźle Tommy.

Sanna Ceder znowu zamknęła oczy, a Ireń zobaczyła zaraz poruszenie gałek pod nieomal przezroczystymi powiekami, pełnymi błękitnych żyłek. I nagle Sanna otworzyła oczy.

- Wcześniej skontaktował się z nim ktoś, kto zażądał zwrotu przesłanego palca. Ale Edward pozbył się tego palca, kiedy tylko go otrzymał. Tak samo jak ja. Tamten człowiek poprosił Edwarda o skontaktowanie się ze mną i przekazanie mi tego samego żądania. I chciał, żebym poszukała palca, który dostał Kjell. Prócz tego Edward miał mnie ostrzec, że jeśli nie wykonam polecenia, to coś złego może spotkać mojego syna.

Sanna umilkła i na jej twarzy pojawił się wyraz udręki. List z uciętym palcem był zapewne przykrym wspomnieniem, ale przede wszystkim musiała zaniepokoić ją groźba wobec jej syna.

- Czy powiedział coś jeszcze?

- Nic.

- Czy przed tą rozmową z Edwardem, to której doszło przedwczoraj, wiedziałaś, że Kjell też otrzymał palec?

- Nie.

Ireń pochyliła się w stronę bladej kobiety na łóżku i spokojnie zapytała:

- Jak była treść listu, który wysłano do ciebie razem z palcem trzy lata temu, i którym chciano cię zaszantażować?

Sanna zamarła, po czym zaczęła oddychać gwałtowniej.

- Jaka była treść listu? Nie pamiętam. Minęło tyle czasu... - spróbowała się bronić.

- Wiemy, że zrobiłaś coś, co chcesz ukryć. Przecież szantażysta musiał dysponować jakimś hakiem na ciebie.

Jedno spojrzenie na zaciśnięte usta Sanny wystarczyło, żeby się domyślić, że na ten temat nie zamierzała się wypowiadać. Tommy i Ireń szybko porozumieli się wzrokiem nad jasnozłotym kocem frotte. Tommy zachęcił Ireń skinieniem głowy do tego, by ona przejęła przesłuchanie.

Zastanowiła się, o co najpierw zapytać. I uznała, że trzeba od razu przystąpić do rzeczy.

- Jakie były... są twoje relacje z Edwardem Fentonem? Ireń liczyła na to, że Sanna nie zwróci uwagi na zmianę

czasu gramatycznego w pytaniu. I chyba tak się stało. Sanna odpowiedziała neutralnym tonem:

- Z Edwardem? Jego brat jest mężem mojej siostry. Niezbyt często się spotykamy. W ostatnich latach raczej rzadko. On jest szefem banku, który doradzał firmie ph.com. Wtedy kontaktowaliśmy się czasem w związku z naszymi interesami.

- Dlaczego uważasz, że Edward otrzymał ucięty palec? Na odpowiedź trzeba było poczekać trochę dłużej:

- Właściwie nie wiem. Ale wydało mi się to zrozumiałym ostrzeżeniem wobec osoby, która nie chciałaby płacić.

- Jaki hak mógł zostać wykorzystany przeciw niemu?

- Już wam to mówiłam. On stoi na czele banku inwestycyjnego. Ma do czynienia z kapitałem lokowanym ze świadomością ryzyka. Ktoś nie był zadowolony z lokat, jakie on realizował. Choć właściwie wszyscy tracili, kiedy dochodziło do krachu na giełdach. Tak musiało być! Irene zastanawiała się w skrytości ducha, czy Sanna słyszy żalony, infantylny ton swoich wynurzeń. Nikt nie ponosi winy za to, że znikają cudze pieniądze. A już na pewno nie jest temu winna poczciwa Sanna.

- Ten, który groził, nie zamierzał jednak pogodzić się z utratą własnych pieniędzy, lecz chciał je odzyskać. Czy tak było?

- Tak przypuszczam - westchnęła Sanna.

- Kiedy Edward ci o tym powiedział?

Zanim Sanna obmyśliła odpowiedź, minęło nad podziw dużo czasu.

- Właśnie wtedy. Przedwczoraj - wyznała w końcu.

- I wcześniej nie wiedziałaś o szantażu wobec niego?

- Nie.

- Czy wiedziałaś, że dostał palec?

- Nie.

- Kiedy zdałaś sobie sprawę z tego, że i Kjell, i Edward otrzymali palec?

- Jak mówiłam, przedwczoraj, w czasie rozmowy z Edwardem.

Irene powróciła do ugrzecznionego tonu, którym posłużyła się na początku przesłuchania.

- Jak Edward rozmawiał z tobą dwa dni temu?

- Jak...? Zwyczajnie.

Sanna nadawałaby się pewnie na medium, słyszała też głosy z zaświatów. Ale Irene nie wypowiedziała tej refleksji. Na nowo podjęła przesłuchanie:

- Czy nie przypominasz sobie niczego więcej, co powiedział Edward, kiedy ostatnio rozmawialiście?

Sanna zmierzyła ją wzrokiem pełnym irytacji, po czym odparła atak:

- Powiedziałam wszystko. Dlaczego mówicie wciąż o Edwardzie?

Teraz Tommy nieznacznie dotknął swoją ręką jej ramienia i rzekł:

- Musimy cię przygotować na pewną przykrą wiadomość.

Sanna odwróciła głowę w jego stronę. Irytacja w wyrazie jej oczu zaczęła ustępować miejsca zaniepokojeniu, które nie miało jeszcze przyczyny.

- Jakaż to przykra wiadomość?

- Znalezione ciało Edwarda Fentona. Został...

W słowa Tommy ego wdarł się jej krzyk. Sparalizował on na kilka sekund oboje policjantów. Krzyk przerażonej Sanny ogłuszył ich. Nie spodziewali się tak gwałtownej reakcji. Edward Fenton był kimś, kogo Sanna widywała, jak sama stwierdziła, niezbyt często. Był szwagrem jej siostry, a poza tym dawniej mieli ze sobą do czynienia w biznesie. Inaczej niż cztery pozostałe ofiary, być może z wyjątkiem Joachima Rothstaahla, nie należał więc do grona osób bardzo bliskich.

Takie wrażenie odnieśli wcześniej, ale reakcja Sanny świadczyła o czymś innym. Irene i Tommy stali bezradnie przy łóżku i patrzyli na konwulsje rozkrzyczanej Sanny. Do izolatki wpadła siwa pielęgniarka i ofuknęła ich:

- Co z nią robicie? Precz! Precz!

Chwyliła oboje za ramiona i wypchnęła ich. Irene i Tommy nie zdążyli zareagować - znaleźli się za drzwiami. Umieszczona obok nich lampa zaczęła migać i rozległ się przeciągły sygnał. Pielęgniarka uruchomiła alarm. Dźwięk połączył się z dochodzącym spoza zamkniętych drzwi krzykiem Sanny i powstała niesamowita kakofonia.

- Co się stało? - zapytała Irene. Tommy uniósł brwi i popatrzył na nią:

- Sądzę, że całkiem niespodziewanie trafiliśmy w dziesiątkę.

Irenę i Tommy pojechali z powrotem do komendy, żeby porozmawiać z Anderssonem. Był na zebraniu, którego zakończenie przewidywano na godzinę 17.00.

- Ja poczekam. Ty możesz jechać do domu i zająć się dziećmi, żebyście ruszyli w końcu do twoich rodziców - zaproponowała Irenę.

Tommy wzbraniał się co prawda, ale nie przesadnie, a zarazem widać było, że jest bardzo wdzięczny Irenę za tę propozycję.

- Wpadnijcie w niedzielę po południu. I nie obawiaj się. Krister ma wolne.

- Skoro tak, to chętnie przyjmuję zaproszenie - odpowiedział z figlarnym uśmiechem Tommy.

Irenę nie była mistrzynią kuchni. I nie musiała być, wyszła przecież za człowieka, który z przyrządzania posiłków uczynił swój zawód.

- Pozdrów Sonię i Ragnara - zawołała za nim, gdy był już na korytarzu.

Po tylu latach przyjaźni znała oczywiście dobrze także rodziców Tommy'ego.

Do powrotu komisarza pozostała niecała godzina. Irenę włączyła komputer, żeby sprawdzić maile. Zaskoczył ją i ucieszył mail od Glena Thomsena, który sformułował go zwięźle:

Irenę,

mój kolega, kiedyś związany z FBI, skontaktował się ze swą dawną firmą. Okazuje się, że macki mordercy E. Fentona sięgają aż do Stanów. Ta historia może mieć większy zasięg niż sobie wyobrażasz! Dopiero co otrzymaliśmy wiadomość, że FBI wysłała agenta specjalnego, nazwiskiem Lee Hazel. Jutro rano odlatuje on do Paryża. W poniedziałek wylądować tutaj, w Londynie, a we wtorek albo w środę dotrze do Goteborga. Odezwę się, kiedy będę znał godziny odlotów i przylotów.

Miłego weekendu! Pozdrowienia dla Kristera i waszych córek!

Glen

Macki sięgają aż do Stanów? A może to wcale nie takie dziwne, skoro Edward pracował w amerykańskim banku, a miał też Amerykankę za żonę i dzięki niej rodzinę w USA. Z biografii jej ojca, wyszperanej przez Tommy'ego, wynika, że był znanym finansistą. Pewnie dlatego poproszono o pomoc FBI. Chociaż jest to trochę zaskakujące, że nagle ma się do czynienia ze śledztwem, w którym bierze udział jedna z amerykańskich służb federalnych. Czyżby należało zaangażować także Rikskrim? Niewykluczone. Najlepiej będzie porozmawiać o tym ze Svenem Anderssonem.

Irenę otworzyła odruchowo plik dołączony przez Glena. Na swoje szczęście siedziała już, kiedy na ekranie zaczęły się pojawiać kolejne zdjęcia. Zanim kliknęła jeszcze raz, żeby przerwać ten ciąg, poczuła, że jej ręce zadrżały.

- Nie życzę sobie w naszym śledztwie tych cholernych idiotów! Wystarczy tego bałaganu, jaki jest! - oznajmił wściekły Andersson.

Rikskrim działał na niego jak czerwona płachta na byka: „Zgraja biurokratów!” - tak określał pogardliwie funkcjonariuszy tej służby. Irenę już dawno przestała walczyć z uprzedzeniami komisarza i niesprawiedliwymi osądami, na jakie sobie pozwalał. Irytowałyby się tylko.

- I nie wydaje ci się, że powinniśmy poinformować Góranssona? - zapytała ostrożnie.

Andersson sposepniał jeszcze bardziej. Bodil Góransson, nowy szef biura śledczego w tej prowincji, zażądał bieżących

raportów. Była to niewątpliwie sprawa spektakularna, przy czym także media czyhały na sensacyjny przełom w śledztwie. Ten dramat rozgrywał się zresztą w środowisku nietypowym. „A jeśli także Antonio Bonetti jest w to wszystko uwikłany?” - taki domysł usłyszał Andersson z ust Irenę niejedną raz. Komisarz zastanawiał się chwilę.

- Zgoda. W poniedziałek - oznajmił po rozważeniu sytuacji.

Andersson odchylił się na oparciu krzesła i popatrzył na Irenę.

- Zadzwoń tutaj ze skargą na was ordynator o nazwisku, które brzmiało jak kichnięcie.

Chyba Polak. Narzekał na gestapowskie metody i nadużycie władzy. Wyjaśniłem mu, że

działaliście ściśle według moich zaleceń. Usłyszał ode mnie, że podejrzewamy Sannę o krycie mordercy. W tym czasie, kiedy ona wzbraniała się ujawnić, co wie, zamordowano jeszcze jednego człowieka. Jeśli nie zaczniesz w najbliższym czasie mówić, to ofiar będzie więcej. Dlatego poleciłem wam przyprzeć ją do muru. Pan doktor zamilkł, kiedy to usłyszał - stwierdził z zadowoleniem komisarz.

Wspomnienie sposobu, w jaki wskazał lekarzowi, gdzie jego miejsce, sprawiło, że krągłą twarz Anderssona rozjaśnił uśmiech pełen satysfakcji. Komisarz złączył teraz swe tłuste palce na brzuchu, co nadało mu wygląd starego, świątobliwego proboszcza. Świątobliwy bynajmniej nie był. Ale - co prawda, to prawda - był okrągły jak baryłka sera.

- Jaki wniosek nasunęła ci reakcja uroczej pani Ceder na wieść o zamordowaniu Fentona? - zapytał komisarz.

- Zastanawiałam się nad tym. Owszem, zareagowała gwałtownie. Zbyt gwałtownie, jeśli nie kłamała, kiedy mówiła o wyłącznie oficjalnym charakterze ich kontaktów. Dlatego nie wierzę w ich oficjalny charakter.

Irenę podała komisarzowi teczkę ze zdjęciami przesłanymi przez Glena. Andersson rozłożył je przed sobą na biurku.

Pod pierwszą fotografią był opis: „Edward Fenton z żoną Janice i synami: Victorem, 9 lat, oraz Albertem, 7 lat”. Edward Fenton otaczał ramieniem swą znacznie niższą żonę i kierował w jej stronę uśmiech od ucha do ucha. Przed nimi stali dwaj chłopcy. Obaj byli szatynami, jak ich matka. Rodzina ustawiła się na jakimś tarasie czy balkonie, z morzem i palmami w tle. Janice Fenton okazała się południową pięknoscią o ciemnych włosach, które przykrywały plecy. Miała urodziwą twarz, którą zdobiły wyraziste brwi i pełne usta. Mimo niskiego wzrostu i szczupłej figury była wypukła tam, gdzie należało. Wysadzany brylantami naszyjnik i szlachetne kamienie, które lśniły na płatkach jej uszu i na palcach, nadawały jej bardzo amerykański wygląd.

Andersson wyjął wargi i cicho gwizdnął:

- Tak powinna wyglądać prawdziwa kobieta! Prawdziwie pełnokrwista...

Urwał i, czując, że zawinił, zerknął sponad okularów do czytania na Irenę. Ta nie domyśliła się zakończenia. Niezbyt wyraźny rumieniec na jego policzkach nasunął jej przypuszczenie, że mogło to być coś niestosownego dla kobiecych uszu. Udała, że nie rozumie tej intencji, potem zaś spokojnie wytrzymała wzrok szefa. Komisarz sam spuścił wzrok, i to natychmiast, a następnie sięgnął po jedno z pozostałych zdjęć.

- Mamy tu portret Fentona - powiedział nazbyt wesołym tonem.

Rzucił też okiem na fotografię trzymaną w drugiej ręce.

- A tu widać Fentona jako trupa. Trafionego w głowę, jak tamci - stwierdził i szybko odłożył to zdjęcie na bok.

Edward Fenton miał swój styl. I był naprawdę przystojny. Wysoki, wysportowany, o regularnych rysach twarzy, jasnowłosy. I potrafił oczarować uśmiechem.

- To on strzelał do mnie w Paryżu - oświadczyła Irenę, wskazując na portret.

Jej szef patrzył na nią przez dłuższą chwilę ponad okularami.

- Jesteś pewna? - zapytał w końcu.

- W stu procentach.

- Ale on był chyba w Londynie? Irenę pokręciła głową.

- Nie. Odleciał ze Stanów do Anglii, a rodzina została u krewnych na dalsze dwa tygodnie. W poniedziałek, piętnastego, i we wtorek, szesnastego, spodziewano się go w pracy. Jak twierdzi sekretarka, nie pojawił się tam. W środę pracował tak samo jak zawsze. Ale nie wyjaśnił swojej nieobecności. To całkiem oczywiste, że nie wspominał o pobycie w Paryżu, gdzie strzelał do jednej szwedzkiej policjantki, a drugą urządził tak, że trafiła do szpitala! Prócz tego, jak wiadomo od sekretarki, miał pokiereszowaną twarz, podobno dlatego, że spadł ze schodów. A właściwie upadł na podłogę, pchnięty przeze mnie!

Szef mierzył ją taksującym wzrokiem. W niczym nie przypominał już dobrodusznego proboszcza. Irene miała znów naprzeciw siebie bestię, buldoga.

- Dlaczego Fenton pojechał do Paryża? Pobił tam Kaję i strzelił do ciebie... On mógł cię zabić!

Irene była wdzięczna komisarzowi za to, że przejął się jej losem.

- Tak. Gotów był ponieść takie ryzyko. Zależało mu pewnie na czymś bardzo cennym.

- Co to mogło być? Narkotyki? Palec? - zasugerował Andersson.

- Być może. Nie wiem. Ale domyślałam się, że chodziło mu o komputery i dyskiety Philipa i Joachima.

- Dlaczego? - zapytał natarczywym tonem komisarz.

- Podejrzewam, że chciał zatrzeć ślady.

- Czego?

Andersson nie krył zniecierpliwienia.

Irene westchnęła.

- Nie wiem. Prawdopodobnie ślady jakiegoś przestępstwa.

- Niewykluczone - zgodził się z nią Andersson.

- A ja sądzę, że wolno mi ze sporą dozą pewności stwierdzić jeszcze coś. Proszę spojrzeć na portret Edwarda - poprosiła.

Komisarz spełnił prośbę i znowu przyjrzał się zdjęciu.

- Widać na tej fotografii, że jest blondynem. Wiemy o jego wizycie w mieszkaniu Joachima, bo właśnie on strzelił do mnie. Znalazłam w tym mieszkaniu jasne włosy. Zostawił je tam człowiek, który, co potwierdza analiza DNA, najprawdopodobniej jest ojcem Ludwiga.

Andersson wpatrzył się w fotografię i zaczął powoli kiwać głową.

- Sądzisz więc, że on... ? - zapytał i dotknął zdjęcia wskazującym palcem.

- Tak. Sądzę, że ojcem syna Sanny jest Edward Fenton.

Rozdział 22

Przed południem Irene zadzwoniła na oddział, na którym leżała Sanna. Od pielęgniarki usłyszała, że w ciągu tego weekendu nie będzie można przesłuchać pani Kaegler.

- Najwcześniej w poniedziałek. Daliśmy jej sporo środków uspokajających - oznajmiła pielęgniarka.

Odbierając telefon, przedstawiła się jako siostra Ann-Britt. Po głosie można było się domyślać osoby nieco starszej i dlatego Irene skojarzyła ją z tą siwą pielęgniarką, którą spotkali poprzedniego dnia pod drzwiami izolatki Sanny.

Irene nie była w pierwszej chwili pewna, czy należy coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle uznała, że trzeba.

- Zrozumiałaś chyba, że przejmujemy się bezpieczeństwem Sanny Kaegler. Przeżyła bardzo poważną próbę pozbawienia jej życia. Jest co prawda pod całodobową ochroną policji, ale chciałabym, żeby wasz personel miał oczy otwarte trochę szerzej niż zwykle - przystąpiła od razu do rzeczy.

- Na co, twoim zdaniem, trzeba zwracać szczególną uwagę? - zapytała pielęgniarka.

- Na tajemnicze telefony. Na przykład czyjeś pytanie o to, czy Sanna leży na tym oddziale.

Ci, którzy będą

dzwonić, przedstawiają się pewnie jako dziennikarze albo policjanci.

- Ja rozpoznałam twoje nazwisko i twój głos. Spotkałyśmy się wczoraj po południu - wtrąciła zaraz siostra Ann-Britt.

- A ja rozpoznałam twój głos - zapewniła Irene.

- Gdyby było inaczej, nie udzieliłabym informacji o stanie pacjentki - dodała pielęgniarka.

- Rozumiem. Ale wróćmy do koniecznej czujności: oczywiście chodzi o nieznaną osobę, które pojawiają się nagle tam, gdzie nie powinny być. Zwłaszcza gdy nie potrafią wyjaśnić, w jakim celu. Wtedy trzeba koniecznie wszcząć alarm.

- Ale może okazać się fałszywy. Jeśli ktoś przypadkiem znajdzie się w niewłaściwym miejscu o nieodpowiedniej porze - wtrąca siostra Ann-Britt.

- To się zdarza. Ale lepiej wszcząć jeden alarm ponad potrzebę, niż o jeden za mało. Sanna Kaegler jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Rozumiem to. Porozmawiam z koleżankami.

Irenę podała pielęgniarce numery telefonu domowego i komórkowego. Mimo warty policyjnej pod izolatką nie była całkiem usatysfakcjonowana. Dotychczasowe działania mordercy świadczyły o tupecie i zupełnym braku skrupułów. Takie połączenie naraża innych na utratę życia. Szczególna czujność personelu oznaczałaby, że nad bezpieczeństwem Sanny czuwałoby więcej oczu.

Jenny i Katarina spały jeszcze. Krister był w „Glady's Corner” na dziennej zmianie, która trwała do piątej. Irenę nastawiła się na przyjemny sobotni wieczór w towarzystwie męża. „A jutro przyjedzie Tommy z dziećmi i zostanie do kolacji” - przypomniała sobie. Ta refleksja wywołała mieszane uczucia. Owszem, ucieszyło ją zaufanie okazane przez Tommy'ego, właśnie takie, jakiego można się spodziewać po najlepszym przyjacielu, ale jak ułożą się jej dalsze kontakty z Agnetą? Przecież od lat łączyła je serdeczna przyjaźń. Czy uda się utrzymać normalny kontakt z obojgiem po ich rozwodzie? Przyszłość pokaże - tyle mogła teraz stwierdzić. Gdyby musiała wybierać, wołałaby (to już wiedziała) Tommy'ego. Znali się od dawna. I oboje byli świadomi tego, że utrzymanie tak bliskiej, przyjacielskiej więzi między mężczyzną i kobietą należy do rzadkości, zwłaszcza gdy po obu stronach powstały nowe rodziny. „To wyjątkowe i oczywiście warte zachowania” - pomyślała Irenę. Przyczyną była wzajemna sympatia i podobna kariera. Jednocześnie studiowali w Wyższej Szkole Policyjnej, służyli w tym samym rejonie w Göteborgu jako członkowie patroli, często jeździli tym samym radiowozem i prawie równocześnie trafili do wydziału kryminalnego. Tommy znalazł się tam o rok wcześniej niż Irenę. I właśnie jego opowieści o tej służbie zachęciły ją do uzyskania kwalifikacji wymaganych od inspektora. Nigdy tego nie żałowała. Mimo męczącej i często niewdzięcznej służby nie zamieniłaby jej na żadną inną. „Mam chyba wrodzony psi instynkt. Zadziałały pewnie geny. Ojciec był celnikiem, a nuż mundur jest dla mnie fetyszem?” - myślała czasem nie bez autoironii. Co prawda przestała go nosić przed piętnastu laty, kiedy przeszła do wydziału kryminalnego. Ponieważ tego dnia jednej tylko żywej istocie zależało na towarzystwie Irenę, wyszła do przedpokoju. Włożyła na siebie kurtkę i zdjęła smycz z haka pod półką na kapelusze.

- Sammie! Wychodzimy!

Pies drzemał na dywanie pod stołem w salonie i teraz zaszurał pazurami po parkiecie. I zaraz wybiegł pędem do holu. Chodnik w holu zmienił się w harmonijkę i w takim stanie przykrył próg salonu.

Wszystko odbyło się tak jak zawsze, gdy w domu państwa Hussów nadchodziła pora wyprowadzenia psa.

Słońce zniknęło w cienkiej warstwie chmur, ale na deszcz się nie zapowiadało. Mimo wiatru od morza Irenę postanowiła pójść w tym kierunku. Potrzebowała zapachu wodorostów przemieszanego z zapachem soli, chciała też słyszeć odbijanie się fal od kamieni. Nic nie zapewniało jej większego spokoju i nie sprzyjało bardziej rozmyślaniom.

Sammie, który szedł obok, napinał smycz i obwąchiwał różne zasypane miejsca w poszukiwaniu ciekawych informacji. Zbliżali się do przystani Fiskeback. Ludzi było tam niewiele. Sezon żeglarski należało chyba uznać za zakończony, choć Irenę widziała jeszcze tu i ówdzie, ponad niebieskoszarą powierzchnią morza, pojedyncze żagle. Z rzadka pojawiały się też na tym torze wodnym motorówki. Czy któraś z tych łodzi przypominała łódź Thomasa

Bonettiego? Ireń nie miała pojęcia, jak wygląda Storebro Royal Cruiser 400 i coś tam, ale wątpiła, aby mogło chodzić o łódkę z przyczepionym silnikiem. Raczej kilkumetrowy jacht z prysznicem, toaletą i...

I nagle go zobaczyła. Nie wiedziała, skąd się wziął, bo była zbyt zaabsorbowana własnymi myślami. Wielki owczarek zbliżał się z groźnym pomrukiem do Sammiego, który był chyba nie mniej zaskoczony niż jego pani. Sammie szedł w błogim spokoju ciekawym tropem, aż tu nagle został zaatakowany przez psa puszczonego luzem. Ale że zwady Sammie nie unikał, to i szybko ocenił sytuację. Szczęśliwie miał parę metrów na swobodne poruszanie się, bo jego pani nie skróciła rozciągliwej smyczy. Owczarek okazał się co najmniej dwa razy większy, ale Sammie był optymistą. Ireń zobaczyła u tamtego, bardzo agresywnego psa nastroszoną sierść i wyszczerzone kły. Spróbowała zatrzymać jego atak, odpędzając go krzykiem i unosząc ponad głowę ramiona, które mogły się kojarzyć z orlimi skrzydłami. W innych sytuacjach jej się udawało. I ten owczarek drżał przez ułamek sekundy, gdy Ireń go odstraszała.

Sammie mu było w to graj. Eleganckim susem po przekątnej dopadł grzbietu owczarka i wbił weń kły. Owczarek zdziwił się bardzo, kiedy jego kły trafiły w próżnię, a nie w sierść karku teriera. Po chwili owczarek poczuł ból w zadku. Straszliwy ból! Zapiszczał żałośnie. Po dzielnym wojowniku nie było śladu. Sammie zaś miał nie lada satysfakcję. Dla pewności wgryzł się trochę głębiej, żeby ofiara się nie wymknęła. Owczarek zawył z bólu. Ireń zaczęła współczuć biednemu zwierzakowi. Rozglądała się rozpaczliwie, ale nie wypatrzyła nikogo, kto mógłby wyglądać na właściciela owczarka.

- Sammie, dobry piesek... Puść go - poprosiła. Sammie usłyszał swą panią i, zdziwiony, łypnął na nią spomiędzy swoich kudłów. Puścić go? Chyba zgłupiała! Taki mocny chwyt... jakże go puścić?

- Sammie, bądź dobrym pieskiem... Puść go wolno! - powtórzyła płacząco.

Ze zdziwieniem i z ulgą zobaczyła, że Sammie uwolnił ofiarę. Owczarek odszedł, podkuliwszy ogon. Skierował się w stronę zaparkowanego passata combi i czmychnął na przednie siedzenie.

- Ach tak, stamtąd przyszedłeś - stwierdziła na głos Ireń. Sammie patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc. Jeśliby mógł wyrazić swoje zdanie, to powiedziałby, że rezygnacja przy takiej przewadze jest szaleństwem.

- Dobrze sobie poradziłeś, Sammie... Jesteś... kochany. Dobrze sobie poradziłeś... Mam nadzieję, że nic ci się nie stało - mówiła nerwowo, kątem oka zerkając wciąż na passata. Sammie, który wyszedł z bójki chyba całkiem bez szwanku, otrząsnął się. Ireń ruszyła z nim w stronę domu. Póki passat pozostawał w jej polu widzenia, nie spuszczała go z oka, w obawie przed zemstą owczarka. Ale pies miał pewno dość, bo nie wychodził z samochodu. Sammie patrzył na Ireń wciąż z niejakim zdziwieniem, ale rozumiał, że to jego pani. Musiał odnosić się pobłaźliwie do jej dziwactw.

Na skraju osiedla szeregowych domków Ireń zauważyła, że pies zwolnił. Z początku nieznacznie, ale im bliżej ich

domu, tym wyraźniej. Przy garażach usiadł i nie chciał już dalej iść. Żałośnie popiskując, uniósł przednią prawą łapę. Kiedy Ireń dotknęła jej przy zgięciu, zapiszczał głośnie. Śladów pogryzienia nie było widać, coś jednak musiało się stać z jego łapą w tym właśnie miejscu.

- Stare psy nie powinny się wdawać w bójki. Teraz będzie po tym ślad - powiedziała Ireń. Sammie nie zważał na nią. Nie zamierzał zrobić ani jednego kroku, mając nadwierzoną łapę. Ireń westchnęła i nachyliła się, żeby tego prawie dwudziestokilogramowego psa wziąć na rękę.

- Wystarczyłoby zadzwonić. W lecznicy domyślili się, że chodzi o zwichnięcie. Weterynarz przepisał lek przeciwbólowy i łagodzący opuchliznę i kazał zgłosić się za dwa dni - opowiedziała Irene.

Cała rodzina Hussów zebrała się tego wieczoru przy stole. Znalazła się na nim włoska pasta, przygotowana przez Kristera z dodatkiem dwóch sosów, pomidorowego dla Jenny oraz sosu gorgonzola. Dopiero co uporali się z deserem, na który złożyły się lody waniliowe i plastry świeżego ananasa.

- Było nie było, on ma dziesięć lat. Poradził sobie z owczarkiem, a to jest nie byle jaki wyczyn - stwierdził Krister.

Wypowiedział te słowa z łatwo wyczuwalną dumą. „A niektórzy się dziwią, że w pewnych krajach walki psów cieszą się ogromną popularnością” - pomyślała Irene.

- W Varmlandii walczył nawet parę razy z borsukami - przypomniała Katarina.

- Tak, ale nie w ostatnich latach. Faktycznie jest już za stary na takie walki. Cieszymy się, że ma tylko zwichniętą łapę - ostudziła ją Irene.

Sammie chrapał pod stołem, uśpiony przez mocny lek. Z podaniem mu tabletek nie było problemu. Jenny ukryła je w filetach rybnych, którymi uatrakcyjniła suchą karmę. To, co najlepsze, połknął pies, jak zwykle, na samym początku, i to nie rozgryzając filetów, szczęśliwie nieświadomy tego, że zostały spreparowane.

- Czy kupimy nowego psa, kiedy Sammie zdechnie? - zapytała nagle Jenny.

Irenę zakrztusiła się. Właśnie tego tematu starała się unikać. Owszem, przyznawała, że Sammie zaczął się starzeć i dawno osiągnął wiek, który dla większości psów oznacza połowę życia, ale nie zdobywała się na oczywistą następną refleksję.

Krister odpowiedział córce, zanim Irene zdążyła obmyślić swoją odpowiedź.

- Nie sądzę. Gdzieś za rok przeprowadzimy się i wtedy będziemy chcieli więcej podróżować. Być może sprzedamy dom i kupimy mieszkanie bliżej centrum. Pies na pewno nie czułby się tam dobrze. I trudno byłoby znaleźć kogoś, kto wzięłby go pod swoją opiekę na czas naszej nieobecności. Babcia jest coraz starsza - stwierdził.

- Nie mówiąc o Majlis - dodała Irene.

Majlis opiekowała się Sammiem w ciągu dnia. Była po siedemdziesiątce i doglądała czterech psów, których właściciele pracowali za dnia. Niespodziewany dodatek do marnej emerytury zawsze się przydaje. Irene i Krister nie mogli inaczej rozwiązać problemu opieki nad psem. Inną możliwością było pozostawianie Sammiego w domu samopas na osiem, a w niektóre dni nawet na dziesięć godzin. Nie wytrzymałby tego, nie było więc innego wyjścia.

- W takim razie sama sobie kupię psa - oznajmiła Jenny.

- Nie będzie łatwo zabierać go na zawody polo. Zwłaszcza na mistrzostwa świata - zażartował Krister.

Jenny ściągnęła usta i powiedziała tylko:

- Tak, to możliwe.

W niedzielę rano Irene obudził telefon. Była zmęczona i wcale się nie wyspała. Zegar radiowy wskazywał godzinę 6.57. Wolne niedzielne przedpołudnie! Jeszcze w półśnie sięgnęła po słuchawkę i przedstawiła się.

- Przepraszam, że cię budzę. Mówi siostra Ann-Britt. Wczoraj prosiłaś, żebyśmy zwracały uwagę na dziwne zachowania. .. Chyba zauważyłam coś takiego. A pamiętam, że chciałaś, bym zadzwoniła, skoro tylko coś wzbudzi moje podejrzenia - mówiła pielęgniarka, jakby się usprawiedliwiając.

Irene dochodziła już do siebie.

- Zgadza się. Mów dalej - zachęciła siostrę.

- Wczoraj widziałam jakiegoś ciemnego mężczyznę, który stał przy windach obok wejścia na oddział. Dzięki temu, że drzwi na oddział są oszklone, widziałam go dobrze. A nie była to

pora odwiedzin. Informację o odwiedzinach przeczytał na tablicy ogłoszeniowej, do której zaraz podszedł.

O trzeciej dołączył do grupy odwiedzających. Obejrzałam go sobie bardzo dokładnie. Odłączył się od grupy, z którą wszedł, i powolnym krokiem ruszył korytarzem przed siebie. Kiedy przez szybę drzwi prowadzących do przedpokoju przy izolatce Sanny Kaegler zobaczył policjanta, obrócił się na pięcie i wyszedł z oddziału. Wyglądało to dziwnie.

I dziś rano znowu go zobaczyłam.

- Zaczekaj. Powiedziałaś: „ciemny”. Czy o śniadej cerze? - wtrąciła Irene.

- Nie. To typ południowca. Ciemne włosy i brwi, i piwne oczy. Przystojny. Elegancko ubrany, w garniturze i płaszczu. Ma trzydzieści, może trzydzieści pięć lat.

Z tego rysopisu Irene nie miała pożytku. Czy nie był to jednak fałszywy alarm? Do dalszego ciągu relacji sprowokowała siostrę Ann-Britt przypomnieniem:

- Mówiłaś, że dzisiaj rano znowu go zobaczyłaś.

- Tak. Właściwie miałam dyżur po południu, ale zamieniłam się z koleżanką. Ona wybierała się na czyjeś czterdzieste urodziny... ale to nieważne. Dzisiaj rano, kiedy wysiadałam z autobusu, znowu zobaczyłam tego mężczyznę.

Stał pod izbą przyjęć i palił. Tyle że dziś miał na sobie ciemne spodnie i ciemnoniebieską kurtkę. Ale jestem pewna, że to był on.

- O której godzinie to było?

- Za dwadzieścia pięć siódma. A kiedy przyszedłam do dyżurki, znalazłam kartkę, którą po swoim wieczornym dyżurze zostawił dla mnie Lasse. Gdy wczoraj wieczorem przekazywałam mu służbę, opowiedziałam mu o tajemniczym mężczyźnie, którego zobaczyłam wcześniej. I Lasse napisał do mnie, że jakiś facet był na oddziale w porze odwiedzin, około siódmej. Ubrany był identycznie, jak w dzień, i jego wygląd odpowiadał podanemu przeze mnie rysopisowi. Prawdopodobnie wszedł na oddział w ten sam sposób, jak po południu. Ale Lasse nie miał całkowitej pewności, że chodzi o tego samego człowieka, i postanowił nie dzwonić, bo tamten mężczyzna opuścił oddział i potem go już nie było.

- Czy znowu zatrzymał się przed izolatką Sanny? Irene poczuła, że wzrosło jej tętno.

Towarzyszył temu

napływ adrenaliny i wycucie bliskości tropionego zwierza. Mogło chodzić o człowieka, na którego polowali. Irene siedziała już w łóżku, całkiem przebudzona.

- O tym Lasse nie napisał. Ale tamten mężczyzna musiał znowu przejść obok izolatki. Sanna miała zresztą gości, swoją mamę i siostrę. One pojawiły się już o trzeciej i spędziły z nią cały wieczór. Poza tym w przedpokoju pilnował jej przecież policjant.

Mózg Irene pracował na pełnych obrotach. Po chwili zapowiedziała:

- Przyjedziemy za jakąś godzinę. A tymczasem zechciej nam pomóc w tym i owym.

Irene zdołała nawiązać kontakt z Kajszą Birgersdotter

i Fredrikiem Stridhem. Ani Birgitta Moberg-Rauhala, ani Jonny Blom nie odebrali telefonu.

Do Tommy'ego nie warto było dzwonić, skoro pojechał do rodziców, na wyspę Hónó.

Z Anderssonem skontaktowała się z komórki, jadąc już swoim volvo do Szpitala

Wschodniego.

Minęła dokładnie godzina od telefonicznych rozmów z Irene, gdy czwórka oficerów śledczych zebrała się przy zamkniętym bufecie na prawie całkiem wyludnionym parterze.

- Czy zdążyliście zabrać pistolety z komendy? - zapytał Andersson.

Kajsa skinęła głową, a Fredrik dyskretnie wskazał wzrokiem marynarkę i kaburę pod nią.

- Dobrze. Oboje macie więc broń. Dwa pistolety. Tyle powinno wystarczyć.

Dla bezpieczeństwa wjechali na oddział różnymi windami. Gdyby podejrzany zobaczył ich razem, pewnie szybko zorientowałby się, że to policjanci. „Jakbyśmy wydzielali jakąś szczególną substancję, wyczuwalną dla tropionej zwierzyny” - przychodziło Irene na myśl w takich sytuacjach.

Irenę i Andersson weszli na oddział jako pierwsi i zatrzymali się przy długim kontuarze recepcji. Siwa pielęgniarka znajdowała się w oszklonej dyżurce pielęgniarskiej, gdzie rozmawiała przez telefon. Pomachała do Irenę, dając znak, że ją zauważyła, i odłożyła słuchawkę. Potwierdził się domysł Irenę: to właśnie była siostra Ann-Britt. Zbliżała się do sześćdziesiątki; jej piwne oczy świadczyły o inteligencji.

- On się nie pokazał. Jeszcze nie - poinformowała półgłosem.

- Tym lepiej. To jest komisarz Sven Andersson - powiedziała Irenę i dokonała wzajemnej prezentacji.

- Mówisz chyba o ordynatorze Nilsie Diirsellu - odparła z porozumiewawczym uśmiechem pielęgniarka.

Ann-Britt zerknęła nagle na kogoś, kogo wypatrzyła za plecami komisarza, i na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia. „Pomocy, on idzie za nimi!” - pomyślała Irenę. Uspokoila się, gdy rzuciła okiem na oszklone drzwi dyżurki pielęgniarek. Ukazali się w nich Kajsa i Fredrik, którzy podeszli do recepcji. Irenę zrozumiała reakcję Ann-Britt. Mimo że kolory na twarzy Kajsy wyblakły jeszcze bardziej, jej twarz nadal mogła przerazić.

- Służbowa kontuzja - poinformowała Kajsa i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Pielęgniarka dowiedziała się wcześniej, co spowodowało tę feerię barw, a jednak słowa Kajsy jej nie uspokoiły.

- Gdzie twoja odzież? - to pytanie Irenę skierowała do Kajsy.

Nie była zadowolona z tego, że stali wszyscy razem i zwracali na siebie uwagę.

- Proszę za mną - odezwała się siostra Ann-Britt i wskazała Kajsie drogę.

W przebieralni dla personelu znajdowały się fartuchy, bluzy i długie spodnie w różnych rozmiarach, porządnie ułożone na ławce.

- Ciągle brakuje czystej odzieży. Tyle udało mi się zebrać - usprawiedliwiała się pielęgniarka.

- Wystarczy. Ale musisz nam pomóc, żebyśmy dobrze wyglądali - powiedziała Irenę.

Nie było takich spodni, w których zmieściłby się brzuch komisarza, ale zaradzono temu za pomocą bandaża elastycznego, który udało się przewlec przez szlufki i z przodu powstał z niego węzeł. Bluza go przykryła. Kitel lekarski, wystający z kieszeni stetoskop, kilka długopisów w kieszeni na piersi oraz nie pierwszej świeżości identyfikator z informacją: „Nils Dursell, ordynator” - wszystko to przydało się, aby mogła nastąpić przemiana komisarza w starego chirurga.

Irenę dostała bluzę i długie spodnie. Na jej owalnym emaliowanym identyfikatorze z ornamentem po brzegach znalazła się informacja: „Britt, młodsza pielęgniarka”. Fredrik ubrał się tak samo jak komisarz, ale na jego identyfikatorze widniały tylko słowa: „lekarz stażysta”.

- To są stare, zapomniane tabliczki, które leżały w jakimś pudełku tutaj na oddziale. Cały personel został poinformowany, że dołączycie do niego. Nikt nie da niczego po sobie poznać. Tylko nie zapomnijcie, jak się nazywacie - przestrzegła siostra Ann-Britt.

„Nils Dursell, Nils Dursell” - posłusznie powtarzał półgłosem Andersson.

Dla Kajsy udało się siostrze Ann-Britt wypożyczyć wózek z akcesoriami przydatnymi do sprzątnięcia i komplet niebieskiej odzieży salowej.

Pielęgniarka pobladła, kiedy Kajsa wyciągnęła z noszonej na ramieniu torebki swój pistolet, Sig Sauer, i wetknęła go pod stos ścierek, do plastikowego koszyka umieszczonego między uchwytem a właściwym wózkiem. Na jej zwyczajnym drewnianym identyfikatorze widniały niezgrabnie wypisane litery imienia: „Danuta”. Kajsa wyjęła też z torebki przyciemnione okulary. Nie przeciwsłoneczne, bo dziwiłaby wewnątrz szpitala, i to w październiku, lecz dość przyciemnione, aby ukryć przebarwienia wokół oczu.

Pewnym problemem był pistolet Fredrika, też Sig Sauer. Kabura wydymała bluzę i nawet kitel lekarski nie mógł zakamuflować broni. Problem rozwiązała torebka Kajsy, którą sobie wypożyczył.

- Włożymy do niej parę plastikowych teczek albo skoroszytów i niech one wystają, a wtedy będziesz mógł trzymać. .. tę spluwę w otwartej torebce - zaproponowała siostra Ann-Britt, zerkając nerwowo na broń.

Tak też zrobili. Fredrik sprawdził kilka razy, czy wydostanie szybko pistolet, i nie miał z tym problemu.

- Jeśli ktoś z pacjentów albo gości o coś was zapyta, to odpowiadajcie po prostu: „Nie pracuję na tym oddziale” albo: „Jestem tu ze swoim pacjentem na konsultacji”. Wchodzi też w grę inny wariant: „To nie mój pacjent. Proszę poczekać, zapytam siostrę Ann-Britt” i wtedy wystarczy mnie poprosić. „Ordynatora Dursella” umieścimy w dyżurce pielęgniarskiej. Stamtąd będziesz widział wszystkie osoby wchodzące i wychodzące, i to bez potrzeby narażania się na to, że cię ktoś zagadnie. Możesz udawać, że czytasz jakąś gazetę - zasugerowała Ann-Britt komisarzowi.

Ten, zdenerwowany, pokiwał głową. Nie pomyślał wcześniej, że być może wypadnie mu odpowiadać na pytania dociekliwych pacjentów albo ich krewnych.

- W niedzielę nie ma normalnego obchodu, odbywają się tylko krótkie wizyty u niektórych pacjentów. I jest możliwe, że ordynator zajrzy co jakiś czas do Sanny... - powiedziała z wymownym uśmiechem Ann-Britt.

Andersson znów skinął głową.

- Ty możesz się krzątać przy windach i przy wejściu na oddział - tę radę usłyszała od pielęgniarki Kajsa.

- Czy masz przy sobie komórkę? - zapytała Irene. Kajsa przytaknęła.

- To dobrze. Zadzwoń do mnie, jeśli on się pojawi. Włączyłam wibracje - oznajmiła Irene.

- Świntucha - - zakpił Fredrik.

- Coraz bardziej przypominasz Jonny'ego. To, że pracujesz razem z nim, nie wychodzi ci na dobre - odcięła się Irene.

- Przestańcie gadać, musimy zaczynać - wtrącił zirytowany komisarz.

Irene wzięła się od razu w garść i zapowiedziała:

- Wyjdziemy po kolei. Z krótkimi przerwami.

Po tych słowach poszła z Ann-Britt do przebieralni.

Na oddziale rozdawano właśnie śniadanie. Irene stanęła w kolejce dla personelu i też dostała tacę. Jakiś chłopak, który stał za nią, chrząknął znacząco i szepnął jej do ucha:

- Weź inną tacę. Tego pacjenta trzeba karmić.

Chłopak miał na piersi przyklejony taśmą plaster z imieniem: „Magnus”, wypisanym niebieskim długopisem. Wokół jego szyi widniał imponujący tatuaż, który przedstawiał barwnego smoka. Irene mimo woli zadrżała, bo tatuaż skojarzył jej się z niesamowitą sprawą, z którą miała do czynienia niespełna rok wcześniej. Czarne włosy chłopca były wystrzyżone po bokach i nad karkiem. To, co pozostało, utworzyło czub pośrodku głowy.

Irene podziękowała uśmiechem i wręczyła mu tacę. Nigdy przedtem nie karmiła dorosłej osoby i pewnie zajęłoby jej to dużo czasu, gdyby teraz podjęła taką próbę. Sięgnęła po następną tacę. Kartka położona na czerwonej plastikowej tacy zawierała informację: „3.2 J. Fredriksson DK”.

- Sala 3. Drugie łóżko - wyszeptał Magnus, ledwo otworzywszy usta.

Irene skwitowała to dyskretnym skinieniem. Postanowiła udać się z trzymaną w rękę tacą na rekonesans wzdłuż korytarza. Uważnie patrzyła na mijane drzwi, bez wysiłku odgrywając rolę osoby nowej na tym oddziale.

Drzwi do pokoju Sanny były zamknięte. W przedpokoju (siostra Ann-Britt określiła tę przestrzeń jako pokój przejściowy) znowu siedziała policjantka. Zerknęła na Irene, ale chyba jej nie rozpoznała. Czyżby Ann-Britt zapomniała poinformować tę strażniczkę? Irene nie wiedziała przez chwilę, jak się zachować, ale zaraz dostrzegła dyskretny znak, dany przez koleżankę. Ten gest, który trwał może sekundę, wystarczył, żeby Irene odzyskała spokój.

Dla pewności Ireneę weszła też na drugi korytarz, równoległy do tego, w którym znajdowała się izolatka Sanny. Kiedy powróciła do drzwi sali nr 3, zobaczyła przy windach Kajkę. Z zapalem wycierała mopem podłogę, jakby w swoim dotychczasowym życiu zajmowała się tylko sprząaniem.

W sali numer 3 były dwa łóżka. Zastała na nich dwóch starszych mężczyzn.

- Nareszcie niesiesz moje jedzenie! I pewnie wystygło! Dlaczego ja zawsze dostaję na końcu? I, jak zwykle, zapomnieli chyba o tym, że jestem na diecie z powodu cukrzycy! - złościł się J. Fredriksson.

Był to wysoki i wychudzony mężczyzna, ze skórą jak pergamin, w złocistym odcieniu, taką, że zdawała się przyklejona do czaszki. Jego dłoń, z żyłami na wierzchu, mocno drżała, gdy kierował oskarżycielski palec w stronę Ireneę.

- Nie marudź, Jocke. Te dziewczyny biegają tak szybko, jak potrafią! - odezwał się życzliwym tonem drugi pacjent z tej sali.

Siedział już na brzegu łóżka, zajęty śniadaniem. Był niski, korpulentny i chyba o kilka lat młodszy niż Jocke Fredriksson. Obok łóżka, u wezłowia, stał wózek inwalidzki, którego potrzeba stała się dla Ireneę jasna, gdy zobaczyła, że mężczyzna miał amputowane obie nogi powyżej kolan.

Ireneę uśmiechnęła się i postawiła tacę na podniesionej klapie nocnego stolika Fredrikssona.

- Proszę wybaczyć, ale jestem tu całkiem nowa - zaświergotała.

- Pierwszej świeżości już po tobie nie widać - odburknął Jocke Fredriksson.

„Cholerny dziad!” - pomyślała Ireneę, ale nie przestała się uśmiechać, tyle że o kilka stopni chłodniej.

- Czy ja się nie mylę, że na twoim identyfikatorze napisano „młodsza pielęgniarka”? - zdziwił się człowiek bez nóg.

- Zgadza się.

- I ty będziesz mi dzisiaj ścielić?

Ireneę miała nadzieję, że mężczyźni nie dostrzegli przerażenia, które malowało się na jej twarzy.

- Niece... nie. Tym zajmie się pewnie siostra Ann-Britt. Mogę ją o to zapytać - powiedziała Ireneę.

Człowiek bez nóg skinął głową, chyba zadowolony z odpowiedzi. Ireneę wymknęła się.

Na korytarzu zobaczyła idącego naprzeciw Fredrika z rozwianymi połami fartucha. Z torby na jego ramieniu wystawał skoroszyt, a w rękę trzymał grubą książkę. Na nos włożył wąskie okulary w prostokątnych oprawkach i na otoczenie patrzył sponad szkiele. Wyglądał całkiem inteligentnie.

„Ordynator Nils Dursell” siedział za szybą w dyżurce i udawał, że wczytuje się w jakieś grube kompendium wiedzy lekarskiej. Jednym okiem obserwował wejście na oddział, jakby zezując.

Ireneę wystraszyła się mocno, gdy poczuła, że ktoś ją pociągnął do tyłu za bluzę. Odwróciła się zaraz, ale okazało się, że patrzy w próżnię. Kiedy pochyliła głowę, dojrzała lękliwy wyraz twarzy jakiejś niskiej staruszki.

- Przepraszam, siostrze, ale czy siostra nie wie przypadkiem, kiedy nadejdą wyniki badań mojego męża? - zapytała nieśmiało kobieta.

Ireneę wzięła się szybko w garść i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Jak on się nazywa?

- Jakob Fredriksson - wyszeptowała staruszka. „Udręczona żona cholernego dziada” - pomyślała Ireneę.

Odezwała się jednak życzliwym tonem:

- Niestety, ja nie mam tej sali pod opieką, ale mogę zapytać siostrę Ann-Britt.

- Dziękuję... bardzo dziękuję. Chciałoby się jednak wiedzieć, skoro to... rak - powiedziała szeptem staruszka i weszła z powrotem do sali chorych.

Rak. Kilkanaście lat wcześniej zmarł na raka ojciec Irene. I zachowała w pamięci tamten strasznie trudny okres przed jego śmiercią. Owszem, nastąpił ogromny postęp w medycynie i dziś można pomóc ludziom wcześniej skazywanym przez postawioną diagnozę na śmierć. Ale samo słowo „rak” nadal budzi niesamowity lęk, potrafi przerazić. Nagle Irene zrobiło się żal Jockego. Czekala go ciężka walka. Być może już ją przegrał. Nie dziwiła już Irene jego skłonność do gderania. Lepsze to niż apatyczne pogodzenie się z losem. Otóż to, trzeba walczyć to the bitter end, jak mawiała matka Irene, pani Gerd. Ta angielska aluzja do smutnego końca była jednym z niewielu zwrotów w tym języku, które pani Gerd opanowała. Magnus wystawił swój czarny czub zza którychś drzwi i powiedział:

- Britt, my idziemy na kawę. Czy zabierzesz tace?

Irene przypomniała sobie dopiero po paru sekundach, że na identyfikatorze widniało imię Britt.

- Oczywiście, zabiorę je - odparła.

- Pomogę ci - wtrąciła niska blondynka w wieku Irene. Anette okazała się faktycznie młodszą pielęgniarką.

Uśmiechnęła się do Irene i powiedziała:

- Możemy kilka minut poczekać, żeby wszyscy się najedli. Potem pozbieramy tace i każda zacznie w innym końcu korytarza. Ty możesz zacząć po tamtej stronie, a ja po tej.

Pielęgniarka wskazała pierwsze sale na początku korytarza. Irene skinęła głową i odeszła powoli w kierunku recepcji.

Komisarz poczuł się naprawdę dobrze w roli starego ordynatora Dursella. W okularach zsuniętych na czubek nosa studiował grube kompendium, a przy tym obserwował ukradkiem wejście na oddział. Na widok Irene uniósł księgę, wykonując dyskretny gest powitalny. Irene zdążyła odczytać tytuł, wypisany czarnymi literami na złotym tle: Zabiegi higieniczne przy sprzątaniu pomieszczeń zainfekowanych na oddziałach otwartych i zamkniętych. Trudno było się spodziewać takiej lektury w niedzielne przedpołudnie po starym chirurgu, i to ordynatorze. Poczula ulgę, kiedy komisarz odłożył to grube tomisko na biurko.

Fredrik stał za kontuarem recepcji, gdzie wdał się chyba w dyskusję z siostrą Ann-Britt. „Oto sumienny, pełen pasji lekarz-stażysta” - pomyślała z uznaniem Irene.

Gdy spojrzała na zegar, stwierdziła, że nadeszła pora zbierania tac po śniadaniu. Należało je złożyć na wózku i dostarczyć z powrotem do głównej kuchni szpitala.

Ostatnią salę w obrębie tego korytarza zajmowały cztery kobiety w różnym wieku. Jedna z nich, starsza wiekiem, leżała pod kroplówką i śniadanie ją ominęło, a trzy pozostałe zjadły z apetytem. Irene zamieniła z każdą kilka słów i wyjaśniła, że jest dodatkową pielęgniarką na weekend. Wspomniała i o tym, że jako osoba stale zatrudniona na oddziale chorób przewlekłych nie zna zwyczajów panujących na oddziale chirurgicznym. Jej trzy rozmówczynie przyjęły to ze zrozumieniem i wyraziły przekonanie, że te dwa oddziały muszą się bardzo różnić. Doceniły jej ogromną odwagę, bo przecież podjęła się pracy, która jest dla niej czymś nowym. „Nie macie pojęcia, jak bardzo nowym” - pomyślała Irene, wynosząc ostatnią tacę.

Zamierzała już wyjść, kiedy w kieszeni jej spodni odezwał się telefon komórkowy. Poczula przypływ adrenaliny i przyspieszyła kroku, ale nie aż tak, by zwrócić na siebie uwagę.

Na korytarzu rzucił jej się w oczy lekarz, który właśnie wchodził do izolatki Sanny. Nikogo więcej nie było - prócz Kajsy, która biegła w stronę Irene. Kajsa gestykulowała gwałtownie, wskazując drzwi, za którymi zniknął lekarz.

Irene dotarła do drzwi izolatki. W przedpokoju leżała bez ruchu policjantka. Irene zobaczyła plecy wchodzącego do izolatki lekarza. Dostrzegła jego ciemny kark i uniesienie ręki.

Trzymał w niej pistolet.

Irenę oceniła odległość między sobą a nim, po czym złapała talerz po kanapkach i rzuciła. Z niesamowitym głuchym łoskotem uderzył w potylicę mężczyzny i rozleciał się. Mężczyzna upadł na twarz, ale zdążył wystrzelić, o czym świadczył równoczesny suchy trzask. I wtedy rozległ się krzyk Sanny. Irenę zaczęła się już przyzwyczajając do jej krzyków, ale Kajsa, która stanęła tymczasem za plecami Irenę, przestraszyła się.

- To znaczy, że ona żyje - stwierdziła rzeczowo Irenę.

Sprawdziła tętno mężczyzny. Pozostawał przy życiu, ale chyba stracił przytomność. Miał w ręku pistolet z tłumikiem. Irenę wyjęła mu ostrożnie tę broń, wzięwszy jej lufę między kciuk a palec wskazujący.

Sanna leżała na swoim łóżku i krzyczała histerycznie. Powyżej jej prawego ramienia szybko powiększała się kałuża krwi.

- Uspokój się, Sanno. Zostałaś trafiona tylko w ramię - przekonywała ją Irenę.

Ale daremnie. Cały oddział słyszał krzyk Sanny.

Prawdziwy lekarz - „Westerlund, lekarz dyżurny” - skierował policjantkę i nadal nieprzytomnego mężczyznę na oddział intensywnej terapii. Kiedy policjantkę układano na noszach, zaczęła dochodzić do siebie. Wyraźne boczne zaczerwienienie szyi świadczyło o tym, że powaliło ją mocne uderzenie.

Doktor Westerlund zaczął od zrobienia Sannie zastrzyku uspokajającego. Następnie porządnie opatrzył jej bark, założywszy bandaż elastyczny.

- Trafi od razu na blok operacyjny - zapowiedział. Obdarzywszy Irenę dyskretnym uśmiechem, dodał:

- Ten facet może sobie pogratulować, że jeszcze żyje. Udał ci się bardzo celny rzut!

- Jestem dawną szczypiornistką, a poza tym przywykłam do rzucania frisbee. Mój pies uwielbia ganiać za tym plastikowym talerzem - wyjaśniła Irenę.

- Tego się domyślałem - powiedział ze śmiechem lekarz.

Sanna była już trochę spokojniejsza i przestała krzyczeć. Zmarszczyła brwi, wpatrzona w Irenę. Odezwała się niezbyt wyraźnie:

- Ty jesteś tą... policjantką. Ubranie... Mikę też był ubrany na białą.

- Mikę? Czy ten, który do ciebie strzelał, ma na imię Mikę? - zapytała Irenę.

- Tak. On też był... lekarzem.

Sanna zamknęła oczy i w tym momencie weszli do izolatki dwaj sanitariusze w zielonych strojach. W izolatce zrobiło się naprawdę tłoczno.

- Dołączę do was - poinformował tamtych dwóch lekarz.

Pożegnał się z Irenę skinieniem głowy i zniknął z oboma mężczyznami i z Sanną na łóżku. Izolatka nagle opustoszała. Pozostały w niej tylko Irenę i Kajsa.

- Mikę... wydaje mi się, że go rozpoznałam, ale nie pamiętam, gdzie go... - myślała głośno Kajsa.

- Kiedy zrozumiałaś, że to on? - zapytała Irenę. Kajsa westchnęła, zdejmując przyciemnione okulary.

- Okazał się cholernie sprytny. Z windy wysiadło trzech lekarzy. Dwaj skierowali się na drugi oddział, a on... Mikę, pomachał do nich i wszedł tutaj. Gdyby sam przyjechał windą, wydałby mi się od razu podejrzany. Ale że było ich trzech i wyglądało na to, że się znają, nie zareagowałam natychmiast. Po prostu poszedł korytarzem i dopiero wtedy tknęło mnie, że... to, być może, właśnie on. Rysopis zgadzał się przecież, choć nie ubiór. A kiedy bez wahania otworzył drzwi izolatki Sanny, zadzwoniłam do ciebie na komórkę. Na szczęście zdążyłaś!

Ton Kajsy świadczył o uldze, której trudno było nie wyczuć.

- Czy Andersson zareagował? - spytała Irenę.

- Nie od razu. Dopiero wtedy, gdy Sanna zaczęła krzyczeć. Pewno tak samo jak ja wziął go za prawdziwego lekarza. Wygląd miał przecież przekonujący. Zaopatrzył się w stetoskop i

wszystko inne, co potrzebne. I tak się poruszał, jakby tu pracował. Widać po nim było, że jest pewny siebie - wyjaśniała Kajsa.

Irenę skinęła głową.

- Kilka razy wyprowadził nas w pole. To już wiemy... Przerwał jej okrzyk Kajsy:

- Wiem, kto to jest!

- Kto?

- Mike! Jest szefem ochrony w hotelu Gothenburg! Przecież mnie i Birgitcie pokazywano film zrobiony kamerą, która monitoruje wewnętrzny parking, w chwili, gdy Ceder odjeżdżał tamtego wieczoru, kiedy został zastrzelony. Ten film pokazał nam Mike... Michael Fuller! Amerykanin! - zakończyła triumfalnym tonem.

Michael Fuller. Również Irenę skojarzyła z czymś jego nazwisko.

- Sanna mówiła, że szef ochrony w hotelu Gothenburg pomógł jej w zainstalowaniu alarmu w domu po śmierci jej męża. Założę się, że on miał klucz od domu. I niewykluczone, że to Mike Fuller stał pod tamtymi krętymi schodami i strzelił Cederowi między oczy.

- Możliwe. Ale co go skłoniło do zamordowania szefa? Dlaczego zabił Bergmana i Rothstaahla? I dlaczego musiał zamordować Sannę? I jak z tym wszystkim powiązać zabójstwo Thomasa Bonettiego i Edwarda Fentona? - zastanawiała się Kajsa.

- To twoje zadanie domowe na jutro - powiedziała Irenę głosem, w którym pobrzmiwało zmęczenie.

Irenę uśmiechnęła się, aby pokazać, że zażartowała, i otoczyła Kajsę ramieniem.

Rozdział 23

Michael Fuller został zatrzymany i, jak twierdzili lekarze, nie powinien mieć ochoty na ucieczkę. Mocno odczuł z tyłu głowy krawędź talerza. Tamto trafienie okazało się dla niego bardzo bolesne i miał z tego powodu kłopoty z utrzymaniem równowagi.

Policjantka pamiętała tylko, że siedziała na krześle, kiedy jakiś lekarz otworzył drzwi. Zanim zdążyła unieść wzrok i mu się przypatrzeć, pociemniało jej przed oczyma. Otrzymała celny cios karate, zadany przez specjalistę. Gdyby cios okazał się silniejszy, mogła zginąć.

Sanna została zoperowana i zza prawej łopatki wyjęto nieosłoniętą kulę z pistoletu kaliber 25. Kulą pieczołowicie zaopiekowali się technicy z laboratorium. Pistolet oraz kule z poprzednich morderstw miały trafić na badania balistyczne, wykonywane przez Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne. Realizowano tam wiele zleceń, przez co nierzadko z opóźnieniem.

Zbadanie pistoletu mogło potrwać, ale na to nie było rady.

Jeden z lekarzy zgłosił w poniedziałek rano, że zastał swoją szafkę na ubrania pustą.

Zirytowany i zaniepokojony,

pojawił się w laboratorium i rozpoznał strój lekarski, który w chwili zatrzymania miał na sobie Fuller jako własny. Ponieważ szafka tamtego lekarza była pusta, wyznaczono kilku policjantów do odszukania odzieży Mike'a Fullera w Szpitalu Wschodnim. Dopiero pod wieczór wypatrzony został na parkingu samochód, który okazał się wozem z wynajmu.

Wewnątrz znaleziono ciemnoniebieską kurtkę i długie ciemne spodnie, w których przed południem widziała Fullera siostra Ann-Britt.

Dwaj lekarze z windy przyznali w rozmowie, że Mike Fuller wywiódł ich w pole. Kiedy wszyscy trzej wsiedli, zagadnął do nich po angielsku, z amerykańskim akcentem, że nie jest pewien numeru oddziału, na którym powinien się znaleźć. Ale wiedział, że chodziło o oddział chirurgiczny, i zapamiętał piętro. Szwedzcy lekarze pomogli mu, podając numer tego oddziału. I dodali, że naprzeciw niego znajduje się jeden z oddziałów terapeutycznych. Żaden nie uznał sytuacji za niepokojącą. Tamten człowiek podziękował. Lekarze wyrazili radość, że mogli pomóc goszczącemu w szpitalu koledze.

Komisarz Andersson zdał sprawę z dramatycznego niedzielnego zatrzymania w Szpitalu Wschodnim. Tommy usłyszał całą historię od Irene już w niedzielę po południu, ale dla tych wszystkich, którzy nie brali osobiście udziału w akcji, była to opowieść mrożąca krew w żyłach.

- Jak w kiepskim kryminale w telewizji - stwierdził półgłosem Jonny.

Właśnie półgłosem, bo Andersson nie pochwaliłby go pewnie za taki komentarz. Komisarz był nie bez powodu dumny z sukcesu akcji. Schwywanie tego mordercy stanowiło świetną puentę w jego karierze.

- Przesłano nam z ambasady informacje o Mike'u Fullerze. Podobno pochodzi z New Jersey, mieszka w Nowym Jorku i ma trzydzieści pięć lat. Jest obywatelem Stanów Zjednoczonych. Przyjechał tutaj w maju 2000 roku - oznajmił Fredrik.

- Tak jak Sanna. Może to być bez znaczenia, ale odnotujmy tę zbieżność - wtrąciła Irene.

- Bonetti zginął we wrześniu 2000 roku - przypomniał Fredrik.

- Ile lat Fuller pracował jako szef ochrony w hotelu Gothenburg? - zapytał Andersson. Fredrik zajrzał do swoich notatek.

- Nieprzerwanie od chwili przyjazdu. Mieszka z dziewczyną, która pracuje w recepcji tego hotelu. Ostatnio przenieśli się do nowego mieszkania w Norra Alvstrand - poinformował.

- Dobry adres. Pewnie nieźle zarabia jako szef ochrony - wtrącił Jonny.

- A może trzeba by zmienić pracę - uśmiechnął się Fredrik.

Jego szef skwitował to wzgardliwym parsknięciem, ale powstrzymał się od komentarza.

Jedynie oznajmił:

- Gdy tylko lekarze uznają stan Fullera za stabilny, zostanie przewieziony do aresztu.

Złączywszy czubki palców, komisarz przyjrzał się uważnie swoim podwładnym.

- Ponieważ nie dojdzie dziś do przesłuchania Sanny, i Fullera też nie, proszę, by wszystkich pracowników hotelu Gothenburg wypytano o to, czym właściwie zajmował się ten jankes. Spróbujcie dociec, kiedy zaczął się nosić z zamiarem mordowania. Ty, Fredrik, zajmij się tą niewierną sekretarką, Malin, jak jej tam...

Komisarz uniósł brwi i spróbował wysilić pamięć.

- Malin Eriksson - podpowiedział Fredrik.

- Otóż to. Malin Eriksson, która wdała się w romans z Kjellem Cederem, prócz tego jest żoną policjanta i co tam jeszcze... Ona na pewno wie co nieco o Fullerze - stwierdził komisarz.

Po tych słowach zagadnął Irene.

- Czy masz jakieś wiadomości od kolegów z Londynu i Paryża?

- Jedzie do nas agent specjalny FBI, Lee Hazel. Najpierw zahaczył o Paryż, a dziś jest w Londynie. Tutaj pojawi się jutro albo pojutrze.

- Agent specjalny FBI? - powtórzył Andersson.

Znowu jakieś gówno. Niech sobie policje różnych krajów szukają śladów za granicą, ale żeby miały węszyć tutaj... Tego komisarz nie pochwałał.

- Jak mówi Glen Thomsen, cała ta sprawa ma o wiele większy zasięg niż nam się wydaje.

Agent Hazel będzie mógł nam chyba pomóc, bo posiada pewne wiadomości o szczególnym charakterze - wtrąciła, nie bez wahania, Irene.

Właściwie nie była całkiem pewna, jakież to specjalne kompetencje posiadał agent Hazel.

Glen wypowiedział się na ten temat niezbyt klarownie. Prawdopodobnie sam nie był pewien.

Irene pisała właśnie raport o wczorajszej akcji w Szpitalu Wschodnim, kiedy zadzwonił telefon.

Rozmówca, w którego języku szwedzkim wyczuwało się amerykański akcent, przyjemnie brzmiącym głosem przedstawił się jako Jack Curtis, pracownik konsulatu generalnego Stanów Zjednoczonych. Bez ogródek poprosił Irene o to, by niezwłocznie przesłać mu odciski palców Michaela Fullera. Mimo uprzejmego tonu nie było miejsca na dyskusję. I należało spełnić prośbę „natychmiast” - „szybko” nie wystarczyłoby.

Odkładając słuchawkę, Irenę była mocno zdezorientowana. Odciski palców? Jack Curtis podał bardzo pospiesznie swój tytuł służbowy: Officer of Security czegoś tam.

O co mogło chodzić?

W poniedziałek po południu część ekipy śledczej zebrała się na krótkie omówienie sytuacji. Udział wzięli tylko Andersson, Irenę, Tommy i Fredrik. Reszta była wciąż zaabsorbowana rozmowami z personelem hotelu Gothenburg i Szpitala Wschodniego.

Najpierw wysłuchano sprawozdania Fredrika:

- Malin Eriksson bardzo chce pomóc. Odszukała wykazy urlopów i zwolnień, i inne przydatne dokumenty. O dziwo, mister Fuller nie musiał chyba przestrzegać zwyczajowych zasad, które obowiązują pracowników. Przyjeżdżał i odjeżdżał, kiedy chciał. Z wykazów wynika, że oprócz pięciu tygodni urlopu w ciągu każdego roku był nieobecny przez okres 12- 16 tygodni. Jeździł na wiele „konferencji w sprawie ochrony”, które odbywały się w USA. W sumie zajęło to trzydzieści tygodni w ciągu trzech lat. Dlaczego to szef ochrony w szwedzkim hotelu miałby brać co rusz udział w „konferencjach” w Stanach Zjednoczonych? Co więcej, na koszt pracodawcy. Gdyby szło o wielką sieć hoteli, można by to pewnie zrozumieć, ale przecież z taką sytuacją nie mamy do czynienia. Warto się więc nad tym zastanowić.

- A jakże, warto - zgodził się komisarz.

- Sęk w tym, że właściwie nikt mu nie podlega. Całą ochronę załatwia Securitas, zapewniając strażników i wszystko inne, nawet kamery monitoringu. A Fuller brał dotychczas za swoją robotę pięć tysięcy na miesiąc.

- Pięć tysięcy! - zdumieli się jednogłośnie Irenę i Andersson.

Fredrik pokiwał głową.

- Owszem, nie przesłyszeliście się. Pięć tysięcy - powtórzył, zadowolony z efektu.

- W hotelowej ochronie tyle się nie zarabia. Czy reszta personelu też ma takie niezwykle pensje? - spytał Andersson.

Fredrik pokręcił głową.

- Nie. Zarabiają normalnie. I tylko Kjell Bengtsson Ceder osiągał pięć tysięcy. A więc tyle, co szef ochrony.

- Dziwne. Ale to wyjaśnia, jak Amerykanin mógł zlikwidować Cedera. Na ekranie monitora zobaczył Cedera w chwili, gdy zjechał do garażu i zajął miejsce w samochodzie. Wystarczyło pojechać za nim i zaparkować niedaleko od willi. Przebrał się potem w dres, aby uprawiać jogging, i niepostrzeżenie zbliżył się do domu. Otóż dopiero co dostałem z laboratorium informację, że odcisk połowy kciuka na taśmie odblaskowej do joggingu trzeba kojarzyć z Fullerem - oznajmił nie bez satysfakcji komisarz.

- Ale jak wszedł niezauważony przez Cedera? - zdziwił się Fredrik.

- Miał klucz od domu. Sanna opowiedziała nam o pomocy szefa ochrony w zakładaniu alarmu w willi w tym czasie, gdy doszło do morderstwa - wyjaśniła Irenę.

Odwróciwszy się w stronę komisarza, dodała:

- Moim zdaniem, Mikę Fuller był już w willi, kiedy dotarł tam Kjell Bengtsson Ceder.

Prawdopodobnie wszedł od tyłu i czekał na ofiarę w pralni. Później wymknął się stamtąd i skrył pod krętymi schodami w czasie, gdy Ceder poszedł na górę, na wieżę, żeby sobie nalać whisky. Sądzę, że umówili się na spotkanie w willi, bo Ceder wiedział, że będzie pusta. W jego mieszkaniu nie mogli się spotkać, ponieważ tam czekała kochanka, Malin Eriksson. A ona rozpoznałaby natychmiast Fullera i byłaby zdziwiona jego pojawieniem się w mieszkaniu szefa.

- Nie zapominajcie, że Fuller byłby nie mniej zdziwiony jej obecnością - wtrącił Tommy.

- To oczywiste. Ale ciekawe, jaki temat Fuller i Ceder mogli mieć do omówienia poza miejscem pracy. Wystarczyłoby przecież, aby Fuller zapukał do szefa i poprosił o rozmowę w cztery oczy, gdyby chodziło o jakąś ważną kwestię związaną z ochroną - powiedziała Irenę.

Nikomemu nie nasuwało się żadne przekonujące wyjaśnienie spotkania Michaela Fullera z Kjellem Bengtssonem Cederem w willi w Askim. Irene dodała:

- Mniej więcej przed godziną dotarł do mnie mail z Londynu, od Glena Thomsena. Glen informuje, że agent specjalny Lee Hazel wyląduje w Landvetter jutro po południu o godzinie czternastej. I pisze, że...

Sięgnęła po zabrany na odprawę wydruk maila:

- „...agent Hazel jest nadzwyczaj skuteczny i posiada ogromną wiedzę. Tytuł agenta specjalnego należy mu się za doprawdy specjalne kwalifikacje!” - przetłumaczyła.

Tommy uniósł nieznacznie brwi, ale z niczyich ust nie padł żaden komentarz do przeczytanego właśnie tekstu.

Komisarz zaczął bębnić palcami o stół, a po chwili dobitnym gestem uderzył weń ręką.

- Fuller jest w tarapatkach: dzięki odciskowi kciuka kojarzymy go z miejscem zbrodni w Askim. Oprócz tego został złapany na gorącym uczynku, kiedy w obecności kilku policjantów próbował zamordować Sannę Kaegler. I jedną z naszych koleżanek pozbawił przytomności. Niełatwo mu będzie wykręcić się sianem z tego wszystkiego. Dziś wieczorem zostanie przewieziony do aresztu. A potem przyciśniemy tę babę, Sannę Kaegler! Dalsze milczenie z jej strony nie ma sensu. Przecież Fenton nie żyje. I wy musicie zadbać o to, żeby babsko powiedziało dla odmiany prawdę.

Zwracając się do Fredrika, komisarz dodał:

- Ty pojedziesz jutro na lotnisko Landvetter po agenta specjalnego Hassela czy jak mu tam.

Spotkamy się tu po południu i mister Special Agent usłyszy od nas, co tutaj się działo.

We wtorek rano Michael Fuller został przyprowadzony na przesłuchanie w kajdankach.

Pilnowali go dwaj postawni strażnicy z aresztu śledczego. Ponieważ uznano go za szczególnie groźnego przestępcę, przykuto mu i ręce, i nogi do stołu, przy którym odbywało się przesłuchanie. Spojrzenia, jakie posyłał w stronę Irene i Tommy'ego, pozwalały stwierdzić, że było to bardzo rozsądne zabezpieczenie.

Michael Fuller miał jasną, oliwkową karnację, bujne czarne włosy i ciemnobrązowe oczy.

Wyraziste rysy jego twarzy mogły się podobać. Był mężczyzną muskularnymi i wysportowanym, ale z paroma kilogramami nadwagi.

Półgodzinne milczenie ze strony Fullera zniechęciło policjantów. Nie zdobył się nawet na mrugnięcie dla potwierdzenia swej tożsamości, nie mówiąc już o skinieniu głową. Po prostu w milczeniu kontemplował przesłuchujących. Ale w jego na pozór obojętnym wzroku kryła się - do takiego wniosku doszła Irene - ogromna nienawiść.

Policja podjęła decyzję o dalszym obserwowaniu Sanny, nie było bowiem stuprocentowej pewności co do tego, czy Michael Fuller działał wyłącznie na własną rękę. Tak więc w przedpokoju izolatki Sanny nadal pełnił straż policjant. Był to dobrze zbudowany młody mężczyzna z wyraźnymi bicepsami, które napinały rękawy munduru. Jako że nie znał Irene ani Tommy'ego, zażądał okazania legitymacji, zanim ich przepuścił.

Sanna Kaegler wyglądała kiepsko. Wydarzenia ostatnich dni pozostawiły po sobie cienie na jej szczupłej twarzy. Pielęgniarka poinformowała o aplikowaniu jej sporych ilości środków przeciwbólowych i uspokajających.

Irene i Tommy zapytali Sannę o samopoczucie i pogawędzili z nią o różnych obojętnych rzeczach, zanim przystąpili do zadawania naprawdę ważnych pytań. Tak jak poprzednio, osobą prowadzącą przesłuchanie był Tommy.

- Czy byłaś zdziwiona, kiedy się okazało, że to Michael Fuller próbował cię zabić? - zaczął.

- A jakże! Mike... nic z tego nie rozumiem!

- Cofnijmy film do pierwszej próby zamordowania ciebie, którą podjął w Askim. W jaki sposób sprowadził cię do swojej kryjówki?

Ponieważ Sanna nie kwapiła się do udzielenia odpowiedzi, Tommy oznajmił spokojnym tonem:

- Wiemy, że Edward Fenton jest ojcem Ludwiga. Sanna zamknęła oczy, jak to zwykła czynić, kiedy chciała się odizolować od świata zewnętrznego. Po pewnym czasie zerknęła na policjantów kątem oka i ledwo słyszalnym głosem zapytała:

- Skąd wiecie... ? Zresztą teraz nie ma to już znaczenia... Nigdy nie rozmawiałam z Edwardem ze stacjonarnego telefonu. Wysyłaliśmy do siebie sms-y albo używaliśmy komórek. W takich porach, by nikt nie mógł odczytać sms-ów ani podsłuchać rozmów. A miejsce spotkania po tamtej stronie pola przydało nam się już kiedyś w czasie jego pobytu w Göteborgu. Nagle dostałam sms-a... z prośbą o spotkanie właśnie tam... Ucieszyło mnie to... bo nawet nie wiedziałam, że przyjechał! Ale to jednak nie był on. Sanna rozplakała się. Ireń pomogła jej osuszyć łzy i wytrzeć nos, bo sama nie poruszała lewą ręką. Po chwili Sanna uspokoiła się i wpatrzyła w oboje oczyma, które wydały się ogromne na tle wychudzonej twarzy.

- Jak Mikę... mógł znać nasze miejsce spotkań? I tamten sms został wysłany z komórki Edwarda. Mikę znał nawet hasło! „Zobaczymy się w zaroślach”. Bez podpisu, a tylko znak zapytania. To oznaczało, że do spotkania dojdzie na przeciwnym krańcu pola. W krzakach niedaleko ścieżki rowerowej. Niewiarygodne!

Ireń i Tommy nie umieli odpowiedzieć Sannie.

Nasuwało się kolejne pytanie: jak Mikę Fuller zdołał wejść w posiadanie telefonu komórkowego Edwarda Fentona?

Jako że Tommy nie kontynuował osobiście przesłuchania, Ireń postanowiła wtrącić pytanie, na które chciała koniecznie uzyskać odpowiedź. Mogła okazać się mało istotna, ale Ireń przeczuwała, że będzie inaczej.

- W czasie tego śledztwa niejedną raz zadawałam sobie pewne pytanie. Dlaczego ty i Kjell Ceder pobraliście się?

Sanna znów zamknęła oczy i westchnęła, chyba udręczona.

- Tego chciał Edward. Wiadomość o mojej ciąży i niezgodzie na aborcję przestraszyła go. Jego żona... jest bogata i ma ojca, który jest właścicielem banku i pracodawcą Edwarda. Ta... rodzina to katolicy. Gdyby się dowiedzieli o naszym wspólnym dziecku, uprzykrzyliby nam życie. Edward mówił mi zresztą, że usłyszał ze strony rodziny pogroźki z powodu... pieniędzy.

Sanna umilkła i otarła łzy, które ciekły nieprzerwanie, kiedy opowiadała. Ireń pomogła jej znów, podsuwając jednorazowe chusteczki. Tommy zapytał spokojnie:

- Jakich pieniędzy?

W załzawionych oczach Sanny pojawił się wyraz nagłej irytacji.

- Oczywiście tych, które zniknęły! - odparła. Tommy nie przejął się jej reakcją i tym samym spokojnym tonem zapytał:

- Jakież to pieniądze zniknęły?

- Pewne sumy przepadły, kiedy ogłoszono upadłość firmy ph.com - odpowiedziała niechętnie Sanna.

Mowa była o pieniądzach, których przepadek był związany z pęknięciem balonu informatycznego. Aluzje do nich pojawiały się w trakcie całego śledztwa i brzmiały groźnie, jak niemiła dla ucha muzyka w tle.

- Czy rodzina żony Edwarda groziła mu z powodu pieniędzy wyprowadzonych, gdy nastąpił krach firmy ph.com? - zapytał precyzyjniej Tommy.

Sanna skinęła głową, po czym rozległo się niegłośne czknięcie. Znowu wytarła nos, korzystając z pomocy Ireń, i spróbowała zapanować nad sobą.

- Edward mówił, że musi zwrócić to, co straciła jego rodzina. To było chore! Przecież wszyscy tracą, kiedy dochodzi do krachu na giełdzie...!

Urwała, przełknęła ślinę i dodała:

- Mówił, że... może to potrwać wiele lat. I dopiero wtedy będzie wolny... i zamieszka ze mną i Luddem. A tymczasem wolał mieć pewność, że nikt nie domyśli się w nim... ojca Luddego. Z myślą o naszym - moim i Luddego - bezpieczeństwie zaaranżował moje małżeństwo z Kjellem.

Sanna uniosła podbródek, ale dumie, jaką chciała wyrazić, zadało kłam drzenie dolnej wargi. Miała właściwie wygląd małej dziewczynki, którą rzucono na pastwę losu.

Irenę nie podzieliła się swoimi refleksjami, lecz powróciła do przesłuchiwania Sanny:

- Jak Kjell odniósł się do pomysłu zaaranżowania małżeństwa?

- Z początku był, a jakże, sceptyczny, ale potem się zgodził. W ciągu roku, po którym doszło do ślubu, spotkaliśmy się kilka razy na krótko i było nam ze sobą dobrze... i tyle. To znaczy... nie miał nic przeciwko mnie... i dlatego w imię starej przyjaźni - ze mną i z Edwardem - wszedł w ten układ. I pobraliśmy się bardzo szybko.

Irenę coś przyszło na myśl: Edward mógł czymś zaszantażować Kjella Cedera.

Prawdopodobnie tylko on wiedział, co właściwie stało się na pokładzie tamtej nocy, kiedy Marie Lagerfelt-Ceder zniknęła za burtą. Policja nie mogła już ustalić, czy tak było, ponieważ cała trójka ówczesnych aktorów odeszła.

- Czy byliście zgodni jeszcze przed ślubem, jak urządzicie wspólne życie? Pytam o osobne mieszkania i tak dalej - do przesłuchania włączył się Tommy.

- Tak. Byliśmy całkiem zgodni. Żadne z nas nie chciało życia pod jednym dachem. Ale, co najważniejsze, nigdy... nie byliśmy wrogo do siebie nastawieni. Wręcz przeciwnie!

Potrafililiśmy bardzo przyjemnie spędzać razem czas. W sierpniu na przykład wyjechaliśmy na urlop do Portugalii. Ja spotkałam się wtedy z Edwardem, a Kjell miał przy sobie Francuzkę imieniem Brigitte. Razem wynajęliśmy duży dom.

To miłe wspomnienie sprawiło, że Sanna uśmiechnęła się bezwiednie. Tommy i Irenę szybko porozumieli się wzrokiem. Fragmenty układanki trafiały na swoje miejsca. A jednak wiele z nich nie przystawało do całej reszty. Niektórych elementów nie sposób było dopasować, a zdarzały się też takie, dla których w tej układance nie mogło być miejsca. Prawdopodobnie Sanna nie знаła całej prawdy, a tylko tę wersję, którą podpowiedział Edward. Policjanci odnieśli jednak wrażenie, że zrezygnowała z dalszego okłamywania ich.

- Ile czasu spędziliście w Portugalii? - zapytała Irenę.

- Dwa tygodnie.

- Czy Edward był tam przez cały czas?

Kiedy Sanna odpowiadała, na jej twarzy malowało się przerażenie:

- Nie, to nie wchodziło w rachubę! Mógł spędzić tam tylko cztery dni. Jego żona zabrała wcześniej synów do Stanów. Swoją zwłokę wyjaśnił jej tym, że potrzeba mu paru dni na dokończenie pewnych spraw. I wtedy przyjechał do Luddego i do mnie.

Ton i wyraz twarzy Sanny świadczyły o prawdziwej satysfakcji. Zatriumfowała nad rywalką. „Pocziwy Fenton ułatwił ten triumf, na ile potrafił” - pomyślała Irenę. I to, że znaleziono jego zwłoki w bagażniku wynajętego samochodu, stało się łatwiejsze do wytłumaczenia. Co więcej, właśnie on strzelał do Irenę w mieszkaniu Rothstaahla. Pod koniec życia był pewnie w rozpaczliwej sytuacji. Czyżby zaczął mu się palić grunt pod nogami? Wiele na to wskazywało.

Irenę postanowiła wtrącić jeszcze jedno pytanie związane z Edwardem:

- Zależy mi na jednoznacznym wyjaśnieniu pewnej sprawy. Czy dobrze cię zrozumiałam i właśnie Edward pośredniczył między tobą a szantażystami, którzy żądali od ciebie pieniędzy?

- Tak.

- Jak to się odbywało? Czy ty jemu przekazywałaś pieniądze?

Sanna, chyba zdziwiona pytaniem, odpowiedziała:

- Jak? Oczywiście robiłam wpłaty na konto w banku H.P. Johnsona!

- A Edward miał przekazywać pieniądze szantażyście?

- Tak, przecież mówię!

Sanna była wyraźnie zdenerwowana tymi pytaniami i Irene domyśliła się, dlaczego - był to niewątpliwie dziwaczny układ. Edward Fenton musiał przynajmniej znać tożsamość szantażysty.

Tommy odchrząknął i zapytał ostrożnie:

- Czy jesteś w stanie rozmawiać o tamtych palcach? Sanna skinęła odważnie głową i spojrzała na Tommy'ego wzrokiem pełnym ufności.

„Jak on to robi? - pomyślała Irene. - Czy właśnie tak objawia się jego talent do oczarowywania kobiet, który wykorzystuje regularnie, bo nie może się oprzeć pokusie? I dlaczego nigdy nie spróbował mnie tak oczarować? ” - to ostatnie pytanie zadała sobie Irene nie bez irytacji. Ale odpowiedź była oczywista: nigdy nie dałaby się na to złapać. Pewnie właśnie dlatego pozostawali w takiej przyjaźni. Nie mieli potrzeby udawania czegokolwiek przed sobą nawzajem.

- Mówiłaś, że Edward wspominał ci, że też otrzymał jeden z palców. Czy to prawda? - zaczął Tommy.

Sanna skinęła głową.

- Czy wyjawiał ci to w sms-ie, czy przez telefon?

- W sms-ie.

- Czy pamiętasz jego treść?

Sanna zamknęła oczy. Kiedy znów uniosła wzrok, padła jej odpowiedź, udzielona z ogromnym wahaniem:

- Napisał, że szantażyści zażądali zwrotu... palców. Odpowiedziałam, że swój od razu wyrzuciłam. On przyznał się wtedy do tego samego. I poprosił, żebym poszukała palca, który dostał Kjell. A gdybym go znalazła, groźba wobec mnie i Luddego nie zostałaby spełniona.

- Czy tobie i Ludwigowi grożono wcześniej?

- Niee. Nic nie wiedziałam o żadnej groźbie... nowej groźbie... przed tym sms-em od Edwarda. Nic prócz...

Sanna urwała i popatrzyła przerażonym wzrokiem na Tommy'ego.

- Za dużo gadam... to przez leki.

- Wiadomo nam, że od ciebie i innych osób związanych z firmą ph.com wyłudzano szantażem pieniądze. Ty przecież wiesz, że my to wiemy. Ale nadal nie wiemy, czym szantażyści zamierzali was pogrążyć. Gdyby nie mieli co ujawnić, nie płacilibyście przecież - stwierdził rzeczowo Tommy.

- Oni grozili, że mnie zabiją! Tak jak zabili... tego, do którego należał przysłany mi palec. Te ostatnie słowa Sanna wypowiedziała szeptem. Uświadomiła sobie, że ujawniła coś ważnego, czego nie mogła cofnąć.

- A więc już na początku dowiedziałaś się, że to był palec Thomasa.

Sanna skinęła głową, rezygnując z kluczenia.

- Czy dałaś temu wiarę?

- Tak. Dostałam palec serdeczny. Pozostał na nim jego sygnet. Thomas miał grube palce... i chyba sygnet nie chciał zejść...

Nagle rozległa się seria gwałtownych czknień. Irene sięgnęła po umieszczoną w szarym kartonie na nocnym stoliku czarkę. Efektem gwałtownych torsji był tylko żółtobiały śluz, który Sanna wypluła do czarki.

- Potrzebuję zastrzyku - powiedziała z płaczem.

- Porozmawiam z siostrą. Okazałaś się nadzwyczaj silna, odpowiadając na tyle naszych pytań...

- Schwytajcie ich - wyszeptała Sanna.

- Ich, to znaczy kogo? - zdziwił się Tommy.

- Morderców. Tych, którzy zabili Philipa i Edwarda. Chcę, żeby wpadli.
Mówiła tak cicho, że trudno ją było zrozumieć.

- Twoim zdaniem, oprócz Mike'a Fullera są jeszcze inni - wywnioskował Tommy.

- Tak. Mike nie potrafiłby zrobić tego wszystkiego samodzielnie. Jest na to zbyt tępy i zbyt zadufany w sobie. Zadziera nosa. Zresztą nie żyjemy do siebie żadnej osobistej urazy... bo niewiele mieliśmy ze sobą do czynienia. Najprawdopodobniej strzelał do mnie, bo ktoś mu to zlecił.

I pewnie zapłacono mu za to - stwierdziła Sanna głosem pełnym nienawiści.
Irenę zdumiała się. Wcześniej sama doszła do tego samego wniosku.

I chciała czym prędzej zadać ostatnie pytanie:

- W jakim języku pisaliście do siebie, ty i Edward?

- Po szwedzku albo po angielsku. Przeważnie po angielsku.

- Czy pamiętasz, w jakim języku był ostatni sms?

- W języku angielskim - odpowiedziała Sanna bez wahania.

„Co pewno było dużym ułatwieniem dla Mikea Fullera” - pomyślała Irenę.

Rozdział 24

Tommy i Irenę znaleźli się z powrotem na komendzie tuż po trzeciej. Fredrik nie dotarł tam jeszcze z agentem o nazwisku Hazel. W oczekiwaniu na nich spotkali się oboje w sali konferencyjnej z Anderssonem i poinformowali go o efektach ostatnich przesłuchań. Jako że Mike Fuller nie odezwał się słowem, jego przesłuchanie zostało zrelacjonowane szybko, natomiast to, któremu poddano Sannę, przyniosło sporo interesujących informacji.

Irenę nawiązywała do pewnych słów Sanny.

- Możemy chyba założyć, że wszyscy szantażowani wpłacali pieniądze na tamto konto w banku H.P. Johnsona. I Edward Fenton przelewał je dalej. Moim zdaniem, jest to dziwaczne. Ponoć mówił Sannie, że sam był szantażowany. I ponoć dostał nawet przesyłkę z palcem! Jeśli faktycznie każda ofiara morderstwa, łącznie z Sanną, której śmierć była przewidziana, dostała jeden palec, oznaczałoby to, że wysłano pięć palców. A wiemy, że tak się nie stało. Kciuk Bonettiego pozostał na swoim miejscu. Do czterech ofiar szantażu zostały wysłane cztery palce.

Irenę zrobiła krótką teatralną przerwę, po czym dokończyła:

- Sądzę, że Edward skłamał.

- Dlaczego miałyby kłamać w tej sprawie? - zainteresował się komisarz.

- Być może po to, żeby okazać się w oczach Sanny bardziej wiarygodnym. „Jedziemy na tym samym wózku” czy coś w tym rodzaju - zasugerowała bez pewności Irenę.

- Albo żeby coś ukryć - refleksyjnym tonem dodał Tommy.

- Och, tylko teorie i czcze domysły! Mam nadzieję, że ten agent specjalny jest naprawdę taki świetny, jak o nim mówią! - wybuchnął Andersson.

W następnej chwili policjanci usłyszeli czyjś niski głos:

- Hello. Ym special agent Lee Hazel.

Cata trójka odwróciła się w stronę drzwi, stamtąd bowiem dotarły te słowa. Nikt się nie odezwał - wszyscy policjanci patrzyli tylko na przybysza.

Wzrost agenta specjalnego Lee Hazel mógł się kojarzyć z uprawianiem koszykówki w lidze zawodowej. Trójka szwedzkich kolegów została obdarzona uśmiechem, który ukazał olśniewającą biel zębów na mahoniowym tle twarzy. I tak wielkich piersi nie widziała Irenę jeszcze u żadnej kobiety.

Lee Hazel przemknęła przez próg sali, mając za plecami Fredrika, który przypominał radośnie płynącą jej śladem łódkę. Irenę była zdziwiona płynnością ruchów Amerykanki, ale domyśliła się przyczyny tej ich cechy. Prawdopodobnie agentka osiągnęła w jednej ze sztuk walki tak

wysoki poziom, na jakim była sama Irene. Stosowny kostium w nugatowym odcieniu brązu leżał na muskularnych barkach pani Hazel jak ulał. Obfity biust opinała cienka biała bluzka z bawełny.

Irenę wzięła się w garść, wstała i, patrząc na urodziwą twarz przybyłej, podała jej rękę. Uśmiechnęła się do niej na powitanie i przedstawiła komisarza oraz Tommy'ego. Irene wiedziała, że Andersson będzie jej za to wdzięczny, bo jego angielszczyzna prezentowała się bardzo kiepsko. Nie wiedziała jednak o tym, że komisarz zamówił kurs Linguaphone, żeby w domu ćwiczyć się w angielskim. Ale ani myślał wspominać o tym w pracy. Zależało mu na swobodniejszym porozumiewaniu się z Donna w czasie ich spotkań.

Zanim uporali się z przedstawieniem przebiegu śledztwa, minęła siódma. Agentka notowała bardzo niewiele. Irene była nieomal zawiedziona tym, że Lee Hazel ledwo wypełniła notatkami jedną stronę formatu A4, i to po blisko czterech godzinach udzielanych po angielsku wyjaśnień. Ale Irene musiała przyznać, że na zainteresowanie ze strony Amerykanki nie było powodu się uskarżać. Ilekroć coś było niejasne, przerywała relację pytaniami.

Kiedy sprawozdanie dobiegło końca, Andersson zerknął na zegarek i oznajmił:

- Teraz pójdziemy coś zjeść. Ja zapraszam.

Irenę nie wiedziała, co ją bardziej zdziwiło: to, że komisarz zaprosił obecnych na obiad, czy to, że wypowiedział zaproszenie w przyzwoitej angielszczyźnie.

- A gdybyśmy tak wybrali się do „Gladys's Corner” ? - zapytał Andersson, też po angielsku, ale wyraźnie zwracając się do Irene.

Na szczęście dla siebie, Irene siedziała. Mało tego, że Andersson fundował, to jeszcze zapraszał ich do jednej z najwytworniejszych restauracji w Göteborgu.

Irenę sama się zorientowała, że jej głos musiał się wydać dosyć mizerny, kiedy odpowiedziała:

- Oczywiście. Upewnię się telefonicznie, czy mają tam wolny stolik.

Gdy szła do swojego pokoju, żeby zadzwonić do restauracji, zaczęła podejrzewać, że komisarzowi udało się utworzyć konto reprezentacyjne dla pokrycia kosztów wizyty amerykańskiej agentki.

Szczęśliwym trafem znalazł się dla nich stolik od godziny 20.00. Jedzenie okazało się jak zwykle wyśmienite i Lee

Hazel była wprost zachwycona. Carpaccio z łosia na przekąskę i dorsz z rusztu jako danie główne zniknęły między jej olśniewająco białymi zębami, spalaszowane z wielką przyjemnością. Akurat w porze deseru zmogło Irene zmęczenie, które uczyniło ją całkiem bezsilną. Niewiele brakowało, by jej głowa opadła na mus czekoladowy, specjalność restauracji „Gladys's", i by zasnęła. Ani ona, ani Tommy nie tknęli alkoholu, bo czekało ich prowadzenie samochodu. Natomiast komisarz zajadał się i pił z upodobaniem.

- Zostawię wóz pod komendą i pojedę do domu taksówką. Przecież nie codziennie przyjmuje się gości ze Stanów. Na zdrowie! - | wzniosł wesołym tonem toast.

Lee Hazel uniosła swój kieliszek i obdarzyła komisarza uśmiechem. W jej ciemnych oczach odbijało się jasne światło, skrzyły się ponadto długie paznokcie, powleczone srebrnym lakierem. Lee zdumiewała swą urodą, toteż Irene zauważyła, że inni goście zerkają w stronę ich stolika. Jakaś kobieta, która siedziała po sąsiedzku, wyszczała:

- To ta supermodelka, Naomi Campbell!

Irenę i Tommy podziękowali za towarzystwo i skierowali się do wyjścia. W drodze nie omieszkali zajrzeć do restauracyjnej kuchni, żeby pomachać Kristerowi. Ten uniosł wzrok znad homara, którego przyrządzał, i z uśmiechem pomachał im wielkim nożem.

Na porannej odprawie Andersson zadziwiał rześkim wyglądem. Fredrik natomiast sprawiał wrażenie człowieka wyjątkowo zmęczonego, znużonego życiem. Przed południem zawsze kojarzył się z reklamą czegoś pokrzepiającego i takim wyglądem strasznie irytował Irene.

Teraz stwierdziła z satysfakcją, że nie zdążył zadbać o staranne uczesanie i można było pomyśleć, że trafił do pracy prosto z łóżka. Nie zdjął nawet pikowanej bluzy, którą miał na sobie poprzedniego dnia.

„Wszystkich nas naprawdę zmęczyło to śledztwo” - pomyślała Irene. Sama spała jak suseł, kiedy już wróciła

do domu, nic jej się nie śniło i dopiero budzik wyrwał ją ze snu.

- Możemy, jak sądzę, powiedzieć, że nasza agentka specjalna uzyskała pełne informacje. Zapowiedziała, że spróbuje skonfrontować wszystkie fakty, o których dowiedziała się w Paryżu i Londynie, i pokusi się o jakieś podsumowanie. Ale kiedy się nad tym zastanowiłem, to doszedłem do wniosku, że nie usłyszeliśmy od niej ani słowa o tym, co tam ustaliła. Dzisiaj pewnie dowiemy się więcej. Ty ją odwozłeś do domu, Fredriku. Czy powiedziała, o której pojawi się tu dziś? - zapytał Andersson.

- Dziś rano agentka Hazel chce wykonać kilka telefonów do FBI w celu uzupełnienia danych. Przyjedzie bliżej przerwy na lunch - poinformował Fredrik.

- Mówisz... Ale w Nowym Jorku jest o sześć godzin wcześniej. A więc pierwsza trzydzieści w nocy. Nielatwo o tej porze porozumieć się z kimkolwiek po tamtej stronie Atlantyku - powiedział ze śmiechem Tommy.

- To miasto nigdy nie śpi - odparł reżolutnie Fredrik.

- Mniejsza o to. Oczywiście FBI i CIA prowadzą przez całą dobę tyle spraw, iloma muszą się zajmować. Widujemy to przecież w telewizji - stwierdził autorytatywnie komisarz.

„Chociaż ten człowiek ma bardzo słabe pojęcie o świecie, w Londynie jednak był” - przyszło Irene na myśl.

- Teraz wracamy do pracy, a spotkamy się tu o pierwszej, żeby posłuchać, do czego doszła agentka specjalna - oznajmił Andersson i energicznie klasnął.

Fredrik ziewnął i powłókł się w stronę automatu z kawą. Po raz pierwszy w ciągu pięciu lat wspólnej pracy wydał się Irene znośnym przed dziesiątą rano.

Po lunchu policjanci powrócili do sali konferencyjnej. Lee Hazel była już na miejscu.

Wyglądała całkiem rześko, wręcz promiennie. „Długi lot nie dał się jej we znaki” - pomyślała Irene. Zauważyła też, że Fredrik zdążył w przerwie na lunch zajrzeć do domu, uczesać się i zmienić bluzę na coś innego. I wziął prysznic, bo pachniał teraz nie gorzej niż zwykle.

- Od razu udzielię głosu naszej amerykańskiej koleżance - oznajmił Andersson.

Irene znowu była zaskoczona jego całkiem dobrze brzmiącą angielszczyzną.

Agentka specjalna obdarzyła wszystkich olśniewającym uśmiechem i miękkim ruchem wstała. Jej biust uniósł się, co męska część audytorium zaobserwowała z zartym tchem i niespokojną reakcją ciała. Birgitte, Irene i Kajsę tknęła ta sama myśl: „To pewnie po prostu silikon”.

Lee Hazel rozpoczęła sprawozdanie przytłumionym głosem. Po kilku minutach nikt już nie myślał o jej fizycznych walorach. Wszyscy słuchali uważnie, aby nie uronić ani słowa.

- W FBI pracuję w wydziale zajmującym się przestępczością zorganizowaną. Mówiąc wprost, tropię mafię i mafijne pieniądze. Jako ekonomistka staram się rozpoznawać sposoby ich prania. Dziś jest to największy problem mafii. Narkotyki, prostytutka, sutenerstwo, napady rabunkowe i tak dalej przynoszą ludziom działającym w tych szarych strefach ogromne sumy. Jako że zależy im na pozorowaniu, że są ludźmi godnymi szacunku, oraz na tym, by ich działalność mieściła się w granicach zwyczajnego funkcjonowania społeczeństwa, wkładają wiele wysiłku w pranie swoich pieniędzy. Czyste już pieniądze mogą inwestować w legalny biznes i wspierać nimi różne akcje polityczne. Ci politycy, którzy uzyskują finansowe wsparcie ze strony mafii, popadają tym samym w zależność od niej. W ten sposób mafia przejmuje władzę w majestacie prawa.

- Przepraszam, czy zgodzisz się na nagrywanie tego, co mówisz? - wtrącił się komisarz.

Był zdenerwowany, ku swemu przerażeniu zrozumiał bowiem, że jego angielszczyzna nie jest aż tak dobra, jak sobie wyobrażał, kiedy się uporał z pierwszym kursem Lingua-phone.

- Mnie to nie przeszkadza - odpowiedziała Lee Hazel.

Poczekala cierpliwie na ustawienie i włączenie magnetofonu przez Anderssona, który umieścił ten sprzęt na wprost Amerykanki. Kiedy zobaczyła, że rozbłysła lampka oznaczona literami rec, powróciła do sprawozdania.

- Jak wam wiadomo, Edward Fenton był szefem europejskiej filii banku H.P. Johnsona. Jest to renomowany bank inwestycyjny. Jego początki sięgają pierwszej wojny światowej, a założył go pewien niezwykle bogaty producent keczupu. Na początku lat siedemdziesiątych bank podpadł i dopuszczono do współwłasności. Kilka lat później tenże człowiek odkupił bank. Nazywa się on Sergio Santini. Jest on, jak wiecie, ojcem Janice, a więc teściem Edwarda Fentona. Pan Santini ma też syna, Sergia juniora. Dzisiaj jest to najpotężniejsza rodzina w nowojorskiej mafii. Rodzice Santiniego seniora przyjechali do Stanów w latach dwudziestych z Sycylii, zresztą stary Sergio podtrzymywał kontakty z tą wyspą. W grę wchodzi tu więc autentyczna Cosa Nostra. Czasem nazywa się tę organizację Ośmiornicą. I nie bez kozery, ponieważ jej macki sięgają w głąb organizacji, po których nikt by się tego nie spodziewał. We Włoszech okazało się nawet, że jeden z prezydentów państwa był wspierany przez mafię. Cosa Nostra przemknęła z rozmysłem do organów administracji prowincjonalnej i gminnej we Włoszech i w paru innych krajach europejskich. Jej przedstawiciele zasiadają też w radach nadzorczych różnych firm i zarządach banków. Nie tylko w Europie, także w Stanach. Nasuwa się tu pytanie: czy nielegalna, czy raczej legalna działalność mafii wyrządziła w dłuższej perspektywie czasowej więcej szkody demokratycznemu społeczeństwu? Jeśli chodzi o działalność niezgodną z prawem, to można ją oczywiście udaremniać, aresztując każdego członka mafii, którego uda się wytropić. Na ogół wpadają z powodu przestępstw podatkowych i wtedy potrzebni są tacy ludzie jak ja.

Agentka umilkła, żeby się napić wody ze szklanki, która stała obok magnetofonu. Nikt spośród jej szwedzkich kolegów nie zapytał o nic. Bali się nawet poruszyć, aby nie przeszkodzić w prezentacji.

Lee Hazel odchrząknęła i powróciła do sprawozdania:

- Stary Sergio Santini jest człowiekiem wielce uzdolnionym ekonomicznie. Niestety, z ojcowskiego punktu widzenia, Sergio junior nie posiada takiego talentu. Jego właśnie należałoby określić jako typowego mafioso. To twardziel, sprytny, ale i bardzo impulsywny. A przy tym dyslektyk. Ma czterdzieści trzy lata, jest żonaty, ale bezdzietny. W każdym razie nie ma dzieci ze swoją żoną. Ta nazywa się Amelia. Z domu Bonetti.

Agentka specjalna pozwoliła sobie na teatralną pauzę i wymowny uśmiech.

- Co takiego? Czy ona powiedziała „Bonetti”? - zdziwił się Andersson.

Zaskoczony, odezwał się po szwedzku, ale Lee Hazel skwitowała jego słowa skinieniem głowy i odpowiedziała szybciej niż ktokolwiek z obecnych:

- Właśnie. Przed ślubem nazywała się Amelia Bonetti. Jest córką jednego z kuzynów Antonia Bonettiego, ojca zmarłego Thomasa. Wczoraj usłyszałam od was, że jest on tutaj, w Szwecji, wziętym adwokatem. Sprawdziłam jego koneksje. Ojciec Amelii, Leonardo Bonetti, jest jego kuzynem. A zarazem szefem mafii w stanie Massachusetts. Ojcowie Antonia i Leonarda byli braćmi. Obaj przenieśli się do USA i tam dorastali ich synowie. Jak rozumiem, wasz znakomity adwokat, Antonio, twierdzi, że pochodzi z Włoch. To nieprawda. Urodził się i wychował w Bostonie. Tam też wykształcił się na adwokata. Kiedy przybył do Szwecji w związku z tym, że ożenił się z Marianne... zapomniałam jej nazwiska... z matką Thomasa... w rekordowym czasie opanował język i zdał w Szwecji egzamin państwowy jako adwokat.

Irenę podniosła rękę, aby Lee Hazel zobaczyła, że chce o coś zapytać.

- Czy to znaczy, że Antonio Bonetti był tu, w Szwecji, łącznikiem amerykańskiej mafii?
- Nie. Nie dysponujemy żadnymi informacjami, które by to potwierdzały. Nigdy nie był bezpośrednio uwikłany w działalność organizacji Cosa Nostra. Dotyczy to natomiast jego trzech starszych braci. I pewno dlatego młody Antonio uzyskał zgodę na przeniesienie się do Szwecji. Z rodziną nie można się rozstać ot, tak. A już na pewno nie z zamiarem poślubienia nieWłoszki!

Irenę zgłosiła się znów i Lee Hazel skinęła głową w jej stronę.

- Jakim cudem więc Janice Santini wyszła za Edwarda Fentona? On nie miał przecież ani kropli włoskiej krwi.

- Właściwie sprawił to Amor. Amor z pomocą Janice. Już na początku lat dziewięćdziesiątych Edward Fenton znalazł się w europejskiej filii banku H.P. Johnsona jako specjalista od lokat. Paroma bardzo fortunnymi posunięciami osiągnął to, że Sergio Santini zwrócił na niego uwagę

i uznał, że z tym młodym człowiekiem można wiązać pewne nadzieje. Pamiętajmy, że mafia chce mieć możliwość inwestowania swoich brudnych pieniędzy, aby odzyskiwać je jako czyste zyski z dobrych lokat. Takie pieniądze są bezpieczne. Edward zapewnił ileś tam świetnych lokat, które zwielokrotniły wkład mafii, po czym Santini uznał, że trzeba postawić na tego utalentowanego młodego człowieka. Zadbał o to, żeby Edward trafił do nowojorskiej centrali banku. I tam poznała go Janice. Zakochała się w Edwardzie po uszy i stwierdziła, że chce mieć tego mężczyznę dla siebie. Tatuś wściekał się, groził, że ją wydziedziczy, ale musiał ustąpić. Janice zawsze stawia na swoim. Potrafi owinać tatusia wokół małego palca. Właściwie to ona odziedziczyła po ojcu inteligencję i powinna by przejąć firmę. Ale mówimy teraz o organizacji Cosa Nostra, a tam nie ma kobiet

na szczytach władzy. Owszem, nie brak takich, które wywierają pewien wpływ, tyle że sprawują swą władzę pośrednio. Otóż Janice doczekała się swego księcia z bajki, ale doszło do tego po wielu korowodach. Tradycja każe wykluczać małżeństwa córek bossów mafii z ludźmi spoza organizacji Cosa Nostra, chyba że w grę wchodzi istotne względy strategiczne i szansę na większy zasięg wpływów mafii. W tym konkretnym przypadku największym problemem było niewłoskie pochodzenie Edwarda i wyznanie. Brakowi włoskiej krwi w swoich żyłach nie mógł zaradzić, ale na katolicyzm jednak przeszedł. Wtedy stary Santini musiał ustąpić i dziesięć lat temu Janice i Edward pobrali się. Dwa lata później Edward został szefem europejskiej filii banku H.P. Johnsona i osiedli oboje w pewnej posiadłości pod Londynem. Fredrik, który chciał coś powiedzieć, podniósł rękę.

- Jeśli dobrze rozumiem, Edward wiedział, że pracuje dla mafii.

Lee Hazel uśmiechnęła się dyskretnie.

- Nie tylko wiedział. Należał do elity władzy tej organizacji. Wprawdzie współdecydował tylko o zarządzaniu jej finansami, ale że mafia przykłada do tego ogromną wagę, stał się tym samym kimś nadzwyczaj potężnym. Niewątpliwie rozumiał, jakich miał zleceniodawców.

Irenę skorzystała z okazji do postawienia jeszcze jednego pytania:

- Jego wysoki status w organizacji Cosa Nostra był pewnie czymś, co musiałby utracić, tak jak całą swą władzę, jeśliby się rozwiódł z Janice?

Agentka specjalna spojrzała wymownie na Irenę spod swoich długich rzęs.

- Oczywiście straciłby całą władzę. Straciłby pracę, synów, domy, pieniądze i najpewniej także życie. Ta ostatnia utrata jest zresztą faktem.

W czasie kolejnej teatralnej pauzy agentka przyjrzała się swemu zasłuchanemu audytorium.

- Cosa Nostra nie jest organizacją, do której można się łatwo dostać. A wydostać się z niej nie można w ogóle. Członkostwo jest dożywotnie. I w tym miejscu wypada nam powrócić do sprawy morderstwa, którego ofiarą padł Edward Fenton.

Spod stosu, który znajdował się przed nią na stole, Lee Hazel wyciągnęła czerwoną plastikową teczkę. Wydobyła z niej wycinek z jakiejś gazety.

Irenę uznała, że Sanna Kaegler zasługuje na pewne współczucie. Edward oszukał ją. Nie zamierzał się rozwieść z Janice Santini. Nie mógł tego zrobić i dobrze o tym wiedział, kiedy nawiązywał romans z Sanną.

Rozmyślenia Irenę przerwało rozprawienie kserokopii wycinka z gazety przez agentkę. To, co Irenę zobaczyła na swojej kserokopii, było dla niej ogromnym zaskoczeniem.

Zdjęcie wykonane poniekąd z lotu ptaka, prawdopodobnie ze szczytu jakiegoś muru, przedstawiało parę całującą się tuż obok basenu. Mężczyzna miał na ręku niemowlę o jasnej karnacji. Pod fotografią znalazł się taki oto tekst:

Nasz wysłannik dowiedział się, że Sanna Kaegler (ph.com), 29, należąca do osób liczących się w branży informatycznej, spędza w pewnym domu w okolicach Albufeiry urlop w towarzystwie mężczyzny o nieustalonej tożsamości oraz swojego maleńkiego synka. Ponieważ wiadomo nam, że zaledwie przed rokiem Sanna Kaegler poślubiła szwedzkiego króla restauratorów, Kjella Bengtssona Cedera, 53, przypuszczaliśmy oczywiście, że spędza urlop z małżonkiem. Ale że małżonek zjawił się w jednym z nocnych klubów w towarzystwie znanej francuskiej aktorki Brigitte Defoe, 30, nasz reporter zwietrzył zaraz sensację. I bynajmniej się nie pomylił: fotografia potwierdza, że Sanna Kaegler ma u swego boku nowego mężczyznę. Ale, jak dotąd, nie udało nam się zidentyfikować tego człowieka. Wszystko wskazuje jednak na to, że zanoszą się na rozwód ze starszym mężem. Mamy nadzieję dowiedzieć się niebawem, kim jest nowy mężczyzna w jej życiu, człowiek, który, jak się zdaje, już nawiązał dobry kontakt z synem Sanny. Na zdjęciu trzyma on malca tak, jakby to było jego dziecko. Nasuwa się tu myśl o rodzinnej idylli.

Doskonała ostrość fotografii pozwalała bez trudu rozpoznać w mężczyźnie, którego całowała Sanna, właśnie Edwarda Fentona.

- Urlop w Portugalii. Wczoraj usłyszeliśmy o tym od Sanny - powiedział Tommy.

- Tak. Zdjęcie zamieścił prawie trzy tygodnie temu najpoczytniejszy amerykański tabloid. Nie ma wątpliwości co do tego, że Janice Santini odkryła mężowską zdradę.

- Zdjęcie zamieszczono już po odjeździe Edwarda do Anglii. Jego rodzina pozostawała w Stanach - stwierdził Tommy.

- Otóż to. Możemy sobie tylko wyobrażać reakcję Janice. I już po tygodniu Edward został rozpoznany na tym zdjęciu.

Lee Hazel wyjęła z plastikowej teczki kolejny wycinek. Była to powiększona fotografia całującej się pary, pokazanej z bliska. Podpis pod zdjęciem brzmiał: „Romans informatycznej księżniczki z królem bankowców!”. Z artykułu wynikało, że ani od niej, ani od niego nie udało się uzyskać komentarza.

Sanna była właśnie wtedy pod wrażeniem morderstw, których ofiarami padli Kjell Bengtsson Ceder i Philip Bergman. Konsekwentnie odżegnywała się od wszelkich kontaktów z mediami. Prawdopodobnie nawet nie wiedziała o zdjęciach zamieszczonych w amerykańskich tabloidach. Ale na pewno wiedział o nich Edward.

- Ukrywał się więc w Paryżu. Natknęliśmy się z Irenę na niego, kiedy sprawdzałyśmy mieszkanie Bergmana i Rothstaahla - powiedziała Kajsa, wskazując swój błędny siniak pod okiem.

Agentka uniosła nieznacznie jedną brew.

- To pozostało ci więc po paryskim spotkaniu z Edwardem. Przypominam sobie, że wczoraj Irenę opowiadała o tamtym spotkaniu. Edward był tropiony przez prasę i przez organizację teścia. O to na pewno zadbała Janice. Mafія dotarła do niego szybciej.

- Ale jeśli tak można wytłumaczyć, dlaczego zginął Edward, to jak wyjaśnić pozostałe morderstwa? Ceder, Rothstaahl i Bergman nie mogli zginąć z tego samego powodu - wtrącił Fredrik.

Lee Hazel skinęła głową i obdarzyła Fredrika uśmiechem, który sprawił, że zaczerwienił się po same uszy.

- Romans z Sanną Kaegler nie był przyczyną zabójstwa Edwarda. Spowodował on natomiast utratę nietykalności. Janice przestała go chronić. Mafія nie dawała mu spokoju od lat. I oto dochodzimy do morderstw, które pozbawiły życia panów Cedera, Rothstaahla i Bergmana. Jak też do próby zamordowania Sanny Kaegler.

- The band is slut - tak, ni po angielsku, ni po szwedzku, Andersson poinformował o tym, że taśma się skończyła.

Podenerwowany komisarz pilnował do tej pory magnetofonu. Z opowieści Ms. Hazel zrozumiał niezbyt wiele. Irytowało go to, że inni nadążali za tokiem relacji, i tracił resztki zaufania do własnej, świeżo nabytej znajomości angielskiego. Po odejściu pozostałych oficerów zamierzał poprosić Irene, aby razem przesłuchali całe nagranie. Oczywiście pod pretekstem odtworzenia wszystkich szczegółów, by nie umknęło uwagi nic, co istotne. Lee Hazel poczekała cierpliwie na odwrócenie taśmy. Ledwo czerwona lampka znów rozbłysła, powróciła do opowieści w tym miejscu, w którym ją przerwała.

- Początkiem wszystkiego jest morderstwo popełnione na Thomasie Bonettim. Już w listopadzie 2000 roku FBI otrzymało informację o tym, że w Szwecji zaginął bliski krewny Leonarda Bonettiego. Rodzice Thomasa poprosili go o pomoc w odszukaniu syna. Już wtedy podejrzewali, że

mógł paść ofiarą mordu. Wkrótce uzyskaliśmy pewność, że tym zaginionym był właśnie Thomas Bonetti. W Stanach stał się on zresztą znany dzięki dodatkom ekonomicznym do gazet, w których kilka miesięcy wcześniej pisano o głośnym wtedy krachu firmy ph.com. Agentka urwała i wyjęła ze swej aktówki dyskietkę. Z pedagogicznym zacięciem pokazała ją słuchaczom, uderzyła w nią srebrzyście mieniącym się paznokciem palca wskazującego i oznajmiła:

- Na kilka minut zmienię tor. Jak wiecie, zatrzymałam się dodatkowo na jeden dzień w Anglii. Z powodu tej dyskietki i jeszcze paru innych. Znalazłam je w skrytce na terenie posiadłości Edwarda Fentona. Urządził sobie tam spory dom, który służył mu jako zastępcze miejsce pracy, i faktycznie często w nim pracował. Za regałem, który otwiera się jak drzwi, jest kasa pancerna. Znalazłam w niej mnóstwo dyskietek. Wszystkie zostały starannie posegregowane i ułożone w pudełkach, które Fenton oznaczył: Bo, Be, C i R. Bonetti, Bergman, Ceder i Rothstaahl. Trochę to potrwało, zanim udało mi się je wszystkie przejrzeć, ale zostałam odpowiednio wyszkolona. Sądzę, że teraz potrafię całkiem dobrze odtworzyć tok wydarzeń. Można by się zastanawiać, dlaczego Fenton ich nie zniszczył, ale pewnie nie zdążył się z nimi zapoznać. Albo też liczył na to, że informacje z tych dyskietek będzie mógł wykorzystać, aby się obronić przed mafią.

Agentka odłożyła dyskietkę i wydobyła ze stosu jedną z cienkich teczek, którą otworzyła. Refleksyjnym tonem powiedziała:

- Pundfix. Być może właśnie tam wszystko się zaczęło. Jak wiecie, Thomas Bonetti, Joachim Rothstaahl i Erik Dahl, Norweg, założyli spółkę, której celem było zarządzanie kapitałem innych firm, głównie skandynawskich, poprzez fundusz akcyjny. Ten oszukańczy biznes przypominał niekończący się ciąg elementów piramidy czy kostek domina. Początkowo wypłacano wysokie dywidendy, ale odbywało się to dzięki wkładom nowych inwestorów. I w końcu balon pękł. Dla Thomasa Bonettiego i Joachima Rothstaahla ratunkiem okazało się zachowanie szwedzkiego obywatelstwa. Norweg wpadł.

Lee Hazel pozwoliła sobie na jeszcze jedną teatralną pauzę.

- W Pundfixie lokowali swoje pieniądze nie tylko Skandynawowie. Edward Fenton zainwestował ponad milion dolarów w imieniu firmy, która pozostała anonimowa. Inaczej mówiąc, były to brudne pieniądze mafii, klanu Santinich. Sporą część tych pieniędzy Bonetti i Rothstaahl zdążyli wyprowadzić, zanim bluff wyszedł na jaw. I właśnie te środki finansowe Thomas Bonetti ulokował później w firmie ph.com.

Agentka znów umilkła, aby podane informacje dotarły do świadomości obecnych, po czym powróciła do swej relacji:

- Z wyliczeń dotyczących Rothstaahla wynika jednoznacznie, że prawie natychmiast padł ofiarą szantażu. Krótko mówiąc, można stwierdzić, że pozostawiono go przy życiu, ale tracił pieniądze. Natomiast nie zastosowano jeszcze wtedy szantażu w stosunku do Thomasa Bonettiego. Dlaczego nie? - mogę się tylko domyślać. Być może dlatego, że należał do rodziny Bonettich. Albo też uznano, że lepiej będzie poczekać z asem w rękawie. I jest faktem, że Bonetti mógł zainwestować w informatyczną firmę ph.com. Lokowanie pieniędzy w szybko rozwijający się sektor informatyczny mogło zresztą wydać się bardzo rozsądnym pomysłem. Wszyscy chcieli coś mieć z tej kopalni złota. Również Edward Fenton uznał, że bank H.P. Johnsona i pośrednio mafia dojrzały do tego, żeby wskoczyć do pociągu, który zmierzał ku nowej informatycznej gospodarce, gdzie były pieniądze. Edward zadbał o to, by klan Santinich zainwestował piętnaście milionów dolarów w firmę ph.com.

- Anonimowy inwestor! Ostatnie tournee... odbyło się tylko z myślą o tym jednym anonimowym inwestorze! - wtrąciła, głosem pełnym emocji, Kajsza.

- Dokładnie tak - skinęła głową Lee Hazel.

Po krótkiej przerwie powróciła do swego wyводу:

- Wiemy, jak działała firma ph.com. Wszystkie zainwestowane pieniądze zniknęły. Sergio Santini znalazł się wśród tych, którzy stracili najwięcej. Jego bank utracił ogromne sumy i nadszarpnął swoje dobre imię, a jego mafijna rodzina straciła piętnaście milionów dolarów. I niebawem wyszło na jaw, że całej trójce "wspólników udało się wyprowadzić sporo pieniędzy z firmy. Najwięcej zdołał wyciągnąć Thomas Bonetti. Już na kilka miesięcy przed właściwym krachem zaczął na własną rękę po prostu okradać spółkę. To, co praktykował razem z Sanną Kaegler, Philipem Bergmanem i Joachimem Rothstaahlem, zwykło się określać jako kick backs. Oznacza to, że współwłaściciele firmy ph.com płacili niesamowicie drogo za usługi świadczone firmie przez „konsultanta”, Joachima Rothstaahla. Łączył on na przykład funkcję wicedyrektora z audytem wykonywanym na rzecz firmy ph.com w charakterze doradcy. Te dwie role odgrywał równocześnie. Oczywiście płacono mu niewyobrażalne wręcz sumy. Ze swej strony dbał o to, by trójka wspólników odzyskiwała część tych pieniędzy jako honoraria za różne fikcyjne usługi świadczone na rzecz jego firmy konsultingowej.

Agentka znów umilkła, żeby się przekonać, czy szwedzcy koledzy nadażąją. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby rozumieli, pewnie z wyjątkiem grubego komisarza, który siedział przez cały ten czas z ponurym wyrazem swej okrągłej twarzy.

- Nie pozbawia się mafii z trudem zdobytych przez nią pieniędzy, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Pieniądze uzyskano z prostytucji, sutenerstwa, handlu narkotykami i tak dalej, zostały okupione potem, krwią i niejednym ludzkim życiem, zanim trafiły do rąk bankierów. Sergio Santini uznał, że nadszedł pay back time.

Nawet Andersson zrozumiał znaczenie tych ostatnich słów.

Rozdział 25

Na prośbę Lee Hazel nastąpiła krótka przerwa dla złapania tchu. Prócz tego uważała, że trzeba dać Szwedom możliwość przetrawienia otrzymanych informacji, a także sformułowania jakichś pytań. Kiedy wszyscy znów się zebrali w sali konferencyjnej, na początek poprosiła o pytania. Irenę podniosła rękę jako pierwsza.

- Na podstawie twojej relacji można odnieść wrażenie, że istnieje jakiś związek między morderstwami, których ofiarami padli Bonetti, Rothstaahl i Bergman, oraz próbą zabójstwa Sanny Kaegler. Mafia straciła przez nich mnóstwo pieniędzy. Ale jak wiąże się z tamtymi morderstwami śmierć Kjella Bengtssona Cedera? Nic go nie łączyło z firmą ph.com. A jego małżeństwo z Sanną zaaranżował Edward Fenton. Dlaczego Ceder zginął?

Lee Hazel wskazała znów dyskietkę.

- Dzięki niej wiem, dlaczego. Kiedy pan Ceder budował swój ogromny hotel, koszt obliczono na pięćset milionów szwedzkich koron. Ale wzrósł on niepomiernie. Żaden szwedzki bank nie chciał go dalej kredytować i nikt nie miał odwagi włożyć więcej pieniędzy w to wielkie przedsięwzięcie. Nikt prócz starego przyjaciela z młodych lat, Edwarda Fentona. Zainwestował on prawie dziesięć milionów dolarów. Oczywiście w imieniu anonimowego inwestora. My w FBI wiedzieliśmy o tych mafijnych pieniądzach już sześć lat temu. Prawie dwieście milionów dolarów zainwestowano w różne hotele w wielkich miastach europejskich. Już wtedy zwróciła naszą uwagę lokata góteborska. Mimo najlepszych chęci nie można tego miasta zaliczyć do wielkich i szczególnie atrakcyjnych europejskich miast. Nie wiemy, dlaczego właściwie Edward postanowił dołożyć się do budowy hotelu. Pewnie przesądziła o tym stara przyjaźń. Edward Fenton miał jednak dość powodów, by wyrzucać sobie tę inwestycję w hotel Gothenburg, którą zrealizował w imię lojalności wobec starego przyjaciela. Od samego początku hotel borykał się z problemami finansowymi. Mister Ceder był po prostu nie zawsze wypłacalny. Serdeczny przyjaciel Edward zażądał więc w zamian pewnych drobnych przysług. Ośmiornica nie daje spokoju nikomu, kto znalazł się w zasięgu jej macek. Za przykład niech posłuży małżeństwo z Sanną Kaegler. I zatrudnienie Michaela Fullera. A skoro już mowa o Fullerze, chętnie powiem o nim więcej. Dzisiaj otrzymałam od mojego kolegi, Jacka Curtisa, potwierdzenie pewnych domysłów. Mikę Fuller nie jest bynajmniej tym, za kogo się podaje. Jego prawdziwe nazwisko brzmi: Michael, „Mikę”, Falcone. Jest synem jednego z kuzynów Sergia Santiniego. Oto więc pojawił się łącznik organizacji Cosa Nostra. Mówiąc ściślej, łącznik rodziny Santinich. Teraz wiem już także, kto i dlaczego umieścił go w Góteborgu.

Irenę poczuła prawdziwe znużenie. Miała w głowie mętlik od nadmiaru nazwisk, a poza tym musiała wyteżać uwagę, żeby uchwycić wszystko, co swoją staranną amerykańską angielszczyzną opowiadała Lee Hazel. Chociaż właściwie elementy układanki zaczęły już trafiać na swoje miejsca i prawdziwy obraz wydarzeń przybierał stopniowo odpowiedni kształt.

- O to, żeby Mikę Falcone podjął pracę w hotelu Gothenburg, zadbał Edward Fenton. Pozostawał on pod silną presją ze strony rodziny Santinich. Ze stratą, jaką przyniósł bief w postaci Pundfixu, pogodziliby się pewnie, ale dziesięć milionów włożonych w hotel Gothenburg i piętnaście ulokowanych w firmie ph.com to już było za dużo. Dwadzieścia pięć milionów dolarów to ogromna suma. Inwestując, liczyli na wielokrotny zysk. A tu wszystko przepadło.

„W tamtym okresie za jednego dolara płaciło się około dziewięciu koron szwedzkich, mafia straciła więc ponad dwieście dwadzieścia milionów koron. Nic dziwnego, że ci ludzie byli rozgoryczeni!” - pomyślała Irenę.

- Cosa Nostra źle znosi stratę choćby jednego dolara. Mafia poleciła Edwardowi Fentonowi odzyskać pieniądze. Jego rozpaczliwa sytuacja skłoniła go do stanowczych działań. Tym, który zgarnął najwięcej, był Thomas Bonetti. Dlatego on stał się pierwszym celem. Edward i Michael Falcone połączyli siły. Jak wiecie, Bonetti był torturowany, zanim zginął. To, co działo się później, pozwala nam sądzić, że ujawnił numery wszystkich swoich kont. Dzięki dyskietkom wiemy, że pełna suma wyniosła dwa i pół miliona dolarów. Sprzedaż jachtu też musiała przysporzyć pieniędzy. Skłonna jestem przypuszczać, że na pomysł uciecia kilku palców Bonettiemu wpadł Mikę Falcone. Ten pomysł należy niewątpliwie do mafijnej klasyki. A posłużyło to, po pierwsze, do wymuszenia informacji na Bonettim, po drugie zaś można było te palce rozesać, żeby wyłudzić od różnych osób pieniądze. Przesłanie było oczywiste: jeśli nie zapłacisz, to następnym razem poczta dostarczy pewne części twoich zwłok.

Lee Hazel umilkła, a że nikt z obecnych nie kwapił się do pytania o cokolwiek, powróciła do swego wyводу:

- Groźba zabicia w przypadku uchylenia się od zapłaty przekonała Bergmana, Rothstaahla i Sannę Kaegler. I skoro raz zapłacili, nie mogli przestać. Na dzień dzisiejszy wszyscy oni są właściwie unieszkodliwieni. Easy comes, easy goes - wymownym gestem kształtnych rąk agentka dała do zrozumienia, że tamci szybko wyzbyli się łatwo zarobionych pieniędzy.

- Ale dlaczego mafia musiała ich wymordować? Przecież wszystko zwrócili - wtrąciła Kajsa.

- Morderstwo, które usunęło Thomasa Bonettiego, stało się kłopotliwe. Rodzina Bonettich natrafiła na ślad, który prowadził do Santinich. Gdyby wyszło na jaw, że członkowie tej rodziny stali za tamtym morderstwem, doszłoby do straszliwej katastrofy. Nagle pomysł ujawnienia w listach z pogrózkami, że każdy z palców należał do Thomasa Bonettiego, okazał się gorszy niż zakładano. Edward wpadł w rozpacz i chciał koniecznie odzyskać palce oraz listy. Wiedział przecież, kto je otrzymywał. Poza tym chodziło o zatarcie śladów szantażu. Gdyby dowiedziała się o nim rodzina Bonettich, to zrozumiałaby, że także Thomas był szantażowany. Jego najbliżsi wiedzieli o огоłoceniu kont, do czego doszło po jego zniknięciu. Gdzie przepadły jego pieniądze? Oczywiście dostały się Santinim. Zapowiadało się na mafijną wojnę. A Edward był świadomy, że nie wyjdzie z niej cało. Korzystając z pomocy Milce'a Falcone, zaczął eliminować tych czworo, którzy wiedzieli, że palce ucięto Thomasowi. Bergman, Ceder, Rothstaahl i Sanna Kaegler - cała czwórka musiała zginąć. Irene nie omieszkała wtrącić:

- To wyjaśnia, dlaczego Bergman i Rothstaahl przyjechali do Göteborga. Pod pretekstem ważnego spotkania sprowadził ich tutaj Edward. Być może wyraził gotowość zainwestowania w ich nowy fundusz akcyjny, EuroFond. Ale w domu Rothstaahla czekał na nich Falcone. Tak samo było w przypadku Kjella Bengtssona Cedera. Nie domyślił się, że Edward ściągnął go na spotkanie w Askim, aby Falcone mógł go zamordować. Edward miał alibi, bo przebywał nadal w Stanach. Przedtem dawał wciąż do zrozumienia całej czwórce, że tylko pośredniczy w przekazywaniu ich comiesięcznych wpłat. A prawda była taka, że pieniądze trafiały bezpośrednio do niego, potem zaś otrzymywał je teść, Sergio Santini.

Lee Hazel kiwała głową, zgadzając się z wnioskami Irene.

- Właśnie tak było. Falcone przesłał Edwardowi klucz Rothstaahla do paryskiego mieszkania. Dzięki temu Edward nie musiał się tam włamywać. Znaleźliśmy klucz w torbie pozostawionej w wynajętym samochodzie, w którym on został zamordowany. Falcone przesłał mu także wszystkie dyskiety i komputery, na jakie natrafił. Edward szukał dalej tego samego w Paryżu. A wtedy w mieszkaniu znalazły się nagle Kajsa i Irene.

Lee Hazel wskazała wzrokiem oko Kajsy i posłała jej porozumiewawczy uśmiech, który Kajsa chętnie odwzajemniła.

- Mam pewną teorię, jeśli chodzi o próbę zabójstwa Sanny Kaegler. Prawdopodobnie Edward posłał Mike'owi Falcone swój telefon komórkowy i poinstruował go, jak ściągnąć Sannę w zarośla za domem. Hasła znał tylko Edward. A Sanna nie przeczuwała podstępów. Ona też by zginęła, gdyby was tam nie było. A wtedy nigdy nie rozwikłalibyśmy tej sprawy. Tak czy inaczej, schwytałiście Michaela Falcone.

- Czy on zacznie mówić? - zainteresował się Fredrik.

- Tak, zacznie. Pewnie przyzna się do próby zabójstwa Sanny Kaegler, ale do niczego więcej. Być może przydadzą się nam poszlaki, zwłaszcza jeśli się okazało, że pistolet, który miał przy sobie w szpitalu, został użyty do zamordowania tamtych trzech osób. Ale on nigdy się do tych morderstw nie przyzna. Tylko do próby morderstwa.

- Dlaczego miałby się przyznać? - zapytała Kajsa.

- Ponieważ może potrzebować schronienia przez jakiś czas. Kilka lat w szwedzkim więzieniu może się nagle okazać bardzo dobrą perspektywą. W Stanach Zjednoczonych będzie się w przyszłości czuć kiepsko. Rodzina Bonettich będzie czyhać na niego i czekać na odpowiedni

moment. Wątpię też, aby rodzina Santinich chciała go jeszcze oglądać. Był pomocnikiem Edwarda. A to żadna zasługa, jeśli ktoś pragnie awansu w hierarchii Rodziny.

Lee Hazel spojrzała w zamyśleniu na stos dokumentów, który miała przed sobą na stole, i skrzącym się paznokciem uderzyła o leżącą najwyżej teczkę.

- Edward dołożył wszelkich starań, żeby wyjść cało z egzekucji Thomasa Bonettiego. Być może udałoby mu się, gdyby nie romans z Sanną Kaegler. Wiedząc to, co wiemy, możemy stwierdzić, że był to gwóźdź do jego trumny.

Fredrik otrzymał polecenie zabrania agentki specjalnej do Landwetter. Miała dość czasu, żeby zdążyć na ostatni samolot do Londynu. Stojąc w oknie na czwartym piętrze, Irenę obserwowała Fredrika i Lee Hazel, kiedy szli przez parking do jego wozu. Ms. Hazel dorównywała Fredrikowi wzrostem. Jej długie ciemne włosy opadały na ramiona i kontrastowały z jasną czupryną Fredrika. Stanowili piękną parę. Irenę przyglądała im się, póki nie wsiedli do samochodu i nie ruszyli z parkingu.

Z westchnieniem odwróciła się potem od okna i zasiadła do komputera. Od dwóch dni nie sprawdzała maili.

Ostatni został wysłany w tym samym dniu, w porze lunchu, przez Glena Thomsena. Kończył się słowami:

Lee Hazel to doprawdy niezwykła osoba! Szkoda, że nie widziałas jej przy sprawdzaniu odnalezionych dyskierek. Robiła to w zadziwiającym tempie! Podejrzewam, że ma między uszami komputer. A nuż jest Terminatorem? Jeśli tak, to o wiele ładniejszym od Arnolda Schwarzeneggera. Ale, ma się rozumieć, jest agentką specjalną i na ogół pracuje przy komputerze. Na otwartej przestrzeni za bardzo rzucałaby się w oczy.

Pozdrowienia dla rodziny! Glen

Epilog

W pierwszy poniedziałek listopada na biurku Irenę Huss zadzwonił telefon. Gdy podała swoje nazwisko i stopień, zapadło na chwilę milczenie, a potem usłyszała, że po tamtej stronie ktoś odchrząknął i zaczął coś mówić.

- Dzień dobry. Tu Billy... Billy Hermansson. Dzwonię, żeby poinformować, że w sobotę zmarła moja mama. Przyszło mi na myśl... to śledztwo. I to, że ona nie będzie już mogła opowiedzieć, co widziała przez teleskop. Dzwonię do ciebie, bo nie znam nikogo innego, kto mógłby się tym przejąć.

- Szczerze współczuję - powiedziała Irenę. Wzruszyło ją to, że Billy pomyślał o skontaktowaniu się

z nią. Pewno miał rację, nikogo innego nie mogła obchodzić śmierć Anniki Hermansson.

Irenę zaczęła zaraz obmyślać, jak powiedzieć to, co miała mu do powiedzenia. Uznała, że trzeba od razu przystąpić do rzeczy.

- Billy, wiem, kto jest twoim ojcem. Czy chcesz tu przyjechać i porozmawiać o tym?

Jego odpowiedź poprzedziło dłuższe milczenie.

- Niece... Raczej nie...nie w tej chwili. Może później. Wystarczy mi tych spraw, które muszę załatwić w związku ze śmiercią mamy...

- Rozumiem. Odezwę się.

Kiedy oboje odłożyli słuchawki, Irenę siedziała długo, patrząc przed siebie. A potem podjęła decyzję. Z szuflady biurka wyciągnęła wizytówkę, która przeleżała tam kilka tygodni, i włożyła ją do niewielkiej białej koperty. Starannie okleiła kopertę szeroką taśmą.

Uruchomiwszy komputer, napisała:

Drogi Billy!

W oklejonej kopercie znajdziesz wizytówkę, która należy do Twojego ojca. Jeśli nie wiesz, co zrobić z informacją o jego tożsamości, to podpowiem Ci, że możesz umieścić kopertę w

skrytce bankowej. Kiedy poczujesz, że do tego dojrzałeś, będziesz mógł ją stamtąd wydostać. Albo spal ją, jeśli tak wolisz. O ile zdecydujesz się na kontakt z ojcem, proszę Cię, żebyś nie mówił mu, jak doszło do odkrycia jego tożsamości. Powiedz mu, że Annika miała w ostatnich dniach swego życia zamałcony umysł i wyjawiała Ci, kto jest Twoim ojcem. Życzę Ci wszystkiego najlepszego.

Irenę Huss

Adresatami serdecznych podziękowań są:

Gunnar Lindstedt, dziennikarz i pisarz. Jego książki, Trust-orhdruan (Powikłane sprawy trustów) oraz boo.com stały się dla mnie zachętą do pogłębienia wiedzy o wielkim kapitale i znikaniu owych pieniędzy. Gunnar zechciał także przeczytać pewne fragmenty mojej książki, i to jako człowiek, który wie o gospodarce znacznie więcej niż ja.

Morgan Johannsson, ornitolog, a ponadto mój sąsiad. Pomógł mi on w uzyskaniu informacji o różnych rodzajach lornetek, odgrywających istotną rolę w tej książce.

Eva Odd, moja fryzjerka, która nie tylko pomaga mi dbać o włosy, ale także wyjaśniła różne pojęcia dotyczące modeli łodzi motorowych...

Inger Brunback, moja najlepsza koleżanka z dzieciństwa, która od lat mieszka na wyspie Styrsó. W ciągu tych lat odwiedziłam wyspę wiele razy i znam ją już dość dobrze. Dlatego też dokonałam całkiem samowolnych przemeblowań w geografii wyspy oraz wśród okolicznych skalistych wysepek i szkier. Domy z tej książki nie istnieją w rzeczywistości (w każdym razie nie tam, gdzie je umieściłam) i mój opis południowego archipelagu szkier nie jest zgodny z mapą morza.

Autorka pragnie podkreślić, że fakty geograficzne zostały wykorzystane tylko według jej własnego uznania. Książka ta nie jest przydatna jako przewodnik, ani po Góteborgu, ani po Paryżu. Stanowczo odradza się czytelnikowi żeglugę przez południowy szkierowy archipelag pod Góteborgiem z wykorzystaniem danych geograficznych zawartych w tej książce.

Wszelkie ewentualne podobieństwa postaci do rzeczywistych osób są przypadkowe i bynajmniej niezamierzone przez autorkę. Jedynym wyjątkiem jest pies Sammie, który nie ma tego za złe. Ponieważ należy on do autorki, odnosi się z pewną rezerwą do swej literackiej sławy i przyjmuje ją spokojnie.